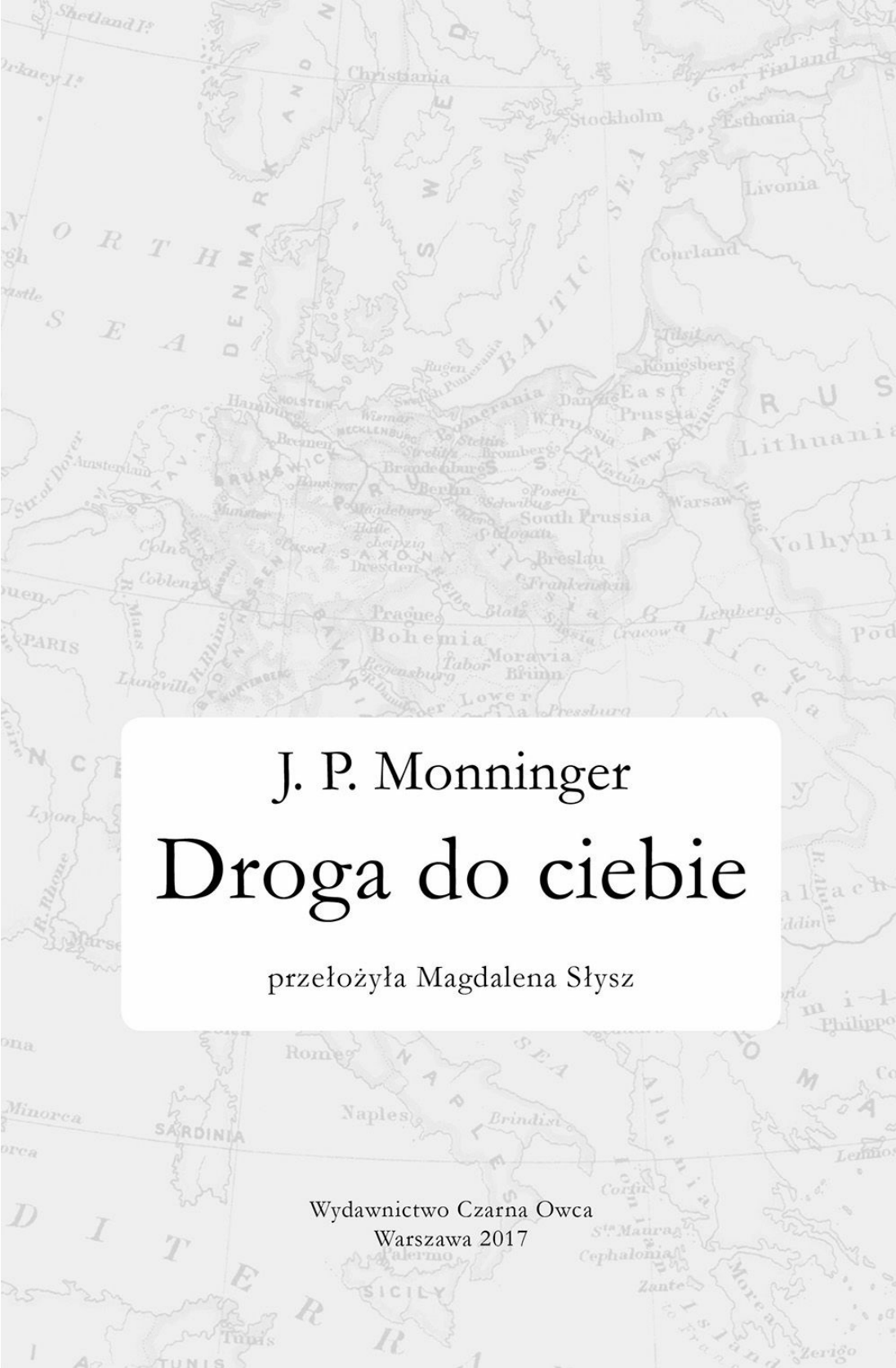


ROMANTYCZNA
I NIEZAPOMNIANA.
—NICHOLAS SPARKS

J. P. Monninger

Droga do ciebie



J. P. Monninger

Droga do ciebie

przełożyła Magdalena Słysz

Wydawnictwo Czarna Owca
Warszawa 2017

Spis treści

[Okładka](#)

[Strona tytułowa](#)

[Strona redakcyjna](#)

Prolog

Część pierwsza

[Amsterdam](#)

[Berlin](#)

Kraków, Praga, Szwajcaria, Włochy

Paryż

Część druga

Nowy Jork

Paryż

[Batak](#)

Przypisy końcowe

Tytuł oryginału:

THE MAP THAT LEADS TO YOU

Redakcja językowa: Mirosław Grabowski

Projekt okładki: © Michael Storrings

Adaptacja okładki: Izabella Marcinowska

Zdjęcia na okładce: © Jim Franco/The Image Bank/Getty Images, © Archive Photos/Getty Images

Korekta: Maciej Korbasiński

Redaktor prowadzący: Małgorzata Głodowska

THE MAP THAT LEADS TO YOU Text Copyright © 2017 by Temple Hill, LLC

Published by arrangement with St. Martin's Press, LLC. All rights reserved

Copyright for the Polish edition © by Wydawnictwo Czarna Owca, 2017

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku.

Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Wydanie I

ISBN 978-83-8015-720-0

Wydawnictwo

**CZARNA
OWCA**

www.czarnaowca.pl

Wydawnictwo Czarna Owca Sp. z o.o.

ul. Alzacka 15a, 03-972 Warszawa

www.czarnaowca.pl

Redakcja: tel. 22 616 29 20; e-mail: redakcja@czarnaowca.pl

Dział handlowy: tel. 22 616 29 36; e-mail: handel@czarnaowca.pl

Księgarnia i sklep internetowy: tel. 22 616 12 72; e-mail: sklep@czarnaowca.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

Andrei i Christinie

„W każdym miejscu, gdzie byłem szczęśliwy, chciałbym zakopać coś cennego, a potem, kiedy będę stary, odrażający i nieszczęśliwy, wrócić w to miejsce, odkopać skarb i snuć wspomnienia”.

Evelyn Waugh, *Powrót do Brideshead*
przeł. Irena Doleżał-Nowicka

Prolog

Rozdanie dyplomów

To twoja mama robi tobie i twoim dwóm przyjaciółkom najlepsze zdjęcie w dniu ukończenia Amherst College w Massachusetts. Słynie z tego, że nie umie posługiwać się aparatem i nie znosi, kiedy się ją woła, żeby cyknęła fotkę, ale w przededniu wkroczenia przez ciebie w pełną dorosłość, przepełniona jakąś tajemną maminą mocą, przechodzi pomyślnie próbę, gdy zawodzą wszystkie inne błyski w powodzi świateł. Co warto zauważyć, nie jest to jedno z tysięcy zdjęć, jakich życzą sobie rodzice, takich w drodze na podest, i nie przedstawia tylko ciebie z waszej trójki – młodych, mających przed sobą całe życie, w togach unoszonych przez wietrzyk Nowej Anglii, z zielonymi, stęsknionymi za słońcem dębami Amherst i wzniesionymi dyplomami, jak to bywa na każdej tego typu uroczystości. Nie, to nie jest jedno z nich. Nie takie z rodzicami ani z młodszymi kuzynkami twojej przyjaciółki Constance w słodkich letnich sukienkach. Nie takie w chwili odbierania dyplomu, gdy stoisz na podwyższeniu i dłoń ściska ci rektor, ani w ostatnim momencie, kiedy studenci wyrzucają w górę swoje beznadziejne birety i niemal oślepiają innych tymi wirującymi kwadratowymi frisbee.

To coś skromniejszego, a zarazem donioślejszego. Ujęcie z profilu,

wszystkie trzy siedzicie na składanych krzesłach, z lekko uniesionymi ku głośnikom twarzami, mrużąc nieznacznie oczy przed słońcem. Ludzie zwykle udają, że nie widzą fotografującego, tego, że zaraz zrobi im się zdjęcie, ale tym razem tak jest naprawdę. Twoja matka strzeliła je jak ninja, wciąż nie wiesz, jak to zrobiła, jednak na pierwszym planie jest Constance. Jasnowłosa i pełna nadziei, z taką łagodną, niewinną miną, że za każdym razem, gdy ją widzisz na tej fotografii, dławi cię w gardle. Następnie widać Amy, ciemnowłosą i tutaj smętną, choć zawsze w centrum, wesołą i dowcipną, głośną i pełną energii, z tym swoim „pieprz się” i „wsadź sobie w dupę”, ale i z dobrocią, życzliwością w oczach. Ona także spogląda w górę.

I dalej jesteś ty. Patrzysz na tę dziewczynę, swój wizerunek, dziesiąty, setny raz, żeby dostrzec, co ma w twarzy. Kim jest ta absolwentka marketingu, dwukrotna stażystka podczas letnich wakacji, z czekającą już na nią godną pożądaną lukratywną posadą bankiera inwestycyjnego, którą ma objąć jesienią? Ledwie ją rozpoznajesz; zmieniła się w ciągu tych czterech ostatnich lat, stała się poważniejsza, może mądrzejsza, już kobieta, a nie dziewczyna. Jednocześnie trudno ci na nią patrzeć, taka jest bezbronna, pełna wad, słabości, rozterek. Jesteś trzecią z szeregu przyjaciółek, tą, która załatwia sprawy, która obsesyjnie lubi mieć nad wszystkim kontrolę i zawsze będzie wysyłana, żeby odstawić Amy tam, gdzie powinna być odstawiona, czy żeby wspierać Constance w jej eterycznym dążeniu do piękna. Pod względem typu urody plasujesz się pośrodku, między jasną Constance a ciemną Amy, stanowiąc ostateczny składnik tej kombinacji, jaką we trzy tworzycie. Jesteś tkanką kostną pośród ich chrząstek, przydajesz grawitacji ich lotom.

Jedna chwila w ciągu czterech lat. I wszystko oddaje. Za kilka tygodni będziecie w Europie, w tak zwanej dawniej podróży życia; będziecie jeździć po krajach Starego Kontynentu i zwiedzać, ale teraz, w tym momencie, stoicie na progu wszystkiego. Twoja matka to dostrzegła i uchwyciła, tak że nie

możesz już spojrzeć na to zdjęcie, nie mając świadomości, że wasze trzy serca są połączone i że w tym szalonym świecie każda z was ma dwie istoty – czyste i niezawodne – na które może liczyć obecnie i w każdym kolejnym dniu.

To ostatnia wspaniała chwila, zanim on wkroczy w twoje życie, ale jeszcze o tym nie wiesz, nie możesz wiedzieć. Później jednak będziesz usiłowała sobie wyobrazić, gdzie był w tej chwili, kiedy się odwrócił i ruszył ku tobie, a ty ku niemu, i jak to możliwe, że świat wokół was tego nie zauważył. Twoje życie zmieni się nie do poznania, ale wszystko to dopiero czeka, wisi w powietrzu, los, przypadek i nieuchronność. Jack, twój Jack, twoja jedyna wielka miłość.

Część pierwsza

Amsterdam

1

Przede wszystkim gdyby w pociągu do Amsterdamu nie panował taki tłok, cała reszta by się nie zdarzyła. Był to wredny rodzaj tłoku, w którym wszyscy walczą o przestrzeń, wszyscy się irytują, że sprzedano za dużo biletów i pociąg jest przepelniony, więc gdy tylko zdobyłam miejsce, siedziałam z opuszczoną głową. Czytałam *Słońce też wschodzi*, co oczywiście stanowi banał – świeżo upieczona absolwentka college’u czytająca Hemingwaya podczas swojej pierwszej podróży do Europy z przyjaciółkami – ale co tam. Namówiłam już Constance i Amy na kawę i koniak w Les Deux Magots, przeszłam się w Paryżu po Lewym Brzegu i posiedziałam sama z gołębiami w Ogrodzie Luksemburskim. Nie miałam ochoty wyjeżdżać z tego miasta. Nie chciałam zostawiać jego szerokich bulwarów, mężczyzn grających w bule w Tuileries, kafejek, parzących łyków mocnej kawy, zabawnych klaksonów motocykli, obrazów, muzeów i pysznych *crêpes*. Nie chciałam zostawiać wczesnych ranków, kiedy pracownicy kawiarni zamiatali bruk i srebrzystą wodą z czarnych węży zmywali chodnik przed wejściem, ani wieczorów, gdy czasami czuło się zapach dymu albo kasztanów, a starzy mężczyźni siedzieli z długimi wędkami na trójnogich stołkach nad Sekwaną i zarzucali na przynętę

robaki. Nie chciałam zostawiać bukinistów nad rzeką, ich zatęchłych budek zawalonych starymi pożółkłymi książkami, pejzażystów, którzy przychodzili i nakładali farby olejne na płótno, starając się uchwycić coś, czego nie da się uchwycić, a co można tylko dać do zrozumienia, zamienić w ducha. Nie chciałam zostawiać Shakespeare & Co., angielskiej księgarni, echa, odległego echa Hemingwaya i Fitzgeralda, nocy spędzonych w fontannie u Ritza, czy Joyce'a ze zmrużonymi powiekami, pożerającego swoją prozę jak mysz głodna druku. Nie chciałam zostawiać gargulców, ich zaskakująco czujnych kamiennych oczu, które spoglądają z katedr, z Notre Dame i setek innych kościołów, i białych oblicz, czasami ze strużkami tajemniczej czerni, jakby kamień mógł wchłaniać łzy i po wiekach je uwalniać.

Mówi się, że nie można opuścić Paryża; to on musi cię opuścić, jeśli postanowisz wyjechać.

Próbowałam zabrać go ze sobą. W Paryżu czytałam *Ruchome święto*, *Pożegnanie z bronią* i *Śmierć po południu*. Miałam je wszystkie w iPadzie, przenośną hemingwayowską bibliotekę, i chociaż podróżowałam z Constance i Amy, towarzyszył mi także Hemingway.

Więc czytałam. Było późno. Przebywałam w Europie już dwa i pół tygodnia i jechałam teraz do Amsterdamu. Constance obok zasnęła – czytała *Żywoty świętych*, we własnej duchowej podróży, żeby dowiedzieć się o tych ludziach wszystkiego, co tylko się da, zobaczyć każde ich przedstawienie, rzeźbiarskie czy malarskie, realizując swoją szczególną pasję, zainteresowanie hagiografią będącą tematem jej pracy magisterskiej – Amy zaś wytknęła głowę za oparcie mojego fotela i gawędziła z młodym Polakiem, Wiktorem. Wiktor pachniał sardynkami i miał na sobie wysłużoną kurtkę, jednak lekko dźgnęła mnie łokciem, kiedy powiedział, że jest śliczna, i jej głos nabrał śpiewnego, uwodzicielskiego tonu, który oznaczał, że zarzuca na faceta sieć. Wiktor był przystojny i czarujący, mówił głosem przywodzącym na myśl Drakulę, i Amy,

jak zauważyłam, robiła sobie nadzieje.

Tak miały się sprawy, gdy pojawił się Jack.

– Mogłaby pani to potrzymać? – zapytał.

Nawet na niego nie spojrzałam. Nie zorientowałam się, że mówi do mnie.

– Proszę pani? – dodał.

A potem trącił mnie plecakiem w ramię.

Uniosłam głowę. I pierwszy raz zobaczyłam Jacka.

Nasze spojrzenia się spotkały i tak już zostało.

– Słucham? – zagadnęłam, świadoma, że jedno z nas powinno już odwrócić wzrok.

Był fantastyczny. Więcej niż fantastyczny. Przede wszystkim wysoki – mierzył z metr dziewięćdziesiąt – i dobrze zbudowany. Miał na sobie oliwkowy polar i dzinsy, a ten zestaw leżał na nim w taki sposób, że sprawiał wrażenie najbardziej interesującego stroju, jaki ktokolwiek kiedykolwiek nosił. Nos musiał być złamany dawno temu i po zrośnięciu przypominał kształtem apostrof. Ładne zęby i uśmiech, który zapowiadały dołączki na policzkach chwilę przedtem, zanim sam Jack stawał się go świadomy. Włosy – ciemne i kręcone, nie tyle afro, ile raczej w stylu dawnego poety. Zwróciłam także uwagę na ręce: duże i ciężkie, jakby nie bał się pracy fizycznej; przywiodły mi na myśl – tylko trochę, troszkę, bo to głupio brzmi, nawet w moich uszach – Hugh Jackmana w roli przerażającego Wolverine’a. Ten facet wyglądał na beztroskiego – to bardzo wieloznaczne słowo, a jednak trafne – na kogoś, kto stale puszcza oko, dając do zrozumienia, że złapał dowcip, wie, o co chodzi, nie bierze tego poważnie, ale oczekuje, że będziesz kontynuować. Co to miałyby być za dowcip i jaką odgrywa rolę w twoim życiu, nie było do końca jasne, niemniej kąciki moich ust nieznacznie się uniosły. Nie podobało mi się, że wywołał u mnie ten uśmiech, czy nawet cień uśmiechu, i próbowałam opuścić wzrok, ale jego spojrzenie mi na to nie pozwoliło.

Patrzył na mnie jak samiec, z humorem gdzieś w głębi oczu, a ja nie mogłam się oprzeć chęci, aby się dowiedzieć, czego chce.

– Mogłaby pani to potrzymać, gdy będę się tam wdrapywał? – zapytał, ponownie wyciągając plecak. Wciąż na mnie spoglądał.

– Dokąd?

– Tam. Na półkę. Zobacz pani.

Rzucił mi plecak na kolana. A ja pomyślałam: „Mogłeś postawić go w przejściu, młody Wolverinie”. Gdy jednak się przyglądałam, jak w niewielkiej przestrzeni, którą udało mu się wygospodarować na półce na bagaż naprzeciwko mnie, rozkłada śpiwór, nie mogłam powściągnąć podziwu dla jego zręczności. A także pośladków i pleców w kształcie litery V, więc kiedy sięgnął po plecak, ze wstydu i poczucia winy spuściłam wzrok.

– Dzięki – rzucił.

– Nie ma za co.

– Jestem Jack – przedstawił się.

– Heather – odpowiedziałam w rewanżu.

Uśmiechnął się. Położył plecak na półce jako podglówek, po czym się na nią wspiął. Nie mieścił się tam, ale jakoś udało mu się wcisnąć; następnie wyjął linę do bungee i przywiązał się nią do prętów, żeby nie spaść, kiedy pociąg będzie pokonywał zakręt.

Popatrzył na mnie. Nasze spojrzenia znowu się spotkały i zatrzymały.

– Dobranoc – szepnął.

– Dobranoc – odparłam.

2

To brzmi głupio, ale na podstawie tego, jak ktoś wygląda we śnie, można o nim wiele powiedzieć. W pewnym sensie to badam. Czasami fotografuję

śpiących ludzi i Constance nazywa to kolekcją moich nocnych zdjęć. W każdym razie przyglądałam się Jackowi w krótkich błyskach, jakby kolejnych klatkach filmowych, bo pociąg jechał szybko i co chwila z zewnątrz wpadało światło, które wydobywało z ciemności jego twarz. Po czyjejs minie podczas snu łatwo się zorientować, czy należy on do tych, którzy się martwią, czy nie, do strachliwych czy odważnych, żartownisiów czy smutasów.

Jack spał spokojnie, leżąc płasko na plecach; miał grube rzęsy – do tego gęste, wręcz gąsienice – i od czasu do czasu widziałam, jak jego gałki oczne poruszają się pod powiekami w cyklu REM. Lekko rozchylił usta, tak że mogłam dostrzec jego zęby, a ręce trzymał złożone na piersi. Był bardzo przystojny i gdy dwukrotnie wstawałam, żeby rozprostować kości, za każdym razem zerkałam na niego ukradkiem; w błyskach światła stawał się bohaterem czarno-białego filmu, może Felliniego.

Wciąż go obserwowałam, kiedy zadzwonił mój telefon. To był Mamciozaurus.

– Gdzie jest teraz moja poszukiwaczka przygód? – zapytała mama głosem wzmocnionym poranną dawką kofeiny. Wyobraziłam ją sobie w naszej kuchni w New Jersey, z przygotowanym ubraniem na wieszaku, jak popija kawę i je bezwęglowodanowe śniadanie mieszczące się na małym talerzu.

– W pociągu do Amsterdamu, mamó.

– Ojej, jakie to podniecające! Więc wyjechałyście już z Paryża. A jak się mają dziewczyny?

– Dobrze. Gdzie jesteś, mamó?

– W domu. Właśnie piję kawę. Tata poleciał na parę dni do Denver w interesach. Prosił, żebym do ciebie zadzwoniła, bo dostałaś tony listów z Bank of America. Wygląda na to, że dotyczą formalności związanych z umową o pracę... no wiesz, ubezpieczenia, zdrowotnego i emerytalnego... ale chyba kilka z nich powinnaś przejrzeć.

– Zajmę się tym, mamó. Jestem w kontakcie telefonicznym z działem zatrudnienia.

– Posłuchaj, pełnię tylko funkcję pośrednika. Wiesz, jaki jest tata. Lubi, żeby wszystko było w porządku, a ty masz dostać pracę u jego przyjaciela.

– Wiem, mamó – odpowiedziałam – ale przecież by mnie nie zatrudnili, gdyby uważali, że nie nadaję się do tej roboty. Ukończyłam Amherst ze średnią trzy dziewięć i dostałam jeszcze trzy oferty pracy. Znam francuski i trochę japoński, nieźle piszę, pomyślnie przechodzę, kiedy trzeba, przez rozmowy kwalifikacyjne, a poza tym...

– Oczywiście. – Mama mi przerwała, bo wiedziała o tym wszystkim, znała całą historię, a ja niepotrzebnie przeszłam do obrony. – Oczywiście, kochanie. Wcale nie twierdzę inaczej.

Zaczerpnęłam głęboko powietrza. Usiłując zachować spokój, odezwałam się ponownie.

– Pewnie rzeczywiście chodzi o jakieś formalności, ale załatwię je po powrocie, zanim we wrześniu pójdę do pracy. Powiedz tacie, żeby się nie denerwował. Będzie dobrze. Mam wszystko pod kontrolą. Wiesz, że pilnuję takich spraw. Niepotrzebnie się martwicie. Wręcz przesadnie przywiązuję wagę do szczegółów.

– Wiem, kochanie. Tata jest trochę rozdarty. Chce, żebyś zwiedziła Europę, ale jednocześnie ma świadomość, że ta praca to nie byle co. Bankowość inwestycyjna, kochanie, to...

– Zdaję sobie sprawę, mamó – odparłam, widząc ją w wyobraźni z łbem tyranozaura, jak powoli podnosi mnie w pysku, a ja wierzgami nogami nad ziemią. Zmieniłam temat i zapytałam o swojego kota. – Jak Pan Barwinek?

– Dziś rano jeszcze go nie widziałam, ale pewnie szwenda się gdzieś w okolicy. Jest zeszywniały, ma guzy, ale je.

– Pocałujesz go w moim imieniu?

– A może pogłaskam? Jest brudny, kochanie. Po prostu brudny i wolę nie myśleć, co ma na futrze.

– Mamo, jest u nas od piętnastu lat.

– Myślisz, że o tym nie wiem? To ja go karmię i zawożę do weterynarza, nie pamiętasz?

– Pamiętam, mamo.

Odwróciłam iPada. Nie lubię widzieć odbicia swojej twarzy na jego powierzchni, gdy rozmawiam przez telefon. Czy naprawdę byłam poirytowana na matkę z powodu kota, jadąc pociągiem do Amsterdamu? To wydawało się beznadziejne. Szczęśliwie na ratunek przysłała mi Amy, która wstała i precyzyjnie się obok mnie. Znacząco uniosła brwi. Wiktor, jak zauważyłam, ruszył za nią przejściem. Szli Bóg wie dokąd. Polska miała polec.

– Posłuchaj, mamo, wjeżdżamy do Amsterdamu – wymyśliłam naprędce. – Muszę wziąć bagaże. Powiedz tacie, że zaraz po powrocie do domu zajmę się sprawami papierkowymi. Obiecuję. Przekaż mu, żeby się nie martwił. Koresponduję drogą e-mailową z ludźmi z biura i jestem nastawiona na podjęcie pracy już od września. Wszystko idzie dobrze. Są zadowoleni, że do nich przyjdę, i nie mają nic przeciwko tej podróży. Nawet mnie do niej zachęcali, pamiętasz, bo wiedzą, że będę u nich zawalona robotą.

– No dobrze, kochanie. Ty tu rządzisz. Uważaj na siebie. Przyrzekasz? Kocham cię. Uściskaj i ucałuj ode mnie dziewczyny.

– W porządku, mamo. Ja też cię kocham.

Połączenie zostało przerwane. Mamciozaurus wrócił do epoki jurajskiej, zostawiwszy odciski łap w litej skale. A ja zamknęłam oczy i usiłowałam się przespać.

– Co czytasz?

Było późno. Nie udało mi się zasnąć. Amy jeszcze nie wróciła, Constance natomiast spała za nas obie, takie przynajmniej można było odnieść wrażenie. Przeniosłam się z Hemingwayem do Hiszpanii; piłam za dużo i oglądałam walki byków. Fiesta. Górskie potoki pełne pstrągów. Tak się zaczytałam, że nie zauważyłam, kiedy Jack usiadł obok mnie.

– Słucham? – Przycisnęłam iPada do piersi.

– Nogi mi tam zdrętwiały. Zasnąłem, choć nie od razu. Ale przynajmniej trochę się przespałem. A ty... chcesz spróbować? Podsadzę cię.

– Sama bym się wdrapała, gdybym chciała.

– To była zwykła propozycja, nic obraźliwego.

– Będziesz musiał wstać, kiedy wróci moja przyjaciółka. To miejsce jest zajęte.

Uśmiechnął się. Zastanowiło mnie, dlaczego jestem na niego taka cięta. Pewnie mechanizm obronny. Facet był taki atrakcyjny – i wiedział o tym – dlatego miałam ochotę podważyć tę jego pewność siebie. Szyję oblał mi rumieniec. To jedno mnie zdradza. Szyja zawsze oblewa mi się rumieńcem, kiedy jestem zdenerwowana, podekscytowana albo przyparta do muru. Podczas egzaminów w Amherst przypominałam bażanta. Nosłam golfy, żeby to ukryć, ale gorąco jeszcze pogarszało sprawę.

– Czytałaś, prawda? – zagadnął. – Widziałem, jak przewracasz kartki. Lubisz e-booki? Bo ja za nimi nie przepadam.

– Możesz nosić wiele książek w jednym małym urządzeniu.

– Suuuper – odparł drwiąco, ale tonem flirtu.

– W podróży to się sprawdza.

– Jednak książka to towarzysz. Możesz ją czytać w szczególnym miejscu, na przykład w pociągu do Amsterdamu, potem zabrać do domu i wstawić na półkę, a później, po wielu latach, przypomnieć sobie tamtą podróż z lat

młodości. To jak wysepka w czasie. Jeśli kochasz książkę, możesz ją komuś ofiarować. Albo odkrywać wciąż na nowo. To jak spotkania ze starym przyjacielem. Plik cyfrowy na to nie pozwala.

– Jesteś większym idealistą ode mnie. Możesz wstawić książkę na półkę, spakować ją, kiedy się przeprowadzasz, odpakować i znowu spakować. I tak w nieskończoność. A iPad mieści ich więcej niż jakikolwiek regał w mieszkaniu, którego mogłabym się dorobić.

– Nie ufam urządzeniom. Według mnie są podstępne.

Mówiąc to, zabrał mi iPada i odwrócił. Stało się to tak szybko, że nie zdążyłam zareagować. Byłam świadoma pociągowego charakteru tej całej sceny: ładny chłopak, stukot kół, błyskające światła, zapach jedzenia z wagonu restauracyjnego, obce języki, przygoda. Do tego się uśmiechnął. Miał zabójczy uśmiech, konspiracyjny, łobuzerski, który mówił: chodź, ze mną będziesz bawić się lepiej niż sama.

– Hemingway? – zapytał, czytając stronę. – *Słońce też wschodzi*. Ojej, niedobrze z tobą.

– Dlaczego niedobrze?

– Och, no wiesz, ta cała historia z Hemingwayem. Paryż, stare kobiety w rzeźni, wino, impresjoniści i tak dalej. Romantyczne przeżycia ekspata w Europie. Może nawet „ja też chcę być pisarką i mieszkać na mansardzie”. Czyżby było z tobą aż tak źle? Myślałem, że kobiety nie czytają już Hemingwaya.

– Lubię jego smutek.

Przyjrzał mi się uważnie. Tego się nie spodziewał, byłam pewna. Nawet się odchylił, żeby lepiej mnie widzieć. Patrzył krytycznie.

– Wschodnie Wybrzeże – orzekł z wahaniem, jak ktoś, kto ma do wyboru różne smaki lodów. – Jersey, może Connecticut. Tatuś pracuje w Nowym Jorku. Ewentualnie Cleveland, może The Heights, ale nie sądzę, raczej nie tak

daleko. Trafiłem?

– A ty skąd jesteś?

– Z Vermontu. Ale nie powiedziałaś, czy mam rację.

– Zgaduj dalej. Chcę poznać całą swoją charakterystykę.

Znowu mi się przyjrzał. Lekko uniósł moją brodę. Uznałam to za całkiem niezłą taktykę, niezależnie od tego, czy się myli, czy nie. Delikatnie obrócił moją twarz z boku na bok, cały czas patrząc na mnie poważnie. Miał piękne oczy. Szyja mi płonęła jak czerwona flaga. Szybko zerknęłam w bok, żeby sprawdzić, czy Constance się nie poruszyła, obudzona naszymi głosami, ale wciąż spała jak kamień. Przespałaby huragan – wiedziałam o tym.

– Właśnie skończyłaś studia. Jesteś w podróży po Europie z koleżankami... z korporacji studenckiej? Nie, chyba nie. Jesteś na to zbyt bystra. Może pracowałyście razem w uczelnianej gazecie. To był dobry college, prawda? Na wschodzie, więc może St. Lawrence, Smith, coś w tym rodzaju.

– Amherst – wyjaśniłam.

– Oooo, aż taka bystra. Do Amherst trudno się dostać w tych czasach. Albo ustosunkowana, zgadza się? To jak? Przekonamy się. Czytasz w Europie Hemingwaya, co może świadczyć albo o głębi intelektualnej, albo wręcz przeciwnie – o płyćźnie.

– Jesteś dupkiem, wiesz o tym? Z tych zarozumiałych. To najgorszy typ.

– Po prostu się przed tobą popisuję. Bo mi się spodobałaś. Spodobałaś mi się od początku. Gdybym miał upierzony ogon, rozłożyłbym go i wykonał taniec godowy. I jak mi idzie? Działa to na ciebie? Drgnęło coś w twoim sercu?

– Robiłeś lepsze wrażenie, zanim otworzyłeś usta. Znacznie lepsze.

– Dobra, rozumiem. Idźmy dalej. Mama angażuje się w działalność dobroczynną, udziela się na ochotnika. Tata odniósł sukces. W korporacji, nie jako indywidualny przedsiębiorca. Ale to tylko domysły. Tak czy owak dużo

forsy. Czytasz Hemingwaya, więc masz skłonności artystyczne, ale im nie ufasz, bo... cóż, bo nie są praktyczne. Hemingway ma świadczyć o odczuciu, prawda?

Wciągnęłam głęboko powietrze, kiwnęłam głową, a potem ja z kolei podjęłam niespiesznie:

– A ty jesteś niby prostym Vermontczykiem wracającym do korzeni, wygadany gościem, który pewnie dużo czyta... muszę ci to przyznać... i ma jeden z tych skromnych funduszy powierniczych, które pozwalają mu podróżować po świecie, podrywać dziewczyny i czarować je dowcipem, inteligencją i erudycją. Tyle że wcale nie chodzi ci o seks, który może być w pakiecie, choć nie miałbyś nic przeciwko niemu. Chodzi ci o to, żeby robić wrażenie na laskach, rozkochiwać je w sobie, bo to twoja słabość. Więc możesz drwić z Hemingwaya, traktować go jak kumpla od kieliszka, ale on wszystko to przeżywał naprawdę... miał ambicje, czego nigdy nie zrozumiesz... a ty, ty tylko się zgrywasz i powinieneś już iść, bo zaraz wróci Amy.

Uśmiechnął się. Jeśli go uraziłam, nie było tego widać po jego oczach. Potem skrzywił się żartobliwie.

– Tylko wyciągnij ze mnie nóż, zanim odejdę.

– Przykro mi, Jack – powiedziałam, nie mogąc się powstrzymać, żeby nie położyć na jego imieniu szyderczego nacisku. – Czy ktoś ci kiedyś mówił, że wyglądasz jak złe wcielenie Hugh Jackmana?

– Jak Wolverine?

Skinęłam głową.

– Poddaję się. Wygrałaś. Proszę o łaskę.

Już miał wstać, ale zanim to zrobił, wziął mój kalendarz, który trzymałam pod iPadem.

– Powiedz, że to nie smythson. Smythson z Bond Street? O rany, najdroższy,

najbardziej szpanerski terminarz wszech czasów? Powiedz, że nie należy do ciebie.

– To prezent na ukończenie college’u. I nie kosztował aż tyle, uwierz mi. Był w promocji, prawie za darmo.

– Usiłuję sobie wyobrazić, kto potrzebuje pretensjonalnego kalendarza, aby pamiętać, że wszystko mu się układa.

– Ktoś punktualny. Ktoś, kto nie chce zapomnieć o spotkaniach. Ktoś, kto próbuje coś osiągnąć na tym świecie.

– Ach, i ty jesteś kimś takim?

– Staram się być.

– A ile kosztują takie rzeczy?

– Nie twoja sprawa. Idź czepiać się innych, co?

– Dobry Boże – odparł, rzucając mi smythsona z powrotem na kolana. – Naprawdę ci się wydaje, że jeśli zdobędziesz wszystkie nagrody i wyróżnienia, jakie przyznaje nauczyciel, to tam, w niebie, będzie wielka gablota, w której umieścisz swoje trofea? Że gdzieś jakaś supermama powiesi na ścianie twoje dyplomy, a wszyscy się cofną i będą klaskać?

Miałam ochotę go walnąć. I prawie to zrobiłam.

– Naprawdę sądzisz, Jack, że jeżdżąc po Europie i udając zagubioną, romantyczną duszę, staniesz się kimś innym niż cyniczny pijak siedzący w jakimś barze i zanudzający wszystkich dookoła?

– O rany! – zawołał. – A ty podróżujesz po Europie, żeby mieć to w życiorysie? Abyś mogła kiedyś mówić na koktajlach, że byłaś w Paryżu? Po co się trudziłaś, żeby tu przyjechać, jeśli tym jest dla ciebie podróżowanie?

– Nie tylko tym, Jack. A ci wszyscy niedowartościowani hipsterzy, którzy o sto lat spóźnili się na przyjęcie w Paryżu, z całym tym romantyzmem okresu międzywojnia, są... cóż, po prostu żałośni. Niektórzy z nas wierzą w sens robienia pewnych rzeczy. Tworzenia pewnych rzeczy. Więc, owszem, zdarza

się, że kupujemy kalendarze z Bond Street, które pomagają nam organizować czas. To się nazywa postęp w dziejach. Tak, mamy samochody i samoloty, iPady i iPhone'y. Pogódź się z tym, Vermontczyku.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu. Niemal zrewanżowałam mu się tym samym. Musiałam przyznać, że był godnym przeciwnikiem. Nie sądziłam, żeby wzięła na serio większość tego, co sobie powiedzieliśmy. Wyglądało na to, że brał na serio tylko to, jak spotykały się i zatrzymywały na sobie nasze spojrzenia.

– Dobrze powiedziane. Przyznaję, dobrze powiedziane. Podoba mi się twoja pasja. Nie zapominasz języka w gębie, co?

– Nie stać cię na więcej? Mówisz, że nie zapominam języka w gębie, Jack? Znam większość aluzji, które kierujesz pod moim adresem. Jestem wykształcona i cholernie bystra. Spadaj, Vermontczyku. Wracaj do kontemplowania swojego niezwykle ważnego życia, a może wymyślenia następnej powieści, której nigdy nie napiszesz. Znajdź kafejkę, gdzie będziesz mógł usiąść i prowadzić pretensjonalne rozmowy z innymi pretensjonalnymi ekspatami, którzy lubią udawać, że potrafią lepiej rozumieć ludzką dolę niż my, biedni, nieoświeceni ludzie biznesu. To ci zapewni ogromne poczucie wyższości. Będziesz mógł spoglądać w dół ze swoich wyżyn i miotać błyskawice.

– Pretensjonalnymi ekspatami? – powtórzył, znowu się szczerząc. Uśmiechał się, żeby sprowokować mnie do uśmiechu, i musiałam ze sobą walczyć, aby nie dać mu tej satysfakcji.

– Mam mówić dalej? Czy zrozumiałeś przekaz?

– Zrozumiałem – odparł i powoli wstał. – Poszło doskonale. A ty jak uważasz?

– Było świetnie.

Demonstracyjnie przycisnął się obok mnie do przejścia – był naprawdę wspaniale zbudowany – a potem ponownie wspiął na półkę. Kiedy już się

ułożył, odczekał, żebym na niego spojrzała. I wtedy pokazał mi język. Zrewanżowałam mu się tym samym.

4

Tak przez jakiś czas wyglądała sytuacja. Szyja mi płonęła i nie mogłam zapanować nad oddechem. Z twarzą w dłoniach policzyłam do dziesięciu, żeby odzyskać nad sobą kontrolę. Nie podobała mi się świadomość, że tak łatwo mnie rozgryźć, bo rzeczywiście, pochodziłam z New Jersey, mój tata był grubą rybą w korporacji, a mama udzielała się charytatywnie. Nie mogłam znieść myśli, że jestem taka typowa, że ktoś pokroju Jacka może mnie rozszyfrować w ciągu kilku pierwszych minut. Miałam też sobie za złe jąd, z którym zwróciłam się przeciwko niemu. Ale... cóż, przekroczył granicę. Przyglądałam mu się, gdy z zewnątrz raz po raz wpadało światło. Od miesiący, odkąd zerwałam z Brianem, w którym zadurzyłam się poważnie w college'u, żyłam w świecie bez mężczyzn. Wciąż nie mogłam spokojnie myśleć o tym, jak zaprosiłam Briana do domu, nawet ubierałam z nim bożonarodzeniową choinkę, aby potem odkryć, że zaledwie tydzień wcześniej przespał się z inną. Upił się, a dziewczyna była miejscową barmanką, z szopą tlenionych włosów i szerokimi ramiączkami od stanika, podstawioną mu przez kumpli. „Z baru lala, z baru lala, z baru lala, cha, cha, cha, ale jaja, ale jaja, ale jaja, po kolejce jeszcze raz” – skandowali. Więc z tego, co wiedziałam, poszedł z nią do jej samochodu, swojego samochodu czy na zaplecze, żeby ją przelecieć. I choć to nic dla niego nie znaczyło, zupełnie nic, wszyscy o tym wiedzieli, jedyne, co pamiętałam, to że patrzyłam na jego brązowe sztruksy, kiedy stał na drabinie i brał ode mnie ozdoby choinkowe, podczas gdy tata przyrządzał drinki w barze za salonem, a mama, *T. rex* w kaszmirowym kardiganie zarzuconym na ramiona jak peleryna i spodniach za trzysta dolarów od Eileen

Fisher podciągniętych do dolnych żeber, krzątała się po domu. Z radia leciał cholerny Bing Crosby. Przyznaję: uległam romantyzmowi całej scenerii – Gwiazdka na wsi, śnieg, *Gospoda świąteczna* i wszystkie te bzdury – dopóki Ronnie Evers, kumpel Briana, nie wstawił na Facebooka jego zdjęcia, na którym, trzymając łapę na tyłku Brendy, barmanki w obcisłych dżinsach, wywalał język jak gitarzysta rockowy na kwasie, podczas gdy ona ścisnęła nogami jego udo niczym kowbojka, odchylając się do tyłu.

Potem, kiedy za pomocą Twittera, Facebooka i kilku zatagowanych fotek już się we wszystkim połapałam, w dawnym pokoju zabaw rozegrała się między Brianem a mną spokojna scenka. Syczeliśmy przyciszonymi głosami jak stare kaloryfery.

– Jak mogłeś? Przeleciałeś ją?

– To był żart. Zakład! Byłem pijany!

– O rany, Brian! Na miłość boską!

– Nic się takiego nie stało. Jezu, uspokój się, Heather. Nie jesteśmy zaręczeni, pamiętasz?

– Wal się, Brian!

Jednak utraciliśmy nasz mały raj. Następnego dnia się rozstaliśmy, Brian wrzucił swoją torbę do bagażnika starego sedana volvo i odjechał w blasku bożonarodzeniowych świateł. Kiedy się odwróciłam, żeby wrócić do domu, zauważyłam Pana Barwinka, naszego wiekowego kota, który patrzył na nas z okna na górze.

A więc Jack. Constance nadal spała. Amy nadal nie było. W wagonie zapanował ten rodzaj nerwowego spokoju, który ogarnia środki komunikacji, kiedy pasażerowie usiłują spać, ale wciąż się budzą. Czułam aromat kawy dochodzący z wagonu restauracyjnego za plecami. Od czasu do czasu, jak w filmie noir, rozlegało się charakterystyczne dudnienie, kiedy pociąg przejeżdżał przez stację albo bocznice. Efekt Dopplera, jak wiedziałam

z podstawowego kursu fizyki.

Postanowiłam pójść po kawę. Ponieważ już trochę przeszła mi złość na Jacka Wolverine'a, mijając go, zrobiłam mu iPhone'em zdjęcie. Nie obudził się. Ogarnęło mnie jednak poczucie winy z powodu tego, co mu powiedziałam, jak ostro go potraktowałam, więc zamawiając dla siebie latte, wzięłam drugą dla niego; pomyślałam, że jeśli nie będzie chciał, wypije ją ktoś inny. Podczas gdy konduktor robił kawę, obejrzałam zrobioną fotkę. Jack wyglądał zabójczo atrakcyjnie, ale spał głęboko – wręcz snem zombi – i zaczęłam się zastanawiać, o czym to świadczy. Brian zawsze spał czujnie, jak zając, snem cierpiącej na bezsenność osoby, która nie może się doczekać, kiedy życie zacznie się znowu. Jack we śnie odpływał, kompletnie tracił świadomość.

Wróciłam z kubkami kawy na miejsce; niosłam je w obu rękach, co okazało się trudniejsze, niż można było pomyśleć. Zatrzymałam się przy nim i przez chwilę na niego patrzyłam, bo wydawało mi się, że ludzie budzą się pod wpływem spojrzenia. Tak też się stało. Może wyczuł czyjąś obecność, tego nie wiem, ale łypnął na mnie i od razu się uśmiechnął; był to słodki, niewinny uśmiech, jaki mógłby posłać mamie w swoje dziesiąte urodziny.

– Przyniosłam kawę – powiedziałam. – Przynajmniej tak mogłam ci ulżyć w twoim żalonym życiu.

– Poczekaj, zejdę.

Poczekalam. Powoli zsunął się z półki. Pierwszy raz staliśmy naprzeciw siebie i podobało mi się to, jak się nade mną pochylił. Szerokie ramiona, wyrobione mięśnie, facet opoka.

– Moglibyśmy ją wypić między wagonami – zauważył, ustawiając plecak, który zamierzał zostawić na półce. – Łyknałbym trochę świeżego powietrza, nieszczęsny zamożny nieudacznik z Vermontu.

Kiwnęłam głową.

– Bo nim jesteś – potwierdziłam. – Smutne, ale prawdziwe.

Skończył z plecakiem i wziął ode mnie kawę. Idąc za nim w stronę przejścia między wagonami, zastanawiałam się, czy to, co właśnie zrobiłam, można by uznać za podryw.

5

– Przepraszam, jeśli wcześniej zachowałem się jak dupek – powiedział. – Czasami przesadzam z autoreklamą.

– Przed kobietami?

– Chyba tak.

– Przed wszystkimi tak się popisujesz?

– Tylko gdy mam do czynienia z tak piękną dziewczyną jak ty.

– Jak stary to tekst?

– Nie taki stary. Może mówię poważnie. Może naprawdę uważam, że jesteś piękna. Ile masz wzrostu?

– Metr sześćdziesiąt osiem.

– To optymalnie, wiesz? Akrobatki występujące na trapezie mierzą najwyżej metr sześćdziesiąt osiem. Podobnie ludzie pociski. Tacy, którzy dają się wystrzeliwać z dział... mają metr sześćdziesiąt osiem wzrostu.

– Fantazjujesz.

– To znany fakt. Potwierdzony. Gdy ubiegasz się o pracę w cyrku, pytają cię przede wszystkim o to. Nawet treserzy lwów nie mierzą więcej.

– Pracowałeś w cyrku?

– Pewnie.

– Ale masz ponad metr sześćdziesiąt osiem wzrostu.

– Kobiety muszą mieć metr sześćdziesiąt osiem. Mężczyźni, jeśli pracują za kulisami, mogą być dowolnego wzrostu. Tak było ze mną. Przeważnie namawiałem widzów, żeby rzucali piłką do softballu w piramidę z butelek.

Pełniłem funkcję naganiacza.

– Nie wierzę w ani jedno twoje słowo.

– A kiedyś rzucił się na mnie lew. W to także pewnie nie uwierzysz. I ugryzł w udo. W jego mięsistą część. Spałem i nagle zostałem zaatakowany przez lwicę imieniem Sugar. Była znana z wrednego charakteru, ale nigdy wcześniej nie miałem z nią żadnych problemów. Wbijając kły, spojrzała na mnie, jakby przepaszająco, ale w końcu natura okazała się silniejsza. Byłem jej nocną przekąską.

– Gadasz bzdury, ale mogę jakiś czas tego posłuchać.

Wzruszył ramionami i pociągnął łyk latte. Staliśmy między dwoma wagonami, zwróceni do siebie, opierając się plecami o ścianę, każde po swojej stronie. Wydawało się, że tory unoszą się pod nami. Czuć było różne niezidentyfikowane zapachy – łąk, węgla, może deszczu, silnika elektrycznego – ale wszystko to zlewało się we wrażenie ruchu.

– Często się zastanawiałem, dlaczego Sugar mi darowała. To mnie wręcz prześladowuje.

– Może okazałeś się niesmaczny. Czy to było w Vermoncie?

– W Stambule. Długa historia. Przepraszam. Denerwuję się, a wtedy za dużo mówię. Albo za bardzo się staram. Tak właśnie było wcześniej. Fatalna wada, jak sądzę.

– Nie nazwałabym jej fatalną. Wada i tyle.

– Liczyłem, że uznasz mnie za typ bajronowski.

– Jeśli na to liczyłeś, na pewno nie jesteś typem bajronowskim. *Ipsa facto*.

Spojrzał na mnie i znowu upił kawy. Nie była zbyt dobra.

– *Ipsa facto*? – podjął. – Łacina dla „pretensjonalnych”?

– „Tym samym”. Wróg mojego wroga jest *ipsa facto* moim przyjacielem.

– Byłaś prymuską, co?

– A co w tym złego?

– Pewnie jesteś lizusem. Dlatego masz kalendarz Smythsona. Jaką najgorszą ocenę dostałaś kiedykolwiek? Nie licząc wuefu, oczywiście.

– Sądziś, że nie mogłam dostać z wuefu A?

– Sądzę, że w zbijaku byłaś wybierana do drużyny już na początku, a potem wszyscy przeciwnicy usiłovali walnąć cię jako prymuskę piłką w głowę. *Ipsa facto*.

– Czy zawsze od razu wiesz wszystko o każdym? Czy tylko o mnie?

– Och, znam cię. Jesteś typem przewodniczącej klasy. Dekoratorki sali, w której będą tańce. Dziewczyną na drabinie. Dziewczyną z taśmą klejącą.

– A ty jesteś obijającym się luzakiem, egzystującym w cieniu własnego mitu.

– Podoba mi się to określenie. „Egzystujący w cieniu własnego mitu”. Widzisz? Masz potencjał.

– Och, dzięki Bogu. Zmarniałabym bez twojej aprobaty.

Popatrzył na mnie i uśmiechnął się nad kawą.

– A jaka jest twoja wada? – zagadnął. – Fatalna czy wręcz nie?

– Dlaczego miałabym ci zdradzić?

– Bo jedziemy pociągiem do Amsterdamu i musimy o czymś rozmawiać. I dziko cię pociągam, więc to rodzaj flirtu, którego pragniesz w skrytości ducha, tylko nie chcesz się przyznać.

– Nie cierpisz z powodu braku pewności siebie, prawda?

– Zakładam, że cię pociągam, bo ty mnie pociągasz. Poza tym kiedy nasze spojrzenia się spotykają, nie mogą się od siebie oderwać. Wiesz, co mam na myśli? Wiesz dobrze, Heather z Północnego Lasu.

Pokręciłam głową. Jednak miał we wszystkim rację. I to, że o tym wiedział, wprawiało mnie w zdenerwowanie.

– Twoja wada, pamiętasz? – przypomniał mi. – Łatwo nie odpuszczam. To moja kolejna wada. Bywam bardzo uparty.

– Moją wadę trudno nazwać jednym słowem.

– Spróbuj.

Odetchnęłam głęboko, zachodząc w głowę, dlaczego czasami jesteśmy skłonni wyjawiać nieznanym z pociągu tajemnice, których nie zdradzilibyśmy nikomu innemu. W każdym razie kontynuowałam.

– Za każdym razem, kiedy widzę na niebie samolot, mam nadzieję, że spadnie. W tym momencie. Nie wiem, czy naprawdę tego chcę, czy to tylko taki perwersyjny impuls, ale na to właśnie liczę. Fantazjuję o tym, że wbiegnę na łąkę, dopadnę rozbitego samolotu i zacznę ratować ludzi.

– To nie wada. To psychoza. Potrzebujesz pomocy. Fachowego wsparcia psychologicznego.

Napiłam się kawy. Pociąg przejechał z hałasem po estakadzie.

– A kiedy panna młoda idzie przejściem między gośćmi, zawsze chcę, żeby się potknęła. Matka nie pozwala mi na ślubach siedzieć przy przejściu, bo się boi, że podstawię biedaczce nogę.

– Zrobiłaś to kiedyś?

Pokręciłam głową.

– Jeszcze nie, ale pewnego dnia zrobię. To dotyczy każdej oficjalnej okazji. Która wymaga uroczystego stroju. Zawsze liczę, że dojdzie do walki na jedzenie albo że ktoś dostanie w twarz tortem. Nic nie mogę na to poradzić. Wciąż mam wrażenie, że świat zaraz zamieni się w zabawę niegrzecznych chłopców z bractwa studenckiego.

– Bo jesteś anarchistką, oto dlaczego. Około czterdziestki pewnie staniesz się wzorową obywatelką, wstąpisz do jakiejś skrajnej organizacji zbrojnej i będziesz chodzić w mundurze, z maczetą u szyi. Lubisz maczety?

– Bardziej, niż przypuszczasz.

– Więc Ameryka Południowa.

– Och, bez pochopnych uogólnień. Każdy w Ameryce Południowej musi

mieć maczetę?

– Jasne, że tak. Nie wiedziałaś?

– A ty lubisz broń?

– Nożyce do przycinania żywopłotu.

– Nożyce do przycinania żywopłotu? Co to takiego?

– Moim zdaniem są niedoceniane.

– Wiesz, że co jakiś czas stajesz się prawie irytujący? Balansujesz na granicy. Czasami się wycofujesz i nawet nie jesteś tego świadomy.

– Niektórzy uważają, że to czarujące. Inni, że bezczelne. To zależy.

Łyknął kawy i spojrzał na mnie znad kubka. Miałam ochotę go pocałować, a jednocześnie mnie kusilo, żeby chlusnąć mu swoją latte w tę jego zadowoloną twarz. Nie mogłam zachować wobec niego obojętności.

– A w ogóle ile masz lat? – zapytałam. – Chyba powinieneś czymś się zajmować. Pracować.

– A jak myślisz, ile mam lat?

– Dziesięć.

Przyjrzał mi się.

– Dwadzieścia siedem – odparł. – A ty?

– Dżentelmen nie pyta kobiety o wiek.

– Masz mnie za dżentelmena?

– Na pewno nie jesteś czarujący.

– Nie odpowiedziałaś na moje pytanie.

– Dwadzieścia dwa – poddałam się. – Niedługo skończę dwadzieścia trzy.

– Powtarzałaś jakąś klasę?

– Nie!

– Pewnie tak, tylko rodzice ci o tym nie powiedzieli. Tak bywa, no wiesz.

– Zawsze byłam dobrą uczennicą. Tak jak mówiłeś.

– Byłaś dobrą uczennicą, bo rodzice zatrzymali cię w którejś klasie na

drugi rok i potem miałaś przewagę nad kolegami. Spotkałem już ten typ. To naprawdę strasznie niesprawiedliwe. Miałaś fory przez kolejne lata w szkole.

– A ty siedziałaś w ostatniej ławce, co? I udawałaś, że szkicujesz, albo pozowałaś na nierozumianego poetę. To takie trywialne, że niedobrze mi się robi.

– Jak się ubierałem?

– Och, od czego tu zacząć? Oczywiście chodziłeś w dżinsach. W T-shirtach z nazwami miast... nie, nie, poczekaj, odbieram wibracje, które podsuwają mi wizję narzędzi... Raczej w koszulkach firmowych John Deere albo Ace Hardware. Czymś praktycznym i proletariackim. I nosiłeś długie włosy, tak jak teraz, tyle że zaczesywałeś lok na czoło, bo... cóż, pozowałaś na poetę. Zgadza się? Byłeś więc zwyczajnym chłopakiem, chłopakiem ze wsi, o czystej, głębokiej duszy. Stanowiłeś model do składania? Czy byłeś już złożony?

– Nie było żadnego składania.

– Gardząc stopniami, zadowalałaś się oceną B. Może B z minusem. Zdolny, ale leniwy, kilka razy nie odrobiłeś prac domowych, stać cię było na więcej, ale dużo czytałaś i nauczycielom to wystarczało. Dziewczyna? Hmm. Trudna sprawa. Pewnie taka, która hodowała owce. Albo kozy... tak lepiej. Pachniała perfumami i gnojem z farmy, ale ona też jakimś cudem lubiła czytać i kochała poezję. Typ uduchowionej wieśniaczki.

– Trafiłaś. Swoją przenikliwością obnażyłaś moją duszę.

– Pewnie nosiła imię od rośliny... albo pory roku. Summer. A może Hazel czy Olive. Albo June Bug.

Na chwilę zapadło między nami milczenie. Zastanawiałam się, czy nie posunęłam się za daleko. A potem nasz wzrok znowu się zetknął. Pociąg szarpnął, Jack podniósł kubek do ust i dopił kawę. Zanosilo się na pocałunek. Poważny pocałunek. Ten chłopak za bardzo mi się podoba – uświadomiłam

sobie. Ale wtedy nadszedł jakiś facet i zapalił papierosa, co było surowo zabronione, ale go nie powstrzymało. Powiedział coś do nas po angielsku, ale w hałasie powodowanym przez pociąg nie usłyszałam co. Wyglądał na rowerzystę, miał chude nogi i nosił bejsbolówkę ze ściętym daszkiem. Nie mogłam go do końca rozszyfrować.

A potem zjawili się jego dwaj kumple, w takich samych czapkach, więc chyba należeli do jednej drużyny czy grupy. Jack spojrzał na mnie. Popatrzyliśmy sobie głęboko w oczy. Uśmiechnął się i był to miły uśmiech, ale jednocześnie wąły. Miał znaczyć, że ta chwila na platformie przeminęła, że zdążyliśmy ją wykorzystać, zanim się skończyła. Coś w tym rodzaju.

- Idziemy? – zapytał, wskazując głową w stronę naszego wagonu.
- Potwierdziłam gestem. I było po wszystkim.

6

Amy wróciła bez Wiktora pół godziny przed wjazdem pociągu do Amsterdamu. Jack poszedł do wagonu restauracyjnego.

- Gdzie książkę Chocula? – zapytałam.
- O mój Boże – odparła i wślizgnęła się na miejsce obok mnie.
- Czy Polska została podbita?
- Powiedzmy, że narody Europy znowu okazały swoją szczodrość.
- Jesteś zdziwą.
- Odwołaj się do tkwiącej w tobie dziwki, Heather.

Kręcąc biodrami, zaśpiewała coś śmiesznego. To obudziło Constance, która wyprostowała się i rozejrzała dookoła, najwyraźniej nie bardzo wiedząc, gdzie jest. Na policzku miała odcisnięty ślad od poduszki podróźnej w kształcie litery U. Kiedy dotarło do niej, że jest w pociągu i że Amy podryguje obok, jęknęła i pochyliła głowę, składając ją na kolanach.

– Tylko nie kolejny podbój – wymamrotała półprzytomnie.

– Książę Chocula dobrze się spisał – wyjaśniła Amy. – Jest naprawdę słodki.

– Poderwałaś Drakulę? – domyśliła się Constance, powoli rozcierając twarz, żeby otrząsnąć się ze snu. – Macie wodę?

– Proszę. – Amy sięgnęła do plecaka u swoich stóp i wyjęła butelkę wody.

– Czy tylko ja konam z głodu?

– Są ser i jabłka – odezwałam się, bo podczas tej podróży pełniłam mniej więcej funkcję kwatermistrza. Zawsze miałam przy sobie coś do jedzenia. Czasami, jak powiedziałam Jackowi, byłam zbyt dobrze zorganizowana, przejęłam to w spadku genetycznym po Mamciozaurusie.

– Da się je wyciągnąć bez specjalnego trudu?

Zaczęłam grzebać w swoim plecaku. Amy wydobyła deskę do krojenia w kształcie gruszki, kupioną tydzień po wyjeździe. Mieściła się do plecaka i stanowiła przyzwoity prowizoryczny stolik. Wszystkie wyjęłyśmy noże szwajcarskie, a ja wyłożyłam jabłka, kawał francuskiego cheddara, dwie łydki selera i masło orzechowe. Musiałam sięgnąć głębiej, żeby znaleźć bagietkę. Przełamałam ją na pół i położyłam obok jabłek.

– Jak długo spałam? – chciała wiedzieć Constance. Posmarowała masłem orzechowym plasterki jabłka i schrupała.

– Trzy–cztery godziny – odpowiedziałam.

– Coś mnie ominęło? Kto to jest właściwie książę Chocula?

– Polak, który siedział za nami – wyjaśniła Amy. – Ma na imię Wiktor. Jego nazwisko brzmiało jak kichnięcie. A przy okazji... zaprosił nas na imprezę w Amsterdamie. Zanotowałam adres.

– A gdzie on jest? – zapytałam, wykręcając szyję i spoglądając za siebie. – Zajeżdżałaś go na śmierć?

– Szanse były równe – odparła Amy.

– Muszę zobaczyć tego faceta – orzekła Constance. – Nie zwróciłam na niego uwagi, kiedy zajmowałyśmy miejsca.

Odgryzłam kęs bagietki. Potem pokroiłam ser i zjadłam go z bułką. Amy podzieliła drugie jabłko na trzy części. Wzięłam swoją. Przez minutę albo dwie jadłyśmy w milczeniu i było mi dobrze. Spojrzałam na Constance, miała poważną, skupioną minę, jej jasne włosy wyglądały pięknie w przyćmionym świetle wagonu. Była z nas najładniejsza i najmniej zainteresowana facetami. Należała do moli książkowych, ale nie w stylu hemingwayowskim. Lubiła badania naukowe, wyobrażała sobie świętych jako dużą rodzinę, którą mogła odwiedzać, kiedy codzienne życie stawało się zbyt nudne, i to do niej się zwracałyśmy, gdy chciałyśmy się dowiedzieć, kim jest postać z obrazu czy rzeźby. Jadła z gracją, krojąc starannie i formując zgrabne kęsy, podczas gdy Amy, ciemna i nieco bujniejsza, rozsmarowywała masło orzechowe wszędzie tam, gdzie wylądowało, i jadła z apetytem, który odzwierciedlał jej podejście do życia. Znałam je obie od pierwszych dni w Amherst, bywałam u nich w domu, widziałam, jak płaczą z powodu chłopaków, upijają się, zdobywają najlepsze oceny, okazują w barach dowody tożsamości, tańczą do utraty tchu; patrzyłam, jak Amy gra w lacrosse niczym nawiedzona, jak Constance jedzie przez kampus na błękitnym jak niebo rowerze, z książkami porządnie ułożonymi w koszyku przy kierownicy, swoim nieco krótkowzrocznym wzrokiem dostrzegając piękno w miejscowych dębach i łukach budynków. Gdy tak patrzyłam na nie w łagodnym drgającym świetle pociągu, przyglądałam się im, jak jedzą, uśmiechają się i pogodnie sobie przygadują, poczułam rozczulenie.

– Uwielbiam was, dziewczyny – powiedziałam, bo tak właśnie było. – I pragnę podziękować wam za to, że wybrałyśmy się razem w tę podróż, podziękować za wszystko. Nie chciałabym, żebyśmy kiedykolwiek straciły ze sobą kontakt. Przyrzekacie, że tak się nie stanie?

– Skąd ci w ogóle coś takiego przyszło do głowy? – zapytała Amy z pełnymi ustami.

Constance tylko skinęła głową i wzięła mnie za rękę. Amy nieznacznie wzruszyła ramionami, a potem położyła dłoń na rękę Constance. Trzej muszkietierowie. Powtarzałyśmy ich gest od czasu pewnej pijackiej nocy na pierwszym roku, przed Lord Jeffery Inn, kiedy uświadomiłyśmy sobie, że jesteśmy kumpelkami, prawdziwymi kumpelkami.

– „Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego” – wyrecytowałyśmy nasze tajne hasło. *Un pour tous, tous pour un.*

Pociąg zaczął zwalniać przed wjazdem do Amsterdamu.

7

– Gdzie się zatrzymacie? – zapytał Jack.

Staliśmy w przejściu, czekając w kolejce do wyjścia z pociągu. Amy i Constance były już w połowie wagonu, ale jakiś facet dwie osoby przed Jackiem miał kłopot ze zdjęciem torby z półki. Moja szyja płonęła już czerwienią, tylko dlatego, że Jack stał obok.

– Mamy rezerwację w hostelu – odpowiedziałam. – Hostelu Cocomama. Podoba mi się ta nazwa.

– Planujesz z góry całą podróż?

– Nie. Tylko lubię wiedzieć co i jak.

– Powiedziała dziewczyna z terminarzem Smythsona.

Wzruszyłam ramionami. Nie mylił się.

– Może wybierzemy się na imprezę, o której Amy dowiedziała się od tego Wiktora. To podobno w samym centrum Amsterdamu, nad kanałem.

– Mój przyjaciel Raef, Australijczyk, ma tu znajomych. On wszędzie ma znajomych. Uważam, że zjeździłem świat, ale Raef to prawdziwy Marco Polo

albo ktoś taki. Polubisz go. Przez większą część roku wypasa owce w buszu, a kiedy zaoszczędzi dość pieniędzy, wyrusza w podróż. Jeśli mi powiesz, gdzie ma być ta impreza, może wpadniemy. Chętnie się jeszcze z tobą zobaczę.

– Sprawia wrażenie barwnej postaci. Nie wiem, gdzie to ma być, nie znam adresu, ale Amy go zapisała. Mogę ją zapytać, kiedy wysiądziemy.

Przez chwilę się nie odzywaliśmy. Wreszcie facetowi przed Jackiem udało się ściągnąć torbę. Ludzie za nami zaczęli klaskać. Amy i Constance już zniknęły na peronie.

– Posłuchaj – zaczął Jack niskim, intymnym głosem, tak cicho, że tylko ja mogłam go usłyszeć. – Zrobimy tak. Kiedy wysiądziemy z pociągu i będzie się spod niego wydobywać gęsta para, no wiesz, jak na starych filmach, powinniśmy pocałować się pierwszy raz właśnie tam. Oboje chcemy tego pocałunku, więc szkoda by było zmarnować taką okazję.

Musiałam się uśmiechnąć. Gdy kolejka ruszyła do wyjścia, powoli, nie patrząc na niego, przesunęłam się do przodu. Szyję miałam już purpurową.

– Powinniśmy? Skąd wiesz, że chcę się z tobą pocałować? Czy tylko strzelasz?

– Daj spokój. Będziesz miała co opowiadać naszym wnukom. A jeśli się nie uda, jeśli nie spotkamy się wieczorem na tej imprezie, co mamy do stracenia? To tylko pocałunek.

– Jak głęboki ma być?

– Och, tak głęboki, żebyśmy go zapamiętali.

– Nie jesteś pozbawiony uroku, choć trudno mi to przyznać.

– Nie chciałem wyśmiewać się z ciebie z powodu Hemingwaya. No wiesz, poprzednio. – Ściszył głos i mówił już z większą powagą. – To ważne, żeby czytać Hemingwaya w Europie. Naprawdę tak sędzę. Podoba mi się, że go czytasz, i podoba mi się, że jego smutek wydaje ci się interesujący. Chciałem tylko znaleźć punkt zaczepienia.

– A jeśli ten pocałunek okaże się porażką? Nie wszystkie pierwsze pocałunki są spektakularne.

– Nasz taki będzie. Ty także o tym wiesz. Więc zgadzasz się, żebyśmy się pocałowali?

– Tylko ze względu na nasze wnuki.

– Mam nadzieję, że będzie dużo pary. Byłoby dobrze, gdyby jeszcze padał deszcz.

– Uprzedzam cię, że dopiero co jadłam masło orzechowe.

– Odnutowane.

To niesamowite, jak długo może trwać przejście przez połowę wagonu. Nie śmiałam się odwrócić i spojrzeć na Jacka. Plecak wrzynał mi się w ramię. Pochyliłam głowę i zobaczyłam, że Amy i Constance już czekają na peronie, wypatrując mnie zza okien wagonu. Pomachałam do nich. Jack szedł za mną, a ja czułam się spięta i skrępowana. Nie byłam jedną z tych dziewczyn, cokolwiek to znaczy. Tych impulsywnych. Takich, które całują się z facetem, którego dopiero co poznały w pociągu do Amsterdamu.

Ale stało się. Kiedy wysiedliśmy, odwróciłam się do Jacka, a on pochylił się lekko, wysoki, muskularny, i wziął mnie w ramiona. Byłam zaskoczona masywnością, siłą jego ciała, kiedy przyciągnął mnie do siebie. Początkowo wydawało się to śmieszne, oboje byliśmy jak żółwie z tymi głupimi plecakami podskakującymi na plecach, ale chwilę później wszystko się zmieniło. Miałam świadomość, że Amy i Constance patrzą na nas, obie gapią się z otwartymi ustami, zaskoczone i rozbawione, jednak gdy jego usta dotknęły moich, zamknęłam oczy i już.

To miał być wygłup. Trwać tylko chwilę. A okazało się, że to cudowny pocałunek, prawdopodobnie najwspanialszy w moim życiu, i nie wiem dlaczego, jak Jack to zrobił, ale kiedy odsunęliśmy się od siebie, nie chciałam, żeby odszedł.

Gdy było już po wszystkim, odwróciłam się do dziewczyn. Obie cykały zdjęcia, a kiedy opuściły telefony komórkowe, zaśmiałam się na widok zdumionych min przyjaciółek.

– Co to ma być, do cholery? – zapytała Amy.

– Kiedy to się stało? – zapytała Constance.

Jack tylko się uśmiechnął. Amy na tyle ochłonęła, żeby podać mu adres imprezy. Wymieniliśmy się numerami telefonów.

– Do zobaczenia wieczorem! – powiedziała Constance, jak zwykle uprzejma, kulturalna.

– „Prawda, że miło jest to pomyśleć?” – rzucił, cytując ostatnie zdanie ze *Słońce też wschodzi*¹. Przez chwilę patrzył mi w oczy, a potem odszedł.

8

„Kochanie, nie zapomnij wypełnić formularzy, które przysłali ci z Bank of America. *Pronto!*”.

„Spokojnie, tato. Poproś mamę, żeby naląła ci dużą szklankę szkockiej, i wyluzuj”.

„Nie chcę szkockiej. Chcę tylko, żeby moja córka zrobiła, co obiecała”.

„Nie zapomnę o tym. Nigdy o niczym nie zapominam”.

„Kiedy to załatwisz?”.

„Kiedy Księżyc jest w siódmym domu. A Jowisz wchodzi w koniunkcję z Marsem”².

„Nie wygłupiaj się, Heather. Wcale mnie to nie bawi”.

„Przepraszam, tato. Zajmę się tym jak najszybciej”.

„To nie za późno?”.

„Tato, przyrzekam, że załatwię tę sprawę. Trochę trudno to zrobić tu, gdzie jestem, ale trzymam rękę na pulsie. Przysięgam”.

„Zlituj się nad ojcem. Dobra. Kocham cię. Na dziś koniec z kazaniami. Pora się napić”.

Zawsze jest taki moment, kiedy wchodzisz na imprezę i myślisz: „Zostać czy wyjść?”. Z jednej strony masz ochotę uciec od hałasu i zamętu, błyskających świateł, ludzi – obcych – którzy krzyczą sobie nawzajem do ucha, żeby się słyszeć. Od razu wiesz, że łazienki są zajęte albo w ogóle nie nadają się do użytku, że parkiet lepi się od piwa i innych alkoholi, że jakiś niewydarzony playboy podejdzie do ciebie tanecznym krokiem, z wypchniętym do przodu krocem, i przygryzając dolną wargę, obrzuci cię wzrokiem, który mówi: „Za dziesięć minut będziesz nosić moje dziecko”. Przez chwilę widzisz tę zabawę trzeźwo – jako rytuał godowy, celebrację stosunku płciowego – i już odwracasz się do wyjścia, bo jesteś mądrzejsza, nie zależy ci, nie robisz takich rzeczy.

Ale z drugiej strony myślisz: „Jeden drink”. Albo: „Dlaczego nie?”. I może, jeśli muzyka jest przyzwoita, mimo wszystko cię wciąga, masz ochotę potańczyć, więc spoglądasz na przyjaciółki – które patrzą, wzruszają ramionami, starają się znaleźć jakiś powód, żeby zostać – i unosisz brwi. Przeważnie odpowiadają tym samym. A potem – bo razem robicie to od lat – powoli zagłębiasz się w tłum, przeciskasz między ludźmi, co jakiś czas wyciągając rękę za siebie albo przed siebie, żeby nie stracić kontaktu z kumpelkami, i zmierzasz w stronę baru. Dość często jakiś facet, kiedy go mijasz, łapie cię za tyłek, a czasami, jeszcze gorzej, podnosi rękę, jakby trzymano go na muszce, i zionąc alkoholem, zbliża do ciebie interes – więc wrywasz do przodu, docierasz do baru i głośno składasz zamówienie. Goście siedzący przy blacie – jeśli jest blat – zerkają z ukosa i lustrują cię od góry do dołu, a ty starasz się ich ignorować, udawać, że zdobycie drinka jest dla ciebie najważniejszą sprawą na świecie, byle tylko nie ryzykować, że napotkasz ich spojrzenia, i w końcu jedna z was, jeśli macie szczęście, nawiązuje kontakt

wzrokowy z barmanem. Krzyczysz, on kiwa głową, wyciągasz skądś jakieś banknoty i podajesz drinki przyjaciółkom, a potem każda z was pospiesznie wtyka słomkę do ust, żeby pociągnąć duży łyk, bo będzie wam tego trzeba.

Oto gdzie wylądowałyśmy pięć minut po przyjściu na imprezę, na którą zaprosił nas Wiktor.

Miejsce przynajmniej prezentowało się stylowo. Pewnie dlatego zostałyśmy. Był to duży loft: cegła, metal i wielkie instalacje oświetleniowe, a do tego ogromne okna wychodzące na kanał. Muzyka wprowadziła do kitu – europejski techno-pop, powtarzający się rytm i beznadziejny, natrętny motyw przewodni – ale jednocześnie trudno było się jej oprzeć. Podałam Constance i Amy po dzinie z tonikiem. Podziękowały skinieniem głowy i zaczęły pić. Zapłaciłam barmanowi. Przytknął banknot do głowy, jakby salutował, i zniknął.

– Widzisz go gdzieś?! To znaczy Jacka?! – wrzasnęła mi Amy do ucha, kiedy dołączyłam do nich kilka kroków od baru.

Pokręciłam głową. Nie dzwonił i nie byłam pewna, czy przyjdzie. Byłoby mi przykro, gdyby się nie zjawił, ale nie chciałam zbyt dużo o tym myśleć. Już i tak poświęciłam mu za wiele uwagi, niepokojąco często oglądałam jego zdjęcie. Przypominałam sobie nasz pocałunek i spojrzenie, jakie wymieniliśmy w przejściu między wagonami. Pamiętałam to całym ciałem. Jack miał wszystko z mężczyzny, którego wyobrażałam sobie jako przyszłego partnera: wygląd, aurę, nawet wymiary. Dziwnie było to sobie uświadomić, ale nie dało się uciec od prawdy. Gdybym poszła kupić faceta, który by do mnie pasował, i wszyscy mężczyźni z przeszłości wisieliby na wieszakach w dobrze oświetlonym sklepie, bez wątplenia wybrałabym Jacka. Przyłożyłabym go do siebie, spojrzęłabym do lustra i wiedziałabym, że to ktoś dla mnie.

I uwielbiałam z nim rozmawiać. Kiedy z nim rozmawiałam, czułam się jak pijana.

– Niesamowite miejsce! – wykrzyknęła do nas obu Constance. – To jakiś

bar czy prywatna rezydencja?!

Amy poniosła rękę na znak, że nie wie, skąd ma wiedzieć, co ją to obchodzi.

– Jest jeszcze wcześniej – rzuciła do mnie.

– Już prawie jedenasta – odpowiedziałam.

Wzruszyła ramionami.

Więc robiłyśmy to, co zwykle w takiej sytuacji robią dziewczyny, czyli zachowywałyśmy się raczej załośnie. Tańczyłyśmy we trzy, kręciłyśmy się trochę, popijałyśmy drinki, powoli dryfowałyśmy na środek parkietu. Zdałam sobie sprawę, że dawno nie byłyśmy w klubie, dawno nie tańczyłyśmy. Było całkiem przyjemnie. Z lekka już upojone dżinem, zaczęłyśmy wykonywać typowe dla siebie ruchy: Amy kręciła się jak robaczek świętojański, a Constance stawała na palcach, jakby chciała dosięgnąć czegoś wysoko na półce, ale nie zdecydowała się jeszcze podnieść rąk. Uśmiechnęłam się na ich widok. Nie można w tańcu uciec od siebie, od tego, jakim się jest, wiedziałam to.

Zbliżyło się kilku facetów i otoczyło nas, podrygując w tańcu; spojrzałyśmy na siebie wzajemnie i otworzyłyśmy szerzej oczy, jakby pytając: „Tak czy nie?”. Nie byli zbyt atrakcyjni. Amy przygryzła słomkę i nieznacznie pokręciła głową – to wystarczyło, decyzja została podjęta. Dalej tańczyłyśmy i piłyśmy. Drink był słaby. Kiedy pierwsza grupa facetów się oddaliła, zbliżyłyśmy się do siebie i Amy zaczęła wykonywać dziwaczne ruchy, które podpatrzyłyśmy w Amherst na pierwszym roku u pewnego gościa imieniem Leonard. Był megaintelektualistą, ale też miłym chłopakiem i tańczył z szaleńczym zapamiętaniem, które parodiowałyśmy przez następne cztery lata. Naśladowując go, opracowałyśmy taniec pod tytułem „Jak zniechęcić facetów” i wykonywałyśmy go, ilekroć chciałyśmy spławić jakiegoś natrętnego partnera. I ten taniec odwaliała teraz Amy, żeby nas rozśmieszyć. Była w nim

mistrzynią i wygłupiała się ze względu na nas, ale gdy Constance i ja podziwialiśmy jej wygibasy, inni udawali, że nie zwracają na nie uwagi. Wychodziło jej świetnie.

W końcu Constance chwyciła Amy za rękę i podeszliśmy razem do okna. Widok był piękny. Światła odbijały się w wodach kanału, zamieniając ich powierzchnię w niebo usiane gwiazdami.

– Jak myślisz?! – zawołała mi Constance do ucha. – Przyjdzie czy nie?

– Nie wiem! – odkrzyknęłam.

– Nie wzięłaś jego numeru telefonu?! Mogłabyś do niego zadzwonić i zapytać, gdzie się podziewa – podsunęła Amy.

– To byłaby już desperacja.

– Jesteś zdesperowana i co z tego? Zamawiasz pizzę albo chińszczyznę, kiedy weźmie cię ochota, no nie? – zapytała.

Constance pokręciła głową. Nie byłam pewna, czy słyszała tę wymianę zdań.

– Jeśli mamy tu zostać, musimy jeszcze się napić – orzekła Amy.

– A chcecie zostać? – zapytałam. – Nie musimy, jeżeli chodzi tylko o Jacka. Nie zależy mi.

Kłamałam i obie o tym wiedziały.

– Jeszcze jedna kolejka – zdecydowała Constance. – A potem spadamy.

– Widziałaś gdzieś Wiktora? – zagadnęłam Amy.

Pokręciła głową. Bolało mnie gardło, gdy tak się darłam. Dopiałam ostatniego drinka i już miałam się odwrócić, gdy nagle wyczułam obecność Jacka. Nie wiem jak, ale wyczułam.

Amy przygryzła słomkę i dyskretnie wskazała głową, dając mi znak: „Tam, tuż za tobą”.

Nie odwróciłam się. Nie zrobiłam nic, tylko siorbnęłam drinka przez słomkę. Amy przeniosła wzrok na tego, kto stał za mną, kimkolwiek był, a potem znowu na mnie. Nawet przechyliła lekko głowę, jakby chciała powiedzieć: „Daj spokój, on tu jest, co ty wyrabiasz?”.

Moja szyja znowu stanęła w płomieniach. Pociągnąłem ostatni łyk dzinu z tonikiem. Patrzyłam na dziewczyny i udawałam, że świetnie nam się rozmawia. Nie chciałam, aby pomyślał, że z jego przybyciem wieczór nagle stał się o wiele ciekawszy.

Tak jednak było i świadczyła o tym moja szyja.

Uśmiechnięty, wkroczył do naszego kółka. Było zbyt głośno na jakąkolwiek pogawędkę. Odwzajemniłam uśmiech i kiwnęłam głową. Nie bardzo wiedzieliśmy co dalej. W niektórych klubach można zaczekać na przerwę w muzyce, ale nie tam. Nie w tym lofcie. Muzyka dudniła nieprzerwanie, ludzie tańczyli i Jack sprawiał wrażenie zbitego z tropu. Uznałam, że nie jest z tych, którzy tańczą.

– To Raef! – zawołał do naszej trójki, przytykając do ust zwiniętą dłoń.

Mimo że krzyczał najgłośniej, jak mógł, ledwie go usłyszałam, ale skinęłam głową jak reszta.

– Pasterz z Australii! – ciągnął Jack, zaczerpnąwszy tchu. – Świetny gość! Od jakiegoś czasu podróżujemy razem!

– Cześć, dziewczyny! – odezwał się Raef bardziej przenikliwym głosem, dlatego łatwiej go było usłyszeć poprzez muzykę.

Przyjrzałam mu się. Był przystojny, chociaż nieco ciężki i nie taki wysoki jak Jack, miał piaskowe włosy i szeroki, wesoły uśmiech. Zauważyłam, że mówi z cudownym akcentem – mimo że wypowiedział tylko dwa słowa. Nosił jakąś australijską kurtkę podbitą kozuszką. W takim tłumie powinno mu być w niej za gorąco, ale sprawiał wrażenie, jakby nigdy jej nie zdejmował. Trzymał w ręce dużą puszkę piwa. Uśmiechnął się i wzniósł toast.

Trwało to ledwie sekundę i nie jestem nawet pewna, czy się nie pomyliłam, ale odniosłam wrażenie, że jego spojrzenie spoczęło nie na Amy, jak mogłyśmy się spodziewać, ale na Constance. A ona jakby nie mogła oderwać od niego wzroku. Dostrzegła to nawet Amy i zerknęła na mnie szybko, ponownie unosząc pytająco brwi: „Serio?”. Trudno było sobie wyobrazić Constance z mniej odpowiednim facetem niż pasterz z australijskiego buszu.

– Nasze dzieci będą uwielbiały tę historię – powiedział mi Jack do ucha.

– Czyżby?

– Pewnie. Raef zostanie drużbą na naszym ślubie. Zresztą są tu wszyscy goście przyjęcia weselnego.

– Czy ten tekst w ogóle działa? O małżeństwie i tak dalej?

– A nie działa?

Pokręciłam głową, ale mój żołądek mówił co innego.

– Pora na drinka – odparłam, a potem wykrzyknęłam do pozostałej trójki: – Hej, Jack Vermontczyk stawia następną kolejkę!

Ruszyliśmy przez tłum do baru. Byliśmy w połowie drogi, kiedy nagle grupa ludzi na parkiecie zaczęła krzyczeć, rozbiegając się na wszystkie strony. Zadziałał instynkt stadny; jedna z dziewczyn potknęła się na wysokich obcasach i upadła na kolano, ale nikt nie pomógł jej wstać. Obok nas przebiegł ktoś, kto powiedział coś po holendersku, ale oczywiście nie zrozumiałam co; śmiał się jednak, kręcąc głową. Jack chwycił mnie, żeby uchronić przed popchnięciem, i zauważyłam, że Raef objął Constance. Straciłam z pola widzenia Amy, przypuszczałam jednak, że jest za nami, i wiedziałam, że cokolwiek by się działo, dałaby sobie radę. Odwróciłam się, szukając jej wzrokiem, gdy zobaczyłam przyczynę całego zamieszania.

Dwaj młodzi faceci, skinheadzi, obaj pijani w sztok, tańczyli na środku parkietu z fiutami na wierzchu. Machając nimi i wznosząc w zapamiętaniu ręce, sikali gdzie popadnie. Jakby mówili: dobrze się odlać, i tańczyli dalej

bez żadnego skrępowania. To chwiali się na nogach, to odzyskiwali równowagę. Kiedy stawali pewnie na nogach, znowu wywijali wackami i lali po wszystkim. Kiedy tylko zbliżali się do otaczającego ich kręgu ludzi, ci odsuwali się szybko, krzycząc i piszcząc, a oni przybijali ze sobą piątkę i generalnie się kompromitowali. Był to najgorszy szczeniacki występ na imprezie. Nie spodziewałam się, że zobaczę coś takiego w Europie.

– Żenada! – rzuciła za moimi plecami Amy. – Straszna żenada.

Wtedy faceci tanecznym krokiem ruszyli w naszą stronę.

Pozostali zaczęli się cofać, ale my nie mieliśmy gdzie się schronić. Z jednej strony drogę blokował nam bar, z drugiej – tłum ludzi. Dostrzegłam tępe, głupie twarze skinheadów, gdy posuwali się naprzód. Wydawali się zadowoleni z siebie i rozbawieni, nieświadomi tego, co dzieje się wokół, skupieni wyłącznie na dudniącej muzyce i swoich podrygujących fiutach. Co kilka kroków tryskali lśniącymi strugami moczu i ludzie, zde gustowani i jednocześnie jakby zahipnotyzowani, uciekali przed nimi, przepychając się i rozstępując.

– Zbliżają się do nas! – wykrzyknęła Constance, starając się wmieszać w tłum za naszymi plecami. – O rany!

– To obrzydliwe! – zawołała Amy.

Kilku mężczyzn wystąpiło do przodu i próbowało kretynów powstrzymać, ale nie zdążyło ich obezwładnić, bo ci się odwrócili i zaatakowali tamtych szczykami. Mieli to głupie szczęście, które czasami sprzyja pijakom. Roześmiani, wciąż szli na nas, robiąc użytek ze swoich fiutów, gdy tylko czuli się zagrożeni.

Byli jak skunksy na przyjęciu w ogrodzie i niezwykle skuteczni.

Jack może nie zstąpił z księżycowego promienia ani nie zeskoczył z grzbietu białego rumaka, ale wkroczył do akcji. Skądś wziął pokrywę kubła na śmieci i trzymał ją jak tarczę. Gdy tylko ludzie dookoła połapali się, co zamierza,

zaczęli się śmiać i wiwatować. Raef zawołał coś do niego i podał mu but. Dopiero po chwili się zorientowałam, że to sandałek Constance na wysokiej szpilce. Jack użył go jako broni zaczepnej, żeby zaatakować przeciwników, w razie gdyby podeszli za blisko. Trzymał sandałek za palce i wymachiwał nim na próbę. Skinheadzi jakby nie zwracali na niego uwagi. Posuwając się do przodu, popijali piwo z wielkich puszek i niemal było widać, jak płyn spływa przez ich ciała do pęcherzy.

Spojrzałam na Constance i Amy. Obie przyglądały się tej scenie z otwartymi ustami, rozbawione i zdumione. Raef trzymał Constance pod ramię.

Sytuacja była dziwaczna, zdecydowanie niebezpieczna, bo mieliśmy do czynienia ze skinheadami i tak dalej, jednak Jack, grając przed tłumem, rozładował napięcie. Niczym rzymski gladiator pozdrawiający widownię obszedł powoli krąg gapiów, którzy ze śmiechem zaczęli zagrzewać go do walki. Dwukrotnie zrobił wypad w kierunku skinheadów, udając, że chce ich przepędzić, ale oni, z fiutami w rękach, tylko się cofnęli. Potem jakby wymyślili własną strategię i próbowali wziąć go między siebie.

Obserwowałam Jacka, myśląc o naszym pocałunku i o jego dłoni na moich plecach.

Wreszcie przystąpił do ataku. Podniósł tarczę, żeby bronić się przed strumieniem moczu, i skinheadzi nie byli w stanie stawić mu czoła. Sandałkiem Constance zamierzył się na penisa jednego z przeciwników, który zachwiał się na nogach i pospiesznie zaczął chować swoje klejnoty z powrotem w spodnie. Drugi zaszedł Jacka z flanki, ale on był szybszy. Uderzył tamtego tarczą, tak że facet zrobił trzy wielkie kroki do tyłu, w pijackim zamroczeniu próbując złapać równowagę, i runął jak kłoda na bok. Jego puszka z piwem poszybowała w tłum. Jack skoczył na niego, złapał go za nogi i pociągnął, żeby niczym mopem wytrzeć nim parkiet. Widowni bardzo

się to spodobało, wystąpili z niej dwa inni mężczyźni i zaczęli wlec skinheada po podłodze. Jego kumpel – ten, który dostał sandałkiem – próbował jeszcze interweniować, ale ludzie zaczęli gwizdać i go przepędzili. Pokonany uciekł, zostawiając towarzysza we własnych sikach.

Jack po raz ostatni obszedł krąg widzów, triumfalnym gestem wznosząc tarczę. Spojrzałam mu w oczy i zaczęłam się zastanawiać, czy facet z pokrywą kubła na śmieci zamiast tarczy i butem w roli miecza, dowodzący swojego szlacheckiego pochodzenia w walce z potworami, które rażą odrażającą cieczą, może być księciem.

10

„Ojciec jak to ojciec. Wiesz, jaki jest, kochanie. Baw się dobrze”.

„Staram się. Ale tata mnie dobija”.

„Nie robi tego specjalnie. Znasz go. Nic nie może na to poradzić”.

„Naprawdę pamiętam o wszystkim. Wiesz o tym”.

„On także wie. Baw się dobrze i już. A przy okazji, zrobiłam porządku w szafie i oddałam kilka twoich starych sukienek”.

„Których? Musimy omawiać to teraz?”.

„Tę niebieską z rękawami. Nie nosiłaś jej od lat. Chcę odzyskać swoją szafę!”.

„Ojej, mam, zlituj się. Jak tam Pan Barwinek?”.

„Szwenda się poza domem. Dobra, leć już. Ucałuj dziewczyny. ...I niech płaczą? ³”.

„Tęsknię za tobą”.

„Ja za tobą też”.

Raef wędrował śladami jazzu, tak nam powiedział, i dlatego o trzeciej w nocy

poszliśmy z nim do knajpy o nazwie Smarty's, przy małej uliczce nad kanałem gdzieś w centrum Amsterdamu. Zapewniał nas, że nie pożałujemy, a po kilku dżinach z tonikiem i amsterdamskim joincie wielkości kolby kukurydzy nie byliśmy w stanie odmówić. Zaprowadził nas po cementowych schodach do baru w suterenie. Zastanawiało mnie, jak w Amsterdamie mogą mieć bary w suterenie, bo przecież miasto leży na poziomie morza, ale nie byłam w formie, żeby dyskutować o problemach inżynierii lądowej. Wisiałam na Jacku, Constance – na Raefie, a Amy – na Alfredzie, Holendrze, którego palce przywodziły mi na myśl klawisze maszyny do pisania.

Wiktor, książę Chocula, nie zjawił się na imprezie. On i Alfred skądś się znali, ale nie pamiętałam, co ich łączy.

Kelnerka z wydatnymi bicepsami, która wyglądała, jakby mogła napluć ci do drinka albo zaprosić cię do domu – a może jedno i drugie – posadziła nas przy kiblu. Żeby się tam dostać, musieliśmy przeciskać się bokiem między małymi stolikami. Otoczyła nas muzyka. Na saksofonie grał czarny muzyk, wydając dźwięki, które wznosiły się, opadały i falowały, i gdy tylko usiedliśmy, Raef pochylił się nad stolikiem, żeby nam powiedzieć, czego słuchamy.

– To John P – wyjaśnił zabawnie brzmiącym, wesołym głosem z australijskim akcentem. – Pochodzi z Nigerii, ale teraz mieszka tutaj. Pozostali muzycy chyba nie są specjalnie znani, po prostu towarzyszą mu podczas tej sesji.

Tyle usłyszałam. Nawet to przyszło mi z trudem. Zjawiła się kelnerka, więc zamówiliśmy drinki – koniak i wodę – a ona kiwnęła głową i oddaliła się, klucząc w lesie krzesel. Czułam się oszołomiona i trochę zdezorientowana, ale jednocześnie szczęśliwa. Nie był to wprawdzie Hemingway ani Hiszpania po pierwszej wojnie światowej, ale nigdy w swoim krótkim życiu nie znalazłam się tak blisko jednego i drugiego.

– Dałbym naszemu pocałunkowi na peronie siódmkę. A ty? – zapytał Jack, pochylając się ku mnie.

– Aż tyle? Ja dałbym raczej szóstkę, może nawet piątkę i pół.

– Całujesz praworęcznie. Wiedziałem to.

– Skąd wiedziałeś?

– Większość ludzi tak ma. Całujący leworęcznie przeważnie mają małą płetwę na karku. Trudno ją dojrzeć, ale jest.

– Płetwę?

Kiwnął głową.

– To mało znany fakt.

– Problem w tym, że nigdy w rankingu nie zeszedłem poniżej dziewięciu. Moje pocałunki mogą pozbawić wszystkie inne kobiety wszelkich szans u faceta. Mówię tylko, co słyszałam.

– Dlatego się powstrzymywałem – odparł. – Mogłem wynieść go do dziesięciu, ale nie chciałem, żebyś zemdląła na miejscu.

– A po co ta płetwa?

– Jaka płetwa?

– Ta, o której przed chwilą mówiłeś. Na karku osoby całującej leworęcznie.

– Mieszkańcy Atlantydy. Oni wszyscy tak całują.

– Po tym ich rozpoznajesz?

– I po tym, że nie jedzą tuńczyka. Ani żadnej innej ryby, jeśli o to chodzi. To byłby rodzaj kanibalizmu.

– Rozumiem. Czy normalny człowiek może całować leworęcznie?

– Z mojego doświadczenia wynika, że nie.

– A to niebezpieczne całować się z mieszkańcem Atlantydy?

– Bardzo niebezpiecznie. Na wszelki wypadek na pierwszą randkę powinnaś wziąć ze sobą odrobinę sosu tatarskiego. Oczywiście sos tatarski

jest jak kryptonit dla każdego mieszkańca Atlantydy.

– Czy zawsze tak się zachowujesz?

– Jak?

– Wygadujesz te bzdury?

– Nie wierzysz, że mam w kieszeni słoiczek sosu tatarskiego?

– Nie, nie wierzę.

Odchylił się do tyłu. Cmoknął i pokręcił głową.

– Szofer, kucharz czy sprzątac? – zapytałam go.

– Co takiego? – Położył mi rękę na udzie i spojrzał głęboko w oczy. Tego było już dla mnie za wiele.

– Szofer, kucharz czy sprzątac? – powtórzyłam, starając się nie zwracać uwagi na jego dłoń i spojrzenie.

– Gdybym musiał być tylko jednym z nich?

Potwierdziłam skinieniem głowy. Miałam wrażenie, jakby mój kręgosłup był z gumy.

– Sprzątac. Lubię gotować i jestem lepszym kierowcą niż James Bond.

– Ale bardziej przypominasz Wolverine’a.

– Mam zabrać rękę?

– I gdzie ją położysz?

Uśmiechnął się, zdjął dłoń z mojego uda i przez chwilę słuchaliśmy muzyki.

Kelnerka wróciła akurat w chwili, gdy towarzyszący Johnowi P muzycy zaczęli rozwijać motyw saksofonowy; Raef kiwał głową i klaskał, więc my też klaskaliśmy, bo fajnie było widzieć, jak improwizują, odnajdują się wzajemnie w melodii, fajnie było pomyśleć, że John P to Nigeryjczyk grający na saksofonie w europejskim barze, a my przyjechaliśmy ze Stanów Zjednoczonych i mamy okazję go słuchać. Może to pod wpływem trawki – kto wie? – ale popijając koniak, zatrzymywałam go w ustach i czułam, jak pali moje podniebienie i język, i uśmiechałam się do Amy i Constance, które miały

szkliste oczy i też powoli kiwały głowami w rytm muzyki.

Zadzwonił mój telefon. Zorientowałam się dopiero po chwili i kiedy wyjęłam go z kieszeni, zobaczyłam na wyświetlaczu numer Briana. Mojego byłego chłopaka. Nie miałam z nim kontaktu przez całe lato, więc pomyślałam, że nie mógł spać i naszły go wspomnienia. Nocne sentymenty. Nostalgia za czymś, co nie było tak, jak to zapamiętałeś. A może naprawdę ze mną tęsknił. Z przyzwyczajenia, z ciekawości już prawie wcisnęłam zielony guzik, ale po chwili się rozmyśliłam. Jack nawet nie patrzył, jakby w ogóle go to nie interesowało.

Postanowiłam, że nie będę więcej rozmawiać z Brianem. Wyłączyłam telefon i schowałam z powrotem do kieszeni.

– Spotkamy się w hostelu – szepnęła mi Amy do ucha, kiedy zespół zrobił sobie przerwę.

– Nawet nie znasz tego faceta – odpowiedziałam.

– Żadna z nas ich nie zna – odparła na to. – Nie przejmuj się, mogę do ciebie zadzwonić. Idziemy z innymi na drinka. Jeden z tych ludzi to chyba magik. Jak często spotykasz magika w Amsterdamie? Poza tym pociąg mamy dopiero po południu, prawda?

– Za dziesięć trzecia.

Zajrzałam do telefonu, żeby sprawdzić w rozkładzie jazdy, który załadowałam.

– Czternasta pięćdziesiąt – potwierdziłam.

– Wrócę do hotelu znacznie wcześniej, więc się nie martw. Zobaczę, jak będzie z Latającym Holendrem. Jutro się nad wszystkim zastanowimy. Zostaniesz tutaj, żeby jeszcze posłuchać muzyki?

– Nie wiem. Jestem już zmęczona.

– *Carpe Jack*. Leci na ciebie. I jest naprawdę boski.

– A co z Constance?

Spojrzałyśmy w jej kierunku. Siedziała z Raefem i Johnnem P, najwyraźniej przysłuchując się ich rozmowie o jazzie. Wydawała się pobudzona i zadowolona, nawet trzymała rękę na plecach Raefa. Popatrzyłyśmy na siebie i Amy pokręciła głową.

– Porzuci nas dla pasterza owiec – zauważyła. – Nigdy nie widziałam jej tak zadurzonej.

– Jest fajny.

– Naprawdę fajny. Bardzo podoba mi się jego akcent.

– Dobra, więc jesteśmy umówione – podsumowałam swoim zwyczajem. Miałam do tego szczególny talent. – Spotkamy się w hostelu. Zadzwoń, jeśli coś się zmieni. I nie daj się pokroić na kawałki.

Chciałam się skupić i sprawdzić, czy wszystko ogarniam, ale byłam zamoczona i zmęczona. Wiedziałam, że następnego dnia musimy wyjechać z Amsterdamu, ale nie mogłam sobie przypomnieć dlaczego. Miało to coś wspólnego z koniecznością przesiadki i z umówionym spotkaniem z kuzynkami Amy w Monachium albo Budapeszcie, nie pamiętałam, w którym z tych miast. Cały ten scenariusz kojarzył mi się ze starym łzawym filmem *Trzy monety w fontannie* o trzech dziewczynach zwiedzających Rzym. Każda z nich wrzuca monetę do fontanny i muzyka przybiera na sile, refren piosenki brzmi: „Którą z monet fontanna pobłogosławi?”. Mamciozaurus namówił mnie, żebyśmy obejrzały go na Netfliksie przed wyjazdem. To był jeden z jej ulubionych filmów.

Zbyt dużo i zbyt szybko się działo, a my byłyśmy pijane; nie ufałam ani sobie, ani dziewczynom. Nie ufałam również Alfredowi, Latającemu Holendrowi z palcami jak klawisze maszyny do pisania; był wysoki i chudy, długi jak przerośnięty szparag, i nie bardzo mi się podobał. Ale podobał się Amy, w każdym razie miała ochotę z nim pójść, więc ponieważ starałam się nie oceniać jej wyskoków, tylko kiwnęłam głową, pocałowałam ją w policzek

i poprosiłam, żeby na siebie uważała. Obiecała, że będzie, a potem wzięła Alfreda pod rękę i razem opuścili knajpę.

Byłam więc skazana na Jacka.

– Chcesz wyjść? – zapytał, kiedy Amy umknęła po schodach na ulicę i dalej w noc. – Znam pewne miejsce, które powinnaś zobaczyć.

– Jestem zmęczona, Jack.

– Mną czy ogólnie?

– Ogólnie.

– Więc to miejsce, które chcę ci pokazać... Raef pomógł mi zlokalizować je na mapie. Musimy znaleźć je wspólnie.

Wszystko się wyciszyło. Zbliżał się ranek, kiedy ulice budzą się z kawą i świeżym pieczywem, no i byłam w Amsterdamie, pierwszy raz w życiu, ale kleiły mi się powieki. Już sama nie wiedziałam, czego chcę, pragnęłam tylko być z Jackiem.

– Niebawem zrobi się jasno – zauważyłam, przeciągając się.

– Tym lepiej.

– Powiem Constance, że wychodzimy – powiedziałam i wstałam.

Podjęłam decyzję, nawet o tym nie wiedząc. Jack przywołał kelnerkę i dorzucił się do rachunku, a ja uzgodniłam z Constance plany.

11

– Mój dziadek po drugiej wojnie światowej wrócił do domu, ale zajęło mu to jakiś czas. Ze trzy miesiące, może więcej. Częściowo mógł zrzucić odpowiedzialność na sytuację w Europie, zniszczenia i brak regularnej komunikacji, ale w gruncie rzeczy udał się na wędrowną. Tak nazwał to Raef, kiedy mu o tym opowiedziałem. Dziadek nigdy zbyt wiele na ten temat nie mówił. Jakby miał poczucie winy, a może po prostu był skryty. Prowadził

jednak zapiski i teraz podążam jego śladem – mówił Jack, odwracając głowę w moją stronę. – To może nie brzmi zbyt poważnie. Ale obiecałem sobie, że kiedyś tak zrobię.

Szliśmy już dobre pół godziny i na ulicach rzeczywiście pachniało kawą i świeżym pieczywem. Niebo jeszcze nie pojaśniało, ale ciemność powoli ustępowała i traciła intensywność. Okna i kanały zaczęły różowieć, choć na razie niczego nie było wyraźnie widać. W pewnym momencie zobaczyliśmy kota w oknie jakiegoś mieszkania, tuż pod zapaloną lampą; popatrzył na nas przez chwilę, a potem nagle się wzdrygnął i pochyliwszy łepkę, zaczął lizać sobie łapę.

– A czym się zajmowałeś, zanim udałeś się w tę podróż?

– Zasadniczo dziennikarstwem. Zmianami świata. Tak to się mówi? Ukończyłem komunikację na University of Vermont. Nie wiem nawet, czy w dobie internetu jeszcze istnieje coś takiego jak dziennikarstwo, ale tym właśnie się zajmowałem. Po studiach znalazłem pracę w Wyoming, niedaleko Pasma Wind River. Zostałem zatrudniony jako reporter w małej gazecie. Wiem, wiem, to trochę daleko od pierwszej linii w tym zawodzie, ale myślałem, że na taką niedużą społeczność będę miał wpływ, bo w wielkim mieście byłbym tylko młodym pismakiem bez znaczenia. Zaczęło mi się wręcz wydawać, że małomiasteczkowe gazety to właśnie pierwsza linia dziennikarstwa, i pisałem o wszystkim. Stanowiło to świetną praktykę. Moim szefem był Walter Goodnow, jeden z tych dawnych dziennikarzy, jakich już nie znajdziesz. Zwał na mnie mnóstwo roboty, ale też dawał mi wolną rękę. Pracował ze mną i redagował moje teksty. Przygotowywałem nawet wstępniaki i odkryłem, że potrafię być ostry, kiedy piszę o czymś, w co wierzę. Walter nazywał mnie mącicielem, ale nie było tak źle. Pracowałem w redakcji ze trzy lata.

– Dlaczego odszedłeś?

– Och, chyba nastał czas. Tak powiedział Walter. Później coś się stało, nic wielkiego, i postanowiłem zrobić sobie przerwę. Przerwać swój marsz ku światowej dominacji dziennikarstwa.

– I jednocześnie zrealizować plan wyprawy śladami dziadka?

– Byłem trochę zagubiony. Potrzebowałem przewodnika. Żeby ktoś mi pomógł zacząć życie od nowa. Dziadek miał ten sam problem po wojnie.

– Ale wrócisz do dziennikarstwa?

– Tak zamierzam. Walter nazywał to fantazją Clarka Kenta. Jesteś dziennikarzem, ale także Supermanem. Jeśli ktoś uzaleźni się od dziennikarstwa, to już na zawsze. Nic nie można na to poradzić.

– Podoba mi się, że podążasz za zapiskami swojego dziadka.

– Jadę za nimi w najważniejsze miejsca, bez szczególnego porządku, ale to nie ma znaczenia. Ja tu gadam i gadam, a ty pewnie zgłodniałaś, no nie?

– Nie gadasz, ale chętnie napiłabym się kawy i zjadła bułkę. To była długa noc.

– Wstąpimy do najbliższej piekarni – obiecał.

Żadna jednak nie była jeszcze otwarta. Nasza zabawna nocna eskapada zamieniała się w marsz do piekła. Wciąż byłam zawiana i rozstrojona. Bolały mnie nogi i zaczynałam się martwić o Amy i Constance. Podczas naszych podróży już nieraz się rozstawaliśmy, ale zwykle dopiero po kilku dniach w jakimś mieście. Tym razem zdecydowałyśmy się na to za szybko, zbyt niefrasobliwie, i już miałam powiedzieć Jackowi, że powinnam złapać taksówkę i wrócić do hostelu, kiedy wreszcie znalazł otwartą piekarnię. Była to zaledwie dziura w ścianie, miejsce, do którego się wstępuje, żeby kupić coś do zjedzenia i wyjść, ale starsza kobieta, kiedy zobaczyła, że zaglądamy do środka, otworzyła nam drzwi i tylko pokiwała głową, gdy składaliśmy zamówienie.

A było spore. Wzięliśmy trzy bagietki w papierowej torbie, dwa croissanty,

jedną czekoladową eklerkę i dwie parujące kawy. Jack początkowo zwrócił się do kobiety po angielsku, ale odpowiedziała po holendersku, więc spróbował po niemiecku i zadziałało. Mówił jeszcze przez minutę albo dwie, pytając o drogę, a potem skinął głową, chwycił mnie za łokieć i wyprowadził z powrotem na ulicę.

– Pij kawę. Zjemy w pewnym miejscu – powiedział z zaraźliwym uśmiechem, wyraźnie podekscytowany. – Dowiedziałem się, jak tam trafić. To już niedaleko.

Kawa była świeża. Trzymając ją, zdałam sobie sprawę, że zmarłam. Może z głodu, a może dlatego, że wciąż byłam odurzona alkoholem albo trawką, którą wypaliliśmy, niemniej czułam chłód wzdłuż kręgosłupa. Jack rozchylił papierową torbę i kazał mi wetknąć do niej nos, powąchać. Powiedział, że być może zapamiętam tę chwilę do końca życia.

– Nie sądziłam, że jesteś takim romantykiem – odparłam, kiedy zabrał torbę. – Mówiłeś, że źle ze mną, skoro czytam Hemingwaya, a tymczasem z tobą może być jeszcze gorzej.

– Kto jest przeciwieństwem romantyka? Zawsze się nad tym zastanawiałem.

– Chyba księgowy. Ktoś, kto zna cenę wszystkiego i wartość niczego.

– O rany! – zawołał Jack. – Czyżbyś po platońsku skopała mi tyłek o czwartej nad ranem?

– To nie takie trudne, Jacku Vermontczyku.

– Nie znasz nawet mojego nazwiska, co?

– A ty znasz moje?

– Merriweather.

– Źle.

– Albuquerque. Postlewaite. Smith-Higginbothom. Jest pewnie dwuczłonowe. Trafiłem?

– Najpierw ty mi powiedz swoje, a potem ja ci powiem swoje.

– Teraz gadasz do mnie jak Rumpelszyk.

– Czy rozmowy z tobą mają kiedykolwiek jakiś sens?

– Tak i nie.

Uśmiechnął się. Miał diabelnie uroczy uśmiech.

– Zachowajmy swoje nazwiska dla siebie – zaproponowałam. – Przez to trudniej ci będzie mnie znaleźć, gdy beznadziejnie się we mnie zakochasz. Staniesz przed wyzwaniem.

– Skąd wiesz, czy już beznadziejnie się w tobie nie zakochałem?

– Byłoby zbyt szybko. Faceci zwykle składają mi swoje życie u stóp dopiero po półtora dnia znajomości.

– Heather Postlewaite, nie ma wątpliwości.

– Czy nie prowadzisz mnie dokądś?

– Utrudniasz sprawę. „Jack i Heather” czy „Heather i Jack”? Jak brzmi bardziej naturalnie?

– „Heather i Jack”.

– Szarżujesz.

– „Jack i Heather” brzmi jak nazwa sklepu ze świecami.

– A co jest złego w sklepie ze świecami? „Jack i Heather” brzmi eufonicznie i dobrze o tym wiesz.

– Eufonicznie? Czy to znaczy po łacinie: „Usiłuję dotrzymać kroku swojej bystrzejszej koleżance, więc rzucam najbardziej nadęte słowo, jakie tylko przychodzi mi do głowy”?

Szliśmy wolnym krokiem. Zanim Jack zdążył odpowiedzieć, poczuliśmy nowy zapach. Nie pochodził on z kanału ani z torby z croissantami, ale wydawał się swojski i sympatyczny; znałam go, ale nie mogłam dokładnie określić. Jack się uśmiechnął, a ja usiłowałam coś z tego zrozumieć.

– Chodź – powiedział, więc posłusznie ruszyłam.

Na bocznej ścianie budynku widniała tabliczka z nazwą: „Nieuwe Kalfjeslaan 25, 1182 AA Amstelveen”. Zapach dochodził chyba zza bramy, szerokiego półokręgu z ciężkiego czarnego drewna z równie ciężką żelazną kłamką. Nadal nic z tego nie rozumiałam, ale Jack znowu się uśmiechnął i pociągnął za kłamkę, powodując głośny szczęk. Brama się otworzyła, skrzypiąc na zawiasach, jak na filmie o Frankensteinie. Jack, wciąż z uśmiechem, przytknął palec do ust.

Chciałam mu powiedzieć, że za głośno się zachowuje, że pewnie obudziliśmy wszystkich w środku, ale zanim zdążyłam się odezwać, wślizgnął się przez szparę w bramie. Rozejrzałam się wokół, usiłując pojąć, w co się pakujemy, ale szybko dałam sobie spokój i ruszyłam za nim. Tym bardziej że miał torbę ze śniadaniem.

Kiedy wreszcie się zorientowałam, gdzie jesteśmy, mimowolnie się uśmiechnęłam.

Była to szkoła jeździecka. De Amsterdamse Manege. I to piękna. Stara i bardzo zadbana; ściany były świeżo otynkowane, a bruk pokrywały wiórki sosnowe. Na murach wisiało kilkanaście tarcz herbowych. Konie stały w starych boksach wokół dużego dziedzińca. Wystawiały łby za niskie drzwi i sprawiały wrażenie sennych i spokojnych jak wieszaki na okrycia przy kominku. Jack wziął mnie za rękę i zaprowadził do pierwszego boksu.

– Ten koń nazywa się Jabłko – powiedział, czytając informację po holendersku.

– Cześć, Jabłko – rzuciłam.

Pogłaskałam zwierzę po grzywce i po policzku. Był to piękny wierzchowiec, nie taka niezgrabna szkapa, jakie można znaleźć w szkołach jeździeckich w niektórych amerykańskich miasteczkach. Ostrożnie objęłam go za szyję. Cudownie pachniał.

– Mój dziadek był tu po wojnie – szepnął Jack, gładząc Jabłko. Miał szklisty wzrok. – Pisał o tym miejscu, ale nie byłem pewny, czy ono jeszcze istnieje. Twierdził, że widok koni dał mu nadzieję po tym wszystkim, co widział na wojnie. Zawsze odnotowywał spotkania ze zwierzętami i z dziećmi. Przyznał tej szkole trzy gwiazdki. To jego najwyższa nota.

– Skąd wiedziałeś, że to będzie tutaj?

– Tak naprawdę nie wiedziałem. Czytałem notatki dziadka ze sto razy, ale miałem wątpliwości, czy są tu jeszcze konie. To znaczy czy stajnia działa. Znałem mniej więcej lokalizację, a Raef mi powiedział, że z tego, co pamięta, gdzieś w tym rejonie jest szkoła jeździecka. Sprawdziliśmy to po przyjeździe, a kobieta z piekarni wskazała mi drogę.

– Gdy byłam mała, jeździłam konno.

– Cieszę się, że lubisz konie – odrzekł.

– Kocham zwierzęta. – Puściłam Jabłko i podeszłam do następnego boksu.

– Zawsze kochałam. A ten jak się nazywa?

– Chyba Łabędziątka. „Mały łabędź”.

Wyjęłam telefon komórkowy, żeby cyknąć fotkę, ale Jack mnie powstrzymał.

– Moglibyśmy nie robić zdjęć? – zapytał.

Opuściłam komórkę.

– Dlaczego?

Powoli położył dłoń na pysku Łabędziątka. Odpowiedział poważnie, ale miło:

– Nie chcę obniżyć wartości tej chwili – wyjaśnił. – Ani zamieniać jej w pocztówkę. Chcę być tu z końmi i tyle. No i z tobą. Nie znoszę zwyczaju fotografowania wszystkiego po kolei. To, co się dzieje, i to, w czym uczestniczymy, ma służyć tylko temu, żebyśmy porobili zdjęcia i potem je oglądali? Wstawiali na Facebooka? To rozwadnia wszystkie przeżycia. Tak

w każdym razie sędzę.

– Coś w ogóle fotografujesz?

Wzruszył ramionami. Zaprzeczył ruchem głowy.

– Pragnę zapamiętać, że byłem tu z tobą – wyjaśnił. – Zapamiętać Łabędziałko, zapach kawy, woń stajni. Skupić się na tym, że był tu mój dziadek, pomyśleć, że widok koni sprawił mu radość i przyniósł ulgę. Sam nie wiem. To chyba trochę głupie.

– Nie sędzę, żeby to było głupie, Jack.

Popatrzyłam na niego. Takiego go jeszcze nie znałam i spodobał mi się.

Pogłaskawszy konie, wdrapaliśmy się na stertę siana pośrodku dziedzińca. Zaczął padać lekki deszcz, a siano znajdowało się pod daszkiem. Wspięliśmy się na bele i znaleźliśmy miejsce, gdzie dało się usiąść. Siano pachniało pięknie, jak otwarte, szerokie pola; to, woń deszczu i delikatne stąpanie koni sprawiało, że nie mogło być cudowniej. Zjedliśmy bagietki, eklerkę i całą resztę. Nie mogłam uwierzyć, jakie to wszystko pyszne i jak wspaniale jest być z Jakiem w szkole jeździeckiej. On jakby czytał mi w myślach.

– Całkiem niezła pierwsza randka – zauważył.

– Mocno powiedziane. Nazywasz to randką?

– A ty nie?

– Amy powiedziałyby, że to zwykły podryw.

– Według mnie randka, w pewnym sensie.

– Niech ci będzie.

– Jak długo zostaniesz w Europie? – zapytał, zmieniając temat.

– Jeszcze dwa–trzy tygodnie. Muszę wracać, żeby jesienią pójść do pracy.

– Gdzie?

– W Bank of America.

Przyjrzał mi się.

– Można to jeszcze naprawić – oznajmił.

- Niczego nie trzeba naprawiać.
- Jesteś pewna? Nie pasujesz do korporacji.
- Oceniasz?
- Jest, jak jest.

Zaczęliśmy tracić porozumienie. Nie bardzo wiedziałam, jak to się stało – ani co to znaczyło – ale przez chwilę miałam wrażenie, że oboje zmieniamy punkt widzenia. Przypomniałam sobie, jak mówił, że szef nazywał go mącicielem.

Patrzył na mnie przez chwilę, a potem odepchnął jedną z bel siana i przyciągnął dwie inne z boków, tak że powstała jakby mała kanapa. Położył się na plecach, przygarnął mnie do siebie i objął. Oparłam głowę na jego ramieniu i zaczęłam się zastanawiać co dalej, czy teraz będzie próbował mnie uwieść. Był jednak na to za mądry, za dobry. Zwrócił moją twarz ku swojej i pocałował mnie, pocałował z pełnym oddaniem, a potem przytulił jeszcze mocniej, jeśli było to w ogóle możliwe.

- Zostań tak przy mnie – szepnął.
- Chcesz się tu przespać?
- Hm, moglibyśmy przespać się w łóżku, jak tysiące razy wcześniej. Ale możemy przespać się tutaj, przy koniach, w Amsterdamie, jedno przy drugim, i zapamiętać to do końca życia. Jest się nad czym zastanawiać?
- Czy to twoje credo?
- Coś w tym stylu.
- Proste przyjemności?
- Raczej doświadczyć wszystkiego. Delektować się tym. Czy to strasznie banalne?

Byłam wciąż nieco dotknięta jego uwagą o Bank of America, ale już lepiej go rozumiałam.

- Jeszcze nie wiem – zdołałam odpowiedzieć.

Chwilę później nasze oddechy złąły się ze sobą i zapach siana przytłumił wszystko inne.

13

Obudziła mnie woń dymu papierosowego. Przez chwilę nie mogłam się połapać, gdzie jestem. Jack leżał obok i spał. Deszcz przybrał na sile. Powoli przypominałam sobie wydarzenia poprzedniej nocy. Usiadłam przerażona. Nie miałam pojęcia, która jest godzina, byłam dezorientowana, wiedziałam tylko, że niedawno głaskaliśmy konie. Ponieważ deszczowe chmury zasłaniały słońce, nie sposób było określić pory dnia. Zastanawiał mnie ten dym papierosowy, aż w końcu zdałam sobie sprawę, że dochodzi z dołu, spod daszka; pewnie któryś z pracowników stajni zrobił sobie przerwę. Potem usłyszałam czyjś głos; mówił do kogoś. Jack powoli usiadł obok. Z uśmiechem przytknął palec do ust.

– Jesteśmy uwięzieni – szepnął i niemal zaczął się śmiać.

– Która godzina?

Wzruszył ramionami.

W głowie miałam mętlik. Przede wszystkim chciało mi się siku. Bardzo. I wyobrażałam sobie, że przespawszy się na sianie, wyglądałam jak czarownica. Dotknęłam włosów; sterczały we wszystkie strony. W ustach i w przełyku czułam smak czekolady, a palce miałam tłuste i brudne, zalatujące koniem.

Wtedy przypominałam sobie o Amy i Constance. Spojrzałam na telefon komórkowy, ale jak się okazało, nie przyszedł od nich żaden esemes.

Na wyświetlaczu była szósta czterdzieści pięć. Brian nagrał się na pocztę głosową, ale nie chciało mi się w tej chwili odsłuchać jego wiadomości.

– Jak się stąd wydostaniemy? – zapytałam Jacka.

– Po prostu zejdziemy. Nie robiliśmy nic złego.

– Nie włamaliśmy się tutaj i nie weszliśmy bez pozwolenia?

– Będziemy się zachowywać, jakbyśmy właśnie się kochali – odparł z szerokim uśmiechem. Zmiał torbę po pieczywie i zmiotł okruchy. – Wszyscy lubią kochanków. Poza tym co mogą nam zrobić?

– Wezwać policję.

– Bo para ludzi uprawiała seks na sianie?

– Nie uprawialiśmy seksu.

– Ale ty chciałaś.

Walnęłam go w ramię. Parsknął śmiechem. Z dołu dobiegło szuranie i ktoś zawołał ze strachem w głosie:

– Kto tam?!

Przynajmniej wydawało mi się, że ze strachem. Bo ten ktoś wołał po holendersku.

– Zasnęliśmy! – odkrzyknął Jack. Potem rzucił po niemiecku słowo oznaczające sen.

Do pierwszego głosu dołączył drugi; zrozumiałam, że mamy zejść. Może wzięli nas za bezdomnych. A może za złodziei. Jack zszedł pierwszy. Odwrócił się i pomógł mi zeskoczyć na ziemię. Dwaj mężczyźni – jeden młodszy, drugi starszy – odsunęli się od beli siana i patrzyli na nas z uniesionymi twarzami.

– Przyszliśmy pogłaskać konie i zasnęliśmy – wytłumaczył Jack.

Starszy pokręcił głową. Najwyraźniej nie był zadowolony z naszej obecności. Młodszy natomiast – który palił papierosa i pewnie złamał przepisy, robiąc to w pobliżu siana – odezwał się do nas znośnym angielskim:

– Tak nie wolno.

Miał pociągłą twarz i kępkę włosów na głowie, które sterczały w górę, a następnie opadały. Wydał usta.

– Przepraszamy – ciągnął Jack. – Byliśmy zmęczeni. Nikomu nie zrobiliśmy krzywdy.

Starszy mężczyzna rzucił coś do kolegi, który mu odpowiedział, a wtedy tamten się oddalił.

– Idzie wezwać policję. Posterunek jest niedaleko, więc szybko się zjawia. Lepiej uciekajcie – ponaglił nas młodszy. Tyle że odwrócił szyk, mówiąc „niedaleko jest”. Brzmiał jak Yoda z *Gwiezdnych wojen*.

Jack chwycił mnie za rękę i pomknęliśmy do bramy.

W połowie drogi do hostelu – po wstąpieniu do restauracji, gdzie skorzystaliśmy z łazienki i napiliśmy się kawy – Jack zwrócił mi uwagę na łabędzia, który płynął pod brukowanym mostkiem, i zatrzymaliśmy się tam na chwilę.

– Mój dziadek pisał w dzienniku o łabędziach. Chyba był zdziwiony, że zobaczył je w Amsterdamie. Wygląda na to, że cieszył go widok każdego zwierzęcia, bo to znaczyło, że przeżyło... że świat się nie skończył.

– Możesz znaleźć ten fragment?

– Znam prawie cały tekst na pamięć, ale zobaczmy.

Pogrzebał w kieszeni i wyjął mały notatnik rozmiaru Biblii, spięty pośrodku gumką. To była Biblia – uświadomiłam sobie – przynajmniej dla Jacka. Oparł się plecami o barierkę ciągnącą się wzdłuż rzeki i powoli otworzył dziennik. Nie wiem dlaczego, ale wyobrażałam sobie, że będzie to wielka księga – a może album z wycinkami prasowymi – gdy jednak go zobaczyłam, wszystko nabrało sensu. Coś takiego żołnierz mógł nosić przy sobie po wojnie. Trzymać w kieszeni, jak Jack, i wyjmować, kiedy chciał kontynuować zapiski. Nie różniło się to wiele od mojego terminarza.

– Myślałam, że będzie większy – zauważyłam, zbliżając się do Jacka, żeby przyjrzeć się dziennikowi.

– Kobieta nie powinna nigdy mówić mężczyźnie czegoś takiego.

Nie odrywał wzroku od dziennika, uważnie go kartkując. Oparłam się o jego ramię. Podobała mi się czułość, z jaką odnosi się do tej pamiątki. Nie spieszył się, żeby odnaleźć odpowiedni fragment, spoglądał także na inne. Zatrzymał się ze dwa razy, żeby pokazać mi wetknięte między kartki zdjęcia dziadka: wysokiego, przystojnego mężczyzny w mundurze. Na wszystkich fotografiach, jakie mogłam zobaczyć, wyblakłych już i popękanych, jego oczy wydawały się zmęczone, puste, smutne. Twarz była jeszcze smutniejsza i bardziej przejmująca przez to, że próbował uśmiechać się do obiektywu; uwidaczniało się to w grymasie ust, zmarszczkach na czole. Nie mógł jednak ukryć efektów okropnych przeżyć, jakich doświadczył podczas drugiej wojny światowej.

Przytknęłam policzek do ramienia Jacka. Chciałam widzieć, jak jego dłonie suną powoli po pelurowych kartach dziennika. Wreszcie znalazł fragment, którego szukał, i pokazał mi. A potem zaczął czytać. Poważnym, spokojnym głosem, przepełnionym miłością.

Na małej połaci wody pływał łabędź z szyją wygiętą w idealny łuk. Poranne słońce rzucało jego cień na wodę, więc gdy się poruszał, miał jakby towarzysza, lustrzane odbicie.

Poniżej dziadek Jacka naszkicował małego łabędzia pływającego wśród lilii wodnych.

– To piękne, Jack. Prawdziwa poezja.

– Myślę, że w głębi duszy pragnął pisać. Od czasu do czasu o tym rozmawialiśmy. Dużo czytał, przeważnie dziewiętnastowieczne powieści. Wymieniał się ze mną książkami, co roku czytaliśmy razem *Ivanhoe*. Robiliśmy to wieczorami na ganku, zanim poszliśmy spać. Uwielbiam tę historię i to wspomnienie. Chyba dlatego tak ci dokuczałem w związku z iPadem. Słyszałaś powiedzenie, że książki to miejsca, które odwiedzamy,

i gdy natykamy się na kogoś, kto czytał te same strony co my, to tak, jakbyśmy podróżowali w tym samym kierunku? Wiemy coś o nich, bo zamieszkiwali z nami te same światy. Wiemy, po co żyją.

Jack się zaczerwienił. Widziałam to po raz pierwszy i bardzo mnie to ujęło.

– Dobrze wiedzieć, że kochasz literaturę.

– Cóż, w każdym razie dziennik mojego dziadka.

– Czy to jedyny egzemplarz? Mogę potrzymać?

– Zrobiłem kopię. Przepisałem go od deski do deski, żeby zapamiętać każde słowo. To chyba śmiesznie brzmi. Naprawdę znam na pamięć niemal całość.

– Wcale nie śmieszne – odparłam, ostrożnie biorąc od niego notes.

Miał odpowiedni ciężar i był właściwie wyważony. Otworzyłam go i spojrzałam na pierwszą stronę. Widniało na niej imię dziadka – Vernon, jego wojskowy numer identyfikacyjny i adres: Bradford w Vermoncie, USA. Obok znajdował się atramentowy rysunek czołgu. Czy był to czołg niemiecki, czy aliancki – tego nie potrafiłam powiedzieć.

– Pochodził ze wsi, urzekło go to, co widział, i naprawdę potrafił pięknie pisać. Ale chyba nosił też w sobie pustkę. Ta podróż pomogła mu wrócić do siebie. Myślę, że tak samo będzie ze mną. Że ta podróż mi pomoże.

– Chciałabym przeczytać ten dziennik, jeśli to nie naduzycie.

– Byłabyś piątą osobą na świecie, która go czytała. Po moich rodzicach i babci.

Oddałam mu notes. Złożył go starannie, spiął gumką i schował do kieszeni. Potem wziął mnie za rękę i razem patrzyliśmy, jak łabędzie płyną z gracją w górę rzeki. Zwrócił mi uwagę na ich opalizujące pióra. Podobno legenda głosi, że kiedyś łabędzie żywiły się światłem, ale bogowie uznali ich piękno za zagrożenie, więc skazali ptaki na jedzenie trawy. Jednak one zdążyły już zjeść dostatecznie dużo światła i czasami to się uwidaczało.

Nie było potrzeby robić zdjęć.

Nie było potrzeby nic robić.

14

Po powrocie do hostelu wzięłam najrozkoszniejszy prysznic w życiu. Wyszorowałam każdy fragment ciała, umyłam i spłukałam włosy. Gdy tak poruszałam się pod strumieniem wody, co chwila myślałam o Jacku. Wtedy za każdym razem moje ciało przechodził mały dreszcz. Jack Vermontczyk. Nawet nie znałam jego nazwiska, chociaż już wiedziałam, jak miał na imię dziadek i że rodzina pochodziła z Bradford w Vermoncie. Do tej pory Jack był po prostu Jackiem, moim księciem z pokrywą od kubła na śmieci, zaklinaczem koni z minionej nocy. Za bardzo zajmował moje myśli.

Wyszędłszy spod prysznica, zobaczyłam, że gdy się myłam, Constance przysłała mi esemesa. Doszła do tego samego wniosku co ja: że nie ma sensu tak szybko opuszczać Amsterdamu. Właściwie nic jeszcze nie zobaczyłyśmy, byłyśmy tylko na imprezie, a chciała zwiedzić kilka miejsc. Wyjeżdżałyśmy ze względu na Amy, przypomniałam sobie. W Pradze miałyśmy umówione spotkanie i choć nie pamiętałam szczegółów, według planu pobyt w Amsterdamie nie mógł trwać dłużej niż tylko przez noc i część dnia. Nie był to dobry plan, ale ponieważ kontakt z Amy się urwał, nie mogłyśmy nic zmienić. Odpowiedziałam Constance, że niestety nie mamy wyboru. Zgodziła się niechętnie, wspominając na koniec, że Raef nazywa ją „swoją mużą”.

Wróciłam do pokoju, usiadłam na łóżku i zadzwoniłam do ojca. Długo nie odbierał. Kiedy wreszcie to zrobił, zorientowałam się, że jest na zebraniu albo gdzieś, gdzie nie może swobodnie rozmawiać. Tata stale bywał na jakichś zebraniach. Mówił szybko i krótko, a w tle słyszałam brzęk kieliszków i zgiełk rozmów.

– Cześć, kochanie – powiedział. – Jak tam wielka podróż po Europie?

– Świetnie, tato. Jesteśmy w Amsterdamie. Piękne miasto.

– Jak długo tam zostanieie?

– Dziś wyjeżdżamy. Jesteśmy tu tylko przejazdem, bo umówiliśmy się w Pradze z kuzynkami Amy.

– To dobrze – odparł. Potem najwyraźniej zakrył dłonią słuchawkę i powiedział coś do kogoś innego. Zawsze gdy przebywał w pracy, trudno było skupić na sobie jego uwagę. Co innego w domu, tam był cały twój.

– Posłuchaj – odezwał się po chwili – rozmawiałem z Edem Belmontem. Bardzo się cieszy, że dołączysz do jego zespołu. To będzie ciężka robota, ale warto. Od nikogo nie nauczysz się więcej. To stanowisko z przyszłością. Ale mówił, że wciąż nie załatwiłaś spraw papierkowych. Nie możesz tak do tego podchodzić, Heather. Przecież wiesz.

– Pamiętam o wszystkim, tato. Zajmę się tym, obiecuję.

– O tej ostatniej sprawie zapomniałaś – zauważył.

– Powiedziałam, że załatwię wszystkie formalności – powtórzyłam. – Słowo skautki.

– No dobra. Bo stawiasz mnie w niezręcznej sytuacji wobec Eda. Myślałem, że już to załatwiłaś. W biznesie najważniejsze jest pierwsze wrażenie.

– Zdaję sobie z tego sprawę, tato.

– Gdybyś sobie zdawała, już byśmy o tym nie mówili.

Tak było zawsze. Stale prowadziliśmy takie rozmowy. Nie wiedziałam, czego ode mnie oczekuje; co miałam powiedzieć? Może sam tego nie wiedział. Zdawałam sobie sprawę, że ma mnóstwo rzeczy na głowie i w jakimś sensie – biznesowym – jestem jedną z nich. Załatwił mi pracę u Eda Belmonta, a ja, niewdzięczna, nawet nie dopełniłam formalności, co oczywiście według niego należało zrobić przed terminem. Nie wykazywałam

dostatecznej wdzięczności i gorliwości, to zaś było sprzeczne z etosem biznesu. Jeśli miałam wkroczyć do jego świata, musiałam przestrzegać obowiązujących w nim reguł.

Ale jednocześnie cieszył się, kiedy wyjeżdżałam do Europy. Jakby sam nie mógł się zdecydować, co czuje, czego chce. Pewnie nawet nie miał świadomości, że wysyła sprzeczne komunikaty.

– Tato, pamiętam o swoich zobowiązaniach i oczekiwaniach zespołu Eda Belmonta. Naprawdę. *Ce ne sont pas tes oignons.*

– Słucham?

– To takie francuskie powiedzenie. Które znaczy, że to nie twój problem.

Usłyszałam jakiś hałas w eterze. Ojciec był zajęty i kiedy wrócił do rozmowy, jego głos świadczył o tym wyraźnie.

– To jest mój problem, Heather! Co zawsze powtarzam? Albo człowiek wywiązuje się ze swoich zobowiązań, albo nie. Nie ma drogi pośredniej.

– Ja się z nich wywiązuję, tato – odparłam, czując, że szyja mi czerwienieje, a krew uderza do głowy. – Nie martw się. Jestem w kontakcie z zespołem Eda. Wszystko będzie dobrze.

– Zadzwoń do nich, dobrze? Żeby się zameldować.

– To mogę zrobić, tato.

– Pamiętaj, Ed to taki sam stary upierdliwiec jak ja. Obaj czujemy się lepiej, gdy wiemy, co jest grane.

– Tato, nie jesteś starym upierdliwcem. Jesteś wielkim starym upierdliwcem.

Zaśmiałam się. Jeśli był zachmurzony, to trochę się rozpogodził.

– Kochanie, muszę już kończyć. Cieszę się, że u ciebie wszystko dobrze. Jak się mają dziewczyny?

– W porządku. Świetnie nam razem.

– To doskonale, doskonale. Cóż, młodość nie trwa wiecznie, no nie? Czy

nie tak się mówi? Okej, kochanie, zobaczę, co...

Nie dokończył, przerwało mu coś w przestrzeni międzykontynentalnej. Nie zadzwoniłam ponownie. Lepiej było do niego nie dzwonić, gdy miał zebranie.

15

– Wszystko straciłam! Wszystko! Telefon, prawo jazdy, paszport, co tylko można! Jestem najgorszą, najgłupszą amerykańską turystką, jaka kiedykolwiek żyła! – wykrzyknęła Amy, kiedy już jako tako doszła do siebie w hostelowej stołówce.

Nie wracała przez większość przedpołudnia, wreszcie pożyczyła od jakiegoś przechodnia komórkę, zadzwoniła do nas i powiedziała, żebyśmy nie jechały na dworzec, tylko czekały w hostelu. Nie wdając się w wyjaśnienia, oznajmiła jedynie, że wpakowała się w kłopoty, dość poważne, i sama jest sobie winna, bo zachowała się jak kretynka. Teraz, gdy siedziała z nami w małej sali, wyglądała jak dzikuska – jej potargane sztywne włosy przypominały czapę brytyjskiego grenadiera – i była tak zła, że mogłaby kogoś zabić.

– Musiały wypaść, kiedy podczas tamtej imprezy rzuciłam kurtkę na kanapę. Trzymałam je wszystkie razem w małej kosmetyczce w żabki... widziałyście ją. Ale kto wie? Może wysunęła mi się z kieszeni, gdy się ubierałam. Albo wcześniej. To takie głupie, że na samą myśl robi mi się niedobrze. Amy, ta świetna, nieustraszona Amy, która może jechać wszędzie, robić wszystko, okazała się najdurniejszą Amerykanką, jaka opuściła Stany.

– Miałaś tę kosmetyczkę w klubie jazzowym? – zapytałem. – Tym, do którego zabrał nas Raef?

– Tak, tak, wierzcie mi, analizowałam wszystko tysiące razy. Wróciłam nawet do mieszkania, gdzie odbywało się przyjęcie, ale jej tam nie było.

Właściciel, bardzo miły, obiecał, że się ze mną skontaktuje, jeśli ktoś ją znajdzie. Wymieniliśmy się telefonami.

– Myślisz, że ktoś ukradł ci dokumenty?

– To możliwe, ale nie sędzę. Podejrzewam, że je zgubiłam. Jestem beznadziejna.

Constance usiadła przy niej i wzięła ją za rękę. Nigdy nie widziałam Amy tak roztrzęsionej, ale miała powody. Całe to zdarzenie wydawało się pozbawione sensu, przynajmniej na początku, kiedy nie była w stanie opowiedzieć wszystkiego po kolei. Poprzedniej nocy zbyt się upiliśmy i naćpałyśmy, żeby pamiętać szczegóły. Jednak zasadnicze fakty nie budziły wątpliwości.

Amy straciła wszystkie dokumenty, pieniądze i telefon – i nie miała możliwości ich odzyskać.

– Mam przerąbane – oznajmiła. – Jestem kompletną idiotką! Kretynką!

– Spokojnie, Amy – odezwałam się. – Takie rzeczy się zdarzają. Jakoś z tego wyjdziemy. To tylko drobna komplikacja.

Nie śmiałam spojrzeć na Constance, bo byłam pewna, że tak samo jak ja zdaje sobie sprawę z sytuacji. Amy właśnie zaprzepaściła możliwość kontynuowania podróży. Nie miałyśmy czasu, żeby załatwić jej nowy paszport, wyrobić karty kredytowe i tak dalej. Dlatego była taka wściekła.

– Nie martw się, kochanie – powiedziała wreszcie Constance. – To tylko pewne utrudnienie. Heather ma rację.

– Nie, wcale nie. Nie mogę podróżować bez paszportu. Straciłam też wszystkie karty kredytowe. Muszę je unieważnić i zadzwonić do rodziców. Zaczną histeryzować, gwarantuję wam. Ostrzegali mnie przed czymś takim.

– Jak wszyscy nasi rodzice – zauważyłam.

– Tak, ale ja zawsze coś gubię! Nie znoszę siebie za to. Już w drugiej klasie stale gubiłam rękawiczki. Naprawdę! Mama była tym tak zmęczona, że kazała

mi zamiast nich nosić skarpetki brata!

Nic nie mogliśmy poradzić; ta uwaga nas rozśmieszyła. Po chwili także sama Amy dostrzegła absurdalność sytuacji. Ukryła twarz w dłoniach i zaczęła się śmiać. Był to śmiech przez łzy, ale zawsze śmiech.

Amy zadzwoniła z mojego telefonu w różne miejsca. Skontaktowała się z rodzicami i powiedziała im, co się stało, znowu się rozplakała, wzięła w garść, wytłumaczyła wszystko po kolei i kiwając głową, zapisała mnóstwo numerów telefonicznych. Dzwoniłyśmy z kawiarni obok dworca kolejowego. Nazywała się Café Van Gogh. Siedziałyśmy na zewnątrz, piłyśmy wodę i kawę, jadłyśmy krakersy z serem. Amy fragment po fragmencie odtworzyła wydarzenia minionej nocy, ale nie rzuciło to nowego światła na zniknięcie kosmetyczki. Przepadła jak kamień w wodę. Jak to się stało, nie miało jednak wielkiego znaczenia.

Późnym popołudniem szarpnęłyśmy się na pokój w hotelu Hollander. Amy mówiła, że nie może znieść myśli o pozostaniu w hostelu, więc Constance i ja zrobiłyśmy zrzutkę i wynajęłyśmy uroczy pokój z małym balkonem, wychodzący na jeden z kanałów. Był to duży wydatek i znacznie uszczuplił skromną kasę, którą zbierałyśmy w semestrze wiosennym, ale uznałyśmy go za konieczny. Gdy tylko zajęłyśmy pokój, Amy poszła pod prysznic i była tam tak długo, że Constance i ja, zaniepokojone, zaczęłyśmy wołać do niej co jakiś czas. Za każdym razem twierdziła, że czuje się dobrze. Nie bardzo jej wierzyłyśmy.

Jej rodzice dzwonili kilka razy; byli zmartwieni i usiłowali załatwić w kraju, co się tylko da. Byli jednak zdania, że Amy powinna wrócić do domu. Początkowo sądziłam, że nie ma takiej potrzeby. Zadawałam sobie pytanie: czy nie można znaleźć jakiegoś rozwiązania? Żadne jednak nie przychodziło mi do głowy – a kiedy popołudnie przeszło w wieczór i Amy wyszła z łazienki w ręczniku, ze ściągniętą twarzą, jakiej nigdy u niej nie widziałam,

podupałam na duchu. Chociaż karty kredytowe zostały unieważnione, trudno było uzyskać nowy paszport. Jego wydanie wymagało czasu, a nam zostały tylko dwa–trzy tygodnie. Amy straciła całą gotówkę, prawie siedemset dolarów. Słyszałam, jak w rozmowie z rodzicami rozważa wszystkie „za” i „przeciw”. Ale się narobiło!

Późnym wieczorem spotkałyśmy się z Raefem i Jackiem na fondue. Siedzieliśmy stłoczeni przy małym stoliku, z garnkiem roztopionego sera pośrodku i kawałkami chleba oraz kiełbasy na talerzu. Było to śmieszne miejsce o nazwie Byczy Kamień, jeśli dobrze zrozumieliśmy, położone z dala od turystycznych szlaków. Zaprowadził nas do niego Raef; wyglądało na to, że zna wszystkie ciekawe miejsca. I okazało się, że jedzenie ze wspólnego garnka, wśród śmiechów i przepychanek, dobrze Amy zrobiło.

Takie wieczory zawsze stanowią niespodziankę. Kto mógł przypuszczać, że będziemy się tak dobrze bawić! Można długo i starannie planować przyjęcie, zadbać o wszystko, podać pyszne jedzenie i doskonałe drinki, a zabawa jest do niczego. My tymczasem, choć zupełnie nie mieliśmy powodu do radości, wygłupialiśmy się i śmialiśmy z byle czego. Po każdym nowym wybuchu wesołości przychodziła następna kolejka piwa, serowe fondue znikало powoli, pieczywo i kiełbasa w miarę upływu czasu smakowały coraz lepiej, a ja myślałam o tym, jak mi dobrze, jak kocham swoje przyjaciółki, jak pasuje do mnie Jack, a do Constance Raef i jak dzielna jest Amy. Setki razy spoglądałam na Jacka albo przyłapywałam go na tym, jak spogląda na mnie, i mimowolnie myślałam, że nigdy nie znałam nikogo takiego jak on. Nigdy dotąd nie czułam się tak swobodnie, w takiej harmonii z żadnym facetem, więc kiedy spytał, czy przed snem nie poszłabym z nim na drinka, odparłam, że muszę uzgodnić to z Amy, sprawdzić, czy sobie poradzi, ale tak, tak, oczywiście, jeśli tylko nie będzie miała nic przeciwko temu.

– Ulubiony film? – zapytał Jack.

– *Babe*.

– Chyba żartujesz. O tej śwince, która marzy, żeby zostać psem pasterskim?

– Uwielbiam go. Ulubiony poważny film? O to ci chodzi? – zapytałam, trzymając kolana między jego kolanami, bo nasze stołki barowe stały blisko siebie. – *Moje pieskie życie*.

– Nie słyszałem o nim.

– Skandynawski. Chyba szwedzki. A twój ulubiony? – odwróciłam pytanie.

– *Lawrence z Arabii* albo *Gladiator*.

– Dobry wybór, w obu przypadkach. A gdybyś miał wybrać tylko jeden?

– *Gladiator* – odparł. – Ulubiona pora roku?

– Jesień. Banał, wiem, ale taka jest prawda. A twoja?

– Wiosna. Wtedy na farmie dziadka było najładniej. Miało się wrażenie, że wszystko przez długi czas spało, a potem, jak z nadejściem ranka, budziło się znowu.

– Farma w Vermoncie – powiedziałam. Zaczęłam go tam widzieć, rozumieć coś z jego życia. – Z dziadkiem i babcią, kiedy twoi rodzice się rozeszli.

Pokiwał głową. Nie miałam pojęcia, która jest godzina. Chyba dochodziła północ, ale co tam! Baru, w którym byliśmy, najwyraźniej jeszcze nie zamykano, nikt nie zamierzał nas wyrzucić. Barman, wysoki, chudy mężczyzna z wielką szpakowatą brodą, spędzał noce, grając na komputerze. Nawet nie podnosił głowy, kiedy wchodzili nowi klienci. To miejsce polecił nam taksówkarz. Nazywało się U Abrahama.

– Nie jesteś zmęczona, Heather Postlewaite? – zapytał Jack po chwili. – Mam odstawić cię do hotelu?

– Tak, oczywiście. Ale nie, jeszcze nie.

– Opowiedz mi o swojej przyszłej pracy. Dostałaś robotę w Bank of

America? W Nowym Jorku?

Skinęłam głową. Ten temat nie bardzo pasował do nastroju, ale Jack czekał, więc musiałam odpowiedzieć.

– Konkretnie w bankowości inwestycyjnej – odparłam ostrożnie. – Będę zajmować się rynkiem wschodnim... głównie Japonią. Znam trochę japoński. Nie, nieprawda. Znam go całkiem dobrze. Dlatego było mną zainteresowanych kilka firm. Zaczynam od piętnastego września. Będę dużo podróżować, w obie strony, i pewnie siedzieć po godzinach. To dla mnie wielka szansa.

– Intratna posada.

– Tak, lepsza, niż zasługuję. Lepsza, niż ktokolwiek zasługuje. Przyszłościowa.

– To dla ciebie takie ważne?

– Co?

– Pieniądze. Bogactwo. Dobra praca, życie na poziomie.

Przyjrzałam mu się uważnie. Żałowałam, że nie jestem w lepszej formie umysłowej, bo czułam, że jego pytania zabarwia pewna intencja, lekki krytycyzm, i to mi się nie podobało. Jeszcze tego potrzebowałam! Pociągnęłam łyk drinka i spojrzałam na ulicę. Światło pojedynczej latarni wypierało ciemność poza zarysy budynków.

– Przepraszam – powiedział. – Jestem trochę przeczulony i tyle. Sprawiasz wrażenie takiej... otwartej na świat, a to jakoś nie kojarzy mi się z pracownikiem korporacji. Kimś zatrudnionym w bankowości inwestycyjnej.

– Bankierzy inwestyjni żyją na świecie – odparłam, starając się zachować panowanie nad sobą. – Lubią go nawet i podziwiają.

– Rzeczywiście – przyznał. – Co racja, to racja.

Jednak powiedział to bez przekonania. Wziął mnie za rękę. Potem ją odwrócił i pocałował wewnątrz dłoni. Spojrzał mi w oczy.

– To przykre, co przydarzyło się Amy. Myślisz, że teraz wróci do domu?

– Chyba tak. Postara się przyspieszyć bieg spraw, ale jeśli nie uda jej się w najbliższych dniach uzyskać zastępczego dowodu tożsamości i całej reszty, będzie musiała wracać do Stanów.

– Pewnie słuszna decyzja. Szkoda, ale cóż.

– To smutne. Planowałyśmy tę podróż od dawna. Przez cały semestr wiosenny nie rozmawiałyśmy o niczym innym, a tu już koniec, tak po prostu. Dziwne, jak nagle sytuacja może się zmienić.

– Chyba nie lubisz zmian.

– Raczej nie. Sama nie wiem.

– Wszystko planujesz?

– Tak. A ty nie?

– Nie spieszę się z tym. Lubię niespodzianki.

– Jestem dziewczyną z terminarzem od Smythsona.

– Właśnie się o tym przekonuję. A ja mam stary dziennik spięty gumką.

Porządek w szufladach?

– Dobrze wykorzystana przestrzeń w szafie. Buty w rządkach. Przyprawy w porządku alfabetycznym.

– Ja jestem facetem, który wyciąga ciuchy z kosza na pranie.

– A co z zagnieceniami?

– Pozwalam im żyć. Wypuszczam je, żeby żyły na wolności.

– Ja bym tak nie mogła. To jak iść przez życie w skórze basseta.

– Uwielbiam bassety. Co jest z nimi nie tak?

– Nic, ale nie wiem, czy chciałabym być jednym z nich. Takim pomarszczonym stworzeniem z obwisłą skórą. Ty wcale nie jesteś bassetem, Jack.

– To kim?

– Może psem zaprzęgowym. Nie jestem pewna. Nie znam cię jeszcze za dobrze.

– A ty jesteś jednym z tych wystrzyżonych pudli?

– Mam nadzieję, że nie. Zawsze widziałam siebie jako labradora retrievera.

– Na pewno nie jesteś żadnym labradorem. One są mało wymagające, do szczęścia wystarcza im brudna tenisowa piłka w pysku.

– Jestem mało wymagająca. Chociaż nie wezmę do pyska brudnej piłki tenisowej.

Chwilę później wszedł mężczyzna z figurą Matki Boskiej w pudełku. Miał zepsute zęby i zaciętą twarz; nigdy u nikogo nie widziałam potężniejszych rąk, łopatkowate palce łączyły się z dłonią grubą i ciężką jak młot. Nosił na szyi czerwoną bandanę. Nie był jednak księdzem. Postawił pudełko na końcu baru i zapytał nas, a właściwie wszystkich obecnych, czy zechcielibyśmy się pomodlić. Nigdy w życiu nie zetknęłam się z czymś takim: pudełko zostało wykonane ze skrzynki do pakowania i obciągnięte gęstą siatką ogrodzeniową, w górnej części ramy była osadzona żaróweczka, która sprawiała, że na Matkę Boską spływało jakby światło niebieskie. Wiedziałam, że Constance padłaby z wrażenia. Jeśli jednak właściciel baru czy któryś z gości dostrzegł coś niezwykłego w tym pudełku i samym wizerunku Matki Boskiej z wyciągniętymi w powitalnym geście dłońmi, depczącej butem węża, żaden się z tym nie zdradził.

– Mamy dać coś na ofiarę? – Jack zapytał po angielsku przybysza z figurką. Ten kiwnął głową.

– Ile?

– Co łaska – odpowiedział tamten.

Jack pogrzebał w kieszeni i dał mu kilka monet. A potem zwrócił się do mnie.

– Modlisz się? – zapytał.

– Od dawna już nie.

– Ja nie modłę się często, ale dziś wieczorem czuję potrzebę. Nie codziennie do baru wkracza Matka Boska.

– Brzmi jak początek kiepskiego żartu.

– Obawiam się, że Bóg może czuć się samotny.

Jednak, ku mojemu zaskoczeniu, zamknął oczy i zaczął się modlić. Przyjrzałam się jego pięknemu profilowi, poważnej twarzy, i nie mogłam się do niego nie przyłączyć. Na koniec się przeżegnał i skinął głową mężczyźnie z Matką Boską w pudełku. Ten odpowiedział tym samym. Była noc i zdawało się, że zrozumiał potrzebę modlitwy.

17

Nad ranem położyłam się spać obok Amy. Dobrze było znaleźć się w ciepłym łóżku. Kiedy wślizgiwałam się pod kołdrę, Amy się odwróciła i wymamrotała coś sennie, a potem znowu zapadła w sen, przyjemny albo nie. Przez chwilę poruszała stopami, jakby pedałowala, a potem przestała i zaczęła oddychać miarowo. Przez jakiś czas patrzyłam na jej twarz i usiłowałam sobie wyobrazić, przez co przechodzi. Byłam jednak zbyt zmęczona, żeby to coś dało.

Constance obudziła nas około południa; stanęła w nogach łóżka z kawą, bułką i croissantami na tacy. Przyniosła talerzyki oraz białe wykrochmalone serwetki i rozłożyła na pościeli. Podciągnęłam się na poduszki i żeby oprzytomnieć, roztarłam oczy. Kawa pachniała cudownie, a croissanty, leżące między porcjami dżemu malinowego i białymi kosteczkami masła, uświadomiły mi, jaka jestem głodna.

– Dwa razy dzwoniła do mnie twoja matka, Amy – oznajmiła Constance, nalewając kawy do filiżanek i dodając śmietanki. To było w jej stylu: przemienić śniadanie w ceremonię podawania herbaty. – Powiedziałam jej, że

pozwole ci pospać do dwunastej, a potem pobudka. Dwunasta minęła.

– Muszę siku – odparła Amy. – Daj mi jeszcze pół godzinki, potem pomyśle o mamie i całej reszcie.

Wyskoczyła z łóżka, ale po kilku minutach do niego wróciła. W tym czasie przeczesła włosy i umyła zęby. Usadowiwszy się w pościeli, strzepnęła poduszki za plecami.

– Nie przychodzi mi do głowy nic, czego w tej chwili pragnęłabym bardziej niż filiżanki kawy i pysznego croissanta – oświadczyła. – Dzięki, Constance. Ratujesz mi życie.

– Przyniosłam je z jadalni na dole. Jest zaskakująco elegancka, wiecie? Mam na myśli jadalnię. To chyba lepszy hotel, niż nam się wydawało.

Poczekalam, aż poda mi kawę ze śmietankę. Objęłam filiżankę dłońmi i przytuliłam do piersi.

– Dobra – odezwała się Amy raźniejszym głosem, takim, jakim mówiła przed stratą dokumentów i pieniędzy – przeanalizujmy tabelę wyników. Kto jest zakochany?

Constance się zarumieniła i nie podniosła wzroku. Nadal mieszała kawę, dodając do niej śmietanki. Ja z kolei poczułam, jak zwykle w takich sytuacjach, że moja szyja oblewa się czerwienią.

– A niech mnie! – skomentowała Amy nasze milczenie. – To znaczy, że obie się zakochałyście. O rany, to dzieje się naprawdę. Bez żartów? Nie wkręćcie mnie, prawda?

– Raczej dopiero się zakochujemy – sprostowała Constance łagodnie. – Może. Jeszcze za wcześnie, żeby coś powiedzieć. Ale rzeczywiście bardzo lubię Raefa. Bardzo, bardzo.

Skończyła nalewać sobie śmietanki i podniosła kawę do ust. Oczy jej błyszczały nad brzegiem filiżanki. Była szczęśliwa, zakochana czy bliska zakochania, tak jak powiedziała, i było to po niej widać.

– Skończysz na farmie owczej w Australii i ja tego nie wytrzymam! – zapiszczała Amy, szeroko otwierając oczy. – Jesteś jego żoną. Ale historia! Śmieszna historia! Jak oni je nazywają? Nie farmy, tylko... zagrody. Owcze zagrody, no nie?

– Nie mam pojęcia – odparła Constance.

– Właśnie że masz, dobrze wiesz, ty kłamczuszko. Już to sobie wszystko wyobraziłaś. Wiatr, stada skaczących kangurów, wszędzie tylko czerwony pył i owce, ale ty masz białe obrusy. Zgadza się, Heather?

– Jeśli ktoś ma je mieć, to Constance – przyznałam.

– A ty... nie jesteś lepsza od niej! Jack Vermontczyk, szalony Jack! Dobra, będą mi potrzebne dwie suknie dla drużyny, chyba że weźmiecie ślub podczas jednej uroczystości... podwójny ślub, wspólne wesele! Tak zrobimy. Będzie oszczędniej. Tylko niech ktoś mi powie, dlaczego muszę być w tym wszystkim drużyną? Wciąż drużyna, ani razu panna młoda!

– Chyba trochę cię poniosło. Może się okazać, że Jack jest zbyt dominujący i krytyczny. To raport z frontu.

– „Może”? – zapytała Amy, patrząc na Constance z błyskiem w oku.

– Jest artystą. A przynajmniej tak mu się wydaje. To znaczy chce nim być. Pokpiwa z moich planów zawodowych. Twierdzi, że pracownicy korporacji są zamknięci na świat.

– Och, tak tylko mówi. To wyłącznie poza – orzekła Constance. – Szaleje za tobą. Każdy to widzi.

– W jednej chwili jest miły i bezpośredni, a już w następnej prawi mi kazania, jak powinno się żyć. Wyznaje zasadę *carpe diem*, ruszaj w nieznaną i nie martw się o jutro...

– Ty jesteś zakochana – zauważyła Amy ze śmiechem. – Miałabyś gdzieś, co wygaduje, gdyby cię nie rajcował.

– Podrajcowana dziewczyna – podsumowałam.

– Jest o wiele za wcześnie, żeby brać to na poważnie – włączyła się znowu Constance, biorąc mnie w obronę. – Na razie można tylko dobrze się bawić.

– Obie dobrze się bawicie – rzuciła Amy. – Ale z was zdziury!

To było urocze i zabawne, ale czułam podskórnie, że Amy nadrabia miną. Ona sama też była tego świadoma, ale grała dalej. Miała przed sobą rozmowę telefoniczną z rodzicami, wizytę w konsulacie w sprawie paszportu, widmo powrotu z podkulonym ogonem przed zaplanowanym końcem podróży – same nieprzyjemne rzeczy – i zdawała sobie z tego sprawę. Wszystkie zdawałyśmy sobie sprawę, ale udawałyśmy, że jest inaczej, i trzymałyśmy fason.

Wypiłyśmy kawę, zjadłyśmy croissantsy i dżem malinowy. W pewnym momencie Constance wstała z łóżka i otworzyła duże drzwi balkonowe. Do pokoju wpadł powiew wiatru, który uniósł białe, prawie przezroczyste zasłony, i chyba każda z nas pomyślała o tym samym: że jesteśmy w Europie i że warto zapamiętać widok unoszonych wiatrem zasłon w środku dnia.

Potem, jakby z daleka, zadzwonił telefon, wiedziałyśmy jednak, że to matka Amy albo ktoś z konsulatu w jakiejś przyziemnej sprawie, która wymagała uwagi. Magiczna chwila przeminęła, więc zabrałyśmy tacę z łóżka i strzepnęłyśmy z niego okruchy. Constance włożyła do ust ostatnią łyżeczkę dżemu, jakby chciała zapamiętać, musiała zapamiętać to wszystko. Zasłona opadła i zaczął się nowy dzień.

– To kwestia światła, prawda? – zapytał Jack.

Nie wyjechałyśmy z Amsterdamu. Nie mogliśmy wyjechać, dopóki Amy nie uporządkuje swoich spraw albo nie podejmie decyzji, żeby jednak wrócić do domu. Poza tym nie chciałyśmy zostawić Jacka i Raefa. Jack i ja staliśmy teraz przed *Mleczarką*. To dziwne – pomyślałam – zobaczyć na własne oczy obraz, który przez wszystkie szkolne lata oglądało się w albumach. Oto on, niepozorny portret dziewczyny przelewającej mleko z dzbanka do miski. Przez okno po prawej stronie od kosza wpadało światło – łagodne, poranne, jak się

wydawało – nadając scenie aurę spokoju. Wiedziałam z małej broszury, którą dawali w recepcji Rijksmuseum, że zdaniem większości historyków sztuki Vermeer posłużył się *camera obscura*, żeby uchwycić obraz mleczarki i oddać punkciki światła na meblach. Widać było jego refleksy na fartuchu dziewczyny i brzegu dzbanka. Żeby jednak ukazać samotną chwilę w domowym zaciszu, malarz poszedł dalej, wykraczając poza możliwości *camera obscura*. To była kwestia światła, jak powiedział Jack. Stałam przed obrazem urzeczona. Ze wszystkich dzieł sztuki, jakie widziałam dotąd w Europie, to było moje ulubione.

– W Paryżu oglądałam *Monę Lizę* – powiedziałam. – I nie zrobiła na mnie wielkiego wrażenie. Ale to?

Ścisnęło mnie w gardle.

– Właśnie – potwierdził Jack.

– Jakby przebywała za ścianą. I światło jest wciąż takie samo, jakby czekało, żeby ktoś z nas je odkrył.

– Zgadzam się. Ja też mam takie wrażenie.

– To taka rzeczywista scena, ale nie tylko. Jakby kwintesencja wszystkiego. Przepraszam, wiem, że to brzmi pompatycznie albo po prostu głupio, ale tu nie chodzi o zwykłe światło dnia, tylko o cały świat, nie sądzisz?

Jack wziął mnie za rękę. Nie bardzo wiedziałam, dlaczego jestem taka poruszona. To był nerwowy dzień, Amy dzwoniła do rodziców i wciąż się z nimi kłóciła, a ja miałam poczucie, że już niedługo, bardzo niedługo, znajdę się w samolocie do Nowego Jorku, żeby podjąć pracę, która nagle wydała mi się – w porównaniu z piękną prostotą dzieła Vermeera – głośna i trudna. Nic nie sprawiało wrażenia pewnego, ustabilizowanego; nic nie układało się tak, jak się spodziewałam. Obraz – a właściwie całe popołudnie w muzeum, z Jackiem raz po raz biorącym mnie za rękę – był wręcz piękny, nie tak jak Paryż Hemingwaya, ale na podobnej zasadzie, bo stanowił wyraz dążenia do

prostoty i wzniosłości, i moje serce otwierało się przez nim z bólem.

– Wiem, co powinniśmy zrobić – oświadczył Jack. – To będzie idealna przeciwwaga dla popołudnia w muzeum.

– Nie wiem do końca, czy jestem w awanturycznym nastroju.

– Będiesz. Obiecuję. No, proszę cię. Musimy uciec od przeszłości i ruszyć ku przyszłości.

– Gdyby tylko to było takie łatwe.

– Co ci jest, Heather?

– Weltschmerz – odparłam, czując wagę tego słowa, gdy je wypowiadałam.

– To niemieckie określenie zmęczenia i bólu. Chodzi o to, że rzeczywistość nigdy nie sprostą potrzebom duszy. Pisałam o tym pracę na drugim roku. Pamiętam to słowo, bo dobrze oddaje nastroje, które czasami mnie nachodzą.

– Welt...? – zapytał.

– Weltschmerz. Niejasny lęk i znużenie światem. Tak brzmi definicja.

– Ojej. Czy muzea zawsze tak na ciebie działają? Będziemy ich unikać.

– Przepraszam. Nie chciałam marudzić.

– Nie przepraszaj. Chodź. To niedaleko. Znalazłem to miejsce ostatnim razem, gdy byłem przejazdem w Amsterdamie.

Nie miałam siły się opierać. Jack pociągnął mnie za rękę i wyprowadził z budynku. Pięć minut później staliśmy w recepcji szkoły szermierki na obrzeżach ogrodów Rijksmuseum. Idea szkoły fechtunku – pomysł, żeby porzucić zwykłe codzienne życie dla floretu, szpady czy jak, do diabła, nazywa się ta broń – wydała mi się tak absurdalna, że nawet trochę poprawił mi się humor. Jack zapytał o coś trenera i kiwając głową, słuchał jego odpowiedzi. Trenerem był młody mężczyzna z trójkątną bródką. Wyglądał jak Zorro, tylko nie był tak zabójczo przystojny.

– Zmierzymy się ze sobą – powiedział Jack. Podał trenerowi swoją kartę kredytową i spojrzał na mnie. – To będzie walka na śmierć i życie. Kiedy

kogoś dopada egzystencjalny lęk, powinien przekroczyć granice. Spojrzeć w oczy śmierci.

– Jack... – zaczęłam, ale zdałam sobie sprawę, że właściwie nie wiem, co chcę powiedzieć. W gruncie rzeczy szermierka była mi zupełnie obojętna. Tak jak niemal każdemu. Ale wciąż czułam się rozdrażniona i rozbita.

– Dobrze ci to robi, wierz mi. To najlepszy sposób, żeby zwalczyć... jak ty to nazwałaś?

– Weltschmerz.

– Właśnie, Weltschmerz – odparł Jack. Odebrał kartę kredytową od Zorro.
– Zaufaj mi. Walcząc o życie, człowiek przestaje odczuwać znudzenie światem.

– Nie mam pojęcia o szermierce, Jack. Nigdy nawet o niej nie myślałam.

– Doskonale – skwitował i wziął od trenera sprzęt.

Dwa białe stroje były przemyślnie owinięte wokół pary floretów. Jack podał mi jeden komplet, a trener wręczył maskę przypominającą kapelusz pszczelarza. Miała z przodu siatkę. Mogliśmy też podłączyć się do czujnika rejestrującego trafienia. Trener przez kilka minut tłumaczył Jackowi, jak to zrobić.

– Można by samemu do tego dojść, no nie? – zapytał mnie Jack, kiedy tamten skończył. – To tylko dwa kombinezony.

– Naprawdę będziemy walczyć? Teraz? To chcesz powiedzieć?

– Przystaniesz myśleć o wszystkim innym z wyjątkiem pojedynku. Możesz mi wierzyć. Od razu krew zacznie ci szybciej krążyć w żyłach.

– To szaleństwo.

– Jasne, że tak. Wszystko jest szaleństwem. Cały świat szaleje. Nie wiedziałaś o tym, Heather? Każdy udaje kogoś innego i w sąsiednim pokoju nie ma nikogo, kto byłby naprawdę dorosły.

– Jestem bardzo ambitna. Powinieneś to wiedzieć. Krzyżując ze mną miecz, powinieneś wiedzieć, że nie biorę jeńców.

– Floret – poprawił mnie. – A teraz idź do damskiej szatni i się przebierz. Zamknij swoje rzeczy w szafce, masz tu klucz. I przygotuj się na to, że przebiję cię swoim ostrzem.

Spojrzałam mu w oczy.

– To bardzo freudowskie, ta cała szermierka – zauważyłam. – Skupia się wokół penisa.

– I o to chodzi.

– To mogą być twoje ostatnie chwile na tym świecie, Jack. Ciesz się nimi, póki czas.

– Jeszcze zobaczymy.

Trener się zaśmiał. Przysłuchiwał się naszej wymianie zdań.

– Amerykanie. – Pokręcił głową.

– A żebyś wiedział – odpowiedziałam.

Odwrociłam się i wzięłam z kontuaru biały strój.

Stojąc w stroju szermierczym naprzeciwko kogoś, kto ci się podoba, i trzymając w dłoni floret, dowiadujesz się kilku rzeczy. Przekonujesz się, i to dość szybko, że w czymś takim nie możesz wyglądać zgrabnie. A także – jeśli masz szczęście – że ten, który ci się podoba, prezentuje się rewelacyjnie, gdy tak stoi z szerokim, pełnym rozbawienia uśmiechem na wprost ciebie, odwrócony bokiem, żeby jak najbardziej utrudnić ci trafienie. Co irytujące, zauważasz również, że twój dyskomfort sprawia mu dodatkową frajdę, więc kiedy unosi maskę i szczyrzy się do ciebie, a następnie radzi lekką zmianę pozycji łokcia podczas wypadu, masz ochotę go pocałować i zabić jednocześnie, a nade wszystko dźgnąć w pierś, żeby na chwilę zatriumfować tak, jak on triumfował przez prawie całą godzinę, traktując cię jak poduszkę na szpilki.

– Naprawdę jest z ciebie wściekły pies – zauważył Jack po dwudziestym, pięćdziesiątym, setnym starciu. – Kto by się spodziewał? Ja nie. Prawdziwa

Heather to trochę socjopatka.

– *En garde!* – rzuciłam, głównie dlatego, że podobało mi się brzmienie tych słów.

– Daj mi włożyć z powrotem maskę.

Drżała mi ręka. Drżało mi całe ciało. Jeśli czułam wcześniej Weltschmerz, przeszedł mi zupełnie. Byłam pobudzona, w moich żyłach krążyła adrenalina. Jack powoli, bardzo powoli opuścił maskę. Uśmiechnął się, ale siatka skryła ten uśmiech.

Przystąpiłam do natarcia.

Gdyby w chwili, kiedy przechodziłam przez drzwi szkoły szermierki, ktoś mi powiedział, że zamienię się w spragnioną krwi dzikuskę z floretem w dłoni, nazwałabym go wariatem. Ale naprawdę stałam się taką dzikuską. Szaloną dzikuską. I upajałam się ciężarem floretu, niebezpieczeństwem, które ucieleśniał. To była jedna z najlepszych dziedzin sportu, rywalizacja jeden na jednego. Czułam się już zmęczona, ale nie mogłam się powstrzymać przed kolejnym atakiem.

Jack sprawnie go odparł, wymierzył floret w moją pierś i dokonał pchnięcia.

– *Touchée!* – zawołał.

– *Touchée* – przyznałam.

Jednakże zaatakowałam znowu. Staliśmy w pozycji *en garde*. Wcześniej dostałam od Jacka kilka wskazówek, ale trudno mi było je spamiętać. Byłam żądna krwi. Chciałam go pokonać. Chciałam poczuć przyjemność, jaką sprawia wbicie ostrza w ciało przeciwnika i zadanie mu „jawnego dotknięcia” ⁴, jak mówi Hamletowski nauczyciel fechtunku w finałowej scenie dramatu. Wyobraziłam sobie nawet, że sama jestem gotowa oddać życie, jeśli tylko mogłabym je odebrać. Nienormalne.

Ale to nie miało znaczenia. Nie dokonałam wielkich postępów. Jack odparł

moje niewprawne ataki i obrócił się na bok. Wykonał błyskawiczny wypad i zanim zdążyłam cokolwiek zrobić, znowu dotknął mnie ostrzem szpady.

– Cholera! – zawołałam.

– To wymaga czasu.

– Robienie na drutach wymaga czasu. Chcę krwi.

– I ty mi mówisz o Freudzie.

– Sam się prosiłeś, Jack. Otworzyłeś puszkę Pandory. Ostrzegałam cię.

– Dobra, więc kończmy. Wynająłem salę na godzinę.

– To było niesamowite przeżycie.

– Dobrze się czujesz, co?

Kiwnęłam głową. Potem przyjąłam pozycję, mówiącą, że jestem gotowa do walki. Jack przyjął to do wiadomości i rzucił:

– *En garde.*

Przystąpiłam do natarcia.

Tym razem jednak, zanim Jack zdołał odparować mój atak, zrobiłam krok do tyłu. Wykonałam szybki ruch nadgarstkiem i uderzyłam w jego floret, tak że opadł w dół. Jack był zbyt silny, żeby pozwolić mi na kolejne otwarcie, więc rzuciłam się z bronią do przodu i dotknęłam nią wewnętrznej strony jego ramienia. Nie było to regulaminowe pchnięcie, ale w tej chwili, po godzinie prób, zbliżyłam się do niego najbardziej. Jack się cofnął i podniósł maskę.

– To chyba można uznać za trafienie – powiedział.

Też zdjęłam maskę. Staliśmy naprzeciw siebie zdyszani i mierzyliśmy się wzrokiem; nigdy nie czułam się bardziej pełna życia i pobudzona. Podbiegłam do niego, rzuciłam mu się w objęcia i pocałowałam go tak mocno jak jeszcze nikogo do tej pory. On opuścił floret do boku, napiął mięśnie i podniósł mnie, a potem, w dwóch krokach, z ustami na moich ustach, przyparł do wyściełanej ściany naszej małej sali, ja zaś czułam pot, krew, pasję i gorąco, wszystko to razem cudowne i bolesne jednocześnie.

Nic nie mówiliśmy. Nie było takiej potrzeby. Jack całował mnie coraz natarczywiej i nagle nasze ciała zaskoczyły, jakby przeszły na znacznie wyższy, pierwotny bieg, i gwałtowność przeszła w delikatność. Wtedy się zatrzymał, objął mnie mocniej i spojrzał mi w oczy.

- To jeszcze inna Heather – szepnął.
- Ta sama – odparłam, z trudem łapiąc oddech.
- Jesteś niesamowita.
- Cicho bądź.

Znowu mnie pocałował. Tym razem tak mocno, że czułam, jak moje plecy, zebra wciskają się w ścianę. Był silny. Niewiarygodnie silny. Obejmowałam go nogami w pasie i to była taka erotyczna gra, z całą pewnością erotyczna gra, ale i coś jeszcze, coś poza Weltschmerzem, co neutralizowało wszelkie fałszywe myśli czy tanie emocje. Pragnęłam jego ciała, całego, ale jednocześnie pragnęłam czegoś głębszego, czegoś, co miało związek ze światłem na obrazie Vermeera w lekkiej porannej mgle i z kolorem misy napełnianej przez mleczarkę; pragnęłam potu, miecza i jego pchnięć. Oczywiście było to niezdrowo freudowskie, jasne, ale kto by się tym przejmował? Nawet gdyby Jack przebił się ze mną przez ścianę, gdybyśmy razem zrobili w niej czarną wyrwę, jak bohaterowie kreskówek przelatujący przez góry, nie przestałabym go całować. Wtedy jednak ktoś zapukał, gdzieś daleko, Jack odwrócił się powoli, odrywając ode mnie usta, i zobaczyliśmy Zorro; stał w drzwiach, z niewinną miną, trzymając w prawej ręce podkładkę z kartkami.

- Czas się skończył – oznajmił, rumieniąc się. – Przykro mi.

Jack pokiwał głową, a ja opuściłam nogi. Jeśli w moich żyłach pozostała jeszcze krew, zamieniła się w miedź i musiałam oprzeć się o ścianę, żeby nie stracić równowagi. Jack i ja staliśmy przez dłuższą chwilę obok siebie, oboje świadomi, że wystarczyłoby zaledwie dotyk, aby wszystko w jednej chwili

zaczęło się od nowa.

18

– Raef poprosił mnie, żebym pojechała z nim do Hiszpanii. To już prawie koniec naszej podróży – powiedziała Constance. – A w Maladze odbędzie się festiwal jazzowy.

Na tym skończyła. Byłyśmy w łazience, obie myłyśmy zęby i obie wymieniałyśmy spojrzenia w dużym lustrze nad umywalką.

Uśmiechnęłam się. Miałam jednak za dużo piany w ustach, żeby to odpowiednio wyszło, trochę więc wypłułam, zanim znowu popatrzyłam Constance w oczy.

Na chwilę się zatrzymała i popatrzyła na mnie ze łzami.

– Czy to rzeczywistość? – zapytała. – To dzieje się naprawdę? Czy może coś sobie uroiłyśmy?

Powiedziała to tak cicho, że aż serce mi się ścisnęło. W jej głosie była czułość i tęsknota, które zaskoczyły chyba ją samą.

– Ty i Raef? Tak – odpowiedziałam sobie. – Chyba tak. Znalazłaś swoją część.

„Część” było naszym słowem, którego używałyśmy na określenie czegoś, co wydawało się nieodłącznym elementem jakiejś rzeczy. Amy, Constance i ja stanowiłyśmy nawzajem swoją część. Zimne piwo podczas meczu, rozpalony kominek w małym przytulnym barze, zapach trawy w wiosenny ranek, lilie, brzęczenie pszczoły uderzającej raz po raz w siatkowe drzwi – to wszystko były „części”.

– Tak czuję, ale to chyba jakieś szaleństwo, nie sądzisz? Nie wiem, co o tym myśleć. Naprawdę. Znam go zaledwie jeden dzień, może trochę dłużej. I obiecałam rodzicom, że się od was nie odłączę.

– Nie myśl. Daj się ponieść. Idź za tym i zobacz, co się stanie. Nie przyjechałyśmy do Europy, żeby wyjść na tchórzy, no nie?

Przez chwilę patrzyła mi w oczy. Potem wypluła spienioną pastę i wróciła do rzeczywistości.

– Nie pojedę bez ciebie – oznajmiła, nachylając się nad kranem. – Nigdy bym tego nie zrobiła, ale nie wiem, jak mają się sprawy między tobą a Jackiem... gdybyśmy mogli pojechać wszyscy razem, to byłoby co innego. Przysięgam, mam wrażenie, jakbym była na prochach. Nigdy wcześniej tak się nie czułam.

– Kiedy jest ten festiwal?

– Chyba w ostatnim tygodniu naszego pobytu tutaj.

– Powinnaś z nim jechać. Nie wiem, jakie Jack ma plany. Nawet gdybym miała przez jakiś czas podróżować sama...

Constance pokręciła głową.

– Nie. Nie ma mowy. Nawet nie biorę tego pod uwagę. Nie zostawię cię samej.

– Chyba i tak chciałabym wrócić jeszcze do Paryża – odparłam, czując, że rzeczywiście tak jest. – Może namówię Jacka, żeby mi towarzyszył. Wylatujemy z lotniska Charles'a de Gaulle'a, więc mogłabym przyjechać tam parę dni wcześniej. Zobaczymy. Jack ma przyjaciela, który mieszka w Wiedniu. Zamierza wybrać się do niego. Wszystko się jakoś ułoży. Mnóstwo ludzi w naszym wieku podróżuje po świecie.

– On z kolei jest twoją częścią – zauważyła. Wyprostowała się i znowu spojrzała mi w twarz. Otarła ręcznikiem usta. – Wiem to bez pytania. Jesteś jak obraz, który nagle nabiera ostrości, gdy pojawia się Jack. To cudowne. A on świata poza tobą nie widzi. Raef też tak mówi.

– Nie wiem, co o nim myśleć. Czuję się jak ktoś, kto wybrał się na ryby i od razu złowił jakąś olbrzymią. Nie spodziewałam się czegoś takiego –

odpowiedziałam. – To wszystko jest takie śmieszne, no nie? Ledwie przyjechaliśmy do Europy i natychmiast zakochałyśmy się po uszy w dwóch chłopakach.

– Jednak nie sprawiają wrażenia chłopców, prawda?

Constance nie odrywała ode mnie wzroku. Nie chciała, żebym tak łatwo porzuciła temat Jacka i Raefa. Nie chciała, żebym sklasyfikowała ich obu jako uczelniane romanse, nieważne przygody, które szybko się zaczynają i szybko kończą. Odwiesiła ręcznik po swojej stronie umywalki.

– Nie, rzeczywiście, nie – potwierdziłam, wciąż na nią patrząc. – Sądzę jednak, że Jack ma jakiś sekret. Nie wiem jaki, ale coś kryje się za jego podróżą po Europie. Nie wiem, czy wychodzi czemuś naprzeciw, czy przed czymś ucieka. Coś jednak w tym jest. Coś, czego nie potrafię rozgryźć.

– Pytałaś go o to?

Pokręciłam głową.

– Nie, nie wprost. To tylko podszept intuicji. Przeczucie, że w tej układance brakuje jakiegoś elementu. Jack dokucza mi w związku z planami pracy w Bank of America, sugeruje, że korporacja zabija duszę. Już o tym wspominałam.

– Wygoogluj go. Ja wygooglowałam Raefa i dowiedziałam się, że jest bardzo aktywny na jazzowych forach dyskusyjnych. To mnie w jakiś sposób uspokoiło.

– O rany, nawet nie znam jego nazwiska. Jest dla mnie po prostu Jackiem Vermontczykiem. Czy to nie absurdalne? Przypomnij mi, żebym go o nie zapytała, dobra?

Kiwnęła głową, opłukała szczoteczkę, a potem wyciągnęła rękę i uściśnęła mi dłoń.

Po raz pierwszy pokłóciliśmy się, czy też posprzeczaaliśmy, poprzykaliśmy, w stylu „kim właściwie jest ten człowiek i dlaczego ze wszystkich ludzi na świecie spędzam czas akurat z nim, znak zapytania, znak zapytania, znak zapytania”, przy stoliku – jednym z tych obrzydliwie uroczych kawiarnianych stolików, jakie widywałam wszędzie w Europie, ale nigdzie w Stanach – nad kanałem na obrzeżach miasta. Wieczorem miałyśmy z Constance złapać pociąg do Berlina, więc ja i Jack postanowiliśmy wypożyczyć rowery – wszechobecne czarne rowery, które widać w Amsterdamie na każdym kroku (Jack nawet ukuł ładną metaforę, porównując ścieżki rowerowe do szlaków mrówek, holenderskich czarnych mrówek parasolowych, które znoszą szczątki roślin do mrowiska), i spędzić przedpołudnie, jeżdżąc po mieście. Oczywiście – jak to z Jackiem – pogoda nie zawiodła. Nad Amsterdamem świeciło idealne słońce, nie za gorące, nie za chłodne, woda w kanałach lśniła, Jack się śmiał i brał mnie za rękę za każdym razem, gdy się zatrzymywaliśmy; flirtowaliśmy, dwa razy całowaliśmy się w nedorzecznie pięknych miejscach, miasto było czyste, świeże i pełne kwiatów, wspaniałych kwiatów.

A potem objawił się Jack wilk.

Nie zrobił tego nagle, dysząc i warcząc, burząc mój dom.

Objawił się z uśmiechem, przy lunchu i smukłej butelce pilznera, w promieniach słońca. Wydawał się przystojniejszy, niż wypadało mężczyźnie, z rowerem opartym o mój rower, w maleńkiej restauracji przy maleńkiej brukowanej uliczce z sielskim widoczkiem.

– Jesteś pewna, że chcesz się dowiedzieć? – zapytał niewinnie. – To nic takiego. Tylko teoria, ale raczej ci się nie spodoba.

– Jasne, że chcę. Jestem otwarta na wszelkie teorie. Wal!

– Przeczytałem o niej i tyle. Przypomniało mi się, kiedy zaczęłaś mówić o Nowym Jorku. Według tej teorii Nowy Jork to więzienie, które osadzeni zbudowali dla samych siebie. To wszystko. Taka koncepcja, którą ktoś

rozważa.

– Mów dalej.

– Na pewno chcesz wiedzieć? To tylko wizja.

– Wizje są ciekawe.

Wziął głęboki oddech i uniósł brwi, jakby zamierzał przedstawić pogląd, którego wcale nie podzielał. Jakby tylko powtarzał coś, czego słuszności bynajmniej nie był pewien.

– Hm, jeśli prześledzić tok rozumowania, wygląda on tak: mieszkańcy Manhattanu zajmują niewielki obszar słońca, jeden obok drugiego, i żeby nadać temu sens, tworzą wspólnie iluzję, że mają misję. Jeśli uda ci się tutaj, uda ci się wszędzie... cały ten beznadziejny kit. Gromadzą więc dzieła sztuki i najlepsze filmy, które w gruncie rzeczy stanowią część kosztów ponoszonych przez więzienie. Trzeba dostarczać takich rzeczy, bo inaczej więźniowie się zbuntują. Ale gdy idziesz ulicami i rozglądasz się wokół, łuski spadają ci z oczu, żeby się tak wyrazić. Widzisz tylko brud, śmieci i bezdomnych. Tak jest w każdym mieście, to fakt, ale w Nowym Jorku występuje pewien pyszałkawy element, który twierdzi, że nie ma lepszego miejsca na świecie. Tymczasem najwięcej wysiłku kosztuje tam utrzymanie codziennej dyscypliny. W Nowym Jorku liczy się wyłącznie pozycja. Czasami ma się wrażenie nowości, na przykład kiedy przyjeżdża cyrk albo odbywa się premiera filmu, ale tak naprawdę nic się nie zmienia. Muzea organizują nowe wystawy i nikt o niczym innym nie mówi, odbywają się bale dobroczynne i wszyscy rozwodzą się nad strojami, nową modą... Sam nie wiem, Heather. Pewnie gadam bzdury. Tak jak mówiłem, to jedynie teoria, o której czytałem.

Jednak wcale nie gadał bzdur. Mówił bardziej do rzeczy, niż mu się zdawało, choć może w innym sensie, niż zamierzał. Przez chwilę nie odpowiadałam. Nie wiem, skąd się to we mnie wzięło, ale wbrew sobie chciałam usłyszeć więcej, poznać jego zdanie do końca. Chciałam się

dowiedzieć, dlaczego musiał burzyć mój świat, żeby budować swój. Mężczyźni czasami tak postępują. Nie pierwszy raz się z czymś takim spotykałam.

– Czy tego samego nie można powiedzieć o każdym większym mieście na świecie? – zapytałam delikatnie. – Czy tak nie jest we wszystkich skupiskach ludzkich?

Pociągnął łyk piwa. Wyglądał niesamowicie, gdy tak popijał. Mięśnie jego przedramienia napinały się interesująco.

– Może tak. Niewykluczone. Ale wygląda na to, że mieszkańcy Nowym Jorku do tego właśnie aspirują. Każdy pnie się w górę, choć w gruncie rzeczy nie wie, dokąd zmierza i co chce osiągnąć. Nawet najbogatsi nowojorczyacy mają mniej ziemi niż mój dziadek w Vermoncie, a według standardów finansowych był ubogi. Żyją w mieszkaniach nad ziemią, zatrudniają odzwrotnych i nianie, księgowych i trenerów osobistych. Martwią się tym, do jakiej szkoły pójda Johnny i Jill... a to musi być odpowiednia szkoła... latem jeżdżą do Hamptons albo do Nantucket i wszystko przypomina jeden wielki pas transmisyjny. Wydaje się nierzeczywiste, przynajmniej mnie, więc jeśli zamierzasz przenieść się do Nowego Jorku, nie wiem, co mam o tym myśleć. Naprawdę.

– Rozumiem – odparłam, trawiając jego słowa. – Malujesz przede mną niezbyt zachęcający obraz. I jak zauważyłam, przeszedłeś od uogólnień do konkretnego. To już nie jest teoria, prawda? Wydaje mi się, że teraz bardziej chodzi o mnie.

– Wiedziałem, że zranię twoje uczucia, a nie miałam takiego zamiaru. To ostatnia rzecz, jakiej bym chciał. Powiniennem był trzymać buzię na kłódkę.

Tak – pomyślałam – powinieneś być.

– Potrzebuję trochę czasu, żeby ochłonać. – Powoli opadłam na oparcie krzesła i starałam się oddychać równomiernie. – Po tych wszystkich

rewelacjach.

– Jesteś zła – zauważył. – Uraziłem cię. Ojej, tak mi przykro.

– Czegoś jednak nie rozumiem: powodu, dla którego mnie uraziłeś.

– Nie chciałem.

– Jasne, że chciałeś, Jack. Zamierzam za kilka tygodni przeprowadzić się do Nowego Jorku, żeby zacząć nowe życie, a ty napomykasz, że idę do więzienia, które sama wnoszę. Skąd akurat ten temat w toku rozmowy? To miało w jakiś sposób poprawić mi samopoczucie?

– Przepraszam, Heather. Naprawdę. Czasami traktuję różne teorie jak igraszki. Materiał do ćwiczeń umysłowych. Przykro mi. Kretyn ze mnie.

– Nie jesteś kretynem, Jack. Gdybyś był, nie wzięłabym twoich słów do siebie. Był taki cudowny dzień, a ty musiałeś go zepsuć. Nie pojmuję po co. To jaskrawy przejaw biernej agresji. Już wcześniej, gdy spaliśmy na sianie, rzuciłeś uwagę, że można to naprawić. Mnie naprawić. Strasznie protekcyjne.

– Nie chciałem tego.

– Tak właśnie definiuje się bierną agresję, czyż nie? Usiłuję znaleźć inny powód, dla którego chciałeś o tym rozmawiać, ale żaden nie przychodzi mi do głowy. Już od jakiegoś czasu miałeś ochotę powiedzieć coś na temat wybranej przeze mnie drogi zawodowej. I teraz to zrobiłeś. Ale nie wprost, prawda? To nie moja opinia, o nie, broń Boże, to tylko teoria, o której czytałam.

– Dlaczego miałbym chcieć cię zranić?

– Bo żyję inaczej niż ty. Mam przed sobą pracę i karierę, które zapewnią mi godziwe życie. Może przemawia przez ciebie zazdrość.

– A teraz kto próbuje kogo zranić?

– To ty zacząłeś. Ja byłam szczęśliwa, że mogę posiedzieć na słońcu i napić się piwa. Poza tym ta twoja teoria jest tak absurdalna, że wręcz nie mieści się w głowie. Ludzie muszą gdzieś mieszkać, Jack. Jedni wybierają Vermont,

a drudzy Nowy Jork. Wszyscy idziemy na jakieś kompromisy. Dziwię się, że ktoś w twoim wieku jeszcze o tym nie wie. Wmawiasz mi, że każdy mieszkaniec Vermontu w środku stycznia chodzi uśmiechnięty? A słyszałeś może o klaustrofobii? Ludzie wariują w miejscu, gdzie jest tylko śnieg, lód i ciemność. Więc kto tu jest więźniem?

– Masz rację, ale skoro Nowy Jork to takie wspaniałe miejsce do życia, to dlaczego mała teoria socjologiczna tak cię wkurzyła? Przez cały czas gramy w zgadywanke, próbując poznać wzajemnie środowiska, z których pochodzimy... kim jesteśmy, co to znaczy... ale ja wiem, kim ty jesteś. Dlatego tak reagujesz. Na miłość boską, reagujesz tak, bo się boisz, że jako bankier inwestycyjny będziesz żyła według schematu, i jestem gotów się z tobą założyć, że terminarz zna twoją przyszłość, że jest już w nim zapisana złotymi literami.

– Wcale nie jestem wkurzona, ty arogancki dupku. Przepraszam, ale jesteś aroganckim dupkiem. Zwykłym zarozumialcem. Powinnam była dostrzec to wcześniej, prawda? Nie należę do słodkich idiotek, na których możesz robić wrażenie swoimi teoriami z zakresu sprawiedliwości społecznej. Nowy Jork nie jest bardziej więzieniem niż jakiegokolwiek inne miejsce na świecie. To tylko zabudowana wyspa. Niektórzy jej mieszkańcy są dobrzy, inni nie. Jak to w życiu.

– To było tylko coś, o czym przeczytałem, Heather. I pomyślałem, że może cię zainteresować. To ty nadałaś temu większe znaczenie.

– Nic mnie nie obchodzi, co czytasz, Jack. Naprawdę. Obchodzi mnie natomiast, dlaczego próbujesz storpedować moje plany w imię... jak to określiłeś? Zabawy intelektualnej? Urocze, Jack. To nie w porządku nawet na podstawowym poziomie uprzejmości.

– Och, zlituj się, Heather, już naprawdę przesadzasz!

– Znowu moja wina, tak? Na pewno nie wspaniałego Jacka Vermontczyka.

Zawsze moja wina.

– O rany, kolejne oblicze Heather.

– Tak? Więc zapisz to w swojej księdze „za” i „przeciw”. Jesteś takim dupkiem, że nawet nie masz pojęcia. Poważnie. Wydaje ci się, że unosisz się z prądem. Dlaczego sądzisz, że masz prawo oceniać innych? Przecież tylko jedziesz na luzie.

– Teraz już dotykasz spraw osobistych.

– A ty tego nie zrobiłeś, gdy mi powiedziałaś, że chcę dobrowolnie pójść do więzienia? Że możesz to jeszcze naprawić? Naprawić mnie? Czego oczekiwałaś? Że powiem: „Ojej, Jack, masz rację, jakie to ciekawe”? „Pomyślę o tym, kiedy powoli się pogrzebię w tym okropnym mieście”?

– Rozumiem, dlaczego uważasz to za brak wrażliwości z mojej strony.

– Więc to tylko mylne wrażenie? Tak?

Wtedy uświadomiłam sobie, że zupełnie niepotrzebnie się w to wdałam.

Nie musiałam wygrać. Nie musiałam się kłócić. Nie musiałam nikogo o niczym przekonywać. Nie musiałam spędzić z Jackiem nawet minuty więcej. Był diabelnie inteligentny, był niezwykle przystojny i miał wielki urok, ale czy naprawdę potrzebna mi była w tej chwili ta dyskusja? Miałam w perspektywie pracę. Przyszłą karierę. Nie było sensu się na ten temat spierać. Gdybyśmy chodzili ze sobą kilka miesięcy, dobra, rzeczywiście, próbowałabym dotrzeć do sedna sprawy, ale w takiej sytuacji nie było warto. Z ulgą uświadomiłam sobie, że mogę po prostu wstać, uśmiechnąć się i uprzejmie pożegnać.

I tak też zrobiłam.

– Wiesz co, Jack? Przepraszam. Szczerze. Nie chcę się kłócić. Jesteś na pewno świetnym facetem, ale może... sama nie wiem... może jednak nie pasujemy do siebie. Może każde z nas oczekuje od życia czegoś innego. Kto wie? Nie potrzebuję twojego błogosławieństwa, żeby przenieść się do Nowego Jorku i zacząć pracę zawodową, tak jak ty nie potrzebujesz mojego

pozwolenia, żeby przez jakiś czas szwendać się po Europie. Potraktuję to więc jako cudowny flirt, wspaniałe „co by było gdyby” i tak zostawię. Jeśli kiedykolwiek zawitasz jeszcze do Nowego Jorku, poproś o widzenie ze mną.

– Mówisz poważnie? Odchodzisz? Myślałem, że to było miłe przedpołudnie...

– To było magiczne przedpołudnie, Jack. Dziękuję ci za nie. Ale jeżeli ktoś mówi ci dwa razy, że ma lepszy plan na twoje życie niż ty sam, cóż... należy to potraktować jako dzwonek alarmowy. Pomyśl o tym. Więc bez urazy, dobra? Jadę zamknąć się na tej nieszczęsnej wyspie, na której stoi Nowy Jork, i liczyć dni do czasu, kiedy będę mogła spokojnie odejść.

– Och, daj spokój, Heather.

– Nie, poważnie, bez obawy. Poza tym to był żart o tym odejściu. Naprawdę tak będzie najlepiej. Muszę stawić się w Nowym Jorku za kilka tygodni i będę urobiona po łokcie. Ja idę w jedną stronę, a ty w drugą, Jack. Nic się nie stało, nikt nie ucierpiał.

– Heather, przepraszam cię. Masz rację. Wybacz mi.

Gdy tak przed nim stałam, przysłała mi do głowy pewna myśl.

Przeczytałam ją jakiś czas wcześniej. Brzmiała mniej więcej tak: „Trzeba koniecznie dokończyć zaczęty gest”. Więc nie zatrzymując się, ruszyłam do wyjścia. Jeśli chcesz odejść, odejdz. Nie wyciągaj szuflad, jeżeli nie zamierzasz ich opróżnić.

Byłam jednak rozdarta. Jedna część mojej jaźni mówiła mi: „Dzielną dziewczyna, uciekaj od tego dupka, gdzie pieprz rośnie”.

A druga jednocześnie podpowiadała: „On ma rację, przesadzasz, dlaczego wstałaś, dlaczego odchodzisz od kogoś, na kim ci zależy, od kogoś, kto może być ważny w twoim życiu, kto cię bierze i jest przystojny jak jakiś cholerny amant filmowy?”.

Ale jeśli się zaczęło jakiś gest, trzeba go dokończyć.

Zostawiłam Jackowi pieniądze na uregulowanie rachunku. Nie pobiegł za mną – czyżbym tego chciała? – a nie mogłam się odwrócić, żeby zobaczyć, co robi. Gdy doszłam do rowerów, zdałam sobie sprawę, że odczuwam potrzebę rewanzu, nie tylko dokończenia gestu.

Żeby wsiąść na swój rower, musiałam ruszyć jego. I tu włączył się los. Kiedy odstawiałam rower Jacka, uświadomiłam sobie, że bez wielkiego wysiłku mogę puścić go w stronę kanału płynącego poniżej; wyglądało na to, że przy barierce nad rzeką znajduje się mały pomost. Dokonałam w głowie szybkich kalkulacji i doszłam do wniosku, że mogę pchnąć rower w stronę kanału, choć szansa, że się nie przewróci i dojedzie po prostej do pomostu, jest nikła, bardzo nikła.

Więc pchnęłam.

Chciałam tak pchnąć Jacka. Do tego stopnia załazł mi za skórę.

Jego rower powoli potoczył się w dół i kiedy przerzuciłam nogę przez ramę swojego, zobaczyłam, że uderzył w barierkę i zaczął zjeżdżać do wody. Z jednej strony, z nogą na pedale, miałam ochotę wykrzyknąć triumfalnie, a z drugiej – złapać rower, zatrzymać go i oddać Jackowi, ale czułam, że palą mnie szyja, ręce i nogi.

Odjechałam w chwili, gdy rower Jacka wpadł do kanału przednim kołem, które teraz obracało się w wodzie. Łatwo było go wydobyć – i dobrze – ale gdy się oddalałam, zebrało mi się na płacz jak krnąbrnemu dziecku i nie mogłam nad tym zapanować.

Berlin

20

„Bawcie się dobrze, zdziiry”.

„Kochamy Cię, Amy”.

„Ja też Was kocham. Nie martwcie się o mnie. Wszystkiego dobrego. Wieczorem wracam do domu”.

„Bezpiecznej podróży”.

„Dzięki”.

„Szkoda, że nie ma Cię z nami”.

„Naprawdę to napisałyście? Przysyłajcie zdjęcia”.

„Dobra. To jedno ze zrobionych przez Constance”.

„Już za wami tęsknię”.

- Facet jest mi potrzebny jak dziura w moście. Jak rybie rower – oświadczyłam Constance, która wpatrywała się w wiszący przed nami obraz.
- Jack wybił mnie z rytmu, zamącił mi w głowie. Poważnie, teraz, gdy nabrałam trochę dystansu, widzę to o wiele wyraźniej. Nie wiem, co sobie myślałam. Chyba w ogóle nie myślałam i w tym problem. Myślałam jak Barbie.

– Jak Barbie?

– Och, no wiesz, Barbie z Kenem w ich domku w Malibu. Barbie i Ken idą na tańce. Wszystkie te romantyczne bzdury.

Pokiwała głową.

Słońce zachodziło już za linię budynków i cienie się wydłużyły. Była czwarta po południu, Wyspa Muzeów w Berlinie. Zanosiło się na deszcz, niebo nad miastem zasnuwały chmury. Constance i ja zwiedzałyśmy Altes Museum. Byłyśmy już w Neues Museum, Bode-Museum, Pergamonmuseum i Alte Nationalgalerie. Stwierdzenie, że malowidła, rzeźby, fragmenty tkanin, groty strzał, ostrza włóczni, kawałki ceramiki i drut kolczasty dobrze do siebie pasowały, byłoby niedomówieniem. Uwielbiałam muzea, bardzo lubiłam chodzić na wystawy dzieł sztuki, ale w porównaniu z Constance byłam wręcz profanką. Teraz padałam przy niej z nóg i zamieniłam się w jęczącą ofiarę. Przez ostatnie trzy i pół dnia w Berlinie byłyśmy najbardziej zapalonymi turystkami, jakimi mogą być dwie istoty ludzkie. Widziałyśmy już wszystko. Zaliczyłyśmy wszystko. Nie znalazłaby się w Berlinie żadna ważniejsza atrakcja turystyczna, przy której nie zrobiłybyśmy sobie zdjęcia, żadna miejscowa specjalność, której byśmy nie spróbowowały, żadna kiczowata pamiątka, której byśmy nie kupiły. Gdyby przewodnik Michelina albo Lonely Planet przyznawał nagrody za „najdokładniejsze zwiedzanie większego miasta europejskiego”, Constance i ja wygrałybyśmy bez dwóch zdań.

Pięć gwiazdek.

Zaraz miało się rozpaść, a ja byłam skonana i marudna.

– Skoro tak, nie musisz więcej się z nim spotkać – odpowiedziała wreszcie Constance, niespiesznie przechodząc do następnego obrazu. – I będzie po sprawie. Nie słuchaj Barbie.

– Słusznie. To proste.

– Jednak Raef może przyjechać do Berlina. Zdaje się, że Jack chce tu coś

zobaczyć w związku z dziennikiem dziadka.

– W przyszłym miesiącu zaczynam pracę.

– Dostarczyłaś już dokumenty?

Nie patrzyła na mnie; oglądała malowidła. Constance nie była podła, ale nic nie uszło jej uwagi. Wiedziała, że zwlekam ze złożeniem papierów w Bank of America.

– W większości – potwierdziłam. – Ale nie wszystkie.

– Ty, dziewczyna z terminarzem Smythsona, mogłaś o czymś zapomnieć? Zaglądasz do niego częściej niż inni do Biblii. To byłoby nie do pojęcia.

– O niczym nie zapomniałam. O rany, jesteś gorsza od mojego ojca.

– Może jednak pod wpływem Jacka nabrałaś wątpliwości? To nie w twoim stylu zawałać terminy. Dał ci do myślenia. I dobrze.

– Och, on jest śmieszny. Ta cała sprawa jest śmieszna. Jack to statek przepływający nocą. Teraz to widzę.

– Naprawdę? – zapytała i uniosła brwi. – No dobra, skoro tak mówisz.

– A według ciebie kim jest? Jak myślisz?

– To nieważne, co ja myślę.

– To statek. Wielki brzydki statek turystyczny, niezdatny do żeglugi, na którym serwuje się nadmiar jedzenia i od rana do wieczora nadaje kiczowatą muzykę folk. Jest uroczy, przyznaję, ale cóż... Nie mam teraz na niego czasu.

– No pewnie.

– Gdybyśmy spotkali się w innym miejscu, no wiesz, w sensie metaforycznym, może byłoby inaczej, sama nie wiem. Może wtedy warto by było spróbować. Ale zachował się podle.

– Dlatego sto razy na dzień sprawdzasz w telefonie, czy nie napisał do ciebie esemesa? Taką masz taktykę? To dobry sposób, żeby się z niego wyleczyć. Zupełnie nie w stylu Barbie.

– Chcesz mnie dobić, Constance? Najpierw każesz mi oglądać wszystkie

dzieła sztuki w Berlinie, a potem pastwisz się nade mną w związku z Jackiem.

– Myślałam, że go nienawidzisz.

– Nie, to nie tak. Tyle że wbrew temu, co sądziłam, nie pasujemy do siebie.

– „Zdaje mi się, że ta dama przyrzeka za wiele” ⁵.

– Muszę się napić. Chyba się trochę pogubiłam.

– Niedługo się napijemy, obiecuję.

– Może się nawet urżnę. Ty nie uważasz Nowego Jorku za więzienie, które sami sobie zbudowaliśmy, co?

– Nie, nie uważam, kotku.

– To obrzydliwe mówić tak komuś, kto za kilka tygodni przenosi się do Nowego Jorku. A na pewno niegrzeczne.

– Tak. Tak, rzeczywiście.

– Nie obchodzi mnie ta teoria, ale dlaczego był taki wredny?

– To zagadka wszechświata.

– Mężczyźni są idiotami, gdy się dobrze zastanowić.

– Jasne. I zawsze będą.

– Więc dlaczego się nimi w ogóle przejmujemy?

Constance wzruszyła ramionami i wzięła mnie pod rękę. Gdy zwiedzałyśmy muzeum, na dworze było jeszcze ładnie, ale wiatr uderzający o boczną ścianę budynku przywiał w końcu deszczowe chmury. Podniosłam głowę i doszłam do wniosku, że muszę przestać rozmyślać – dobre słowo, z testu językowego – o Jacku. To była dziecinada, ale nie mogłam pozbyć się wrażenia, że może jednak przesadziłam. I straciłam coś wartościowego. Może powinnam była jeszcze to pociągnąć. To jak oglądać przez dłuższy czas ubrania w sklepie ze starzyzną, a potem, znalazłszy w końcu coś ładnego albo po prostu odpowiedniego, zrezygnować z kupna. Nie tyle nie możesz żyć bez tej rzeczy, ile myślisz o niej po wyjściu. Zastanawiasz się, czy jeszcze tam jest, czy rzeczywiście tak ci w niej dobrze, jak zapamiętałaś, i w końcu dochodzisz do

wniosku, że gdybyś kupiła to cholerstwo, przynajmniej miałabyś spokój. Jack był najgorszego rodzaju niewiadomą, przystojnym, czarującym facetem, który nieopatrznie powiedział nie to co trzeba, nie w tym momencie co trzeba.

Na czym polegała ta mentalna sztuczka? Jeśli ci powiem, żebyś nie myślała o różowym słoniu w tutu, nie będziesz myśleć o niczym innym. Jack świetnie wyglądał w tutu.

Po zwiedzeniu muzeum poszliśmy na Checkpoint Charlie. To był jeden z tych rzadkich przypadków, kiedy nie wiedząc, dokąd idziemy, jakimś magicznym sposobem dotarliśmy do miejsca, które należało zobaczyć. Szliśmy i gadałyśmy, oglądając witryny sklepowe, i nagle Constance zauważyła, że jesteśmy przed Muzeum Alianckim w Zehlendorf. Kazałam jej przysiąc, że nie zaciągnęła mnie celowo do kolejnego obiektu turystycznego, ale położyła rękę na sercu, a potem podniosła dwa palce do góry jak skautka.

– Przysięgam, że nie – odparła. – Jestem chyba tak samo wykończona jak ty. Absolutnie nie mam już ochoty na zwiedzanie kolejnego muzeum.

– Ty nigdy nie jesteś na to zbyt zmęczona.

– Dziś wieczorem już jestem.

Stałyśmy przez chwilę w miejscu, przyglądając się przechodniom na otwartej przestrzeni. Nazwa Checkpoint Charlie była mi znana, ale nie wiedziałam o tym miejscu zbyt wiele. Constance przeczytała w przewodniku, że było to najślawniejsze przejście przez Mur Berliński, nazwane „Charlie” od litery „C”. Nie wiem dlaczego, ale widok Muru i świadomość, że ludzie tu ginęli, próbując wydostać się na wolność, jakoś mnie wzruszyły. Oto prawdziwe więzienie, pomyślałam, a nie umowne. Wzięłam Constance pod ramię i ruszyłyśmy brukowanym szlakiem, mijając tablice z historią posterunku. Zatrzymałyśmy się dłużej, żeby przeczytać o Peterze Fechterze, nastolatku z Niemiec Wschodnich, który siedemnastego sierpnia sześćdziesiątego drugiego roku został postrzelony w biodro i leżał zaplątany

w drut kolczasty, aż wykrwawił się na śmierć, co zostało udokumentowane przez światowe media. Amerykańscy żołnierze nie mogli przyjść mu z pomocą, bo znajdował się jeszcze w sekcji radzieckiej. Wschodni Niemcy żołnierze nie mogli go ratować, bo bali się, że sprowokują zachodni Niemiec straż. Ta idiotyczna sytuacja, dowodząca bezsensu granic i podziałów politycznych, wzbudziła we mnie niepokój.

– To chyba najciekawsze miejsce w całym Berlinie – powiedziałam, kiedy dotarłyśmy do końca szlaku i wreszcie poszłyśmy się napić. – Fascynujące. Nie wiem dlaczego, ale tak sądzę.

– To smutny rozdział w historii.

– Nie można odgradzić jednych od drugich. W każdym razie nie na długi czas. Tego uczy Checkpoint Charlie.

– Zamówimy ci coś do picia i talerz zupy.

Kiwnęłam głową. Coś w Checkpoint Charlie utwierdziło mnie w pragnieniu podróżowania. Żeby zrozumieć świat, trzeba go poznać. Po raz pierwszy od pewnego czasu poczułam, że wybrałam właściwą ścieżkę życiową, że dobrze zaplanowałam swoją przyszłość. Jakkolwiek ckliwie by to zabrzmiało, chciałam być obywatelką świata. Wszystko ze mną było w porządku. Ze światem też było w porządku. A kiedy później podeszli do nas dwaj młodzi Niemcy i zapytali, czy mogą postawić nam drinka – chłopcy w wieku Petera Fechtera – odpowiedziałam, że nie, nie mogą, bo Constance i ja jesteśmy parą, przyjechałyśmy tu w podróż poślubną i nie potrzebujemy męskiego towarzystwa. To najlepszy sposób, jaki znałam, żeby spławić faceta.

Obudziłam się o pierwszej trzydzięci siedem w nocy; suszyło mnie i byłam jeszcze trochę pijana po dwóch martini, które wypiałam wieczorem. Telefon informował, że jest pierwsza trzydzięci siedem, pierwsza trzydzięci osiem, pierwsza trzydzięci dziewięć. Sprawdziłam, czy Jack nie zostawił wiadomości w poczcie głosowej. Nie. Sprawdziłam, czy nie napisał esemesa.

Nic. Nancy z działu zatrudnienia Bank of America przysłała mi kolejny formularz do wypełnienia. Przeczytałam go pobieżnie, a potem przeniosłam do folderu o nazwie Bank of America, umieszczając nowy dokument wśród poprzednich. Za ten brak zaangażowania winiałam Jacka. Winiałam go za to, że ignorowałam prośby i ponaglenia z Bank of America. Głupi Jack.

Jack nie był moją częścią. Tylko kolejnym chłopakiem.

Przełączyłam telefon w tryb usypiania. Wsłuchiłam się w oddechy współlokatorek. Spokojny oddech Constance działał na mnie kojąco. Dwie pozostałe dziewczyny, obie z Irlandii, przyjechały późnym wieczorem i zasnęły wśród pijackich mamrotów.

Zastanowiłam się nad słowem „mamrotanie”. Jego brzmienie odpowiada znaczeniu – pomyślałam. To nie miało wielkiego sensu, ale o pierwszej czterdzieści jeden wydawało mi się błyskotliwe. „Osad” było kolejnym słowem, którego brzmienie odpowiadało znaczeniu. „Osad” i „mamrotanie”. Osad musi być osadem. Mamrotanie doskonale oddaje istotę mamrotania.

Wychyliłam się ze swojej pryczy i sięgnęłam do plecaka po butelkę wody. Odkręciłam ją i długo piłam jej zawartość. Potem pomyślałam, że chyba muszę pójść do łazienki, aby się wysikać. Nie chciało mi się jednak wstawać z łóżka. Wolałam nie wybudzać się całkowicie. Wciąż szumiało mi w głowie, jakby u stóp łóżka brzęczała piła.

Postanowiłam nie dopuszczać do siebie żadnych myśli o Jacku. Koniec z tym. Nie było to trudne i poczułam się dumna z siebie. Czekają mnie tyle wrażeń. Tylko wspaniałych wrażeń. Miałam w perspektywie Bank of America, nowe mieszkanie, Nowy Jork, kontrakty z Japończykami, podróże, powrót do Pana Barwinka – najstarszego kota na świecie, a przy sobie Amy i Constance oraz kilkanaście koleżanek, które także zaczynały pracę zawodową. Gdy tak patrzyłam na to realistycznie, Jack był nikim. Był. Należał do przeszłości, nie przyszłości. W przyszłości nie było dla niego miejsca.

Poza tym – zdałam sobie sprawę – nie pasowaliśmy do siebie. On był wolnym duchem, człowiekiem impulsywnym i romantycznym, a ja należałam do tych trzeźwo myślących, praktycznych. Nie mylił się co do mnie. Jestem nastawiona na karierę – pomyślałam. Gdyby nas porównać, on byłby zajęcem, ja – żółwiem, on – konikiem polnym, ja – mrówką. To nie znaczy, że któreś z nas jest lepsze albo gorsze, tylko każde inne. Tak należało na to spojrzeć. Poczułam zadowolenie, że wreszcie sobie z tym poradziłam, że znalazłam właściwe podejście.

– Tak – szepnęłam i zabrzmiało to dziwnie głośno w małej sali.

Nie mam już miejsca w planach na przyszłość. W planach na życie.

21

Następnego ranka jakiś czas spędziłam w łazience, wstrzymując oddech.

Zawsze tak robiłam. Kiedy byłam małą dziewczynką, przez całe lato chodziłam z mamą na basen; najbardziej ze wszystkiego lubiłam zanurzać się pod wodę i rozglądać wokół – to przynosiło mi spokój i zadowolenie, przywracało równowagę. Wstrzymując oddech, uciszałam świat. Słyszałam, jak krew krąży w moim ciele. Bicie serca stawało się czymś ważnym i doniosłym, a codzienne życie, jego pośpiech i szaleństwo zniknęły razem z zaniepokojoną mamą, która z kubkiem kawy w dłoni patrzyła w wodę, żeby nie stracić z oczu swojego dziecka. Tkwiłam tam jakiś czas, pogodna, nie oddychając, podczas gdy kryształowe fale rzucały cienie na ciemne dno basenu. To było jak zawieszenie w czasie. Świat na chwilę przystawał. Więc teraz, w hostelowej łazience, też zaczerpnęłam głęboko powietrza i zamknęłam oczy, a potem je otworzyłam i zobaczyłam, że świat się oddala.

Zadziało. Zawsze działo.

Zostałam pod wodą. Podniosłam głowę, ujrzałam brzydkie kafelki na

suficie nad umywalkami i usłyszałam dochodzący z dołu jęk rury, ale to wszystko mnie nie dotyczyło. Byłam stworzeniem wodnym, manatem, może nawet ostrygą, patrzyłam, jak świat przypływa i odpływa, i było dobrze, wszystko było dobrze. Przez wodę przebiło się słońce i poczułam potrzebę, żeby zanurzyć się głębiej. Powoli wypuściłam powietrze z płuc, gdy nagle pojawiła się jedna z Irlandek, potargana, w wymiętej piżamie.

– Medytujesz? To super – powiedziała, trzaskając drzwiami. – Mnie rankiem stać tylko na to, żeby się porządnie wysikać, ale zaraz zniknę, więc nie przeszkadzaj sobie.

Kiwnęłam głową i znowu wstrzymałam oddech. Żółw – pomyślałam. Oto kim jestem.

Za dwadzieścia siedem euro kupiłam dzienną kartę wstępu do siłowni, którą polecano w hostelu. Była to ostatnia rzecz, na którą miałam ochotę, ale czułam się zatruta alkoholem i wiedziałam, że muszę poćwiczyć. Porządnie się spocić. Zająć czymś myśli, najlepiej wykonując przez godzinę powtarzalne czynności wymagające użycia siły mięśni. Podobnie jak wstrzymywanie oddechu i udawanie, że jestem pod wodą, gimnastyka prawie zawsze mi pomagała.

Poza tym Constance musiała podzwonić w różne miejsca. Postanowiła zrobić sobie wolne przedpołudnie, odpocząć od historii, dzieł sztuki i świętych.

Słuchając w recepcji, z jakich urządzeń mogę korzystać, dokonałam małego kulturowego spostrzeżenia: siłownie na całym świecie wyglądają tak samo. Ta, o nazwie Być Fit, jeśli dobrze przetłumaczyłam, z wielkimi fabrycznymi oknami, była wyposażona w dwa tuziny rowerów stacjonarnych, które stały przodem do ulicy. Rowery to rowery – pomyślałam – niemieckie czy inne. Wsiadłam na drugi z prawej, ustawiłam tempo na „wolne” (stopniowo je zwiększając) i zaczęłam ćwiczyć.

Popijałam wodę i pedałowalam. Równocześnie ściągnęłam na telefon

informacje o Checkpoint Charlie. Wysłałam Amy esemesa, że bardzo mi jej brakuje. Napisałam do mamy, prosząc, żeby ucałowała Pana Barwinka, wyczesła go i pobawiła się z nim myszką na sznurku. Poczytałam o Checkpoint Charlie, między innymi o formalnościach – z przesłuchaniem włącznie – jakich wymagał wyjazd z Berlina Wschodniego do Zachodniego.

Tymczasem biły na mnie siódme poty. Koński ogon smagał mi plecy. Jakaś Niemka, blondynka, uśmiechnęła się, wsiadając na sąsiedni rower. Odwzajemniłam się tym samym. Była mniej więcej w moim wieku. Sprawdziłam, czy nie chce mnie „prześcignąć”, popisać się sprawnością, ale najwyraźniej nie była z tych. Wydawała się odprężona, jakby chciała, żeby czas upłynął spokojnie. Ona także miała koński ogon. Zawiązała go wyżej niż ja.

Po pierwszym kilometrze wyczułam w swoim pocie woń alkoholu. Wytarłam kark i ramiona białym ręcznikiem i ćwiczyłam dalej.

Po drugim kilometrze musiałam mocno naciskać pedały, żeby wspiąć się na wymaginowane wzgórze. Serce waliło mi w piersi i przez chwilę myślałam, że zaraz eksploduje. Ale nie ustawałam i chociaż wirtualny rowerzysta na ekranie trochę się zachwiał, to jednak nie zwalniał.

Po trzecim kilometrze zobaczyłam Jacka.

Tak mi się wydawało. Wyglądając na ulicę, musiałam wspiąć się na pedałach i zmrużyć oczy. Jack nie zjawia się tak po prostu – powiedziałam sobie. Nie materializuje się nie wiadomo skąd. Może naprawdę, bez żartów, coś mi się stało. Może doznałam halucynacji. Zwolniłam i zerknęłam na kobietę po prawej stronie. Trzymała na ramie przed sobą otwartego kindle'a. Nie zwracała na mnie uwagi, a ja potrzebowałam jej pomocy, aby się upewnić, że nie mam zwidów.

Policzyłam do trzech, do czterech, do dziesięciu, a potem ponownie spojrzałam w dół.

Z jakiegoś powodu przypomniał mi się *Mad Max*. Co za absurd! Ujrzałam ludzi daleko na pustyni, przez jakiś czas słabo widocznych z powodu drgań gorącego powietrza; można było ich rozpoznać dopiero z bliższej odległości. Tak właśnie pojawił się Jack. Początkowo był niemal niewidoczny, nie z powodu drgań powietrza, ale codziennego ruchu ulicznego.

Ze wzrokiem utkwionym w budynku siłowni, stał oparty o najpiękniejszy samochód, jaki kiedykolwiek widziałam: mały srebrny kabriolet marki Mercedes, z tak wypolerowanym znakiem na masce, że lśnił w słońcu.

Zsiadłam z roweru, podeszłam do okna i zadzwoniłam do Jacka. Patrzyłam, jak odbiera i podnosi telefon do ucha. Uśmiechnął się, ale nie sądziłam, żeby mnie widział.

- Co ty tu robisz, Jack? – zapytałam. – Co, do diabła?
- Cześć, Heather.
- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.
- Przyjechałem, żeby się z tobą spotkać. Chcę cię przeprosić.
- Skąd wiesz, gdzie jestem?
- Constance mi powiedziała.
- Śledzisz mnie, Jack.
- Nie śledzę, Heather.

Zamilkłam na chwilę. Zbliżyłam się do okna, żeby lepiej go widzieć. Przytknęłam czoło do szyby.

Miałam mu za złe, że znalazł w Niemczech taki śliczny sportowy wóz. Podobało mi się i nie podobało, jak wyglądał oparty o samochód, bo to było trochę nie fair widzieć obok kabrioletu takiego przystojnego faceta z potarganymi włosami, w marynarskim swetrze z łatami na łokciach.

- Czego chcesz, Jack?
- Zobaczyć się z tobą.
- A jeśli ja nie chcę zobaczyć się z tobą?

– To mi to powiedz, a wtedy odejdę. To nie takie skomplikowane, Heather.

– Jesteś skomplikowanym dupkiem, wiesz?

– Wiem. W ramach przeprosin przywiozłem ci to.

Sięgnął do samochodu i wziął coś z miejsca dla pasażera. Początkowo nie mogłam się zorientować, co to takiego. Wreszcie zobaczyłam.

– Czy to Ben and Jerry's? – zapytałam.

– O smaku czekoladowo-krówkowego brownie. Twoje ulubione. Tak kiedyś powiedziałaś. Widzisz? Słuchałem.

– Więc zjawiasz się w mercedesie, ze słodyczami, oczekując, że ci wybaczę?

– Miałem nadzieję, że docenisz moje wysiłki.

– Jakie wysiłki?

– Żeby to nie był koniec.

Wreszcie zobaczył mnie w oknie. Mój ojciec zwykle pytał: „Wsiadasz do autobusu czy nie?”. Czasami życie sprowadza się do takich prostych wyborów. „Wsiadasz do autobusu z Jackiem czy nie?”. Odpowiedzi nie znalazłabym w iPhone, nie mogłabym nigdzie się jej nauczyć, aby potem zaznaczyć w teście odpowiednie pole. Nie doszłabym do niej, studiując trendy czy analizy rynkowe, kalkulując, robiąc zestawienia, sumując plusy i minusy po obu stronach tabeli.

„Wsiadasz do autobusu czy nie?”.

Taki był Jack. Zawsze spontaniczny, ruchomy cel, niespodzianka – miła albo wręcz przeciwnie. Potrafił wprawić mnie w ekstazę i podniecenie, sprowokować i zranić, choć pewnie nie wiedział dlaczego. Zjawiał się bez zapowiedzi i zajmował w mojej głowie więcej miejsca, niż mu się należało. Wręczał mi miecz i mówił, żebym z nim walczyła. Gdy jednak czyniałam w myślach wszystkie te spostrzeżenia, uświadomiłam sobie jedno: ani na chwilę nie odrywaliśmy od siebie wzroku.

Podniosłam palec, dając znak, że zaraz przyjdę. Rozłączyłam się i wytarłam rower.

Wtedy Niemka mnie zaskoczyła.

– Mężczyźni – powiedziała po angielsku i pokręciła głową.

– Myliłem się, a ty miałaś rację – oznajmił, obchodząc samochód. – Więc przepraszam.

– Miałam rację co do czego?

– Czy to sprawdzian?

– Może. Może zachodzi w tej chwili taka konieczność.

– Nie jestem przygotowany. To niezapowiedziana kartkówka.

– Nie. Ale zobaczymy, na co cię stać.

Wyglądał naprawdę świetnie. Poczułam, że skręcają mi się wnętrzności. Drażniło mnie to, że tak reaguję, ale co mogłam poradzić? Uśmiechnął się do mnie. Był to uśmiech podobny do tego ze szkoły szermierki.

– Dobrze, Heather. Przyznaję, że czasami brakuje mi wrażliwości. To był błąd, że poruszyłem temat „Nowy Jork to więzienie” w rozmowie z kimś, kto przenosi się do tego miasta. Zachowałem się jak ciołek. Wygadywałem głupoty i źle się to skończyło.

– Rzeczywiście, zachowałeś się jak ciołek.

Przechodnie nas omijali. Byliśmy jak skała w strumieniu opływana przez wodę. Przechodząca obok starsza pani w czarnej chustce, z bukietem astrów w dłoni, kiwnęła nam głową i poszła dalej.

Jack zbliżył się do mnie. Czułam, że gorąco oblewa mi kark.

– Na autostradzie można nim jechać sto sześćdziesiąt kilometrów na godzinę – szepnął, pochylając się tak, że poczułam, jak jego oddech owiewa mi ucho. – Jechałaś kiedyś sto sześćdziesiąt? Poczujesz to w całym ciele. I będziesz już czuła zawsze.

Potem się odsunął. Patrzyłam na niego co najmniej dziesięć sekund. Ani na chwilę nie oderwał ode mnie wzroku.

– Najpierw powiedz, że jesteś palantem – zażądałam.

– Jesteś palantem.

– Nie, powiedz, że ty jesteś palantem.

– Dobra, ty jesteś palantem.

Uśmiechnął się. Uwielbiałam jego uśmiech.

Wiedział, że się poddałam. Wskazał na lody o smaku czekoladowo-krówkowego brownie.

– Rozpuszczą się, jeśli szybko ich nie zjemy – powiedział. – A to byłaby tragedia.

– Dokąd chcesz jechać?

– Mam pewien pomysł.

– Dokąd?

– Nie stawiaj się, Heather. Po prostu mi zaufaj. Przecież wiesz, że możesz mi ufać.

– A mogę?

– To ma dwojake znaczenie. Czy powinnaś mi zaufać. Albo czy jesteś do tego zdolna.

– Lubię cię, Jack, ale naprawdę się nie popisałeś.

– Wiem i żałuję. Nie mogę obiecać, że to się więcej nie powtórzy, jednak musisz uwierzyć, że nie chciałem sprawić ci przykrości.

– Podejrzewam, że chciałeś. I to mnie niepokoi. Sprawia mi większą przykrość niż wszystko inne.

Pokiwał głową.

Szalałam za nim.

I skalkulowałam to sobie po babsku. Nie wyglądałam najlepiej. Nie miałam przy sobie szczoteczki do zębów. Ani ciuchów na zmianę, a byłam spocona.

Moja szyja stała się jeszcze czerwiejsza. Czułam, że zaraz zapali się od niej koszulka.

Wziąwszy głęboki oddech, obesłam tył samochodu. Kiedy przechodziłam obok drzwi po stronie pasażera, Jack obrócił mnie szybko i pocałował, a wtedy obudziły się w nas zwierzęta; nie mogłam pocałować go wystarczająco namiętnie, nie mogłam przywrzeć do niego z wystarczającą pasją. To był ponownie taki pocałunek jak wtedy w szkole szermierki. Jack przegiął mnie do tyłu, aż zaczęłam się bać, że w końcu przełamie się na pół, i nagle wszystko na świecie przestało się liczyć, oprócz tego pocałunku, ciała Jacka, zapachu drewna, mułu i rzeki.

Całowaliśmy się i całowaliśmy. I dopiero po paru minutach się zorientowałam, że jednak nie przełamalam się na pół, ale że w plecy nad paskiem wrzyna mi się pojemnik z lodami i je chłodzi.

22

Opuściłam wzrok i patrzyłam, jak wskaźnik prędkościomierza przekracza sto trzydzieści kilometrów na godzinę. Jack siedział na miejscu dla pasażera, jedząc łyżeczką lody.

– Och, to dobre – powiedział. – Naprawdę dobre. Kiedy byłem dzieckiem, na pyszności mówiliśmy Sing-Sing. To na pewno jest Sing-Sing.

Podał mi do ust lody. Sing-Sing, cokolwiek to miało, do licha, znaczyć.

Wcisnęłam pedał gazu i rozpędziłam wóz do stu czterdziestu pięciu.

– Jadę szybciej – zauważyłam.

Kiwnął głową i zagłębił łyżeczkę w pojemniku, żeby podać mi następną porcję lodów. Kolejne Sing-Sing.

Gdzieś około stu sześćdziesięciu jeden kilometrów na godzinę zaczynasz czuć

w kabriolecie, że furgoczą ci kąciki ust. Samochód zamienia się w pocisk i po prostu nim mkniesz.

Uświadamiasz sobie także, że z powodu najmniejszego drobiazgu możesz stracić panowanie nad kierownicą i zginąć, ale się tym nie przejmujesz. Czekasz z otwartymi ustami, czując co chwila na języku cudowny smak czekolady przypominający boskie eksplozje, i jeszcze dodajesz gazu, więcej gazu, obracasz głowę i widzisz, że Jack, twój piękny Jack, nie chwyta się oparcia ani nie okazuje żadnych oznak zdenerwowania. Cieszy się tą szybką jazdą i cierpliwie podaje ci porcje czekoladowych pyszności, aż nie możesz się opanować, zaczynasz krzyczeć jak wariatka i zachodzisz w głowę, jak to możliwe, że nigdy nie wpadłaś na pomysł, aby na jeden dzień wypożyczyć w Niemczech mercedesa, tak się rozpędzić i poprosić faceta, by karmił cię lodami, podczas gdy wiejski krajobraz umyka w dal zatartą smugą.

Doszłam do stu siedemdziesięciu dwóch kilometrów na godzinę.

I tyle wystarczyło.

Jack pokiwał głową, gdy zwolniłam do normalnej prędkości.

Miałam wrażenie, że wracam do zwykłego życia.

– Jak się czułaś? – zapytał Jack, podając mi ostatnią łyżeczkę lodów.

– Niesamowicie.

– Pięknie wyglądałaś, kiedy prowadziłaś tak szybko. Jak nawiedzona.

– Bo czułam się nawiedzona.

– Źle mi było po rozstaniu z tobą, Heather. Czegoś brakowało.

Odetchnęłam głęboko. Chciałam coś wyjaśnić. Ciało wciąż mi drżało od tamtej prędkości.

– Nowy Jork to nie żadne więzienie, na które się skazuję. To początek mojego życia zawodowego. Idę do pracy i zamierzam podróżować, przebywać w otoczeniu porządných ludzi, działać charytatywnie, być dobra dla szczeniąt. Co w tym złego, do cholery? Dlaczego to od razu ma oznaczać więzienie?

– Wcale nie musi. A gdybym pojechał z tobą, to nie mogłoby go oznaczać, prawda? Bo bylibyśmy tam razem.

– Chcesz jechać ze mną?

– Chyba nie powiesz, że dopiero się poznaliśmy? Że potrzebujemy więcej czasu?

– Nie odpowiedziałeś, czy chcesz jechać ze mną.

– A ty byś chciała, żebym pojechał?

– Wciąż nie usłyszałam odpowiedzi.

– Tak. Chcę. Może, prawdopodobnie. Tak.

Skinęłam głową. Mimowolnie. Nie miałam pojęcia, czy doszliśmy do jakiegoś porozumienia, czy nie. Otworzyłam usta, żeby poprosić o sprecyzowanie, ale zaraz je zamknęłam. Po raz pierwszy w życiu poczułam, że nie wszystko muszę mieć poukładane, zaplanowane. Byłoby bez sensu pędzić sto sześćdziesiąt kilometrów na godzinę i martwić się precyzją języka. Nie w tym samym czasie.

Jack wziął mnie za rękę. Puścił ją dopiero wtedy, kiedy musiałam zmienić bieg.

Zameldowałam się bez niczego. Bez torebki, walizki, żadnych rzeczy. Niczego. Włosy miałam spięte w koński ogon i śmierdziałam potem. W hostelu nie byłoby to jeszcze problemem. Ale to nie był hostel. O, nie.

Był to Adlon Kempinski, pięciogwiazdkowy hotel przy Unter den Linden, z zabójczym widokiem na Bramę Brandenburską. Naprawdę zabójczym. W takim miejscu mogliby zatrzymać się moi rodzice. Był to olbrzymi, stylowy budynek z purpurowymi krzesłami w holu i roślinami doniczkowymi, wysokimi jak bożonarodzeniowe choinki. Po jednej stronie holu znajdował się wielki kontuar recepcji, a środkiem paradowały tabuny boyów hotelowych i bagażowych z ważnymi minami. Kamienna podłoga od czasu do czasu popiskiwała, ale poza tym w hotelu panowała dostojna cisza – swobodna, nie

z tych niezręcznych, co zapowiadało, że obsługi nie rozpraszaają przyziemne elektroniczne zabawki, które wkrały się do większości nowoczesnych przybytków. Hotel sprawiał wrażenie eleganckiego, ale nie starego, spokojnego, ale nie w stylu biblioteki.

– Pokój dla dwóch osób – powiedział Jack. – Rezerwacja telefoniczna.

– Tak, proszę pana.

Podobał mi się taki. Podobało mi się jego zachowanie wobec recepcjonisty; czuł się na luzie w tym otoczeniu. Podejrzywałam, że równie na luzie czuł się na farmie w Vermoncie czy w uroczym hoteliku, i przyznałam mu za to dodatkowe punkty. Co także mi się podobało – założył, że zamieszkamy razem, że pojedziemy windą na górę i zajmiemy jeden z pokoi. Nie była to może feministyczna postawa, ale podziwiałam go za to, że wziął na siebie odpowiedzialność za naszą wygodę. Miałam za sobą lata randkowania w szkole średniej i college’u, kiedy chłopcy nerwowo rozglądali się wokół i usiłowali zgadnąć, czego się od nich oczekuje. Z Jackiem było zupełnie inaczej. Najwyraźniej w przeszłości podróżował na tyle dużo, żeby umieć załatwiać takie sprawy.

– Zanim pojedziemy na górę, chyba powinniśmy kupić ci sukienkę – oświadczył, kiedy skończył rozmowę z recepcjonistą.

– Sukienkę?

– Na kolację. Musimy zjeść kolację, no nie? Słyszałem, że mają tu wielką elegancką jadalnię.

– Jack, to będzie kosztowało...

Pochylił się i pocałował mnie. Miał pieniądze – domyśliłam się. Ja nie miałam.

– Jesteś pewny?

– Jak szaleć, to szaleć.

Wziął mnie za rękę i zaprowadził przez hol do niewielkiego szeregu

butików tuż przed hotelem. Czułam się trochę oszołomiona. Planowałam krótki trening, może sałatkę na lunch, a w ciągu kilku godzin przejechałam się samochodem z prędkością stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, zjadłam pół pojemnika lodów o smaku czekolodowo-krówkowego brownie i zameldowałam się w najpiękniejszym hotelu, w jakim kiedykolwiek byłam. O dziwo, czułam także, że mój żołądek się uspokaja, jakbym fizycznie potrzebowała obecności Jacka, nawet gdyby mój umysł w to wątpił. Dopiero zaczęliśmy, to był zaledwie wstęp do zażyłości, jaką mogą osiągnąć kobieta i mężczyzna, kiedy są pozostawieni samym sobie. Niemniej miałam wrażenie, że przekroczyliśmy pewną ważną granicę.

I razem jechaliśmy sto sześćdziesiąt kilometrów na godzinę!

Wstąpiliśmy do butiku, który wyglądał jak niemiecka wersja Gapa. Wydawał się miły. Choć początkowo nie mogłam się zorientować w cenach. Gdy tylko weszliśmy, niemiecka ekspedientka zapytała, czy może pomóc mi znaleźć coś dla siebie. Mówiła piękną angielszczyzną. Nie odpowiedziałam. Jack odezwał się za mnie.

– Potrzebujemy dla niej jakiegoś stroju na kolację. I może czegoś na co dzień.

– Tak, oczywiście. Tędy, proszę.

Spojrzałam na Jacka. Patrzył na mnie z uśmiechem. Kim jest ten facet? – pomyślałam. Potem ruszyliśmy za ekspedientką, która – jak dowiedzieliśmy się chwilę później – miała na imię Gilda. Ciemne błyszczące włosy nosiła spięte w kok. Podobały mi się jej buty.

Spędziliśmy na zakupach godzinę. Gdy się przebierałam i pokazywałam Jackowi – obróć się, tak, dobrze, nie podjeżdża w górę?, długość jest odpowiednia? – próbowałam sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek kupowałam ciuchy z mężczyzną. Odpowiedź zdecydowanie brzmiała „nie”. Nigdy. Ale podobało mi się, gdy robiłam to z Jackiem. Wkładałam coś na

siebie, podczas gdy on gawędził z Gildą, a potem, po wyjściu z przebieralni, gdy stawałam przed trójskrzydłowym lustrem, przekonywałam się ze zdziwieniem, że miał dobre oko. Poza tym lubił ubrania, a w każdym razie lubił mnie w nich oglądać, bo w ciągu godziny przymierzyłam co najmniej kilkanaście sukienek. Czuję się seksownie w roli modelki. Jack mi się przyglądał, ale nie chodziło tylko o stroje.

– To bardzo dziwne – powiedziałam do niego, kiedy wreszcie wybraliśmy obcisłą u góry, a u dołu rozkloszowaną sukienkę, która wirowała uwodzicielsko przy każdym moim ruchu. Podobała się i mnie, i Jackowi, i podobało mi się, że podoba nam się to samo. – Nigdy wcześniej nie kupowałam ciuchów z facetem. Naprawdę lubisz towarzyszyć kobietom podczas zakupów?

– Nie za bardzo. Lubię towarzyszyć tobie. Nie powinniśmy kupić ci jeszcze czegoś?

– Będę chodzić w tej sukience, dopóki ci się w niej nie znudzę. Jutro wracamy, prawda?

– Tak.

– Do rana wystarczy mi to, co mam.

Pocałowaliśmy się, czekając, aż Gilda zeskanuje ceny i wszystko zapakuje. Po wyjściu na ulicę znowu zaczęliśmy się całować. Potem przeprosiłam Jacka na chwilę i zadzwoniłam do Constance. Nie chciałam, aby pomyślała, że zostałam porwana. Ale odebrała ze spokojem w głosie i wcale się nie zdziwiła, kiedy jej powiedziałam, że jestem z Jackiem w innej części miasta.

– Och, kochanie, cieszę się, że się z nim spotkałaś – odparła. – Mimo że go nienawidzisz.

– Ty mu zdradziłaś, gdzie mnie znaleźć.

– Pomyślałam, że jeśli naprawdę nie będziesz chciała go widzieć, zawsze może dać mu odprawę.

– Dzięki.

– Nie ma za co.

Znalazłam Jacka w holu. Nic nie powiedział. Ujął moją dłoń i ruszyliśmy do windy. Gdy na nią czekaliśmy, wciąż trzymał mnie za rękę. Drzwi się rozsunęły i weszliśmy do środka. Była to ładna winda, ciężka i solidna, z mosiężną poręczą biegnącą dookoła na wysokości pasa. Gdy tylko się zamknęła, Jack przyciągnął mnie do siebie i pocałował. To było właściwie coś więcej niż pocałunek. Wręcz mnie pożerał. Przyparł mnie do ściany i przez chwilę przesuwiał dłońmi po moim ciele. Jednak ani na moment nie przestaliśmy się całować i kiedy winda wreszcie się zatrzymała, wsparłam się ręką o ścianę, żeby odzyskać równowagę.

– Najlepsza przejażdżka windą w życiu – zauważył Jack.

Kiwnęłam głową. Bałam się, że nie wydobędę głosu z gardła.

Wziął mnie za rękę i pociągnął w głąb wyłożonego dywanem korytarza. Gdy tak szłam za nim, musiałam przyznać, że w anonimowości hotelu było coś, co mnie podniecało. Nikt nas tu nie znał. Przed nikim nie odpowiadaliśmy. Ścisnęłam mocno jego dłoń. Otworzył drzwi pokoju, nie puszczając mojej ręki.

Weszliśmy do środka i Jack zamknął za nami drzwi. Pokój był piękny; narzuta połyskiwała złoto, co w gorszym hotelu mogłoby wyglądać tandetnie, ale była dobrej jakości i to załatwiało sprawę. Gruby dywan, gołębiego koloru, tłumił dźwięki. Jack podszedł do okna i rozsunął zasłony. Ukazała się Brama Brandenburska, choć nie w całości, zaledwie widok z boku, zarys budowli.

Jack przywołał mnie do siebie. Kiedy podeszłam, stanął za mną. Pocałował mnie w szyję.

I to było już nie do zniesienia.

– Idę pod prysznic – szepnęłam pobudzona, z jego ustami na swoim

ramieniu i znowu na szyi. – Muszę się umyć.

– Nie musisz.

– Muszę. Ale nie mam zwyczaju tkwić godzinami pod prysznicem. Wierź mi. Nie będę myła włosów i tak dalej, tylko się odświeżę.

– Dobra.

– A potem będę się z tobą długo całować. Odpowiada ci?

– Tak, oczywiście.

– Chyba niepotrzebnie kupiliśmy tę sukienkę.

– Dlaczego?

Nie odrywał ust od mojej szyi. Czułam, że cała mięknie i zamieniam się w syrop.

– Bo raczej nie pójdziemy na kolację. Nigdzie nie pójdziemy. Tu jest nasz świat i nie musimy go opuszczać.

Skinął głową, z ustami na mojej szyi.

– W porządku – odparł.

Przytuliłam się do niego. Jack. Mężczyzna na moją miarę. Powoli wyswobodziłam się z jego ramion, odwróciłam się i pocałowałam go.

Było popołudnie w Berlinie.

Hotel Adlon Kempinski powinien zdobyć nagrodę za największe szlafroki kąpielowe, jakie kiedykolwiek wytworzyły ludzkie ręce. W łazience znalazłam dwa. Włożyłam mniejszy. Tylko to miałam na sobie. Później wróciłam do pokoju i zastałam Jacka siedzącego w ogromnym fotelu zwróconym ku oknu. Zatrzymałam się, żeby na niego popatrzeć. Wyłączył światła; albo może w ogóle postanowił ich nie włączać. Wszystko było spowite kojącą szaroniebieską poświatą.

Przyciągnął mnie i posadził sobie na kolanach tak stanowczym ruchem, że musiałam szybko przytrzymać poję szlafroka. Potem zaczął mnie całować. Całował delikatnie i powoli i przez dłuższy czas nic innego się nie działo. Nie

mogłam uwierzyć, jak łatwo wpasowałam się w jego objęcia. Całowaliśmy się raz po raz, aż po pewnym czasie nasze usta zdobyły własną wiedzę. Czułam na ciele wilgoć po gorącym prysznicu i to, że ciało Jacka na nie reaguje.

Po pewnym czasie rozwiązał pasek mojego szlafroka.

Wciąż patrzył mi w oczy. Miałam instynktowną ochotę się wycofać, uciec, ale Jack lekko, wręcz nieznacznie pokiwał głową i bezwolnie osunęłam się w jego objęcia.

Powoli, bardzo powoli rozchylił szlafrok, dotykając tylko materiału. Z trudem siedziałam spokojnie. Potem lekko musnął palcami moją pierś, brzuch, biodra. Zachowywał się tak, jakby odwijał coś cennego, czego nie chciał zobaczyć za szybko. Moje ciało wznosiło się ku jego dłoni, opadało i wznosiło się znowu. Od czasu do czasu pochylał się, żeby mnie pocałować, i za każdym razem, gdy się odsuwał, jego dłonie pieściły mnie mocniej. Czułam, że się przed nim otwieram. Choć zabrzmiało to absurdalnie, byłam tym coraz bardziej rozchylanym szlafrokiem, a Jack przesuwając dłońmi po moim ciele, pieścąc je i przemieszczając się dalej. Delikatnie dotknął moich sutków i już nie mogłam usiedzieć bez ruchu. Pocałował mnie jednak i ujął za oba nadgarstki, a następnie podniósł moje ręce nad głowę. Miałam wrażenie, jakbym była jakimś instrumentem na jego kolanach, czymś, na czym grał, czego używał i co cenił. Wreszcie nie mógł już dłużej nad sobą zapanować, bo zadarł moje ręce jeszcze wyżej i wsunął drugą dłoń między moje uda, a ja byłam już gotowa, czekałam na niego. Spojrzał na mnie, jakby chciał powiedzieć: „Tak, teraz ta część ciebie jest moja”. Zadrżałam i usiłowałam go pocałować, a on wziął mnie na ręce i zaniósł do łóżka.

Ciało. Jego ciało na moim.

Jego usta na moich, powoli, delikatnie, potem bardziej natarczywie. Białe zasłony w oknach hotelu wpływają na chwilę do pokoju, oddychają razem z nami, a potem wycofują się w przedwieczornym świetle. Zapach hotelowego ogrodu dochodzi do nas tylko w chwilach ciszy, kiedy na moment nasze zmysły milkną tuż przed tym, jak Jack zbliża się jeszcze bardziej, budząc we mnie wszystko, wszystko, co ważne, i całujemy się, znowu się całujemy, i to jest seks, wspaniały seks, ale nie taki, jaki znałam, nie do końca, nie słodki i uładowany, lecz z ziemską nutą, która ku mojemu zaskoczeniu tak mnie urzekła.

Jack. Mój Jack. Jego piękne ciało i obok, wokół, moje, białe i miękkie, moje nogi na jego biodrach, jego ciężar napierający na materac, na mnie, a potem inaczej, ostrzej, bardziej wyuzdanie, z krwią tętniącą pod skórą, szaleństwo, gorączka, równoważone jedynie przez jego powracające usta, zawsze kojące i ekscytujące, wymianę spojrzeń – głupi, niedorzeczny banał – ale co można na to poradzić? To popołudnie w Berlinie, cały świat ucichł, zasłony stale się unoszą i opadają, może zaraz spadnie deszcz, a my trwamy tak długo, on we mnie, głęboko, głęboko, bez ruchu, nic nie robiąc, tylko całując mnie w tym łóżku, które unosi się na wyspie vermeerowskiego światła. Ja też go całuję, obejmuję i przez dłuższy czas nic nie mówimy, nawet nie próbujemy, a potem to narasta od nowa, staje się niegrzeczne i cudowne, staje się wyprawą badawczą, z językami, palcami, przypiływami nie do opisanie. Pragnę, żeby wywrócił mnie na drugą stronę niczym materiał, wziął całą, ale w zamian coś dał, coś, co może mi dać.

Ma idealne ciało. Idealne. Silne, smukłe i zgrabne. I porusza się tak płynnie; nie ma przerw, momentów, kiedy skóra odkleja się od skóry, a gdy taka chwila przychodzi, gdy jest gotów, spogląda mi w oczy i nie odrywamy od siebie wzroku, nie dajemy za wygraną, aż nie może dłużej wytrzymać, wtedy go całuję, przyciągam bliżej, a białe zasłony łopoczą i z ogrodu

dochodzi powiew wiatru, który nas odnajduje. Ledwie mogę powstrzymać się od płaczu, bo jeśli to dzieje się naprawdę, jeśli choć jedna tego cząstka jest prawdziwa, to jestem martwym szczeniciem, jestem zgubiona, jestem tak beznadziejnie stracona, że nic nie może mnie uratować.

– Poszłam z tobą do łóżka, a nawet nie znam twojego nazwiska.

– To świetnie. Powinnaś być z siebie bezwstydnie dumna.

– Masz brzydkie nazwisko? Dlatego nie chcesz mi go zdradzić?

– Co masz na myśli, mówiąc „brzydkie”?

– No, sama nie wiem, Pancake albo coś w tym rodzaju.

– Myślisz, że nazywam się Jack Pancake?

Pocałowałam go w ramię, żeby skryć uśmiech. To była doskonała chwila. Wzmógł się wiatr, który teraz uderzał o ścianę hotelu. Leżeliśmy pod piękną kołdrą, pościel aż lśniła bielą, kontrastując z ciemnym drewnem łóżka i komód. Jack był ciepły i wszystko wydawało się leniwe, ciche i gładkie.

– Quiller-Couch – szepnął mi Jack we włosy. – Tak mam na nazwisko.

– To nieprawda.

– Ależ tak. Zapewniam cię. Wiem, że brzmi dziwnie.

Uniosłam się na łokciu i spojrzałam na niego. Miał zamknięte oczy. Nic nie mogłam z jego twarzy wyczytać.

– Nazywasz się Jack Quiller-Couch? Zmyślasz. To niemożliwe.

– Nie zmyślam. Naprawdę tak się nazywam.

– Daj portfel. Chcę zobaczyć twoje prawo jazdy.

– Możesz nazywać mnie Jackiem Vermontczykiem, jeśli chcesz. Albo Jackiem Pancakiem.

– Więc w przyszłości jakaś kobieta będzie miała do wyboru: albo zachować nazwisko panięskie, albo zostać panią Quiller-Couch. Można się domyślić, co wybierze.

– To piękne nazwisko. Powstało z połączenia nazwiska panięskiego mojej

matki, Quiller, i rodowego ojca, Couch. Dlatego nazywam się Quiller-Couch.

– To bzdura. Jack Quiller-Couch. Tak może nazywać się pirat albo ktoś taki.
Ewentualnie brytyjska pustynia.

– Mogę zmienić na Jack Pancake.

– Lepiej Jack Vermontczyk. Podoba mi się.

Pocałował mnie i przyciągnął bliżej.

– Jack Quiller-Couch. Będę musiała się przyzwyczaić. Choć nie jestem pewna, czy ci wierzę. Wciąż sobie żartujesz?

– To zbyt nadęte nazwisko jak na takie proste imię. Na tym polega problem. Nie ma między nimi równowagi. Twoje imię i nazwisko bardziej mi się podoba. Heather Mulgrew. Jak masz na drugie?

– Christine. Mulgrew zawsze kojarzyło mi się z grzybem, który można znaleźć w piwnicy. O, mulgrew!

– Jesteś bardzo dziwna. „Heather Christine Mulgrew”. Brzmi w porządku. Kiedy więc weźmiemy ślub, będziesz się nazywała Heather Christine Mulgrew Quiller-Couch. Jak kancelaria prawnicza.

– Weźmiemy ślub? I ja przyjmę twoje nazwisko? To już wszystko ustalone?

– Nieuniknione.

– Mówisz takie rzeczy dla efektu? To brzydki zwyczaj. Powinieneś się go wyrzec.

– Chyba nie można wyrzec się zwyczaju.

– A czego można się wyrzec?

– Szatana.

Przewrócił mnie na bok i przytulił się od tyłu. Jego oddech łechtał mi ucho. Poczułam, że raz stężał, zanim pogrążył się we śnie. Przez dłuższy czas patrzyłam, jak zasłony powiewają na wietrze. To Jack – powiedziałam sobie. Jack Quiller-Couch. Poznaliśmy się w pociągu i pierwszy raz pocałowaliśmy się na peronie, a teraz byliśmy w Berlinie i się kochaliśmy; to wszystko

wydarzyło się za szybko i za łatwo, żeby dało się uwierzyć, do tego jechałam sportowym samochodem z prędkością stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, a ten przystojny mężczyzna przytulał mnie do siebie. Pomyślałam, że powinnam zapamiętać tę chwilę. Powinnam ją jakoś zatrzymać, bo któregoś dnia, gdy będę stara i pomarszczona, może usiądę w słońcu i będę wspominać Jacka w tej białej, białej pościeli, nasze rozkosze, smak lodów i jego ciało, które przykrywa moje jak drzewo porastające kamień.

Kraków, Praga, Szwajcaria, Włochy

24

Z Berlina pojechaliśmy nocnym pociągiem do Krakowa. Nigdy nie miałam Polski na liście krajów do odwiedzenia, Raef jednak nas zapewniał, że jest piękna, a przekonałam się, że w kwestii podróży, restauracji i klubów jazzowych należy wierzyć jego opinii. Kraków – stare miasto – został wpisany na listę Światowego Dziedzictwa UNESCO, według Raefa to druga Praga, czyli kolejne modne miejsce, które należy odwiedzić, jeśli jest się młodym, mobilnym i w nastroju do przygód. Jack także nigdy wcześniej nie był w Polsce, więc w pociągu usiedliśmy z należącym do Constance przewodnikiem Lonely Planet na kolanach i powoli przewracaliśmy kartki, głośno czytając na zmianę i wskazując, co chcielibyśmy zobaczyć. Raef i Constance spali na miejscach naprzeciwko nas. Jej głowa spoczywała w zagłębieniu jego szyi niczym cenne skrzypce. Zrobiłam im kilka zdjęć; chciałam, żeby Constance wiedziała, jak słodko razem wyglądają.

Stanowiliśmy pary. To było coś nowego. Stało się tak naturalnie, że czasami musiałam potrząsnąć głową, aby w pełni zrozumieć, co się zmieniło.

Constance i Raef. Jack i Heather. Czułam obecność Jacka nawet w mroku, z błyskającymi za oknami światłami stacji, domów i samotnych gospodarstw. Znałam już jego ciało, w każdym razie lepiej niż przedtem, i byłam świadoma ciężaru jego barku na moim ramieniu, jego ręki na mojej dłoni. To będzie banał, jeśli powiem, że granice między nami się zatarły, że w jakiś sposób złączyliśmy się w jedno, niemniej tak właśnie było. W efekcie wspólnej podróży wszystko jakby przyspieszyło; nie mogliśmy ukryć przed sobą pewnych rzeczy ani powoli wyjawiać, co lubimy, a czego nie. Podróżowaliśmy tylko z plecakami i świat został zredukowany do małych wygod oraz przyjemności, wspaniałych, zapierających dech widoków, dźwięków i zapachów. Ja patrzyłam na otoczenie oczami Jacka, a on moimi.

Około północy Jack i ja wymknęliśmy się do wagonu restauracyjnego i u wiekowego barmana za kontuarem zamówiliśmy wódkę. Był to niski mężczyzna z wielkimi bokobrodami podkreślającymi zarys szczęki. Wydawały się jednak przezroczyście, rozmyte, jakby ktoś próbował wyostrzyć w soczewce jego twarz, a potem zrezygnował z tego zamiaru. Albo jakby dmuchawiec próbował się uśmiechnąć. Barman miał duży pieprzyk pośrodku czoła, a jego ręce, gdy dotykały butelek i szklanek, bardziej pełzły, niż podnosiły się czy opuszczały. Dałabym mu z siedemdziesiątkę. Wokół oczu miał żółte zmarszczki, które kojarzyły mi się z małymi pędami dzikiego wina.

Dwoma strumykami nalał nam wódki do kieliszków. Uśmiechnęliśmy się do niego i wypiliśmy. Pokręcił głową.

– Amerykanie? – zagadnął topornym angielskim.

Potwierdziliśmy.

– Kiedyś miałem wuja w Chicago – podjął. – Umarł dawno temu.

– Przykro nam – odpowiedział Jack, a ja kiwnęłam głową.

– Chciałem go odwiedzić, ale w końcu nie pojechałem. Jest ładne... to znaczy Chicago?

– Chyba tak – odparł Jack. – Nie byłem tam długo. A ty, Heather?

– Ja nigdy, niestety.

– Jezioro Erie – dodał barman z uśmiechem. – Wuj stale o nim mówił.

– Duże – przyznał Jack. – Wielkie.

To była gra słów, „wielkie” w znaczeniu „wspaniałe”. Podobała mi się jego delikatność wobec tego mężczyzny. Podobała mi się jego komunikatywność.

Barman tymczasem uniósł palec i schylił się pod kontuar. Wyjął spod niego butelkę wódki i pokazał etykietę. To była żubrówka, sławny gatunek, o którym właśnie czytaliśmy w przewodniku. Radzono w nim podróżnym, żeby ją pili, gdy tylko będą mieli okazję. Ta pora wydawała się równie odpowiednia jak każda inna.

Barman nalał nam drugą kolejkę. Obrócił kieliszki o trzysta sześćdziesiąt stopni – na szczęście.

– Napije się pan z nami? – zaproponował Jack. – Z przyjemnością panu postawimy.

Barman pogroził nam palcem.

– Za to nie płacicie. Jesteście za młodzi. To poczęstunek. Mówią, że żubrówka jest zrobiona z anielskich łez. Rozumiecie?

– Ja rozumiem – włączyłam się.

– Dobre trunki zawsze wywołują smutek. Dodają życia, ale także przypominają o śmierci. Nieprawda?

Pokiwałam głową, tak samo Jack. Barman dał nam znak, żebyśmy wypili. Pierwsza wódka paliła mnie w przełyku. Ta setka żubrówki jednak smakowała jak górską wodą. Nie byłam w żadnym razie znawczynią wódki ani żadnych alkoholi, ale wyczułam różnicę. Barman odstawił butelkę pod kontuar.

– To było bardzo miłe – powiedziałam. – Dziękujemy.

– Łatwo wchodzi – zauważył, prostując się znowu.

– O tak, rzeczywiście.

– Kiedyś Ameryka była bardzo dobra – odezwał się, kładąc ręce na stojących przed nim naczyniach. – Teraz za dużo bomb. Wszędzie bomby, w samolotach, na statkach, same bomby. Ameryce nigdy się nie znudzą.

– Takie można odnieść wrażenie – zgodził się Jack. – Czasami mają w kraju zabawne pomysły.

– Ludziom pod bombami nie jest zabawnie.

– Nie – przyznał Jack. – Im nie jest zabawnie.

Zapłaciliśmy. Zostawiliśmy barmanowi hojny napiwek. Kiedy wróciliśmy do wagonu, Raef i Constance już nie spali. Trzymali nogi na naszych miejscach, więc gdy się pojawiliśmy, szybko je zdjęli. Constance miała na kolanach przewodnik; na pewno szukała świętych, których mogłaby odwiedzić. Zawsze starannie planowała podróże.

– Piliście bez nas? – zapytał Raef. – Zalatuje od was wódką.

– Niezła była – odpowiedziałam. – Nazywa się na „z”.

– A, żubrówka – zgadł z zadowoleniem. – To jak się dowiedzieć, że stary przyjaciel żyje i ma się dobrze. Spędziłem wiele przyjemnych wieczorów przy żubrówce. Podobno ma właściwości lecznicze.

– Robią ją z anielskich łez – uzupełniłam.

– Śmieszne, bo ja słyszałem, że z kaczych. Tylko zimą... gdy wiatr wieje kaczkom w oczy.

– Muszę spróbować tej wódki – odezwała się Constance, nie podnosząc głowy. – Te historie są takie zabawne.

Wtedy Jack zobaczył za oknem zorzę polarną.

– Bzdury – orzekł Raef, podążając wzrokiem za jego palcem. – To pięćdziesiąty piąty stopień. Musielibyśmy dotrzeć co najmniej na sześćdziesiąty, żeby zobaczyć zorzę.

– Skąd wiesz, na jakiej szerokości geograficznej jesteśmy? – zagadnęła

Constance, patrząc za niego ze zdumieniem.

– To takie moje natręctwo – odparł Raef. – Boisz się? Zawsze znam współrzędne miejsca, w którym się znajduję. Wiem, że to dziwaczne.

– Wcale nie. Mnie kręci.

To była uroczą wymiana zdań między Raefem a Constance. Jack tymczasem podniósł się z miejsca i usiłował lepiej przyjrzeć się swojej zorzy. Mrużył oczy, przysuwał twarz do szyby. Widziałam coś nad jego ramieniem, ale mogło to być jakiegokolwiek źródło światła. Chociaż nigdy nie widziałam zorzy polarnej, wydawało mi się, że nie pomyliłabym jej z niczym innym.

– To stacja benzynowa! – stwierdził wreszcie Raef, patrząc w tym samym kierunku co Jack. – Neon!

Jack odwrócił się zgaszony.

– Rzeczywiście – przyznał. – Czy to nie życiowa lekcja?

– Zanim okrzykniesz coś zorzą, upewnij się, że to nie stacja benzynowa – podsumowałam. – Chyba mądra dewiza.

– Och, czy ja wiem – odezwała się Constance cichym, poważnym głosem, wciąż ze wzrokiem w przewodniku. – Podziwiam człowieka, który tak bardzo pragnie zobaczyć zorzę polarną, że widzi ją w neonie stacji benzynowej. Ktoś taki wie, co to marzenia.

– Dzięki, Constance – rzucił Jack z udawanym oburzeniem i wrócił na miejsce obok mnie. – Cieszę, że ktoś tu mnie rozumie.

– Jeśli słyszysz stukot kopyt, wypatruj koni, a nie zebr – powiedział Raef. – Czy to nie brzmi jak dewiza życiowa?

– Jeśli słyszysz stukot kopyt, wypatruj jednoroźców – poprawiła go Constance, patrząc kolejno na każde z nas. – Tak chcę żyć.

Pociąg zbliżył się do stacji benzynowej będącej przedmiotem sporu i w jednej chwili zostawił ją w tyle. Miała zielony neon, którego blask tłumiły późnowieczorne mgły, ale z całą pewnością nie była to zorza polarna.

Później zasnęłam. Raef i Jack długi czas rozprawiali o naturze rzeczywistości: skąd coś wiemy, jak możemy ufać zmysłom, co uznać za prawdę? Miało to chyba związek z ową wizją zorzy polarnej, więc przez jakiś czas próbowałam śledzić tok ich dyskusji. Jednak powoli zmorzył mnie sen i kiedy się obudziłam, pociąg zwalniał przed wjazdem do Krakowa. Był wczesny ranek, jeszcze przed świtem, i stukot kół o szyny brzmiał jak przeraźliwa pobudka.

– Porywam cię – oznajmił Jack następnego popołudnia. – Zabiorę cię gdzieś, gdzie nie będziesz chciała pojechać, a powinnaś. Oboje musimy zobaczyć to miejsce.

– To nie jest zachęta, Jack – zauważyłam.

– Zaufaj mi – poprosił. – To odmieni nasze życie.

Nie potrafiłam się zorientować, czy mówi poważnie, czy nie. Staliśmy obok baru przyczepy, jedząc kiełbaski z serem i frytkami z gazetowego rożka, który przesiąkł tłuszczem. Jack uwielbiał uliczne żarcie i zachwycał się atmosferą Krakowa. Raef znowu miał rację: to miasto miało niesamowity staroświecki urok. Zwiedziliśmy już Wawel, piękny zamek na wzgórzu, i zamierzaliśmy pojechać na północ, żeby zobaczyć inne sławne zamczysko z czerwonej cegły, w Malborku niedaleko Gdańska. Kraków wydawał się mniej zdeptany przez turystów niż Paryż czy Amsterdam, choć też było ich tam sporo.

– Przydałaby się wódka – odezwał się Jack, najwyraźniej w doskonałym nastroju. Zanurzył kiełbaskę w porcji ostrej brązowej musztardy. – Powinniśmy wypić za nieuchwytnę.

– Nie można wypić za nieuchwytnę. Nieuchwytnego nie ma.

– Ależ tak, można, pani Amherst. Jeśli warto za coś pić, to właśnie za nieuchwytnę. Każdy toast na świecie jest wznoszony właśnie za nie, nawet jeżeli ludzie nie mają takiej świadomości.

– Nigdy nie zapominasz języka w gębie, co, Jacku Quiller-Couch?

- Sam jestem nieuchwytny.
- I dziś odmieni się nasze życie?
- Na pewno.
- Nieuchwytnie?

Skinął głową.

A potem doznaliśmy jednego z tych miłosnych zamroczeń.

Spojrzeliliśmy sobie w oczy. Nie byliśmy na szczycie góry, nad błękitnym oceanem ani na kwietnej łące. Byliśmy w centrum Krakowa. Nie mogłam wydobyć głosu, choć w tym momencie nie czułam się szczególnie zakochana ani wniebowzięta, nic takiego. Ale Jack odwrócił się do mnie i uśmiechnął, a ja odpowiedziałam mu tym samym. Nic nie mówiliśmy. Życie toczyło się dalej wokół nas, miałam tego świadomość, ale przestało się liczyć. Liczyło się tylko spojrzenie Jacka i jego nieśmiały, łagodny uśmiech, którym mnie zapraszał, zapraszał, abym cieszyła się razem z nim, że jestem tu, w obcym mieście, zakochana albo bliska zakochania, że pragnąc się nawzajem, mając siebie, złapaliśmy świat za jego przekłety ogon. Z oczu Jacka powoli zniknęło rozbawienie, to, co w nich pozostało, pogłębiło się jeszcze bardziej, a w mojej głowie już tylko tłukła się niczym komar drobna wątpliwość: „Nie, nie, tak nie ma. To nie takie łatwe, nie dzieje się tak szybko, ty go nie kochasz, tylko lubisz. Wrócisz do Nowego Jorku, tak będzie, więc teraz oderwij od niego wzrok, bo jego oczy są jak królicza nora: jeśli będziesz patrzeć dalej, polecisz w dół i zaczniesz spadać”.

Jednak żadne z nas nie oderwało wzroku.

Trzeba mu przyznać, że nie próbował mnie pocałować ani zrobić nic innego, żeby zintensyfikować to, czego nie dało się już zintensyfikować. Staliśmy tak i tonęliśmy nawzajem w swoich oczach; i może kiedyś wymieniłam cień takiego spojrzenia z jakimś innym mężczyzną, ale teraz to było coś zupełnie innego, coś przerażającego i cudownego, i gdybyśmy mieli

na tym skończyć życie, wiedziałabym, jak to jest patrzeć sobie nawzajem w oczy i mieć świadomość, bez najmniejszych wątpliwości, że jego dusza, cokolwiek tak nazywamy, nawiązała porozumienie z moją duszą i że to spojrzenie, ta chwila, pozostanie nasza jak rzadki skarb, będzie nam towarzyszyć razem z przeświadczeniem, że już żadne z nas nie będzie samo, nigdy, nie całkowicie, nie zupełnie.

– No – powiedział, kiedy wreszcie opuściliśmy wzrok. – Skończ jeść i idziemy.

I tak zrobiliśmy.

25

Jack nie mógł długo ukryć przede mną celu naszej wycieczki. Po półgodzinie jazdy pociągiem stanęliśmy u wejścia do kopalni soli. Ze wszystkich miejsc, które chciałam odwiedzić w Europie, kopalnia soli była na samym końcu listy.

– Kopalnia? – zapytałam. – Zabierasz mnie do kopalni?

– Kopalni soli – potwierdził.

– W Europie, w jednym z najpiękniejszych miast, jakie widzieliśmy, schodzimy z powierzchni ziemi, żeby zobaczyć...

– Kopalnię soli – powtórzył. – Ale nie byle jaką. Bo to Wieliczka. Coś, czego nie można nie zobaczyć.

– Kto nie może?

– Nikt.

– Nikt nie może nie zobaczyć, czyli...

– Każdy musi.

– Nie jestem przekonana – sprzeciwiłam się. – Dlaczego akurat kopalnia soli?

– Chcesz powiedzieć, dlaczego akurat Wieliczka, prawda?

– Tak, oczywiście.

– Bo w tej kopalni już nie wydobywa się soli. To obecnie zabytek, skarb narodowy.

– Skarb narodowy w postaci kopalni soli?

– W wyrobiskach powstały kaplice z żyrandolami. To podobno pięknie wygląda.

– Jak na kopalnię soli.

– Tak, jak na kopalnię soli.

– Dziwny z ciebie facet, Jack.

– Zjadłem w życiu beczkę soli. Pora zobaczyć, skąd pochodzi.

– To ma być historia tej przyprawy, chcesz powiedzieć?

– Coś w tym rodzaju.

Staliśmy przed kasą biletową. Jack wziął mnie za rękę. Zerknęłam na niego kilka razy. Znałam go już na tyle dobrze, aby wiedzieć, że jest wręcz zaintrygowany tą kopalnią. Lubił wszystko co nietypowe, nie chodził utartymi ścieżkami. Ale kopalnia soli wydawała się czymś niezwykłym nawet jak na niego.

– Co jeszcze jest w tej kopalni soli? Tylko nie mów, że...

– Dużo soli – wszedł mi w słowo.

– Oprócz soli. Zakładam, że mamy zobaczyć coś więcej niż tylko sól.

– Nie sądzisz, że wystarczy zobaczyć cały świat wewnątrz kopalni? Trudno cię zadowolić, Heather.

– To ma być takie nadzwyczajne, że odmieni nasze życie? Już nigdy nie spojrzymy na sól tak jak dawniej, co? To chcesz powiedzieć?

Kiwnął głową. Widziałam, że jest w swoim żywiole. Wszystko mu się podobało: podróż pociągiem, absurdalność kopalni soli jako atrakcji turystycznej, ewidentny ekscentryzm pomysłu, żeby uznać taki obiekt za skarb narodowy. Pochylił się i pocałował mnie. A potem przytulił.

– Ludzie, którzy zwiedzają razem kopalnię soli, są potem ze sobą związani na całe życie. Wiedziałaś o tym?

– Nie, nie wiedziałam – szepnęłam w jego koszulę. – Jesteś tego pewny?

– Sól to podstawa życia. Sól i wódka, oczywiście. Jeśli razem zjedziemy do kopalni soli, będzie to deklaracja wiecznego oddania.

– Życie to nie fantazja, Jack. Mam nadzieję, że to wiesz. I pamiętasz, że to nie dla mnie.

– Kto mówi, że nie?

– Nikt nie mówi. Tak jest i już.

– Jesteś w Polsce, w moich ramionach. W drodze do fantastycznej kopalni soli. Gdyby trzy miesiące temu ktoś ci powiedział, że to twoja przyszłość, uznałabyś to za fantazję.

Potwierdziłam skinieniem głowy. To była prawda.

Odsunęliśmy się od siebie, kupiliśmy bilety i weszliśmy do środka.

Szybko się przekonałam, że zabudowania na górze zupełnie nie przygotowują na to, co znajduje się pod ziemią. Nazwa „historyczna kopalnia soli” wywołuje obrazy śnieżnego minerału w stertach, nasuwając podejrzenie, że próbuje się przekształcić od dawna martwy przemysł wydobywczy w źródło pieniędzy od turystów. Jednak to, co nas czekało, co zobaczyliśmy prawie do razu, okazało się czymś zupełnie innym. Trzeba zacząć od tego, że Wieliczka została wpisana na listę światowego dziedzictwa UNESCO i że na twarzy Jacka pojawił się uśmiezek, kiedy zaczęłam sobie uświadamiać, co oglądamy. Folder, który dostaliśmy przy wejściu, informował, że sól wydobywano tam od trzynastego wieku i ostatecznie zaprzestano dopiero w 2007 roku. W tym czasie górnicy wydrążyli w pokładach soli cztery kaplice, ozdabiając je posągami świętych i odparowując sól, żeby uzyskać kryształy do produkcji niesamowitych żyrandoli pod sklepieniem. To było takie niezwykle połączenie codzienności – co może być pospolitszego od soli? –

i wyrafinowania, że niespodziewanie poruszyło mnie do głębi.

– Ojej, Jack – szepnęłam. – To przepiękne.

– Tę kopalnię zwiedzali Kopernik i Goethe, Alexander von Humboldt i Chopin... a nawet Bill Clinton.

– Nie miałam pojęcia. Constance musi ją zobaczyć.

– Chciałem obejrzeć to wszystko z tobą.

– Skąd wiedziałaś o tym miejscu?

Jednak to nie miało znaczenia. Gdy schodziliśmy po drewnianych schodach na głębokość prawie osiemdziesięciu metrów, opowiedział mi historię węgierskiej księżniczki Kingi, która po przybyciu do Krakowa poleciła górnikom kopać w ziemi, aż trafią na skałę. Była zmuszona opuścić ojczyznę i przed wyjazdem wrzuciła pierścionek zaręczynowy do kopalni soli w Máramaros. Kiedy dotarli do skały głęboko w polskiej ziemi, okazało się, że to sól. Zanieśli kawałek Kindze i go rozkruszyli. Kiedy znaleźli w środku jej pierścionek, zaczęli krzyczeć z radości i od tej pory Kinga stała się patronką wydobywców soli kamiennej.

– Co takiego? – Zaśmiałam się, gdy skończył. – To nie ma żadnego sensu.

– Jasne, że ma.

– Wrzuciła pierścionek na Węgrzech i górnicy znaleźli go w Polsce?

– Nie masz w sobie ani krztyny romantyzmu, Heather. Im dłużej z tobą jestem, tym wyraźniej to widzę.

– Oczekuję od historii odrobiny logiki, Jack.

Kiedy dotarliśmy do końca schodów, odwrócił się w moją stronę. Wyciągnął ręce, ujął mnie za biodra i podniósł. Był w stanie mnie utrzymać, jak długo chciał. Było to bardzo erotyczne, piękne i urocze zarazem. Gdy mnie powoli opuścił, jego usta już czekały. Całowaliśmy się w tej pozycji przez pewien czas.

Ulegałam Jackowi całkowicie.

Nie mogłam mu się oprzeć. Nie wyobrażałam sobie, że nasze usta mogłyby się rozłączyć. Miałam wrażenie, że moje ciało stapia się z jego ciałem, piersią i ramionami, silnymi, mocnymi i wytrzymałymi, powoli się do niego dopasowuje, jak kamizelka ratunkowa. Nasz pocałunek stał się bardziej namiętny. Trwał i trwał, aż pomyślałam, że w objęciach Jacka stracę przytomność. Czułam się, jakbym weszła na tory kolejowe wiodące do jego ciała i umysłu i już nie mogła się wycofać, nie mogła zawrócić, bo gdziekolwiek on szedł, tam szłam i ja.

Delikatnie – po długiej chwili – wreszcie postawił mnie na ziemi. Powoli oderwał usta od moich.

– Mamy zwyczaj całować się na peronach i podestach – zauważył. – To dobry zwyczaj.

– Wspaniały.

– A w kopalniach soli?

– Wszędzie, Jack.

Skinął głową. Trzymał mnie za rękę, kiedy ruszyliśmy w stronę podziemnego jeziora, według folderu cudu, którego nie można było przeoczyć.

26

W Pradze Constance wdrapała się na mechanicznego byka. Była pijana. Szczęśliwa. Zakochana.

A nie powinna dosiadać byka, mechanicznego czy nie.

– Ujeżdż go, kowbojko! – zawołał Raef.

On także był pijany.

Wszyscy byliśmy pijani i świetnie się bawiliśmy.

Popołudnie spędziliśmy w małym *heuriger* – winiarni z zimnymi przekąskami i muzyką akordeonową – pijąc ostatni wiosenny rocznik wina.

Coś w ciągłym podróżowaniu, w trudnościach ze spaniem sprawiło, że staliśmy się rozbijającą beztroscy. Dużo się śmialiśmy. Śmialiśmy tak, jak śmieją się starzy przyjaciele, a przez zamroczenie wywołane alkoholem i zjedzonymi gomółkami sera przebijała osobowość każdego z nas. Podobały nam się Czechy, choć nie potrafiliśmy wymówić „Czechosłowacja”. Podobała nam się także muzyka akordeonowa i długo się zastanawialiśmy, dlaczego nie cieszy się popularnością ani w Stanach, ani w Australii, mimo że – jak twierdził Raef – akordeon to najbardziej uniwersalny instrument, jaki wyszedł spod ręki człowieka. Dyskusja, czy harmonia i akordeon to to samo, wymagała dwóch dzbanków wina i kiedy wytoczyliśmy się z winiarni, żeby następnie wtoczyć się do baru, tym razem w stylu zachodnim, w centrum Pragi, gdzieś w okolicy Pražský orloj, czyli zegara astronomicznego, Constance dosiadła byka.

– To chyba zły pomysł – powiedziała do wszystkich i do nikogo. – Albo najlepszy ze wszystkich.

Podniosła rękę nad głowę, w stylu kowbojki, i zaczęła obracać się powoli wraz z mechanicznym bykiem. Był to bardzo zmysłowy i jednocześnie piękny widok; z radością patrzyłam na Constance pozbawioną zwykłej pruderii. Z pozoru najmniej wysportowana osoba, jaką kiedykolwiek znałam, potrafiła w razie potrzeby być szybka i zręczna. Nigdy nie traciła równowagi.

– Nic jej się nie stanie – orzekł Jack, który obejmował mnie w pasie.

Odwracając się do nas, Constance za każdym razem kiwała głową. Miała cudownie zabawny wyraz twarzy, który mówił, że zrobiła to, bez problemu, dosiadła byka, co było najbardziej śmiałym wyczynem w jej życiu. Kierujący bykiem, patrząc na nią, też kiwał głową, a ona odpowiadała mu tym samym. Nawiązało się między nimi pewnego rodzaju porozumienie.

Potem zaczęła kręcić się szybciej.

– Mam nadzieję, że nie dostanie choroby morskiej – zauważył Raef.

– Umie żeglować – odparłam. – Jej rodzina uprawia jachting.

Pomyślałam, że to pijacki komentarz, ale co mogłam poradzić. Był wczesny wieczór czy też późne popołudnie – pora między jedną a drugą godziną szczytu w barze, więc klienci dopiero się schodzili – i kiedy Constance przeszła na następny poziom, kilka osób zaczęło jej kibicować. Wyglądała na byka jak postać mityczna. Postawiłabym dużą sumę na to, że wcielała się na przykład w Europę z Zeusem, bo oczy jej błyszczały i wyglądała na taką zadowoloną, jakiej nie widziałam jej jeszcze nigdy. Święta Konstancja ujeżdżająca byka kreteńskiego. Albo jakieś inne szaleństwo. Zrobiłam jej kilka zdjęć i przesłałam Amy. Musiała to zobaczyć. Constance na mechanicznym byku w Pradze czeskiej to nie był codzienny widok. Nie spojrzałam nawet na Jacka, który miał swoje zdanie na temat cykania fotek.

Potem byk zaczął wierzgać. Już nie tylko obracał się w kółko, ale też czasami gwałtownie podrzucał zadem, jakby chciał ją strącić. Żeby odzyskać równowagę, Constance oparła rękę na skórzanej powłoce, a potem kiwnęła głową, jakby znowu złapała rytm.

– Jest taka naturalna – zauważył Jack. – Niesamowicie naturalna.

– To najpiękniejsza kobieta, jaka kiedykolwiek żyła na ziemi – skomentował Raef, ani na chwilę nie spuszczać z niej wzroku. – Aż dech zapiera.

– A jest jeszcze piękniejsza w środku – dodałam.

Raef wziął mnie pod rękę. Miał lekko zawilgocone oczy.

Staliśmy objęci i patrzyliśmy, jak Constance ujeżdża byka. Nawet na chwilę nie dawała za wygraną, walczyła i nie zsunęła się ani odrobinę. Kiedy operator urządzenia zwolnił tempo, ludzie zaczęli wiwatować. Pomachała do wszystkich, ale trochę zaczęła się chwiać. Raef podszedł i zdjął ją z byka. Ona go pocałowała, a on odwzajemnił pocałunek. Patrząc na nich, wiedziałam, że się pobiorą. To było oczywiste. Cokolwiek przyciąga do siebie dwoje ludzi,

między nimi było bardzo silne.

– On ją kocha – powiedziałam do Jacka. – Kocha ją całą duszą i ciałem.

– O tak. A ona kocha jego?

– Bezgranicznie.

– To będzie im dobrze razem.

W tej ulotnej chwili któreś z nas powinno było, mogło, miało okazję powiedzieć coś o miłości, o związku. Oboje zdawaliśmy sobie z tego sprawę. Nie to, żebyśmy nie byli w sobie zakochani albo bliscy zakochania, cokolwiek jedno lub drugie znaczyło. Ale nie potrafiliśmy tego wypowiedzieć i zaczęłam się zastanawiać, co stoi na przeszkodzie. Chyba ulegałam śmiesznemu przesądowi, że to mężczyzna powinien wyznać miłość pierwszy. Według powszechnego przekonania lepiej, aby kobieta jak ognia unikała słowa na „m”. To była podstawowa babska wiedza. Jack i ja krążyliśmy wokół tematu, prawie podjęliśmy go w Berlinie, a potem w Krakowie, i niemal wyznaliśmy sobie uczucia. Ale samo słowo jakoś nie mogło przejść nam przez usta. Patrząc, jak Raef i Constance, objęci, opuszczają wyłożony matą krąg, na którym znajdował się byk, rozłączyliśmy się i stwierdziliśmy, że musimy się jeszcze napić. Uściskałam Constance, Raef na ochotnika postawił kolejkę na cześć dzielnej poskramiaczki byków i znowu zaczęliśmy się śmiać, Jack i ja nie mniej niż przedtem, ale blask w moim sercu zgasła pewna oficjalność i nie mogłam się nadziwić, jak możemy być sobie tacy bliscy i jednocześnie tacy wobec siebie ostrożni.

Po północy Raef i Constance wrócili do hostelu, a Jack namówił mnie na rejs barką mleczną. Wziął wizytówkę od faceta, z którym rozmawiał w barze – jeśli dobrze zrozumiałam, brata kapitana barki – ale gdy pokazaliśmy adres taksówkarzowi, ten musiał zapytać dwóch kolegów, jak dostać się na nabrzeże. Jechaliśmy dość długo, kierowca nachylał się i rozglądał przez przednią szybę. Nie wiedziałam, gdzie jesteśmy, poza tym, że były to jakieś tereny

przemysłowe. Od czasu do czasu zniecka ukazywały się lustra wody, w których światła naszych reflektorów odbijały się niczym błyski flesza. Musieliśmy jechać wzdłuż brzegu Wełtawy, jeśli dobrze się orientowałam. Niewiele było widać przy tych wszystkich zabudowaniach i sprzęcie budowlanym, który blokował drogę.

Kiedy wreszcie dotarliśmy na miejsce, Jack załatwił nam wejście na barcę, wręczając kapitanowi otrzymaną w barce wizytówkę. Być może także wcisnął załodze trochę pieniędzy, bo w jednej chwili zmieniła nastawienie z niechętnego na zdecydowanie życzliwe. Stanowili ją trzej mężczyźni, wszyscy w ciemnych ubraniach i czarnych dzianinowych czapkach – jak mogłam przypuszczać, był to firmowy uniform. Na szczęście mieli co robić, więc zostawili nas w spokoju. Barka – płaska, brudna, z małym żurawiem na lewej burcie – odbiła od brzegu około pierwszej w nocy. Sądząc po zapachu, miała silnik Diesla, ale płynęliśmy na tyle szybko, że prawie nie czuliśmy spalin.

Usiedliśmy za kabiną, oparci o jej ścianę i w znacznym stopniu osłonięci przed wiatrem. Była ciemna, bardzo ciemna noc i ciekawiło mnie, skąd załoga wie, którądy płynąć. Kanał – czy też droga wodna – stanowił zaledwie czarną linię w mrocznym krajobrazie. Co jakiś czas pokazywał się księżyc, rzucając trochę światła, i migotały gwiazdy; w pewnej chwili usłyszeliśmy sowę, jej charakterystyczny krzyk, a później, kiedy barka osiągnęła już sporą prędkość, dobiegł nas chrapliwy odgłos czapli i dostrzegliśmy ją na stercie desek po dawnym pomoście.

Przytuliliśmy się do siebie. Przez jakiś czas milczeliśmy; może Jack trochę się niepokoił, że zabrał mnie na obcą łódź, z załogą, której nie znał, ale jeśli tak było, dobrze to ukrywał. Kiedy wyczuł, że zmarzłam, rozchylił kurtkę i otulił mnie jej połami – i dalej płynęliśmy w ciemności, przy akompaniamencie warczenia silnika, które odbijało się echem od rosnących

nad rzeką drzew. Wiedziałam, że tak właśnie Jack chciał poznawać Europę. Każdy, kto ma w kieszeni pieniądze na bilet, może wejść do muzeum – powiedziała by. Trzeba być podróżnikiem, żeby zobaczyć coś niezwykłego w miejscu, które przemierzyło już tylu ludzi. Nie zadowalał się zwiedzaniem muzeów, katedr i ciekawych zakątków miasta, aby potem wrócić do domu i odhaczyć kolejny zaliczony kraj. Nie chciał być zwykłym turystą, pragnął nawiązać głębszą więź z ziemią i jej mieszkańcami. Wiedziałam – muszę to przyznać – że ten rejs barką zapamiętam na całe życie. Noc w Pradze po kowbojskich wyczynach Constance, zapach Wełtawy i miasta, a do tego smród diesla nadający powietrzu przemysłową woń...

– Mam nadzieję, że nie zabierają nas do Rosji czy gdzie indziej – szepnął Jack. – I że na koniec odstawią do Pragi.

– Myślisz, że zostaliśmy porwani?

– Prawdopodobnie. Jestem prawie pewien, że w pewnym momencie, aby ujść z życiem, będziemy musieli wyskoczyć za burtę i płynąć przed siebie.

Przycisnęłam się do niego mocniej. Przyglądałam mu się przez dłuższy czas. Wciąż wydawał mi się najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego znałam. Czasami musiałam sobie przypominać, że z nim jestem, że w taki czy inny sposób stał się mój.

– Przypuszczam, że twojemu dziadkowi by się to podobało.

Wzruszył ramionami. A potem jeszcze bardziej mnie do siebie przygarnął.

– Był porządnym człowiekiem – odparł. – Nie wiem wszystkiego o jego podróży po Europie. Wiem tylko, że wracał po wojnie do domu, ale nie mam pojęcia, dlaczego wybrał taką trasę, a nie inną. Jakby się błąkał. Na pewno był w szoku po tym, co przeżył.

– Domyślam się, że wszystko leżało w gruzach. To musiało być przerażające.

– Pochodził z farmy mleczarskiej w Vermoncie. To zagadka. Trudno mi

wyobrazić go sobie w Europie, szwendającego się tu i tam. Miał wielkiego ducha, tak zawsze mówiła o nim babcia. „Oddychał przez obie dziurki od nosa”, to było jej powiedzenie.

– Podoba mi się. Nigdy wcześniej go nie słyszałam.

Znowu skwitował to wzruszeniem ramion. A potem pokiwał głową.

– Przez wiele lat spędzałem z nim wakacje. Rodzice nie dogadywali się ze sobą za dobrze, mówiąc łagodnie. Więc latem jechałem do dziadków, mieszkałem u nich, pomagałem na farmie. A przy okazji... w pociągu myliłaś się co do jednego. Nie mam funduszu powierniczego. Dostała mi się niewielka suma ze sprzedaży farmy. Na czarną godzinę. Ale nie lubię o tym myśleć. To znaczy o tej historii ze sprzedażą.

– Ale twoi rodzice żyją, prawda?

– Uhm. Mama mieszka w Kalifornii, szuka pomysłu na siebie. Tata przeprowadził się do Bostonu. Oboje niezbyt interesowali się farmą, więc ją sprzedali. Tata się na niej wychował i miał jej dość. Próbowałem odwieść ich od tego zamiaru. Chciałem nawet zostać mleczarzem.

– I otrzymałeś część pieniędzy ze sprzedaży?

– Podzielili je na trzy części. Jedną dali mnie, chyba z poczucia winy. Wiedzieli, że chcę zatrzymać to miejsce. Sprzedali je, kiedy ziemia w Vermoncie osiągnęła dobrą cenę, więc nieźle na tym wyszliśmy.

– Przykro mi – powiedziałam szczerze.

– Dom, prawdę mówiąc, nie był wiele wart. Pewnie i tak trzeba było się go pozbyć. Ale ziemia... i budynki gospodarcze. Zawsze uwielbiałem stodołę. Kiedy byłem w college'u, próbowałem dziadka namówić, żeby ubiegał się o fundusze z budżetu na jej remont. Zbadałem sprawę. Jako naród tracimy dawne stodoły, więc państwu zależy na ich ratowaniu. Ale byłem tylko chłopakiem z college'u, który kocha dziadka. Nic nie mogłem zrobić, a stodoła była cholernie droga w utrzymaniu. Kiedy dach zaczyna się walić, to koniec.

Trzeba go natychmiast wymienić.

– Czyli nie rozszyfrowałam cię do końca wtedy w pociągu.

– Mnóstwo ludzi ma gorzej niż ja.

Niebawem barka zaczęła kierować się w stronę lewego brzegu i jeden z członków załogi, chudy, żylasty młody chłopak z wystającymi górnymi zębami, teraz w niebieskim kombinezonie, poprosił nas po niemiecku, żebyśmy wstali. Mieli przystąpić do załadunku pojemników z mlekiem, wyjaśnił za pośrednictwem Jacka. Jack zapytał go o imię i chłopak odparł z króliczym uśmiechem:

– Emil.

– Możemy jakoś pomóc? – zagadnął Jack. Wstał i wyciągnął rękę, żebyśmy też mogła się podnieść.

– Pomóc? – powtórzył Emil i parsknął śmiechem.

Zawołał coś przez okno kabiny i kapitan, brodaty mężczyzna o wielkim brzuchu i głębokim gardłowym głosie, odpowiedział mu głośno, jednak jego słowa zagłuszył warkot silnika. Trzeci członek załogi, prawdopodobnie pierwszy oficer, stał na dziobie, gotów rzucić linę. Barka nie płynęła już głównym nurtem; podskoczyła, opuszczając go, i zwolniła. Emil pospieszył na rufę, pewnie przygotowując się do rzucenia liny po drugiej stronie. W ciemności mogliśmy dostrzec jedynie drewniany pomost, a za nim rozległą pustą przestrzeń.

Łódź zwolniła jeszcze bardziej i zaczęła się cofać, liny ze świstem poszybowały w mrok. Kapitan coś krzyknął i ktoś mu odpowiedział, a potem przybiliśmy do pomostu, ocierając się o niego jak kot. Na pomoście stało sto, może sto pięćdziesiąt srebrnych kanistrów z mlekiem czekających na załadowanie.

Patrzyliśmy, jak pierwsza dziesiątka zostaje dostarczona na pokład. Pojemniki przenoszono na małych paletach; Emil przejmował ładunek, sterując nim,

podczas gdy pierwszy oficer obsługiwał żuraw. Kapitan nie raczył wyjść z kabiny, ale od czasu do czasu czuliśmy niesiony przez wiatr zapach tytoniu z jego fajki.

Na pomoście krzątało się pięciu, sześciu ludzi. Nie mówili wiele, tylko co jakiś czas wykrzykiwali polecenia. Scenę tę wydobywało z mroku jasne światło reflektora. Przyciągane przez nieśmy wyglądały jak miniaturowe anioły. Po chwili Jack i ja zaczęliśmy pomagać Emilowi układać palety w odpowiedniej kolejności. Nie była to ciężka praca, tyle że czasochłonna, ale we trójkę szło nam szybciej. Emil śmiał się, patrząc na nas. Pierwszy oficer nic nie mówił i mężczyźni na pomoście zaczęli żartować, że teraz jemu należy się pomoc. Kanistry z mlekiem były zapieczętowane, lecz na ich ściankach skraplała się para, bo noc była zimna, a mleko ciepłe. Za każdym ładunkiem podążał snop światła i oświetlał go przez krótki moment.

Kiedy całe mleko znalazło się już na pokładzie, wyładowaliśmy stertę pustych palet. To była najcięższa robota i Emil już się nie śmiał, kiedy mu pomagaliśmy. Przenosiliśmy je na brzeg żurawiem, związane łańcuchem po dwanaście sztuk. Tamci czekali, aż ładunek spocznie na pomoście, a potem rozwiązywali łańcuch i rzucali go nam z powrotem.

– Mój dziadek byłby wniebowzięty – zauważył Jack, kiedy skończyliśmy i barka odbiła od brzegu, wypłynęła na środek rzeki, a potem przyspieszyła. –

Porównałby to do pracy na farmie mleczarskiej w Ameryce. Był dobrym gospodarzem.

– Tam jednak musieli rozwozić mleko ciężarówkami, prawda?

– Na pewno. Może rozwożenie rzeką to po prostu stary sposób, który jeszcze całkiem nie zanikł. Woda jest tańszą drogą transportu.

Staliśmy przy barierce i patrzyliśmy na brzeg. Krajobraz był spowity ciemnością i bezkształtny, ale tu i tam widzieliśmy domy oraz światła, a od czasu do czasu słyszeliśmy szczekanie psów. Pod nami szumiała woda;

przybijając do następnego pomostu, barka przepłynęła przez środek stada łabędzi, które rozstąpiły się jak ptaki wykonane techniką origami, niewiarygodnie pogodnie, białe i swobodne na rzece.

Pomagaliśmy Emilowi także podczas drugiego przystanku i praca szła sprawnie. Tym razem kapitan wyszedł z kabiny i trochę się z nami pośmiał, gestykulując z pustą fajką w dłoni. Żartował, że chętnie zatrudni nas na stałe, a potem zszedł z łodzi i po kilku minutach wrócił ze świeżym pieczywem zawiniętym w gazetę. Ofiarował nam dwie długie bułki i plastikowy słoiczek miodu. Resztę dał Emilowi i pierwszemu oficerowi.

Odrywaliśmy kawałki bułki i maczaliśmy je w miodzie. Ich smak przywodził na myśl noc i trawę, którą karmi się krowy. I drewniany pomost. Były pyszne, słodkie; Jack się pochylił i pocałował mnie, a jego usta smakowały miodem.

Kiedy barka odstawiła nas na to samo miejsce, gdzie wsiedliśmy, noc dobiegała kresu, zbliżał się ranek. W pewnym sensie byliśmy już zaprzyjaźnieni z załogą. W pierwszych promieniach świtu rzeka wydawała się złota. Przypomniały mi się czasy dzieciństwa, jak wracałam z łyżew albo sanek; wtedy życie na moment się zatrzymywało, stawało się autentyczne, bo nie zawsze takie bywało, i choć chciałam już być w domu, w ciepłe i spokoju, trudno mi było zostawić świat zewnętrzny, pożegnać się ze świeżym powietrzem, wiatrem i swobodą. Zamykając za sobą drzwi, zawsze czułam się zdrajczynią, jakbym odwracała się plecami do drogiego przyjaciela. Teraz też miałam takie wrażenie. Kiedy wysiedliśmy z barki na solidny pomost, miałam wrażenie, że wracam do dzieciństwa.

– Dziękuję ci – powiedziałam do Jacka, gdy pożegnaliśmy się z załogą.

Kapitan znowu dowcipkował, że nas zatrudni. Rzucił coś o tym – nie bardzo zrozumiałam – że jesteśmy bardziej pracowici od Emila. Ten uśmiechnął się jak królik. I było po wszystkim.

– Niesamowita noc.

– Podoba mi się twój styl życia, Jack.

– Wcześniej – zaczął – gdy patrzyliśmy na Raefa i Constance...

Odwróciłam się i spojrzałam na niego.

– Wiem, co pragnęliśmy sobie nawzajem powiedzieć – ciągnął. – Naprawdę. Ale lepiej nie przyspieszać sprawy. Nie chciałbym wypowiedzieć ani jednego słowa, które nie byłoby autentyczne.

– W porządku, Jack.

– Jestem wypełniony tobą, Heather.

– Wiem. Ja czuję podobnie.

– Wolałbym tego jeszcze nie nazywać. To byłoby zbyt łatwe i przewidywalne. Wolałbym, żeby potoczyło się samo.

– Więc jednak mnie słuchałeś? – zapytałam i trąciłam go ramieniem.

– Staram się.

– Teraz musisz postawić mi śniadanie.

– Zawsze na koniec stawiam ci śniadanie.

Wziął mnie za rękę. Ruszyliśmy pomostem, a kiedy się odwróciliśmy, żeby pomachać załodze barki, bo myśleliśmy, że coś za nami wołają, stwierdziliśmy, że to tylko mewa wydała swój ludzki krzyk.

12 lipca 1946

Przyjechałem do małego obozowiska pod Vallorbe w Szwajcarii. Jestem już wykończony i ledwie trzymam się na nogach. Kolega mi poradził, żebym zobaczył fortecę Col de Jougne. Została wykuta w skale i wciąż pełni funkcję obronną. Ten kolega – chudy gość z Brooklynu imieniem Danny – mówił, że to prawdziwy cud inżynierii. Lubię takie rzeczy, ale w tej chwili przepełnia

mnie tęsknota i marzę o powrocie do domu. Wieczne światło zawsze przypomina mi o farmie. Czuję ciężar na sercu i chciałbym wreszcie go rzucić.

– To musi być tutaj – oznajmił Jack, wskazując wznoszące się przed nami ruiny.

Nigdy wcześniej nie widziałam zbombardowanego budynku – przynajmniej takiego, który nie zostałby potem odbudowany. Ten można byłoby nazwać najwyżej szkieletem budowli, gdyby nie to, że nawet tyle z niej nie zostało. Były to zwłoki budynku, powłoka czegoś, co kiedyś żyło, ale zostało rozprute i teraz jego wnętrzości leżały rozrzucone wokół. Gdyby Jack nie śledził notatek w dzienniku dziadka, gdybyśmy po obu stronach granicy francusko-szwajcarskiej nie pytali tysiące razy o drogę, nigdy nie znaleźlibyśmy tego miejsca. Okoliczne lasy zawłaszczyły z powrotem kamienną konstrukcję i rozpórki z surówki, które najwyraźniej spajały dach. Brzozy, w większości jeszcze młode, rzucały cętkowane cienie na pozostałości fabryki. Wzdłuż Alp wiał zimny południowy wiatr. Raef i Constance pojechali do Hiszpanii na festiwal jazzowy. Jack i ja zostaliśmy sami.

– Więc stał tutaj?

– Był w tym miejscu. Opisał zbombardowany budynek. Doskwierało mu zmęczenie. Czuł ciężar na sercu.

– To się udziela, no nie? Czuje się, że działy się tu straszne rzeczy.

Jack skinął głową. Oglądał wszystko uważnie, chciał zrozumieć, co się w tym miejscu wydarzyło. Przykucnął przy pobliskiej stercie cegieł i przewrócił kilka z nich, szukając nazwisk, śladów mówiących o historii budynku.

– Co się tu mieściło? – zapytałam, schodząc ostrożnie z dawnej drogi dla wozów, od dawna nieużywanej.

– Fabryka lin. Dziadek mówił, że w spalonym budynku mieszkały trzy

rodziny. Podzielił się z nimi swoimi racjami żywnościowymi, a oni poczęstowali go kawą, która była wówczas luksusem. Przypuszczał, że ją ukradli, ale nic nie powiedział. Pisze w dzienniku, że kawa była czarna i ohydna, ale podali ją z wielką dumą, więc udawał, że mu smakuje.

– Naprawdę kochałeś swojego dziadka. Przebija to ze wszystkiego, co robisz.

– Był dla mnie dobry. Rozumieliśmy się nawzajem pod wieloma względami, co raczej mi się nie zdarza w przypadku innych ludzi.

– Jak tu trafił?

– Nie wiem, szczerze mówiąc. Myślę, że kiedy mógł, łapał okazję. Podróżował czym się dało, różnymi środkami transportu. Nie umiem odtworzyć tego wszystkiego, bo nie zawsze wspominał w dzienniku, jak dokąd dotarł. Chyba jeździł w różne miejsca, żeby zobaczyć, co wojna zrobiła światu. Nie wiem jednak, po co konkretnie udawał się tu czy tam.

Stojąc, czubkiem buta trącił kolejne cegły.

– Sądzę, że dziadek spędził przynajmniej tydzień w Berlinie. Miasto wydało mu się przerażające i fascynujące. Wszystkiemu, co składało się na codzienne życie, trzeba było przyjrzeć się od nowa. Nie dało się wrócić do poprzednich poglądów na temat istot ludzkich. Po prostu się nie dało. Powtarzał to w dzienniku wiele razy.

– Potem przyjechał tutaj? Z Berlina?

– Z kilkoma przystankami po drodze. Niebezpośrednio.

Okrążyliśmy budynek, omijając kępy krzewów. Musieliśmy iść ostrożnie, bo nie było wiadomo, po czym stąpamy. Jack kilka razy się zatrzymał, żeby obejrzeć sterty kamieni i cegieł, przypominające jakieś konstrukcje. Las prawie całkiem pochłoniął fabrykę; we wczesnojesiennym słońcu trzepotały na wietrze brzozy i osiki. Cokolwiek się tu wydarzyło, co wyszło na jaw po wojnie, stanowiło tajemnicę, strzeżoną obecnie przez przyrodę. Pomyślałam,

że to stosowny pomnik.

Jack był jakiś inny, kiedy oglądał miejsca opisane w dzienniku. Stawał się poważniejszy. Można było odnieść wrażenie, że próbuje od nowa nawiązać porozumienie z dziadkiem, cofnąć się w czasie, żeby zrozumieć to, co on rozumiał. Te wysiłki przepajały go melancholią. W takich chwilach nigdy nie mogłam się zorientować, czy chce, żebym z nim była, czy nie. Wciąż okazywał mi czułość. Często, szukając wsparcia, brał mnie za rękę, ale równie łatwo mógł ją puścić, żeby skupić się na wspomnieniach. Przypominał żeglarza, który ogląda łódź, martwi się murszem i innymi uszkodzeniami uniemożliwiającymi wypłynięcie w morze, ale jednocześnie podziwia jej konstrukcję i już sobie wyobraża, jak dziób tnie wodę. Staralam się wtedy jak najmniej odzywać.

– Powinniśmy już iść – powiedział w końcu, schodząc na porytą koleinami drogę. – Nic więcej nie ma tu do oglądania.

– Jeśli jesteś gotowy... Nigdzie się nie spieszymy.

– Dziwnie pomyśleć, że dziadek tu był. Nie wiem dlaczego, ale czuję, że cierpiał.

Pokiwałam głową.

– Może bał się wrócić do domu – ciągnął. – I to częściowo było powodem.

– Dlaczego miałyby się bać?

Wzruszył ramionami. Widziałam, że jest przejęty. Powściągnęłam odruch, żeby go uściskać. Serce mi pękało, gdy widziałam go w takim stanie. Chociaż kochał dziadka i często o nim mówił, ta podróż, wędrówka jego śladami, wyraźnie go rozstrajała. Coś mu nie pasowało lub układało się w całkiem inną historię, a ja nie mogłam go o to zapytać, bo nie chciałam być natrętna. Na początku założyłam, że jeśli zechce mi coś powiedzieć, to powie. Ja sama nie będę pytać ani drażnić tematu.

– Chyba jestem gotowy. Musimy znaleźć jakiś hotel albo pensjonat.

– Dobrze.

– Dzięki, że przyjechałaś tu ze mną.

Położyłam mu rękę na plecach i lekko go pogłaskałam.

– To zagadka. Nie rozumiem, czego szukał.

– Mówiłeś, że nie chodziło mu o nic konkretnego, prawda? Może sam tego nie wiedział.

Pokiwał głową.

– Zrobisz parę zdjęć? – zapytał.

Wyjęłam telefon. Jack nie udzielał mi wskazówek. Staralam się wykazać jak największe zrozumienie. Nie pytałam, dlaczego akurat tu mogę fotografować, a w innych miejscach, gdzie dobrze się bawiliśmy, był temu przeciwny. Chybaby mi powiedział, gdyby zdjęcia miały służyć dokumentacji, która była mu do czegoś potrzebna.

Wyjechaliśmy późno i dotarliśmy do Vallorbe w porze kolacji. Jack chciał zwiedzić tamtejszą fortecę, o której jego dziadek pisał w dzienniku. Znajdowała się na Col de Joune w górach i zamierzaliśmy wybrać się tam następnego dnia; wyglądało, że to łatwa trasa. Było już jednak za późno, żeby to sprawdzić; dlatego znaleźliśmy restaurację i zamówiliśmy danie dnia.

I tam znowu się starliśmy. W naszej własnej drugiej wojnie światowej.

28

Wieki temu podczas wakacji wybraliśmy się całą rodziną do Yellowstone. Miałam wtedy dwanaście lat. Kiedy dotarliśmy do Nebraski, ojciec wbił sobie do głowy, że musimy zobaczyć żurawie w trakcie corocznej migracji. Była odpowiednia pora i twierdził, że sama Jane Goodall, sławna prymatolog, wskazywała to jako przykład wielkich światowych migracji zwierząt. Matka tylko wzruszyła ramionami, więc pojechaliśmy. I tak było nam po drodze.

Pamiętam żurawie, ale jeszcze lepiej zapamiętałam burzę, która pewnego popołudnia złapała nas na autostradzie I-80 pośród wielkich równin Nebraski. Nadciągnęła z zachodu i zasnęła cały horyzont. My tymczasem jechaliśmy przed siebie, bawiąc się, jak to bywa w takich okolicznościach, wskazywaniem tablic rejestracyjnych z różnych stanów. Nagle ojciec pochylił się ku przedniej szybie, spojrzął z dziwnym wyrazem twarzy i powiedział:

– Zaciągnęło się na dobre.

Poczułam tę burzę w zębach, na podniebieniu, w końcówkach nerwów w palcach. Nie tyle w nią wjechaliśmy, ile się wbiliśmy; nasz samochód stał się igłą, która wchodziła coraz głębiej w epidermę deszczowej chmury, aż wreszcie przeniknęliśmy jej naturę.

– Czy to tornado? – zapytała matka, wyciągając jedną rękę, żeby oprzeć się o przednią szybę, a w drugiej trzymając aparat fotograficzny.

Ojciec pokręcił głową, znowu zbliżył twarz do szyby, żeby lepiej widzieć, i powtórzył:

– Zaciągnęło się na dobre.

To określenie przyszło mi do głowy, kiedy Jack ni stąd, ni zowąd się zachmurzył.

Rozmawialiśmy sobie, jedząc słony rosół i czekając, żeby kelner ponownie nalał nam wina do kieliszków, gdy nagle dostrzegłam oznaki zbliżającej się burzy i zdałam sobie sprawę, że cokolwiek powiem, i tak jej nie zatrzymam. Jack się uśmiechnął. I rozszalały się żywioły.

– Chcę wiedzieć, co przyniesie następny dzień. Nie dokładnie... nie muszę wiedzieć dokładnie... ale w jakimś przybliżeniu – powiedziałam z czerwoną szyją. – A przynajmniej chciałabym mieć taką możliwość. Czy to takie straszne?

– Chodzi o to, że... – Znowu się uśmiechnął i odwrócił wzrok.

Co się stało? – zaczęłam się zastanawiać. Jakim sposobem nagle

przeszliśmy od tych cudownych, naprawdę cudownych wspólnych tygodni w podróży, bez konfliktów i sporów, do zarzewia kolejnej kłótni – w najbardziej niewinnym miejscu ze wszystkich, całkiem miłej restauracji dla turystów, z kraciastymi obrusami i miskami na zupe wiszącymi dla ozdoby na ścianach? Zaciągnęło się na dobre – pomyślałam, nawet gdy Jack się ożywił i pochylił na krzesło do przodu.

– Tym razem nie chodzi o Nowy Jork – oświadczył. – Nie o to, że jest on więzieniem, które budujemy dla samych siebie. Chodzi o podejście do życia.

– To brzmi naiwnie, gdy tak mówisz.

– Czyli jak?

– Kiedy głosisz te wszystkie wielkie hasła. Czy przed chwilą nie powiedziałaś, że Nowy Jork jest właściwym miejsce dla tych, którzy chcą robić karierę? Że mógłbyś zacząć tam swoją wspinaczkę na szczyty światowego dziennikarstwa? Dopiero co tak mówiłaś, Jack. Czy może zwariowałam?

– Jedno nie znaczy drugie. Wcale nie.

– Już nawet nie rozumiem, co masz na myśli. Chcesz pojechać ze mną do Nowego Jorku i przekonać się, czy nam wyjdzie? Nie musisz. Nikt nie przystawia ci broni do głowy. Rozmawialiśmy o tym, ale jeszcze niczego nie uzgodniliśmy, prawda? No właśnie.

– Martwi mnie, co to oznacza.

– Co oznacza co?

Uśmiechnął się kolejny raz. Uświadomiłam sobie, że nienawidzę tego jego uśmiechu w takich sytuacjach. To był nie tyle uśmiech, ile maska, żeby ukryć warkot.

Wreszcie podszedł kelner z winem. Uśmiechnęliśmy się do niego. Mieliśmy na podorzędziu cały wachlarz uśmiechów. Jack powiedział coś do niego po francusku. Ten się uśmiechnął. Zastanawiałam się, czy nie wstać i nie pójść do

toalety, zrobić cokolwiek, żeby przerwać trajektorię, po której zmierzała ta dyskusja.

Jednocześnie czułam, że serce mi się ściska.

Kiedy kelner odszedł, Jack podniósł kieliszek i westchnął.

– Budzisz we mnie strach – powiedział. – Naprawdę. Ty, Heather Christine Mulgrew.

– Ja? Dlaczego ja?

– Ktoś taki jak ty. Jako osoba, z którą pragnąłbym się związać. Nie chciałem poznać kogoś takiego. Miałem całkiem dobry plan, tak mi się przynajmniej wydawało. Zamierzałem podróżować przez sześć miesięcy. Dlatego tak reaguję.

– Nic nie stoi na przeszkodzie, żebyś podróżował.

– Może już nie chcę. Może czuję zamęt.

– Jack, stwarzasz problem tam, gdzie go nie ma. Możesz kontynuować swoją podróż. Nie będę miała o to do ciebie pretensji. Ani trochę. To by mi nawet ułatwiło sprawę. Mogłabym ułożyć sobie życie w Nowym Jorku...

– Jednak jest problem. Ty także masz tego świadomość. Rezygnujesz z wolności na rzecz poczucia bezpieczeństwa. Rezygnujesz z całego tego świata – wskazał prawą ręką restaurację – wybierając pracę od dziewiątej do siedemnastej. Nieważne, ile ci zapłacą; celowo rezygnujesz z siebie. Oboje wiemy, jakie będziesz wieść życie. Znamy jego plusy i minusy. Jest takie przewidywalne. Dlatego tak ludzi pociąga.

Usiłowałam zachować spokój. Nagle miał mnóstwo do powiedzenia. Gdybym nie była z nim przez cały dzień, pomyślałabym, że się upił. Próbowałam sobie przypomnieć, jak wyglądały tamte żurawie, kiedy wreszcie je zobaczyliśmy. Pod wieloma względami robiły większe wrażenie niż samo Yellowstone. Spadały z nieba jak latawce, z rozłożonymi skrzydłami, lekko zmieniając położenie nóg, żeby utrzymać kierunek lotu. Pióra na ich wielkich

skrzydłach poruszały się w powietrzu jak struny fortepianu. Ptaki wydawały żalosalne dźwięki, szukając partnerów jeszcze przed wylądowaniem, a z bezkresnych równin Nebraski unosiły się w powietrze źdźbła trawy i pył, barwiąc blask słońca.

Gdzieś, poza tym wszystkim, co mówił do mnie Jack, czekały żurawie. Na razie jednak, w tej okropnej, okropnej godzinie, byliśmy w samym środku burzy i nie mogliśmy się z niej wyrwać.

Zmusiłam się, żeby zjeść spokojnie zupę. Była za słona, ale trudno. Jadłam wyprostowana na krześle, podnosząc łyżkę do ust ruchem pełnym godności. W górę pod odpowiednim kątem do ust, łyk, w dół pod odpowiednim kątem do miski. Kelner, przechodząc obok, zapytał, czy wszystko w porządku. Znowu się do niego uśmiechnęliśmy. Był to młody chłopak, może osiemnastoletni, miał potargane włosy i teksaską krawatę. Po co ją nosił, tego można się było jedynie domyślać.

– Chyba lepiej, żebyśmy zamknęli na razie tę dyskusję? – zagadnęłam po pewnym czasie. – Zawsze kończy się kłótnią między nami.

– Przepraszam. To chyba mój osobisty problem, co?

– Jeśli dobrze rozumiem, Jack, obawiasz się, że coś stracisz, jeśli złączysz swój los, cokolwiek to znaczy, z moim? Czy tak?

– Nie wiem.

– Musisz wiedzieć, Jack. To nie znaczy, że w tej chwili, ale w końcu będziesz musiał, no nie?

Upił wina, a potem odsunął od siebie zupę.

– Słona.

Potwierdziłam.

– Gdy kłóciliśmy się ostatnim razem, trochę nas poniosło. Nie chcę, żeby teraz też tak się skończyło, Jack. Bądźmy wobec siebie szczerzy. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnę, jest namawiać cię, żebyś przeniósł się ze mną do

Nowego Jorku, jeśli ty tego nie chcesz.

– Rzecz w tym, że chcę. Dlatego właśnie powiedziałem, że wolałbym cię nie poznać. Nie teraz, może nawet nigdy. Coś mnie do ciebie z całą siłą przyciąga. Do tego, co reprezentujesz. Ale jednocześnie coś, czego nie do końca rozumiem, każe mi iść dalej i dalej doświadczać wrażeń. Nowych wrażeń.

– Moglibyśmy robić to razem. Już robimy. Podróżujemy i codziennie poznajemy nowe miejsca.

– To prawda. Wiem.

– Skłoniłeś mnie do spojrzenia na moje życie i zastanowienia się nad nim. Nie tylko ty naginasz się do mnie, Jack. Nie wypełniłam nawet tych głupich formularzy z Bank of America. To takie do mnie niepodobne, że nawet sobie nie wyobrażasz. Patrzę teraz szerzej. Pod twoim wpływem rozważam od nowa swoje decyzje i nie jest to łatwe. Ty także pokrzyżowałeś mi plany.

Zjawił się kelner, zabrał talerze z zupą i postawił przed nami kotlety wieprzowe. Stanowiły specjalność lokalu. Nie miałam apetytu, ale się uśmiechnęłam i powiedziałam Jackowi, że danie wygląda smakowicie. Wyciągnął rękę nad stołem i ujął moją dłoń.

– Miałem przyjaciela, Heather, nazywał się Tom. Był starszy ode mnie. Miał ze czterdzieści pięć lat. Świetny facet. Uważałem go za swojego mentora. Pracowaliśmy razem w gazecie. Zależało nam na tym samym, mniej więcej. Chcieliśmy być prawdziwymi dziennikarzami i tyle. Któregoś dnia, kiedy się golił, zauważył guz na szyi. Poszedł do lekarza, który stwierdził u niego raka. Pół roku później mój przyjaciel już nie żył. Nie wiem, czy w pełni doceniłem, co dla mnie zrobił. W sensie inspiracji. W ciągu kilku tygodni z czterdziestoparolatka w doskonałym zdrowiu stał się umierającym człowiekiem. Trudno dojść do siebie po czymś takim. Gdy było się świadkiem, jak ktoś odchodzi. Więc obiecałem sobie, że będę żył pełnią życia,

że zwiedzę tyle świata, ile się da. Wiem, że to niemożliwe, naprawdę wiem, ale mam także świadomość, że pewnego dnia umrę i nie będzie to w tak dalekiej przyszłości, jak sobie wyobrażamy. Może to nastąpić w każdej chwili. Wierz mi, ścięło mnie z nóg, kiedy Tom zachorował. Wiedzieć teoretycznie... jasne, jasne, któregoś dnia odejdę... to co innego; kiedy jednak stajesz w obliczu faktu, że możesz odejść dziś, jutro, jeszcze w tym tygodniu, wszystko w twoim życiu się zmienia. Możesz mi wierzyć, zmienia się radykalnie. Mam świadomość, że z każdym dniem umieram. Tom mnie tego nauczył. To mój problem, Heather, nie twój. Moje zmartwienie. Ty jesteś idealna. Naprawdę. Jeśli chcę być z kimś na tym świecie, to właśnie z tobą. Ale nie jestem pewien, co mogę ci dać.

Wciąż trzymał moją rękę w dłoniach. Poczzerwieniał.

– W porządku – odparłam po dłuższej chwili. – Rozumiem. Serio.

Ale tak naprawdę nie rozumiałam. Nie byłam w stanie trzeźwo myśleć. Nie potrafiłam złożyć razem dwóch słów. Popijałam wino. Mój umysł przypominał kraba szukającego miejsca ucieczki. Czy Jack ze mną zrywał? Mówił, że jest nam razem świetnie, fantastycznie, ostrzegając jednocześnie, że bym na niego nie liczyła? Jeżeli tak, było na to za późno.

– Dobrze się czujesz? – zapytał.

– Pewnie. Tylko mi smutno.

– Nie chciałem...

Bardzo, bardzo powoli wstałam. Gest – przypomniałam sobie. Musiałam od Jacka uciec. Potrzebowałam czasu, żeby to wszystko przemyśleć. Kark mi płonął.

– Przykro mi z powodu Toma, Jack. Naprawdę. Przykro mi, że umarł. Na pewno był wspaniały i na pewno przeżyłeś szok. Nad czymś takim nie przechodzi się do porządku. Ale nawet to nie daje prawa, żeby ranić innych. Tego nie wolno robić. Nie wolno traktować ludzi, jakby byli królikami

doświadczalnymi. Nie i nie. Nie możesz udawać zakochanego, a potem się wycofać, bo nie miałeś zamiaru się angażować. To zwykle wykorzystywanie ludzi. Więc możesz gadać sobie o Nowym Jorku i budowaniu więzień, dokonywaniu wyborów, które ograniczają, ale to ty flirtowałeś ze mną. Mówiłeś o ślubie i o tym, jakie będę po nim nosić nazwisko, a jednocześnie myślałeś, jak się z tego wyplątać i dalej wędrować po świecie. Dobra, nie zwracaj sobie tym więcej głowy. Idź przed siebie zdobywać doświadczenia, Jack. Nie przejmuj się mną.

– Heather...

– Nie jestem na ciebie zła. Mówię szczerze, nie jestem. Ale nie traktuj mnie jak pułapki, Jack. Jak ślepej uliczki, w którą nie chcesz się zapędzić. Wiesz, gdzie jest prawdziwe więzienie? W twoim mózgu. W twoim umyśle. To wszystko dzieje się w naszych głowach, Jack, i możesz schodzić nogi, a i tak pod koniec dnia będziesz w tym samym miejscu co rankiem. Dzięki tobie pomyślałam, że miło byłoby mieć kogoś, z kim mogłabym pójść do kina, jeść popcorn i wspólnie oglądać film, żeby później o nim podyskutować i porównać wrażenia. Ale jeśli ty tego nie chcesz, jeśli wolność oznacza dla ciebie oglądanie filmu samemu, dobra, rozumiem. Życzę ci szczęścia, Jack.

Ostrożnie, bardzo ostrożnie wyszłam z restauracji. Usiłowałam z niej nie wybiec, nie pokazywać po sobie zniecierpliwienia. Poza tym nie czułam gniewu. Czułam, że mam dziurę w sercu, to wszystko. Wstrzymałam oddech, wyobrażając sobie, że jestem na dnie basenu. Szłam z podniesionym czołem i starałam się nie patrzeć ani w prawo, ani w lewo. W myślach kłębiły mi się pytania: gdzie mój plecak, dokąd idę, gdzie jest Constance, jak mam ją odnaleźć? – aż rozboleła mnie głowa. Chciało mi się płakać, ale nie mogłam sobie na to pozwolić.

Po wyjściu na zewnątrz uświadomiłam sobie, że zrobiło się zimno. Naprawdę zimno. I góry mówiły, że pora wracać do domu.

Nie pobiegłam przed siebie, odchodząc. Dramatyczne odejścia dużo kosztują, a ja byłam splukana. Poza tym nie bardzo wiedziałam, dokąd się udać, jak się tam dostać, co zrobić w następnej kolejności. Wynajęliśmy już pokój w tanim hoteliku, a musiałam się gdzieś zatrzymać. Proste. Trzeba mieć dach nad głową. To pierwsza zasada. Pora myśleć praktycznie. Doszłam do wniosku, że nie czuję do Jacka niechęci. Miał prawo do strachu po śmierci przyjaciela. Zachował się podle, wciągając w to mnie, ale nie on pierwszy na świecie popełnił błąd. Ja popełniłam ich mnóstwo. Powiedziałam sobie, że powinno mi ulżyć. Miałam co robić w Nowym Jorku. Aż za dużo, prawdę mówiąc. Po powrocie do pokoju wyjęłam swojego iPada i wypełniłam wszystkie formularze, spełniłam wszystkie prośby, odpowiedziałam na wszystkie e-maile, które czekały w skrzynce, podczas gdy ja szwendałam się z Jackiem po Europie. Po prostu dałam się rozproszyć – uznałam. Jack także, na swój sposób. Nie musieliśmy zostać wrogami. To była tylko kwestia wyboru.

Przebrałam się w spodnie od pizamy i bluzę z emblematem Amherst.

Potem znowu przez jakiś czas wstrzymywałam oddech. To pomogło. A później oparłam się na poduszkach i zaczęłam czytać Hemingwaya. Hemingway – przypomniałam sobie – zostawił pierwszą żonę dla mocniejszych wrażeń. Tych wrażeń dostarczała mu niejaka Paulette czy Pauline jakaś tam. To była kwestia wyboru. Wybory. Każdy musiał zdecydować, na co postawić pieniądze w ruletce.

Po pewnym czasie zgasiałam światło. Nie byłam pewna, czy uda mi się zasnąć.

Jack wrócił po cichu godzinę później. Skorzystał z latarki w telefonie, żeby oświetlić sobie drogę. Nie otworzyłam oczu.

– Możemy pogadać? – zapytał cicho. – Heather, nie śpisz? Możemy porozmawiać?

Zastanawiałam się, czy dalej udawać, że śpię, i czy ma to jakiś sens. Włączyłam nocną lampkę. Jack siedział na łóżku, położył mi rękę na nodze. Podciągnęłam się na poduszki i odgarnęłam włosy z twarzy.

– Nie poszło dobrze – powiedział. – To znaczy kolacja nie poszła dobrze.

Wzruszyłam ramionami.

– Możemy to naprawić? – ciągnął.

– Nie bardzo wiem jak. Nie będzie już tak jak przedtem.

– Przepraszam, że zwątpiłem w sens naszego wspólnego wyjazdu do Nowego Jorku. Nie chcę zaprzepaścić tego, co nas łączy. Bardzo mnie pociągasz, Heather, ale boję się, co to oznacza. Chcę powiedzieć jedno: kilka lat temu byłem taki jak ty. Też zależało mi na pracy i karierze, ale pewnego dnia przyszedł Tom i powiedział, co się stało. Jego śmierć uświadomiła mi, że nie zrobiłem w życiu tego, co chciałem zrobić. Wiem, że to brzmi melodramatycznie, ale obiecałem sobie, że nie spędzę w biurze ani jednego dnia więcej. Zadałem sobie pytanie, czy chciałbym zmienić swoje życie, gdybym mógł. Wybrałem się w tę podróż z zamiarem prześledzenia zapisków w dzienniku dziadka, licząc, że to przywróci mi siły, tak jak przywróciło jemu. I wtedy poznałem ciebie.

– Jack, na pewno nie wiem, jak to jest patrzeć na śmierć przyjaciela. Nawet sobie tego nie wyobrażam. Musisz jednak zrozumieć, że masz pełną swobodę. Możesz robić, co uważasz. Nie masz wobec mnie żadnych zobowiązań.

– Tu nie chodzi o zobowiązania, Heather. Przykro mi, że nie potrafię dobrze wyrazić tego, o co mi chodzi. Mówię coś, czego nie chciałem.

– Słucham cię, Jack.

Wziął głęboki oddech. Wiedziałałam, że pragnie wszystko mi wytłumaczyć.

– W ogóle nie chodzi tylko o ciebie. Chodzi o pracę i powrót do dziennikarstwa. O całe mnóstwo spraw. Także o śmierć Toma. Założyli mu w piersi sztuczną przetokę i podawali interferon. Długo to trwało i codziennie

miał mdłości. Nie mogłem na to patrzeć, Heather. Przestałem ufać światu. Obawiam się, że się w tym pogubisz, ale tu nie chodzi tylko o nas.

– Rozumiem, Jack. Nie musisz się tłumaczyć ani przede mną, ani przed nikim innym. Chyba pojedę jeszcze do Paryża. Niedługo wracamy do domu i kończą mi się pieniądze. Już powiadomiłam Constance. Wkrótce przyjedzie tam do mnie z Hiszpanii.

– Jadę z tobą. Chcę, żebyśmy pobyli razem w Paryżu.

– Nie jestem pewna, czy to dobry pomysł.

– Rozmawialiśmy o wspólnym wyjeździe do Paryża.

– Rozmawialiśmy o różnych rzeczach, Jack. Nie będę kłamać. Zakochałam się w tobie. To brzmi strasznie banalnie, ale zapierasz mi oddech w piersi. Naprawdę. Nie wiem, czy byłoby nam ze sobą dobrze, ale chciałam się przekonać. Życie z tobą nie oznaczałoby dla mnie końca, tylko początek. Ekscytujący początek. Chcę podróżować, Jack. Zamierzam pojechać do Japonii, Indonezji... zwiedzić cały świat, naprawdę. Tak, będę pracować, i owszem, będę wypełniać swoje obowiązki w biurze, ale myślę o tym z radością. To część mojego życia. Miałam nadzieję, że ty też staniesz się jego częścią. Jeśli tak nie jest nam pisane, trudno. To przykre, ale jakoś się z tym pogodzę. Cieszę się, że tyle razem przeżyliśmy.

– Potrzebuję jeszcze trochę czasu.

– Na co? To się nie uda. Ani nie wyjdzie nam na zdrowie. Tylko jeszcze pogorszy sprawę, nie sądzisz? Nie chcę stawiać ci ultimatum, ale chyba nadeszła pora decyzji: wóz albo przewóz. Bo to już znaczy za wiele, żeby miało okazać się byle czym. Nie potrafię na tym etapie zachować zimnej krwi. Gdybyśmy poznali się w jakimś mieście w Stanach, moglibyśmy się spotykać i pozwolić, żeby czas zdecydował za nas. Ale los postanowił inaczej, prawda? Poznaliśmy się w pociągu do Amsterdamu. Może wspólnie spędzony czas, podróżowanie, no wiesz... może to podbiło stawkę. Może sprawy zaszły za

daleko bez naszej świadomości. Nie wiem. Myślenie o tym już mnie męczy, Jack. Niedługo muszę wracać do domu. Przedtem chcę jeszcze raz zobaczyć Paryż, bo zawsze o tym marzyłam. Ale nie chcę oglądać go z tobą. Już nie. Zwłaszcza jeśli potem zamierzasz odprowadzić mnie do samolotu. Nie będę wspominać tego miasta jako miejsca, w którym zerwałam z ukochanym. Jakiś czas temu zapytałeś, co lubię w Hemingwayu, a ja odpowiedziałam, że jego smutek, pamiętasz? Tak, rzeczywiście lubię jego smutek, ale nie chcę zabierać go ze sobą do Paryża.

Nic nie mówił, tylko patrzył na mnie przez dłuższy czas. Potem wolno zdjął buty. Pochylił się i ułożył głowę na poduszkach obok mojej. Nasze twarze dzieliło zaledwie kilka centymetrów.

– Wybieram ciebie – wyszeptał. Pogładził mnie po policzku. – Tak. Wybieram ciebie. Przywróciłaś mi część nadziei, którą po drodze straciłem. Chcesz mnie jeszcze?

Skinęłam głową. Nie miałam wątpliwości.

– Jesteś pewny? – zapytałam. – Nie mów więcej podobnych rzeczy, jeśli tak nie myślisz. Ta rozmowa nie może się powtórzyć.

– Najpierw pojedziemy do Włoch. Mamy czas, a chciałbym zobaczyć ostatnie miejsce, o którym dziadek pisze w dzienniku. Później pojedę z tobą do Paryża, a stamtąd do Nowego Jorku. Nie wiem jeszcze wszystkiego, ale co do jednego mam pewność: chcę być z tobą. Przepraszam, jeśli sprawiłem ci przykrość. Nie chciałem. Bałem się, Heather. Może zanim się pojawiłaś, zdążyłem sobie wmówić, że nie należy mieć wielkich nadziei.

– Ty także mnie odmieniłeś. Skłoniłeś do przemyśleń i sprawiłeś, że zwolniłam tempo. Dużo się od ciebie nauczyłam. Rozważam nawet pozbycie się smythsona.

– Nie jestem pewien, czy świat jest gotowy na Heather Mulgrew bez terminarza.

– Jestem nową, bardziej wolną Heather. Poczekaj, to się przekonasz.

– Więc spotkamy się pośrodku.

– Tak, taki jest plan.

Zmrużył oczy. Pocałował mnie lekko, ledwie muskając ustami.

– Musisz być strasznie głodna – zauważył. – W knajpie nic nie zjadłaś.

– Rzeczywiście umieram z głodu.

– A gdybym ci powiedział, że mam w plecaku lody?

– Pomyślałabym, że kłamiesz.

Pokiwał głową, znowu mnie pocałował i niedługo potem zasnęliśmy. Nie przyśniły mi się żurawie, a burza przeszła. Co jednak się zdarzyło, jakie to wszystko miało znaczenie – jeszcze nie bardzo wiedziałam.

30

– Nazywa się Jack Quiller-Couch. Poznałam go w pociągu do Amsterdamu... nie, tak, polubisz go, mam. I tata też.

Rozmawiałam z nią w drodze do Włoch. Jack poszedł do wagonu restauracyjnego. Pociąg tym razem był prawie pusty. Mieliśmy dla siebie dwie przeciwległe ławki – prawdziwy luksus.

– Co to znaczy? Że wraca z tobą?

Jeśli się nie myliłam, piła herbatę. Wiedziała, że siedzi w oranżerii, swoim ulubionym miejscu latem, pomieszczeniu wypełnionym geranium i innymi roślinami doniczkowymi. Uwielbiała geranium.

Wiedziała nawet, że stara się zachować spokój. Słyszałam w jej głosie rezerwę wobec Jacka – wobec tego wszystkiego, co reprezentował – ale miałam świadomość, że stara się podejść do tego jak matka, życzliwie, co jeszcze pogarszało sprawę.

Obawiałam się tej rozmowy. Jack wracał ze mną, a to oznaczało, że

zatrzyma się u mnie, przynajmniej na krótko, i chciałam być z matką szczerą.

– W jakim sensie? – zapytałam, głównie po to, żeby zyskać czas na zastanowienie.

– Sama nie wiem, Heather. Naprawdę. Czy to znaczy, że jesteś zaręczona?

– Nie, mamó. To nie tak.

– Ale przyjeżdżacie razem?

– Taki mamy zamiar.

Zamilkła. Była w tym absolutną mistrzynią. Nie ułatwiała sprawy. Milczała tak długo, aż robiło się niezręcznie, a potem nagle wyrzucała coś z siebie, przerywając ciszę.

Próbowałam ją przeczekać, ale nie wytrzymałam.

– Podróżowaliśmy razem, mamó – wyjaśniłam. – Po Niemczech, Polsce i Szwajcarii. Teraz jedziemy do Włoch... mówiłam ci. Zależy nam na sobie. Później zdecydujemy co dalej.

– Rozumiem.

– Nie jestem pewna, czy rozumiesz – odparłam, trochę się rumieniąc. – To świetny facet. Bardzo przystojny. Pochodzi z Vermontu. Wychował się na farmie... mieszkał na niej prawie całe życie.

I znowu Mamciozaurus, mistrzyni milknięcia.

– I chyba się w nim zakochałam, mamó. Rozumiesz? Myślę, że go kocham. Myślę, że jesteśmy dla siebie stworzeni, jak ty i tata.

Poczułam, że jestem bliska łez.

Pociąg jechał szybko. Porośnięte sosnami góry za oknami miały jeszcze czapy śniegu i lodu.

– Więc wrócisz do domu razem z nim? – upewniła się.

– Tak. Z Jackiem. Jack przyjedzie ze mną.

– I zamierzacie zamieszkać razem.

– Nie wiem jeszcze. Nie omówiliśmy tego do końca.

– Ale skoro przyjeżdżasz z nim do domu...

– Wiem, mamó. Wiem, o co pytasz. Musimy jeszcze omówić kwestie praktyczne. Zdaję sobie z tego sprawę. Zrobimy to. Wszystko zaplanujemy. Przepraszam, że zawiadamiam cię tak zniecierpliwiona. Dla mnie to też nowość, więc nie znam wszystkich odpowiedzi. Nie chciałam jednak ukrywać przed tobą, jak się sprawy mają.

– Cieszę się, że mi powiedziałaś. Ale mogłabyś przywieźć zwykłą pamiątkę. Gdy jedzie się do Europy, zwykle nie przywozi się ze sobą faceta.

Głęboko zaczerpnęłam powietrza. To miał być żart. W jej zamyśle.

– Chciałabym, żebyś życzyła mi szczęścia, mamó.

– I życzę, kochanie.

– Prawdziwego szczęścia. Szczerze, nie z rezerwą. Ani z pewnymi zastrzeżeniami. Nie wiem, czy dobrze robimy, ale kierujemy się uczuciem. Nie działałam pochopnie, uwierz mi. Nie tracę głowy. Jack jest praktyczny i odpowiedzialny... odpowiedzialny jak mało kto. I świat widziany jego oczami jest taki piękny. Inny niż widziany moimi, ale uzupełniamy się pod tym względem. Sama nie wiem, mamó. Jestem już zmęczona racjonalnym myśleniem, szufladkowaniem wszystkiego. Mam wrażenie, że postępuję tak całe życie. Jacka nie da się zaszufladkować i to mi się w nim bardzo podoba. Kiedy jest przy mnie, świat wydaje się bardziej otwarty. Naprawdę. Wzięłam pod uwagę wszystkie sensowne kontrargumenty. Jesteśmy za młodzi, jeszcze nieustawieni... można zgłosić wiele obiekcji, ale zawsze są jakieś obiekcje, prawda, mamó? Ty mnie tego nauczyłaś. Czasami trzeba wziąć, co się dostaje, i to docenić. Proszę, mamó, powiedz, że rozumiesz.

– Oczywiście, że tak, kochanie – odparła i znowu była tą dobrą mamą, serdeczną, idealną, która zrobiła mi zdjęcie z przyjaciółkami emanujące nadzieją na przyszłość i która może, może, może rozumiała mnie lepiej niż ktokolwiek inny.

I już wyobraziłam sobie jej wieczorną rozmowę z tatą:

„Heather poznała kogoś”.

„Kogoś?”.

„Chłopaka. To znaczy, chyba nie jest już chłopakiem. Młodego mężczyznę”.

„I...?”.

Ojciec siedzi w fotelu, może ogląda mecz Jankesów, a może popija z nią ciemną słodową szkocką w oranżerii.

„I przywiezie go do domu”.

Jego spojrzenie. Pełne powolnego namysłu. Ironiczne uniesienie brwi.

„Przecież zaczyna pracę”.

Mama być może kiwa głową.

„Uhm”.

Tata przenosi wzrok na ekran telewizora albo spogląda na zachodzące słońce, unosi szklanekę, pociąga łyk szkockiej.

Uważa, że coś tu jest nie tak. Jego zdaniem działałam pochopnie i nieodpowiedzialnie. Jest ciekaw, co sobie myślę.

– Jak poszło? – zapytał Jack, zajmując miejsce naprzeciwko mnie. Podał mi gorącą czekoladę. Był przystojny i wypoczęty.

Pomyślałam, że teraz każdego dnia wiem, jak spał, jak się czuje.

– W miarę dobrze, tak mi się wydaje. To dla nich duże zaskoczenie.

– I świetnie. Podnieś nogi, rozmasuję je. Przynajmniej tyle mogę zrobić.

– Są brudne.

– Trudno.

– Stopy są twoim fetyszem. To coraz bardziej oczywiste.

Pociągnęłam łyk czekolady. Okazała się całkiem niezła. Jack klepnął się w kolana, dając mi znak, żebym oparła na nich stopy. Tak zrobiłam. Poprosiłam, żeby nie zdejmował mi skarpetek.

– A kiedy ty zadzwonisz do swoich rodziców? – zagadnęłam.

- Och, my nie jesteśmy taką rodziną.
- Czyli jaką?
- Czy ja wiem? W której wszyscy się lubią.
- Kolejna patologia?
- Dlatego mam taki łobuzerski urok. Rozmawiałaś z mamą czy z tatą?
- Z mamą. Ale to tak, jakbym rozmawiała z nimi obojgiem. Wszystko sobie mówią.

Ucisnął nerw w moim dużym palcu i drgnęła mi stopa. Znowu czuliśmy się ze sobą swobodnie. A nawet swobodniej, bo każde z nas wyłożyło karty na stół. Po raz pierwszy rozmawialiśmy o Nowym Jorku nie jako ewentualnym wspólnym celu, ale jako miejscu, gdzie chcielibyśmy zamieszkać. W odczuciu nas obojga to wszystko zmieniło.

- Śpiąca? – zapytał. – Mnie masaż stóp czasami usypia.
 - Co będziemy robić we Włoszech?
 - Jeść spaghetti. Rozglądać się wokół.
 - Jedziemy taki kawał drogi dla spaghetti?
 - To brzmi beznadziejnie, kiedy tak mówisz.
 - Był tam twój dziadek.
- Potwierdził.
- A potem pojedziemy do Paryża? – upewniłam się.
 - Do Paryża. Raef i Constance już tam będą. I koniec podróży. Tak po prostu.
 - Miło będzie ich zobaczyć.
 - Żałuję, że nie spotkają się z nami we Włoszech.
 - Chybaby nie zdążyli. Kiedyś myślałam, że Wenecja znajduje się na Wenus, mówiłam ci? Że to miejsce na innej planecie.
 - I dali ci dyplom w Amherst?
 - To chyba przez te „W”. Sama nie wiem. Pamiętam, że byłam

rozczarowana, kiedy koleżanka mi powiedziała, że Wenecja to miasto we Włoszech. Początkowo jej nie wierzyłam. Myślałam, że coś pokręciła. Sądziłam, że pasiaste koszule noszone przez gondolierów to skafandry kosmiczne.

– Dziwna bywasz, Heather.

– Łatwo było się pomylić.

– To jak z arkanem i arką. Jako dziecko myślałem, że arkan to budowniczy arki.

– Że arkan to budowniczy arki? Nawet nie umiem tego wymówić. Można język połamać. A co to jest arkan?

– Inaczej łąso. Myślałem, że skoro Noe zbudował arkę dla zwierząt, to jest arkanem.

Ujął mnie za palce u stóp. Było beztrosko, radośnie, spokojnie. Wciąż patrzyliśmy sobie w oczy, gdy zadzwonił mój telefon. Zerknęłam na wyświetlacz i zobaczyłam, że to ojciec. Pokazałam Jackowi, który skinął głową i wstał z miejsca.

– Do twojej dyspozycji – powiedział.

Pocałował mnie lekko i ruszył znowu do wagonu restauracyjnego.

31

– Opowiedz mi o tym Jacku – zaczął ojciec. – Ma towarzyszyć ci do domu, jak słyszę od matki.

„Towarzyszyć” – powiedział. Jakby Jack był jakimś służącym.

Wiem, że zaalarmował go telefon od mamy, jej nalegania, żeby się dowiedział, co to wszystko znaczy. Zawsze tak działali. I, o rany, nie tracili czasu.

– Poznałam go w pociągu do Amsterdamu.

- To Amerykanin?
- Z krwi i kości.
- I podobno pochodzi z Nowej Anglii?
- Z Vermontu – potwierdziłam.

Źle się czułam z tym, że odpowiadam tak krótko, ale bałam się, że jeśli powiem coś więcej, ściągnę na siebie kłopoty. Lepiej było się nie wrywać.

- I jakie ma plany? Wiesz?
- W związku z czym?
- No, tak w ogóle. Chodzi mi o plany na przyszłość. Rozmawiałaś z nim o tym?

– Tato, wtrącasz się.

– Nie mam takiego zamiaru, kochanie. Przepraszam. Jestem tylko ciekawy. Podobnie jak twoja matka. To poważna decyzja. Dopiero co skończyłaś studia.

– Mam tego świadomość, tato.

Popijałam czekoladę. Nie chciałam wpaść w żadną z zastawionych przez niego pułapek. Jeśli zamierzał się czegoś dowiedzieć, sam musiał poprowadzić tę rozmowę. Po chwili podjął:

– A jeśli chodzi o twoją nową pracę... ludzie Eda Belmonta pobili rekord. Sprzedaży. Dużo o tym pisano w „The Wall Street Journal”. A ten twój Jack... zamieszka z tobą?

– Jeszcze nie wiem, tato. Pewnie tak. Na razie wiemy tylko, że chcemy być razem. To podstawa.

Czułam, że głowę przeszywa mi niczym pocisk ostry ból. Przytknęłam kubek z czekoladą do czoła, ale to nic nie pomogło.

- A w czym on się specjalizuje? – ciągnął tata.
- Specjalizuje?
- Czym się zajmuje, jakie ma ambicje. Co chce robić w życiu?
- Na razie podróżuje po Europie śladami swojego dziadka, który prowadził

dziennik. Tym się teraz zajmuje.

– Śladami dziadka?

– Jego dziadek wędrował po Europie, kiedy skończyła się wojna. Jack odtwarza tę trasę z myślą o napisaniu książki. Bardzo kochał dziadka. Wcześniej był dziennikarzem, pracował w gazecie w Wyoming.

Tata nic na to nie powiedział. Zakłócenia w eterze przypominały szum morskich fal, nasilający się i cichnący.

– No dobrze, Heather, chyba wiesz, co robisz. Trochę się martwimy... mama i ja... Jesteś jeszcze młoda, kotku, i to twoja pierwsza większa miłość.

– Tato, przestań. Proszę cię, daj spokój. Nie jest mi łatwo. Naprawdę. Ani Jackowi. Nie mieliśmy w planach, że się poznamy i zakochamy w sobie. Stało się i już. Pragniemy być razem. To wspaniały facet. Polubisz go. Kiedy jestem przy nim, czuję się tak pewnie. Zdaję sobie sprawę, że będzie to wymagało jakiejś zonglerki, ale jestem w tym dobra. I spokojna głowa. Nie zamierzam rezygnować z pracy ani kariery. Nie musicie się o to martwić. Nie przyniosę wam wstydu, obiecuję.

– Nigdy nie przyniosłaś nam wstydu, kochanie. Nawet tak nie myśl.

Nie mieliśmy sobie nic więcej do powiedzenia, w każdym razie jeśli nie chcieliśmy większego konfliktu. Nie zamierzałam bronić Jacka przed ojcem. Musieli się poznać, ocenić nawzajem, zmierzyć się ze sobą po męsku, czego nigdy nie rozumiałam i co zawsze doprowadzało mnie do szału.

– A jak tam Pan Barwinek? – zapytałam, by przerwać niezręczną ciszę.

– Chyba dobrze. Nie słyszałem, żeby coś było z nim nie tak.

Odetchnęłam głęboko i spróbowałam przekazać ojcu swoje przemyślenia. Zaczęłam, potem przerwałam i podjęłam od nowa.

– Tato, nie wiem jeszcze, jak to będzie ze mną i Jackiem. Kocham go. Tego jestem pewna. I myślę, że on kocha mnie. Zdaję sobie sprawę, że pora może nie być odpowiednia, ale zawsze są jakieś przeszkody, prawda? Czy nie tak

właśnie mówisz? Że życie to długa walka z przeciwnościami? Zaczynam pracę i zamierzam się jej poświęcić. Przyrzekam. Ale Jack też jest dla mnie ważny. Możemy odwlekać sprawę, mówić sobie, że to, co czujemy, się nie liczy, ale nie tak mnie wychowałeś. Nie. Życie to nie coś, co dzieje się gdzieś w przyszłości. Sam tak mówiłeś. Mówiłeś, że życie toczy się tu i teraz i głupotą jest rezygnować z tego co dobre, licząc, że w przyszłość trafi się coś lepszego. To niemal dokładny cytat. Więc zaufaj mi, tato. Jack to porządny człowiek. Postrzega świat w sposób, który mnie fascynuje. Stanowimy zgraną parę. Może to nie najlepszy czas, ale w życiu nie zawsze wszystko układa się idealnie, no nie?

– Nie zawsze – zgodził się tata.

To było jego motto. Musiał przyznać mi rację.

– Dobra, kochanie, niech ci będzie. Czekaemy na ciebie w domu. Jack przyjedzie z tobą?

– Jeszcze tego nie ustaliliśmy, ale raczej tak, jeśli nie macie nic przeciwko temu.

– To także twój dom, kochanie. Jesteś w nim zawsze mile widziana, niezależnie od wszystkiego.

– A Jack?

– Jeżeli jest bliski tobie, to i nam.

– Dziękuję ci. Doceniam, że to mówisz.

– Szybko dorosłaś, wiesz?

– Wcale nie tak szybko, tato. Wciąż czuję się jak dziesięciolatka.

– Wszyscy tak się czujemy pod tym czy innym względem. Dobrze, złożę raport w kwaterze głównej. Mama umiera z niecierpliwości. Do zobaczenia za... ile? Półtora?

– Ponad tydzień.

Przez chwilę myślałam, że już się rozłączył. Ale powiedział jeszcze coś, co

zawsze mówił.

– Wciąż jesteś moją córeczką, wiesz?

– Wiem, tato. Zawsze nią będę.

32

30 lipca 1947

Przyjechałem do pięknego włoskiego miasteczka Finale Ligure. To nawet nie miasteczko. Raczej wieś. Leży na wybrzeżu, nad Zatoką Genueską. Nie zostało tak zniszczone podczas wojny jak inne miejsca. Pod wpływem morskiego powietrza poprawił mi się apetyt. Zjadłem na obiad dwa duże talerze makaronu z sosem pomidorowym. Później spałem długo nad oceanem. Miałem jeden z tych dziwnych snów, w których słyszy się prawdziwe krzyki mew i człowiek nie wie, czy jeszcze śni, czy już się budzi.

– To o nich musiał pisać – orzekł Jack z dziennikiem w ręce, przenosząc wzrok z pobliskiej kafejki na szereg kolumn, które wznosiły się nad nami. Były niczym ciężkie kamienne dzidy wbite w ziemię, jakby ktoś nimi rzucał. Nikt nie zwracał na nie uwagi oprócz turystów.

Zatrzymał się przy nas niski otyły mężczyzna o potężnych ramionach i wyjaśnił po włosku, że kolumny należały kiedyś do rzymskiego domu publicznego, ale miałam wrażenie, że robi sobie z nas żarty. Chciałam wygooglować za pomocą telefonu „rzymski dom publiczny w Finale Ligure”, ale okazało się, że nie ma zasięgu. Włoch się zaśmiał i odszedł. Miał nas za naiwniaków z Ameryki.

– Czy ta kawiarnia nazywa się...? – zaczęłam i wzięłam od Jacka dziennik. Przeczytałam w zapiskach jego dziadka: „Café Excalibur”. Obecnie nosiła nazwę Café Caprazoppa, od potężnych skał wapiennych tworzących okoliczne

góry, ale to wcale nie znaczyło, że nie jest to ta sama kafejka.

– Włóż dziennik do swojego plecaka, dobrze? Ale czekaj. Dziadek pisze o sześciu kolumnach, no nie?

Odnalazłam odpowiedni fragment. Dziadek Jacka nawet je narysował – grube słupy – ale nie podał ich liczby. Przeczytałam kilka zdań z dziennika, podczas gdy Jack krążył między kolumnami, patrząc w górę. Było późne popołudnie i kawiarnie zaczęły zapełniać się klientami, którzy pili kawę albo pierwszy przedwieczorny koktajl.

– Na rysunku jest siedem – powiedziałam, spoglądając na kartkę w dzienniku i na kolumny. – Ale tekst tego nie potwierdza.

– Wyobrażam go sobie tutaj. Podoba mi się myśl, że był w tym miejscu.

– Niekoniecznie, ale wygląda na to, że jest tu wszystko, o czym wspomniał. Takich kolumn nie spotyka się codziennie.

– Wciąż mam przed oczami chłopaka z farmy w Vermoncie, który wędruje samotnie po Europie. To samo w sobie było trochę dziwne.

– Dlaczego?

– Sądzę, że większość ludzi chciałaby po wojnie jak najszybciej wrócić do domu. Przez resztę życia dziadek opuszczał farmę zaledwie kilka razy. Można by pomyśleć, że pragnął zebrać na później jakieś wrażenia. Sam nie wiem. To zabawne. Jestem ciekaw, czy z jakiegoś powodu nie zwlekał z powrotem.

– Po drodze minęliśmy klasztor benedyktyński, prawda? Chyba w Finale Pia.

– Dlaczego pytasz?

– Próbuję ustalić topografię. Rozeznać się w okolicy.

Zdałam sobie sprawę, jak inaczej podróżuje się z Jackiem. Podczas gdy większość turystów leżałaby na plaży albo zwiedzała znane zabytki, my kontemplowaliśmy pozostałości kolumnady we włoskim miasteczku. Gdybym była z Constance, na pewno oglądałybyśmy miejsca sugerowane przez

przewodnik Lonely Planet i na tym by się skończyło.

– Nudzisz się? – zapytał Jack. Położył dłonie na kolumnach, uniósł głowę i przesunął wzrokiem po gładkim kamieniu. – Na pewno się nudzisz.

– Stale się przy tobie nudzę, mniej lub bardziej.

– Wiedziałem.

– Wyruszając do Europy, bardzo chciałam dowiedzieć się czegoś więcej o kolumnach. Miałam je na liście rzeczy do obejrzenia.

– Tak myślałam.

– Zrobię ci kilka zdjęć – zaproponowałam.

– Uparta jesteś.

– Skoro zamierzasz napisać książkę, pewnie ci się przydadzą. A nawet jeśli nie, będziesz chciał mieć zdjęcie z miejsca, w którym był twój dziadek.

Chciał coś powiedzieć, ale tylko wzruszył ramionami. Cyknęłam mu kilka fotek. Uśmiechnął się. Miał urzekający uśmiech.

– Polubię twoich rodziców? – Wciąż z rękami na kamieniu, zmienił temat, kiedy schowałam telefon.

– Jasne. Dlaczego miałbyś ich nie polubić?

– Pewnie sądzą, że lecę na ciebie ze względu na forszę. Być może mają mnie nawet za żigolaka.

– A co w tym złego?

– Więc przyznajesz, że jestem twoim żigolakiem. Tak przypuszczałam.

– Mężczyźni to dodatki do stroju. Myślałam, że o tym wiesz.

– Chodźmy na plażę, znajdziemy miłą knajpkę i zjedźmy coś pysznego na kolację – zaproponował. – Będziesz się mogła ze mną pokazać.

– Jestem spłukana, Jack.

– Musimy zjeść we Włoszech smaczny posiłek. Przynajmniej raz. Ja stawiam.

– Z winem? – zapytałam, chowając dziennik do plecaka.

– Z dużą ilością wina.

Coś, co powiedziałam zaraz potem, wyrwało mi się mimowolnie, zanim zdążyłam się zastanowić. Prześladowało mnie to od tamtego wieczoru w barze z mechanicznym bykiem. I nie wytrzymałam dłużej.

– Powiemy wreszcie na głos, że się kochamy? – wypaliłam.

Uważnie obserwowałam jego minę.

– Ty pierwsza – odparł.

– Nie, w takiej sytuacji zawsze zaczynają faceci.

– Dlaczego? – Oderwał dłonie od kolumn i opuścił ręce. Podszedł, żeby objąć mnie w pasie.

– Bo to jedna z zasad obowiązujących we wszechświecie. Wpisana w układ okresowy pierwiastków.

– Kocham cię, Heather. Proszę bardzo. Padło głośno i wyraźnie. I po sprawie.

– Ja też cię kocham, Jack.

– A zatem słowo się rzekło. Teraz nie możemy zawrócić. Możemy ze sobą zerwać, ale nie zawrócić.

– To prawda.

– Mam wrażenie, jakbym kochał cię jeszcze w poprzednim życiu.

– Ja także. Wiesz, co mam na myśli.

– Nie przestaniemy się w sobie zakochiwać, no nie? Będziemy zakochani coraz bardziej.

– Tak.

– Możemy stworzyć swój własny świat. Możemy żyć tak, jak chcemy – powiedział, zbliżając usta do mojego ucha.

– Uhm – przytaknęłam.

Zostaliśmy tam jeszcze przez jakiś czas i oglądaliśmy kolumny. Podobało mi się, że robimy to bez żadnego konkretnego powodu. Podobało mi się, że

wyznaliśmy sobie miłość w miejscu, w którym kiedyś stał dziadek Jacka. To było śliczne miasteczko, idealna *comune* na Riwierze Włoskiej. Zdawało się, że od momentu, w którym wypowiedzieliśmy te słowa, w jakimś sensie zaczęło się życie. Wszystko wcześniej było zwykłym preludium; wszystko później miało być Jackiem. Staliśmy tam, aż pojawiło się nad nami stado gołębi i wylądowało na ziemi. Przyleciały, licząc na pożywienie, a w ich opalizujących szyjach odbijało się światło słoneczne, przekształcając się w zieleni, błękit i żółć.

Paryż

33

Cokolwiek przywozisz tu ze sobą, Paryż ci to odbiera, bawi się tym, a potem oddaje. Ale oddaje odmienione, czasami nieznacznie, czasami bardziej zauważalnie, małą część tego zatrzymawszy dla siebie. Paryż to złodziej. Uśmiechnięty złodziej, który zwodzi cię żartem, ale okrada. A ty nie możesz się obronić, bo to Paryż; latem o dziesiątej wieczorem zapada w mieście zmrok, w kafejkach zapalają się światła, na ulice wylegają ludzie i wszędzie unosi się zapach kawy, perfum, smażonych jajek i cebuli. W rewanżu za kradzież, zwracając ci to, co przywiozłeś, Paryż ofiarowuje śliczne obrazki i piękne chwile. Sugeruje, że możesz mieć więcej, dotrzeć głębiej, pod warunkiem że pójdziesz na układ. Od czasu do czasu to tylko szum Sekwany, gdy bije o wiekowe brzegi, absurdalnie otwarte usta połykacza mieczy na Montparnasse albo dziki błysk w oczach współpasażera, który na zatłoczonym peronie metra szuka okazji, żeby buchnąć komuś portfel.

Paryż to dłoń kobiety osłaniająca ogień podawany przez mężczyznę przy okrągłym stoliku pod kasztanowcem na pół godziny przed burzą.

Wypatrzyłam Constance z odległości pół przecznicy i serce zabiło mi mocniej.

Podbiegłam do niej, a ona do mnie – jak zwykle eteryczna – i objęłyśmy się serdecznie, wykonując nasz powitalny taniec. Cud, że się nie przewróciłyśmy pod ciężarem plecaków. Po długim, satysfakcjonującym uścisku cofnęłyśmy się, żeby wzajemnie na siebie popatrzeć, a potem znowu się objąć, jeszcze mocniej. Poczułam z wielką ulgą, że wraca do mnie jakaś część, której mi brakowało.

– Świetnie wyglądasz! – powiedziałam, bo rzeczywiście tak było. Constance wydawała się promienna i szczęśliwa; jedno spojrzenie powiedziało mi wszystko, co powinnam wiedzieć o jej wspólnej podróży z Raefem.

– Ty też! – odparła, kiwając głową.

Popatrzyłyśmy sobie w oczy, usiłując jak najszybciej się zorientować, co druga z nas przeżyła.

– Podobało ci się w Hiszpanii?

– Zakochałam się w niej – odpowiedziała. – A jak było we Włoszech?

– Cudownie. Niewiele zobaczyliśmy, ale było cudownie.

– A w Szwajcarii?

Za dużo tego było, żeby opowiedzieć wszystko naraz. Po chwili uświadomiłyśmy sobie, że Raef i Jack stoją z boku, pozwalając nam wymieniać nowiny. Obie się zaśmiałyśmy, bo nie ulegało wątpliwości, że zupełnie zapomniłyśmy o mężczyznach. Uściskałam Raefa, a Constance Jacka. Potem przez chwilę nie wiedzieliśmy co dalej.

– Słyszałem o pewnym miejscu – zaczął Raef, kiedy stanęliśmy w małym kółku, niewątpliwie blokując ruch uliczny. – Jack i ja zostawimy was z bagażami i pójdziemy na zwiad, co wy na to? Mówiłyście, że możemy zatrzymać się w tanim hoteliku?

– Pewnie – odparłam i spojrzałam na Jacka, który pokiwał głową.

Opracowaliśmy plan. Jack i Raef odprowadzili nas do kafejki przy dworcu

kolejowym, po czym się oddalili. Zamówiliśmy dwie kawy u starego, żyłastego kelnera. Siwiejące włosy na jego skroniach sprawiały, że wyglądał, jakby nosił rzymski wieniec laurowy. Skinąwszy głową, odszedł. Położyłam ręce na stole, a Constance nakryła je dłońmi.

– I jak? – zapytałam.

Do oczu napłynęły jej łzy.

– To najlepszy, najdelikatniejszy facet, jakiego kiedykolwiek znałam – powiedziała, chwyciwszy w lot, co mam na myśli. – Tak zwariowałam na jego punkcie, że nie wiem, co się ze mną dzieje. Naprawdę. Powtarzam sobie, że to szaleństwo, to nie może być prawda, ale wtedy on kolejny raz wykonuje jakiś gest, uroczy i troskliwy, i znowu ścina mnie z nóg.

– Tak się cieszę, Constance. Jestem szczęśliwa ze względu na ciebie.

– A Jack?

Pokiwałam głową.

Ścisnęła moją dłoń. Kelner wrócił, przynosząc nam kawę. Po chwili wróciliśmy do rozmowy.

– W Hiszpanii początkowo miałam trudności z językiem i tempem życia. Jest takie wolne, a ja czułam, że muszę się spieszyć, aby jak najwięcej zobaczyć. Raef jednak miał na mnie cudowny wpływ. Zadałam sobie pytanie: czy to jakiś wyścig? Czy to gra, w której zdobywa się nagrodę za zwiedzenie jak największej liczby muzeów i katedr? Dlaczego wcześniej myślałam inaczej? To takie jasne, takie oczywiste, ale dopiero Raef pomógł mi to zobaczyć, ukazał w odpowiednim kontekście, tak że wreszcie zrozumiałam, o co mi chodzi.

– Ja miałam tak samo – odparłam. – Z Jackiem. Kurczowo trzymałam się tej nedorzecznej listy obiektów do obejrzenia, myśląc, że jeśli nie zaliczę wszystkich, to będzie znaczyło, że coś zawałam. Że nie sprawdziłam się jako turystka. Że coś straciłam. Nie wiem, czy to amerykańskie podejście, czy moje

własne. Może wynika z tego, że zawsze byłam dobrą uczennicą, dobrą studentką. Ale nagle przy Jacku przestałam czuć potrzebę pośpiechu, żeby dostać się gdzieś, gdzie wcale nie chcę się dostać.

– Raef pragnie, żebym nie wracała do domu, tylko pojechała z nim do Australii. I to od razu. Chce mi przedstawić swoją rodzinę.

– I bierzesz to pod uwagę?

Spojrzała na mnie przeciągle. Moja kochana przyjaciółka intelektualistka, młoda kobieta studiująca żywoty świętych, tylko wzruszyła ramionami.

– Nie wiem – odpowiedziała. – Nie po to przyjechałam do Europy. Rodzice pomyślą, że zwariowałam.

– Powiedziałaś im o Raefie?

– Tylko mamie. Wspiera mnie, ale prosi, żebym była ostrożna. Mam zamęt w głowie. Mogłabym odłożyć rozpoczęcie pracy na późną jesień. A wcześniej pojechać do Australii. To kuszące. Raef musi wrócić na letnie wypasy owiec. Tak mówił. Tam pory roku są odwrócone, więc trochę mi się myli, gdy o tym słyszę.

– Więc między wami to na poważnie?

Skinęła głową. Upiła łyk kawy.

– Chyba tak – odparła.

– Tak się cieszę. Wiem, że się powtarzam, ale mówię szczerze.

– Nie mogę się z nim rozstać. Nie jestem na to gotowa. Jeszcze nie. A ty mogłabyś rozstać się z Jackiem?

Pokręciłam głową. Nie mogłabym się z nim rozstać, ale nie chciałam powiedzieć tego na głos. Patrząc na Constance, słuchając jej planów związanych z Raefem, zrozumiałam, że ja i Jack moglibyśmy być razem. To nie musiałyby się skończyć ani w Paryżu, ani w Nowym Jorku – ani gdzie indziej. Zrobiło mi się lekko na sercu.

Kelner przyniósł nam po następnej kawie. Przez jakiś czas

obserwowałyśmy ruch w kawiarni, wchodzących i wychodzących. Ludzie wyglądali tu inaczej niż w Berlinie czy Amsterdamie. Wydawali się młodszy. Jakby lżejsi. Poczułam tę samą bolesną tęsknotę co podczas wcześniejszego pobytu w tym mieście i chociaż przeczyło to logice, bo było tu więcej życia niż gdziekolwiek indziej, ta tęsknota wciąż mnie nie opuszczała, wciąż chciałam ją czuć.

– Zadzwońmy do Amy – powiedziała Constance, gdy kelner odszedł od naszego stolika. – Powinna tu z nami być.

– Dobra. – Uznałam, że to świetny pomysł. – Zadzwońmy do niej.

Połączyłyśmy się z Amy przez FaceTime’a.

Constance nie miała od niej żadnych wiadomości z wyjątkiem kilku esemesów; ja także, mimo że wysłałam jej z Pragi zdjęcie naszej przyjaciółki na mechanicznym byku. Będąc znowu razem, założyłyśmy, że odbierze i z nami porozmawia. Constance najpierw wysłała jej esemesa, uprzedzając, że zadzwonimy. Amy na niego nie odpowiedziała, jednak chwilę później, gdy kliknęłyśmy w FaceTime’a, natychmiast odebrała, rzuciła swój ulubiony tekst: „Co tam, dziry?!” – i się roześmiała.

To była Amy, nasza dawna Amy; sprawiała wrażenie zadowolonej, choć jednocześnie – z powodu małych rozmiarów wyświetlacza – wyglądała, jakby schudła i stała się trochę koścista. Ale oczy jej błyszczały. Można by pomyśleć, że właśnie przebiegła długi dystans i jeszcze nie złapała tchu.

– Och, jak miło cię zobaczyć! – powiedziałam. – Bardzo się za tobą stęskniłam. Obie się stęskniłyśmy!

– Nieprawda! Rozdzieliłyście między siebie słodkie męskie mięso! Czytałam wasze posty na Facebooku! I widziałam te wszystkie fotki na Instagramie.

Może trochę nadrabiała miną. Constance zbliżyła twarz do wyświetlacza; okulary jej połyskiwały.

– Co zrobiłaś z włosami? – zapytała. – Niezbyt dobrze widzę.

– Ścięłam je. Wpadłam w łapy fryzjera z salonu, do którego chodzi mama. Uparł się, że mnie ostrzyże. Mam teraz boba jak kobieta w średnim wieku! Jakbym właśnie urodziła dziecko czy coś w tym stylu!

– Wspaniale cię widzieć, Amy – powtórzyłam. – Wyglądasz fantastycznie.

– I świetnie się czuję. Chodzę do ośrodka sportowego VFW⁶ w mieście i flirtuję z gromadą starych wojaków. Trenuję na nich. I powoli wracam do gry.

– To dobrze – odparła Constance. – Cieszę się, że nie tracisz ducha. Nie widziałyśmy się tyle czasu! Brakuje nam ciebie.

– A co u was?! Wciąż zakochane? Cholera, zostawiam was zaledwie na parę tygodni, a wy kompletnie tracicie głowy.

Constance się zarumieniła. Jak też. Żadna z nas nie odpowiedziała.

– O rany, ale obie wpadłyście! – zauważyła Amy z lekkim opóźnieniem spowodowanym różnicą czasu. – Kiepska sprawa. To gdzie jesteście? Z powrotem w Paryżu?

– Właśnie przyjechaliśmy – odrzekłam. – Zostajemy jeszcze cztery dni, a potem wracamy do domu.

– Same?

Zerknęłam na Constance. Nie odrywała wzroku od wyświetlacza.

– Jack jedzie ze mną – odpowiedziałam.

– A ja może pojedę do Australii – wyznała Constance. – To jeszcze nieustalone.

– Kochacie tych facetów, co?

– Tak – potwierdziłam cicho. – Chyba tak.

– To nie bądźcie świętoszkami. Bierzcie z życia, co się da. Ja wam to mówię, tu wybór jest marny. Albo chłopcy, albo staruszkowie. Poderwałam jednego żonatego gościa, który teraz nie daje mi spokoju. Na klamrze od paska

ma cały powóz konny. Nie uwierzyłybyście, że są takie typy! Przychodzi do ośrodka we wszystkie sobotnie wieczory, ale nie mówi na nie „sobotni wieczór”, tylko „sobotnie rwanie”. To dziwny facecik.

– Chodzisz z nim? – zapytałam.

– Ależ skąd! – zawyła. – Nie, w żadnym razie. Broń Boże!

– Ale wszystko w porządku? – zagadnęła Constance. Celowo uciekła się do ogólnika. Mimo że omawiałyśmy to setki razy, nie byłyśmy do końca pewne, jak Amy się czuje po nagłym zakończeniu przygody w Europie i przymusowym powrocie do domu.

– Tak, dobrze – odpowiedziała. – Wiem, że ostatnio nie wykazałam się jako kumpelka. Przepraszam, że się z wami nie kontaktowałam. Jakoś nie mogłam. Ciężko było wracać. Żenada. Rodzice się wściekali. Suszyli mi głowę. Mama z upodobaniem wraca do mojej porażki... tak to nazywa, „porażką Amy”... i dzięki temu ma nade mną kontrolę.

– Matki i córki – skomentowałam.

Constance tylko pokiwała głową.

– Wielka afera – ciągnęła Amy. – Spaprana letnia podróż Amy.

– Takie rzeczy się zdarzają – zapewniłam. – Wpadki i tak dalej. Nic takiego się nie stało.

– Zdarzają, ale mnie, nie wam.

– Nigdy nie wiadomo, co kogo spotka – przysła mi z pomocą Constance. – Tego przynajmniej uczą nas żywoty świętych.

– Kłopot w tym, że mnie daleko do świętości – odparła Amy.

– Ależ ty jesteś prawie święta! – rzuciłam.

– Szczerze mówiąc, trochę zwolniłam. Już tak nie szaleję, skończyłam z wygłupami. Mniej piję i znowu biegam. Regularne ćwiczenia mi służą. Wróciłam do nich po zbyt długiej przerwie. W ostatni weekend przebiegłam dziesięć kilometrów. Jestem w zaskakująco dobrej formie.

– Świetnie wyglądasz – powtórzyła Constance. – Zdrowo.

– Robię, co mogę.

Rozmawialiśmy jeszcze przez chwilę, głównie plotkując o znajomych, którzy razem z nami ukończyli Amherst. Amy opowiedziała nam kilka niesamowitych historii o naszej dawnej grupie. W końcu wrócili Raef i Jack. Usiedli przy stoliku, zamówili kawę, uśmiechnęli się do Amy i ją pozdrowili.

W końcu wyczuła, że jest jak piąte koło u wozu.

– Dobra, spadam! – rzuciła. – Na razie, zdziiry.

– Dbaj o siebie – powiedziałam.

– Dbam jak zawsze – odparła.

Rozłączyła się... czy co się tam robi, wychodząc z FaceTime'a. Ekran się skurczył i jakby ją połknął; zniknęła z elektronicznym beknięciem, które dziwnie zabrzmiało w kafejce. Miało się wrażenie, jakby wróciła na macierzysty okręt i przepadła na dłuższy czas.

34

Zatrzymaliśmy się w Trenton, skromnym pensjonacie na Lewym Brzegu, niedaleko Ogrodu Luksemburskiego, jedną czy dwie przecznice od Sorbony. To była ekstrawagancja, biorąc pod uwagę nasz ograniczony budżet, ale Jack przekonywał, że warto się szarpnąć. Był to nasz pierwszy wspólny pobyt w Paryżu – i jako taki miał się nie powtórzyć – więc tłocząc się z innymi w hostelu, nie upamiętnilibyśmy go należycie.

Jak zwykle Raef miał jakieś znajomości, coś załatwił. Był zaradny jak nikt.

Pokoje wyglądały skromnie, nie odnawiano ich od lat, ale każdy miał balkonik, i to na tyle duży, że można było usiąść tam na krześle, jeśli ustawiło się je bokiem. Raef i Constance rezydowali piętro niżej. Z naszego balkoniku na drugim piętrze roztaczał się widok na dachy domów, rynny z czerwonych

płytek i aluminiowe kominy. Jack zapowiadał, że w każdej chwili, w dzień czy w nocy, może wpaść do nas Quasimodo, garbaty dzwonnik z Notre Dame.

Usiadł na łóżku i patrzył, jak się rozpakowuję. Zniosłam kilka rzeczy do małej łazienki, starając się zachować porządek. Podwójne łóżko, zajmujące dużo miejsca, utrudniało poruszanie się po pokoju. Wpadając na nie, dwa razy uderzyłam się w goleń, za drugim razem tak mocno, że aż na chwilę przystanąłam i zamknęłam oczy. Jack miał lepszy pomysł. Sprawiał wrażenie gotowego do drzemki, którą sobie obiecaliśmy – podobnie jak Raef i Constance – zanim wyjdziemy na zwiedzanie.

– Wszystko w porządku? – zapytał, kiedy zobaczył, że krzywię się z bólu.

– To przeklęte łóżko!

– Połóż się na nim ze mną. Wtedy nie będziesz na nie wpadała.

Kiwnęłam głową i wyciągnęłam się przy Jacku, choć wciąż straszliwie rwało mnie w łydce. Z głowami na poduszce widzieliśmy Paryż południową porą. Uśmiechnęłam się na myśl, jak dobrze być tu z Jackiem. Słońce świeciło łagodnie; na szarym niebie sunęło leniwie kilka pierzastych chmur, które jakby pochłaniały barwy dnia.

– Trochę boli mnie głowa – powiedział Jack.

– Nic ci nie jest?

– Nie. – Wzruszył ramionami.

– Coś ci podać? Coś zrobić?

– Kochać się ze mną – rzucił. – Być wyuzdaną.

Podniosłam się i spojrzałam na niego. Uśmiechał się. Ale słabo. Nie czułam się dobrze, widziałam to, i był blady.

– Pytam poważnie, Jack. Wszystko dobrze?

Znowu wzruszył ramionami. Próbował zgrywać chojraka, ale naprawdę coś mu było.

– Zamknę na chwilę oczy – odparł. – Za godzinę będę jak nowo narodzony.

– W porządku. Jeśli nie znajdziesz mnie tu po przebudzeniu, to będzie znaczyło, że zostałam porwana przez Quasimoda.

– Dobrze wiedzieć.

Delikatnie pocałowałam go w policzek. Poczułam, że lekko uniósł w uśmiechu kąciki ust, ale poza tym się nie poruszył.

Spaliśmy dość długo. Obudziłam się dobrze po południu, a Jack wciąż spał obok kamiennym snem. Był odwrócony ode mnie, więc nie widziałam jego twarzy. Nie chciałam go budzić, więc cicho wyslizgnęłam się z łóżka i poszłam do łazienki, przemyłam twarz, wyszorowałam zęby i przeczesałam włosy, a potem napisałam liścik i umieściłam go na lustrze.

Zadzwoń do mnie, spiochu, kiedy się zbudzisz. Mam nadzieję, że czujesz się lepiej.

Wymknęłam się za drzwi i poszłam sama odkrywać Paryż.

W barze na kółkach przed Ogrodem Luksemburskim kupiłam *crêpe au fromage* i *café au lait* i zaniiosłam do stolika przy posągu Pana niedaleko wejścia. Byłam głodna i chciałam sama ze sobą zjeść mały posiłek w parku, który rozślawił Hemingway. Siedziałam pod wielkim kasztanowcem, który właśnie owocował; wokół niego leżały kasztany, czasami już rozdeptane przez przechodniów. Jadłam powoli, rwąc naleśnik, naprawdę pyszny. Smakował trawą, łąką, a ser był ciepły i słodki. Kawa miała w sobie ciemną, lepłą gęstość, której nigdy wcześniej nie wyczuwałam w jej naparze. Te dwa różne aromaty i dwie konsystencje – miękki naleśnik i tłustawa intensywność kawy – sprawiły, że poczułam się dziwnie zadowolona, wręcz szczęśliwa. Znowu byłam w Paryżu, na Lewym Brzegu, siedziałam w Ogrodzie Luksemburskim, w otoczeniu potężnych drzew i bujnych trawników, w tym samym miejscu, w którym lata wcześniej, w okresie międzywojnia, siedzieli Hemingway, Hadley i Bumpy.

Była w tym może jakaś niemądra egzaltacja, ale się tym nie przejmowałam.

Wyjęłam iPada i zabrałam się do lektury Hemingwaya, fragmentów *Ruchomego święta*, które czytałam podczas pierwszego pobytu w Paryżu. Przewijałam tekst, zatrzymując się przy akapitach, które wcześniej zaznaczyłam. Hemingway wciąż do mnie przemawiał. Pisał: „Jadaliśmy dobrze i tanio, piliśmy dobrze i tanio, i sypialiśmy razem dobrze i ciepło, i kochaliśmy się wzajemnie” ⁷.

Przeczytałam to kilka razy. Pomyślałam o Jacku i o tym, czego pragnę.

Wypiłam ostatni małeńki łyk kawy i strzepnęłam z talerza okruchy, żeby mogły się nimi pożywić gołębie, które kręciły się wciąż w pobliżu stolika, stale gruchając, gulgocząc jak woda albo szklane ptaki.

Wciąż siedziałam na krześle, pusta, ale zadowolona, gdy przyszedł esemes.

„Gdzie trzyma Cię Quasimodo?” – pytał Jack.

„W Ogrodzie Luksemburskim – odpisałam. – Przyjdź posiedzieć ze mną”.

– Musimy wypełnić pewną tajną misję – powiedział, kiedy już mnie cmoknął i usiadł obok. – Z Raefem i Constance spotkamy się później. Mamy cały wieczór dla siebie.

– Najpierw powiedz, jak się czujesz.

– Dobrze.

– Naprawdę? Czy tylko udajesz?

– Nie, dobrze się czuję, naprawdę. Przysięgam.

– Mocno spałeś. Nie obudziłeś się, kiedy wychodziłam.

Uśmiechnął się, wyciągnął rękę i zatknął mi za ucho pasmo włosów.

– Zjadłaś coś?

– Naleśnik. A do tego wypiliśmy kawę.

Kiwnął głową. Na chwilę spoważniał i spojrzał na mnie.

– To ten park Hemingwaya, prawda?

– Tak.

– Kiedy Ernest był młody, przychodził tu na spacer z dzieckiem, no nie?

Potwierdziłam.

– Zabijał gołębie i chował je pod kocyk w wózku – powiedziałam. – Byli tak biedni, że poza nimi nie mieli co jeść.

Uśmiechnął się czule.

Wziął mnie za rękę.

Uwielbiałam ciężar jego dłoni. I jej wielkość, kiedy ujmowała nad stolikiem moją dłoń.

Zanim zdążyliśmy się ruszyć, odezwał się telefon. Dzwonił Mamciozaurus, ale nie odebrałam.

Siedzieliśmy jeszcze przez chwilę i obserwowaliśmy, jak w parku zapada ciemność. Był piękny wieczór. Później nadszedł wysoki mężczyzna z terierem Jack Russell i patrzyliśmy za nim, kiedy się oddalał. Wyglądali razem śmiesznie; żeby nadążyć za swoim panem, pies szybko przebierał krótkimi łapkami. Był dobrze ułożony. Poruszał się jak balonik na sznurku.

Po zmroku wróciliśmy do pokoju. Przepęłniało mnie szczęście. Jack znowu wyciągnął się na łóżku i zasnął. Domyślałam się, że jednak nie czuje się najlepiej. Usiadłam na balkonie i patrzyłam na Paryż. Otworzyłam iPada, ale nie chciało mi się czytać. Chciałam nasycić się Paryżem. Chciałam wchłonąć jakąś jego część, żeby potem zabrać ją ze sobą. Gołębie zlatywały się na noc i siadały na pochyłych dachach, niebo przeciął samolot. Na ulicy jedna po drugiej zapalały się latarnie i niebawem nasz budynek jaśniał żółtym światłem, światłem koktajlowym, ludzie wchodzili do środka i zaczynali wieczór. Przyglądałam się temu wszystkiemu, po czym zmówiłam modlitwę, nie do Boga ani żadnego innego tajemniczego stwórcy w niebie, ale do życia, do tej siły, która napędzała Hadley i Ernesta, i wszystkich innych przyjeżdżających do Paryża, żeby odkryć własne pragnienia. Ja także tu przyjechałam i niedługo miałam się pożegnać, ale przysięgłam sobie w sekrecie, że nigdy całkowicie nie opuszczę tego miasta, że zabiorę je ze sobą i będę odwiedzać, gdy tylko

pozwolą mi na to okoliczności.

Chwilę później do pokoju zapukała Constance.

– Wciąż śpi? – zapytała szeptem, gdy otworzyłam drzwi i wyszłam na korytarz.

– Tak. Chyba nie czuje się dobrze.

– Raef mówi, że klub, do którego idziemy, jest niedaleko. Wysłałam ci adres esemesem. Zobaczymy się później?

– Mam nadzieję.

Uściskała mnie szybko. Pachniała świeżym powietrzem i swoim ulubionym mydłem.

– Zamierzamy najpierw zjeść coś ze znajomymi Raefa, a potem wybrać się do klubu. Zawiadomię cię esemesem, jeśli plany się zmienią.

– Kiedy tam przyjdziecie?

– Raczej późno. W świecie jazzu wszystko dzieje się późno.

– Dobra, wyślij mi esemesa z wiadomością, co robicie.

Kiwnęła głową. I poszła.

Po odejściu Constance, siedząc na balkoniku, podczytywałam zapiski dziadka Jacka. Położyłam sobie dziennik na kolanach i przez chwilę manewrowałam krzesłem, żeby mieć dość światła.

Był to niezwykły tekst. Miał wręcz literacki charakter, opisy i komentarze wyszły spod wprawnej ręki. Autor umiał też rysować. Szkicował budynki i kwiaty, bulwary i mosty. Szczególnie pociągała go architektura, choć niewątpliwie miał różnorokie zainteresowania. Obdarzony darem obserwacji, dostrzegał nawet drobne szczegóły.

Łatwo było zrozumieć, dlaczego ten dziennik tak fascynował Jacka. Jego dziadek był dobrym, wrażliwym człowiekiem. Pisał o dzieciach i zwierzętach, które ucierpiały wskutek wojny. Pisał o bombardowaniach i woni termitu, wciąż jeszcze unoszącej się w powietrzu. Dostrzegał również piękno

w zniszczeniach, a jego rysunki – schematyczne, w większości przedstawiające zwykłych ludzi – miały w sobie elegancką prostotę, która nie wymagała słów.

Wciąż czytałam zaabsorbowana, gdy Jack odezwał się cicho:

– Hej.

– Obudziłeś się? Jak się czujesz?

Odłożyłam dziennik, podeszłam do Jacka i wyciągnęłam się obok niego na łóżku.

– Lepiej.

– Naprawdę lepiej czy tylko tak mówisz?

– Nie, chyba już mi przeszło. Może czymś się zatrąłem. Stale dolega mi żołądek. Nie ma co ukrywać.

Przytknęłam mu rękę do czoła. Było ciepłe, ale nie rozpalone.

– Martwiłam się o ciebie. I nadal się martwię. Nie powinieneś pójść do lekarza?

– Nie, kotku. Wszystko w porządku.

– Ale musisz być bardzo głodny.

– Mamy coś do jedzenia?

– Niewiele, Jack. Zejdę na dół i coś ci kupię.

– Nie, zobaczmy, co się tu znajdzie. Nic mi nie będzie.

Pocałowałam go lekko, wstałam z łóżka i w ciągu kilku minut zorganizowałam skromną kolację. Nie było tego wiele. Znalazłam resztki chleba, który miałam w plecaku, jabłko i butelkę mrożonej herbaty.

Kiedy przygotowywałam jedzenie, Jack poszedł do łazienki. Słyszałam, jak się myje. Po powrocie wyglądał znacznie lepiej.

– Nawet nie zapytałem, czy umiesz gotować – zauważył, siadając na łóżku.
– Masz jakieś kucharskie talenty?

– Niewiele. A ty?

– Radzę sobie. Potrafię przyrządzić z dziesięć dań. I tyle. Nie licząc najprostszych.

– Nie osądzaj mnie po tej małej przekąsce. Nie wymagała wiele roboty.

– Doceniam, że jesteś ze mną i robisz to dla mnie.

Podsunęłam mu prowizoryczną tacę, skromne jedzenie na desce do krojenia, którą zostawiła nam Amy. Usiadłam przy nim. Jadł powoli, nie wszystko, gryząc starannie, żeby ocenić, czy coś mu służy, czy nie. Mrożoną herbatę wypił dwoma haustami. Podałam mu resztę wody w butelce.

– Czytałam dziennik twojego dziadka – powiedziałam. – Jest wspaniały, Jack. Myślałeś o tym, żeby go wydać?

– Tak, myślałem. Kiedyś rozmawiałem o tym z ojcem, ale miał wątpliwości, czy ktoś byłby zainteresowany relacją z podróży po Europie w czasach tużpowojennych.

– Moim zdaniem każdy doceniłby wartość tych zapisków.

– Też tak mówiłem. Martwi mnie tylko, czy potrafiłbym uzupełnić jego stylem luki w tekście. Pisze lepiej ode mnie.

– Nie sądzę. Ale jak się tego nauczył?

– Prosty wiejski chłopak z Vermontu, chcesz powiedzieć? Nie wiem. Zastanawiałem się nad tym. Jego ojciec był weterynarzem. Mieli w domy książki, rozumiesz. Matka była z kolei położną. Czytał głównie literaturę klasyczną. Owidiusza i Sofoklesa. Uczył się w tajemnicy, ale zawsze. W Vermoncie bywają długie noce i jeśli jest się farmerem, nie ma się w zimie wiele roboty. Czytał przy ogniu albo żelaznym piecyku na drewno. Byłem kiedyś świadkiem, jak rozmawiał z wykładowcą literatury klasycznej na University of Vermont, i widziałem, jakie wrażenie zrobiła na nim wiedza dziadka. Niezwykły człowiek.

– Szczęściarz z ciebie, że masz ten dziennik. Czy czytało go któreś z twoich rodziców?

– Nie tak jak ja. Bo ja wciąż go czytam. Mój ojciec chyba nie wiedział, co o nim sądzić. Te zapiski budziły w nim niepokój. Pewnie w jego odczuciu świadczyły, że dziadka nie zadowalało wiejskie życie... że miał większe ambicje, chociaż w końcu został w Vermoncie. Ojciec widział w nich niemal ostrzeżenie. Ale to tylko moje domysły.

Przez chwilę milczeliśmy. Jack niespiesznie jadł dalej. Co jakiś czas przerywał, żeby sprawdzić, jak reaguje jego organizm.

– Wiedziałaś, że Constance myśli o wyjeździe z Raefem do Australii? – zapytałam, kiedy wreszcie skończył jeść. – Bezpośrednio z Europy. Przynajmniej na jakiś czas.

– Wiem, że on za nią szaleje.

Popatrzyłam na niego. Nasze spojrzenia się spotkały.

– „Tak jak ja za tobą”. To powinieneś być powiedzieć, Jack.

– Tak jak ja za tobą.

– Za późno. Musiałam cię naprowadzić.

– Szaleję za tobą. Ale zawsze się zastanawiałem, co to właściwie znaczy. Czy to naprawdę komplement? Czy rzeczywiście chcemy, że ludzie wokół nas szaleli?

– To chyba idiom.

– A co by było, gdyby faktycznie oszaleli? Czy to byłoby dobre? Czy prześladowca nie szaleje za obiektem swoich uczuć? Chyba nikt, kto nie jest prawdziwym prześladowcą, nie powinien mówić, że za kimś szaleje. A poza tym moim zdaniem słowo „szaleniec” jest niepoprawne politycznie. Ośmiesza tych, którzy są naprawdę niepoczytalni.

– Dziwnie pracuje twój umysł, Jack.

– Czuję się już lepiej. Może wyjdziemy? – zaproponował. – Jeśli masz ochotę.

– Czujesz się na tyle dobrze?

- Tak.
 - Jesteś pewny? Wciąż wydajesz się blady.
 - Nic mi nie jest – zapewnił namiętym głosem, ale się zgrywał.
- Objął mnie i przyciągnął do siebie.

35

Następnego dnia Jack i Raef zniknęli. Powiedzieli, że wrócą na kolację i żebyśmy się nie martwiły.

Constance i ja poszliśmy więc do Notre Dame.

Byliśmy tam już podczas poprzedniego pobytu w Paryżu, ale dla Constance, która interesowała się świętymi, Notre Dame była żywym, oddychającym tworem, na każdym kroku ujawniającym swoje sekrety. Moja przyjaciółka podeszła do tej wizyty metodycznie: najpierw przez długi czas siedziałyśmy przed katedrą i wędrowałyśmy po niej wzrokiem. Oczywiście znała jej historię, wiedziała, że budowa została rozpoczęta w 1163 roku i trwała ponad sto lat; że sama katedra była scenerią setek ważnych wydarzeń religijnych i politycznych; że znajdowała się na Île de la Cité; że po zakończeniu obu wojen światowych odśpiewano w niej *Te Deum*. To wszystko jednak było dla Constance tylko tłem.

Przyszła bowiem zobaczyć Marię.

Miała na jej punkcie obsesję. Ze wszystkich świętych najbardziej lubiła Matkę Boską, a w Notre Dame – u Naszej Pani – znajdowało się trzydzieści siedem jej posągów. Obsesją zaś w ramach tej obsesji była Najświętsza Maria Panna z Dzieciątkiem na filarze dzielącym odrzwia. Figura pochodziła z kaplicy Saint-Aignan w dawnym klasztorze kanoników regularnych i zastąpiła trzynastowieczny wizerunek Matki Boski zniszczony w 1793 roku.

- Jest – powiedziała Constance, kiedy wreszcie weszliśmy do katedry

i stanęliśmy przed rzeźbą. Wzięła mnie pod ramię i ze łzami w oczach zaczęła mówić: – To portal Najświętszej Marii Panny. Pochodzi z dwunastego wieku... sam portal, bo figury się zmieniały. *Regardez!* Ta postać nie wydaje się szczególnie interesująca, dopóki się nie zatrzymasz i dobrze jej nie przyjrzysz. Widzisz ją? Jest młodą matką, Heather. To mi się w tym przedstawieniu podoba. Młodą kobietą, do której zwrócono się z prośbą, żeby przyjęła do swojego łona boski pierwiastek. Podziwiam w tym posągu jego niejednoznaczność. Widać, że Matka Boska kocha swoje dziecko. Ale zauważ, że ono wcale nie patrzy na nią, bawi się zapinką przy jej szacie. Ona wysuwa biodro. Uwielbiam kobiece biodra, zwłaszcza wysunięte. Widzisz? Podtrzymuje nim dziecko, zbawiciela świata. Ale w całym tym majestacie dostrzegamy tylko drobną skromną kobietę i jej ukochanego synka. Dlatego ta rzeźba tak na mnie działa. Tyle o niej czytałam, a teraz ją oglądam... wiesz, że tu, przed Naszą Panią, miało miejsce wiele nawróceń? Zaledwie raz na nią spojrzawszy, ludzie doznawali przemiany duchowej. Wiem, wiem, sama nie bardzo w to wierzę, ale, Heather, wierzę w potrzebę wiary, a to jest jej żywe ucieleśnienie.

Uwielbiałam Constance. Uwielbiałam najbardziej na świecie.

Późnym popołudniem Jack wziął mnie do łóżka i pożarł.

Drzwi na balkon były otwarte i ciepłe paryskie słońce ogrzewało kawałek podłogi, a Jack wkładał mi do ust winogrona i całował mnie razem z nimi, było i zabawnie, i głupio, i niezwykle namiętne. Nasze ciała zgrały się ze sobą idealnie. Jack czasami był gwałtowny, jakby coś zawalił, żeby być ze mną, jakby jego ciało zawierało element będący rybą, DNA i wodą morską i musiał go uwolnić, ja zaś myślałam o Marii – co za absurd! – o niespodziance, jakim musiała być dla niej ciąża, i o ciężarce małego Chrystusa na jej biodrze. Wszystko to zlewało się ze sobą, wspaniałe ciało Jacka, jego wcześniejsze tajemnicze zniknięcie, słońce, ciepło dnia, powietrze

Paryża, brudne i duszące, jak każdego miasta pełnego spalin i ludzkiej aktywności, i oddawałam się mojemu mężczyźnie, brałam go w siebie głębiej, otwierałam się przed nim i zacierałam granice między nami.

Później oparłam głowę na jego ramieniu. On gładził mnie po plecach, powoli, spokojnie, łądzyką fiołka, który kupił od ulicznej kwiaciarki. Kreślił nim na moich plecach jakieś obrazki i oddychaliśmy w jednym rytmie.

Ja tylko leżałam przy nim beczynnie i nasze ciała razem chłodziły.

– Jak było? – zapytał. – Fantastycznie czy tylko w porządku?

– Och, liczysz na to pierwsze, co, łobuzie?

– To okropne pytanie, prawda? Jeśli odpowiesz, że było świetnie, a druga osoba myśli, że tylko tak sobie, tworzy się komunikacyjna przepaść. Jeżeli powiesz, że dobrze, ale nie świetnie, a druga osoba uważa, że było fantastycznie, dochodzi do obrazu. To jeden z wielkich problemów współczesnego życia.

– Jak wyjazd do Phoenix.

Uniósł się trochę i spojrzał na mnie.

– To stara historia rodzinna – wyjaśniłam. – Dawno temu moi rodzice mieli okazję wybrać się do Phoenix. Pojechali i było okropnie. Przez cały czas tata myślał, że mamie zależało na tym wyjeździe, a mama, że tacie zależało. Dlatego w mojej rodzinie takie nieporozumienie nazywa się wyjazdem do Phoenix.

– A morał z tej historii jest taki, że...

– Trzeba być szczerym wobec partnera.

– Uważam, że jesteś pyszna w łóżku – oznajmił. – Kocham się z tobą kochać.

– Cieszę się, że tak uważasz. Bo dla mnie było tak sobie.

Jego ręka na moich plecach znieruchomiła. Odwróciłam głowę, żeby ukryć przed nim uśmiech.

– Jesteś podła – powiedział. – Strasznie podła.

– Wywracasz mnie na drugą stronę, Jack. Poruszasz we mnie wszystkie struny.

– To dobrze.

– Tak sobie.

Próbował zepchnąć mnie na podłogę. Broniałam się, chwytając łożka. Wtedy pociągnął mnie na siebie – uwielbiałam jego siłę, podobało mi się, że mógł ze mną zrobić, co chciał – i pocałował z całą mocą. Całowaliśmy się przy otwartych drzwiach balkonowych, podczas gdy w Paryżu zapalały się światła. Każde z nas mówiło drugiemu, jak go kocha. Pocałunki stały się jak łańcuch i podążaliśmy za każdym jego ogniwem, bo baliśmy się zostawić cokolwiek losowi, żeby nas nie rozdzielił.

O zachodzie słońca Jack zabrał mnie, żeby zasadzić razem drzewo.

Nie mógł zrobić mi większej niespodzianki. Wyszedł na godzinę i wrócił do pokoju z małym jesionem owiniętym w grube płótno. Drzewko wyglądało na silne: była to smukła sadzonka sięgająca mi zaledwie do kolan.

Wyniósł drzewko na balkon i kazał mi urządzić powitanie jak z *Króla lwa*. Uniosłam je więc i przedstawiłam równinom Afryki... czy też ulicom Paryża. To było zabawne i uroczne. Jack zaśpiewał *Circle of Life*, zachęcając, żebym się do niego przyłączyła.

– O co tu chodzi? – zapytałam zachwycona. Już zachwycona.

Przyniósł też dwie butelki wina, bez etykiety. To było w jego stylu – znaleźć jakiegoś indywidualnego sprzedawcę. Dał mi drzewko do potrzymania – traktował je jak dziecko – a sam otworzył pierwszą butelkę. Wyniósł na balkon dwa krzesła. Ledwie się tam zmieściły, ale przynajmniej oboje mieliśmy nogi wystawione na zewnątrz.

– Wypijemy za jego zdrowie – oznajmił. – Niech żyje sto lat!

– Sto lat! – powtórzyłam, wznosząc kieliszek.

Pociągnął łyk wina.

– Niezłe – ocenił z uśmiechem.

Wydawał się niezwykle przystojny i zadowolony, wyczulony na całe otoczenie. Ścinał mnie z nóg.

– Ten jesion to strzała w przyszłość – wyjaśnił z udawaną powagą. – Zasadzimy go wieczorem. Obetniemy po kosmyku włosów i zakopimy je razem z nim. Pójdziemy do Ogrodu Luksemburskiego i zasadzimy nasze drzewo, żeby następcy Hemingwaya mogli siedzieć w jego cieniu. Będiesz mogła je odwiedzać za każdym razem, gdy przyjedziesz do Paryża. Życie będzie się toczyło własnym trybem, czasami pomyślnie, czasami nie, a jesion będzie rósł i rósł. Będą go mogły odwiedzać nasze wnuki.

– Planujemy dzieci w najbliższym czasie? Dobrze byłoby wiedzieć.

Spojrzał na mnie i zrobił śmieszoną minę. Jego oczy nad kieliszkiem były pełne życia i szczęścia. Nieznacznie poruszył brwiami.

– Życie jest nieprzewidywalne – odparł. – Nie można mieć nad wszystkim kontroli. Nawet będąc posiadaczką luksusowego terminarza marki Smythson.

– Myślisz, że pozwolą nam zasadzić drzewo w parku?

– Och, Heather, moja przezorna, praktyczna Heather. Zasadzimy je tak, żeby nikt o tym nie wiedział. Ogrodnicy ninja. Komu może przeszkadzać zasadzone drzewko? Kto by je wyrwał? Gdy tylko znajdzie się w ziemi, będzie bezpieczne. Widzisz, jakie to sprytne? Może nawet nie zaniemiemy go do parku, chociaż to byłoby dla niego najlepsze środowisko. A gdybyśmy je zasadzili na którymś skwerze przy jednym z bulwarów? Miałoby trudniejsze życie, ale czemu nie? Niewykluczone, że to drzewo buntownik. Nie pragnie wcale sielskiej egzystencji. Może jest niekonwencjonalne, takie drzewo punk.

– A dlaczego akurat jesion?

– Jesion europejski – podkreślił i wypił pół kieliszka wina. Dolał nam obojgu. – Przede wszystkim jest długowieczny. I zwyczajny. Nikogo nie zdziwi

jego widok. Sprzedawca... ze sklepu ogrodniczego... dał mi taką karteczkę. Jesion ma własny znak runiczny... złączone A i E. Sądzi się, że jego nazwa pochodzi od staroangielskiego czy niemieckiego *Esche*.

– Odrobiłeś pracę domową. Jestem pod wrażeniem.

– I słusznie. – Pochylił się, żeby mnie pocałować. – Jeśli dobrze pójdzie, drzewo będzie żyło sto lat albo i więcej. Pomyśl tylko! „Patrzcie na moje dzieła”⁸, „Patrzcie na moje dzieła i gińcie” czy coś takiego. To Keats? Czy *Ozymandias* Shelleya? W każdym razie jeden z romantyków, prawda?

– Pamiętam, że czytałam to w szkole średniej.

– Kiedy więc świat będzie się walił, nasze drzewo, wielki jesion, będzie triumfalnie rosło wysoko ku niebu! Co ty na to?

– Jestem za. Za tym wszystkim, Jack.

– Dobrze, dopij wino i idziemy. Masz lakier do paznokci?

– Chyba mam jeszcze trochę. Poczekaj.

Skąd wziął się ten człowiek? Jakim sposobem wkroczył na moją ścieżkę? I dlaczego tak zarażał mnie swoją radością życia?

Poszłam do łazienki i wróciłam z buteleczką czerwonego lakieru. Była prawie pusta. Podałam ją Jackowi. Miał płaski kamień, który gdzieś znalazł, i teraz starannie go otrzepał.

– Nasza nieśmiertelność – oznajmił.

Potrząsnął buteleczką, a potem uważnie, starannie wymalował lakierem na kamyku nasze imiona i otoczył je serduszkami. Następnie wyjął swój szwajcarski scyzoryk.

– Masz, utnij mi kosmyk włosów. A potem sobie.

Obciąłam mu kędzior nad prawym uchem, a on mi loczek nad lewym ramieniem. Związał oba kawałkami sznurka, którym okręcony był worek z jesionem.

– Doskonale – orzekł, wciąż z ożywieniem w oczach. – Zasadzimy drzewko

razem z tym. Tylko że z czasem włosy się rozpadną, a lakier zetrze. Potrzyмай.
– Wziął plastikowy pojemnik, w którym kupiliśmy arbuza. – Może to niezbyt romantycznie, ale dzięki temu nasza pamiątka dłużej przetrwa. Co powiesz? Chciałabyś coś jeszcze dodać?

Tak, chciałam. Wzięłam od niego kamyk i napisałam pod naszymi imionami swój ulubiony cytat: „Nienawidź fałszu, żądaj prawdy”.

Jack go przeczytał, kiwnął głową, a potem mnie pocałował.

– Czy Raef i Constance idą z nami? – zapytałam cicho.

– Nie proponowałem im. To nasz sekret.

Uścisnęłam go za rękę.

Zrobiło się ciemno. Na bulwarze Saint-Michel było wystarczająco jasno, ale trzymaliśmy się w cieniu. Nasze narzędzia ogrodnicze prezentowały się żałośnie. Mieliśmy zwykły nóż stołowy, plastikową butelkę po wodzie i plastikowy pojemnik, nic więcej. Ale aż drżałam z podniecenia na myśl, że robimy coś nielegalnego. Park był już zamknięty, Jack jednak twierdził, że ludzie na pewno nocami przedostają się do środka. Nie może być inaczej – teoretyzował. Nawet gdybyśmy zostali przyłapani, przecież nas nie aresztują – dowodził. Francuzi – zapewniał – nie będą potrafili się oprzeć historii miłosnej.

Czułam się jak dziesięciolatka podczas zabawy w chowanego.

Uświadomiłam sobie, że zapamiętam tę przygodę na całe życie. To coś więcej niż zdjęcie. Więcej niż wizyta w muzeum. Drzewo będzie rosło w paryskim parku przez sto lat, mając u korzeni kamień noszący nasze imiona. Tak to było w świecie Jacka.

– Szukajmy dyskretnego ustronnego miejsca. Takiego niepozornego, dobra? Chcemy, żeby przez pierwsze dwadzieścia lat nasze drzewo nie rzucało się w oczy. A potem, o rany, zdominuje całe otoczenie. Stanie się najbardziej zaborczym drzewem w okolicy. Rozumiesz?

– Tak, o tak.

– Dobra, idziemy. Co myślisz o tym miejscu? Nie jest szczególnie spektakularne, ale za to bezpieczne. Niedaleko kawiarnianych stolików. Będziemy mogli tu jutro wrócić i je odwiedzić. To by było coś, no nie?

Przekradliśmy się przez szeroki trawnik, unikając światła padającego od strony bulwaru Saint-Michel. Kiedy dotarliśmy do skrawka ziemi, Jack rozejrzał się szybko i zasugerował zakątek po prawej stronie.

– Nie ma tu dużych drzew – zauważył, klękając i przystępując do kopania. – Żadnej konkurencji. Nasz jesion będzie wyglądał na samosiew albo na zasadzony przez jakiś departament, który potem o nim zapomniał. Nikomu nie przyjdzie do głowy go wykopać. Nie tutaj, z dala od wszystkiego. Dobrze? Podoba ci się to miejsce?

– Jest idealne. Spełnia wszystkie warunki.

– W porządku, ziemia jest miękka. To nic trudnego. Jesteś gotowa? Wsadzimy go razem. No już.

Ręce mi się trzęsły. Nie mogłam nad tym zapanować. Trzęsły się, dopóki Jack nie otoczył ich dłońmi.

– To nasze drzewo – szepnął. – Nikogo innego. Zawsze będzie nasze.

– W Paryżu.

– Nasz jesion w Paryżu – powtórzył. – Potężny *Esche*.

Do niewielkiej jamy przy korzeniach włożyłam plastikowy pojemnik z naszymi włosami i kamykiem. Potem ją zasypaliśmy i udeptaliśmy ziemię wokół sadzonki. Staraliśmy się, aby drzewko wyglądało, jakby było tu zawsze.

Jack podał mi butelkę z wodą.

– Woda wyprze z gleby powietrze – wyjaśnił. – I napoi jesion w jego nowym domu.

Starannie podlałam drzewko. Bożek Pan niedaleko patrzył na nas w świetle padającym od bramy. Wydawało się, że aprobejuje nasze poczynania.

2 sierpnia 1947

Spędziłem noc w Paryżu i w sobotę wybrałem się na wyścigi w Longchamps. Nie było na co patrzeć; konie sprawiały wrażenie zaniedbanych. To cud, że nie zostały zabite przez bomby ani zjedzone. Podobały mi się barwy, w których startowały: jaskrawa zieleń, żółć i czerwień. Podczas jednej z gonitw jakiś pies zerwał się z uwięzi i pobiegł za końmi. Nieznajomy obok mnie zauważył, że trzeba było postawić na tego psa, bo przynajmniej biegł ile sił w nogach, w przeciwieństwie do wynędzniałych chabet, które gonił. Wzbudziło to ogólne rozbawienie. Ten mężczyzna także się śmiał, ale nie miał w oczach radości.

Constance stoi z Raefem w świetle wczesnego ranka. U jej stóp pięć gruchających gołębi. Niektóre od czasu do czasu podlatują, żeby sprawdzić, co zmiotł kelner z chodnika przed restauracją. Constance zagląda do portfela, do plecaka, klepie się po kieszeniach, aby mieć pewność, że niczego nie zapomniała. Raef, jej mężczyzna, krząta się przy bagażach, ostatni raz sprawdza, czy ta lub inna sprzączka jest dobrze zapięta. Constance, ze swoimi jasnymi włosami, pięknymi w tym świetle, w stroju starannie wybranym spośród niewielu ubrań, które wzięłyśmy ze sobą, przez chwilę skupia uwagę na gołębiach.

To Constance w Paryżu – powiedziałam sobie. Wspomnienie, które należy zachować. Ta Constance jedzie ze swoją „częścią” do Australii.

Uśmiechnęłam się. Moja urocza Constance, dziewczyna z rowerem, znawczyni świętych, wielbicielka posągów Matki Boskiej.

Odwróciła się i przyłapała mnie na tym spojrzeniu. Wyjeżdżała. Miała udać się z Raefem na dworzec kolejowy, a potem na lotnisko, by wsiąść do samolotu lecącego do Australii. Czekały ją całe dni w podróży, godziny

w autobusach i samochodach, w drodze do Ayers Rock, czerwonych piasków i gliniastych gleb Australii Zachodniej. To była przygoda – a co tam, do cholery! – i przez chwilę Constance stała na progu wszystkiego. Uśmiechnęła się do mnie, a później zdjęła szal i podrzuciła w górę. Stado gołębi, biorąc go za jastrzębia, jakby eksplodowało wokół jej stóp, tak gwałtownie zerwało się do lotu. Trzepotały skrzydłami i machały łapkami, żeby wznieść się wyżej, a uśmiech Constance się rozszerzył. Specjalnie spłoszyła ptaki. Stała w porannym świetle, opuszczając mnie, ale ostatni raz zapisując się w mojej pamięci.

Ostatniego dnia pojechaliśmy z Jackiem na Longchamps, tor wyścigowy w Lasku Bulońskim. Była piękna pogoda. Temperatura spadła i nocą ukradkiem nadeszła jesień. Włożyłam sweter, tak samo jak Jack. Wsiadliśmy do polecanego przez hotel busa. Był prawie pusty. Kierowca, otyły mężczyzna z sumiastymi wąsami, słuchał przez radio relacji z meczu piłkarskiego. Jack sądził, że musi to być powtórka, bo na bezpośrednią relację pora była zbyt wczesna. Bus opuścił miasto i wjechał między zielone drzewa Lasku Bulońskiego. Jack kilka razy zauważył, że okolica przypomina mu Vermont.

– Tęsknisz za Vermontem? – zapytałam.

Kiwnął głową. Uścisnął moją dłoń. Inni pasażerowie studiowali program wyścigów. Jack nie odrywał wzroku od ściany lasu przy drodze.

– Kocham Vermont – odezwał się po chwili. – Może to nawet nie miłość. Noszę go w sobie... pory roku, rozległe łąki i te przekłete lodowate zimy. Po vermonckich zimach należy spodziewać się najgorszego. Wszystko może lada chwila zamarznąć i chociaż staje się twarde, to także kruche. Bardzo kruche. Jeśli przyjrzy się uważnie, wszędzie widzisz tę kruchość. Pamiętam brzeg strumienia z uwięzioną pod lodem żabą. Nie wiem, czy była żywa, czy martwa, ale wyraźnie ją widziałem. Spoczywała w grobie, ale wyglądała pięknie. Nawet nie umiem określić, jakie budziło to we mnie uczucia. Wciąż

się zastanawiam, czy została ogłuszona, nie zdążyła wydostać się z wody przez nadejściem mrozu czy miała kolejny dobry dzień, zanim zmieniła się pogoda. Czy to nie metafora życia? Wszyscy sądzą, że czeka nas kolejny dobry dzień, a może wcale tak nie być. W każdym razie lód wydawał się niebieski z wyjątkiem miejsca, gdzie tkwiła żaba; tam był niebieskozielony. Takie rzeczy można zobaczyć w Vermoncie, gdy patrzy się uważnie. To wszystko, oczywiście, istnieje także gdzie indziej, ale ja jestem nastrojony na Vermont. Kiedy więc mówię, że ten las przypomina mi dom, to tak jest naprawdę.

– Nie chciałbyś kupić takiej farmy, jaką miał twój dziadek? Czy to w ogóle jeszcze możliwe?

Wysunął dolną wargę.

– Trudno powiedzieć. Chyba tak. Zwykle domy są w strasznym stanie, z walącymi się kominami. I całą resztą. Ziemia leży odłogiem. Wszystko chce taką farmę unicestwić. Tak wygląda sytuacja.

Bus skręcił w coś, co wyglądało na podjazd do toru wyścigowego. Na łące parkowało mnóstwo samochodów. Byłam tylko raz na torze wyścigowym, w Monmouth Park w New Jersey, ale to, co przed sobą widziałam, wyglądało inaczej. Longchamps przypominało wesołe miasteczko, które rozbiło się obozem tylko na jedną noc i następnego ranka zamierzało ruszyć w dalszą drogę. Jack uśmiechnął się na ten widok. Jego dziadek przyjechał tu przed laty na jeden dzień.

Bus zawiózł nas pod główne wejście i po kilku minutach dostaliśmy się do środka. Kupiliśmy program wyścigów i zajęliśmy miejsca w głębi pod główną trybuną. Nie miałam porównania, ale chyba nie było zbyt wielu widzów. Dzięki temu uniknęliśmy tłoku – łatwo było kupić coś do picia, dostać się do damskiej toalety – a wszystkie procedury wydawały się bardziej uroczyste. Nie czuło się tej typowej dla wyścigów melancholii, która czasami towarzyszy utracie pieniędzy. Można było pomyśleć, że to jakieś święto, wyprawa za

miasto w cudowny jesienny dzień.

W pierwszej gonitwie postawiliśmy na piątego konia. I właśnie on wygrał.

– Co ty na to?! – zawołał Jack, uderzając programem o udo, gdy nasz faworyt bez wysiłku dotarł pierwszy do mety. – Jesteśmy parą szczęściarzy! Jak ci się to podoba?

Och, Jack. Taki młody i przystojny. Taki szczęśliwy. Taki mój.

Ale potem nie wytypowaliśmy już żadnego zwycięzcy. Zalaliśmy się, pijąc koktajl, a później wracaliśmy busem przez Lasek Buloński – do miasta, do wiecznej Sekwany, syku ekspresów do kawy i szurania mioteł na bruku. Ujęłam Jacka pod rękę i oparłam głowę na jego ramieniu. Spowiała nas cisza, on przebywał w swoim świecie, ja – w swoim, i Paryż znowu przyjął nas do siebie.

– Pójdziemy zobaczyć drzewko? – zapytał, kiedy wysiedliśmy w Centre de Ville.

– Pewnie.

– Może będziemy musieli przejść przez ogrodzenie.

– Co mi tam.

– Weźmiemy trochę wody.

– Albo wrócimy do hotelu, będziemy się kochać i pójdziemy spać, a rano napijemy się kawy w parku i pożegnamy się z naszym jesionem, z Panem, z całą resztą. Co ty na to?

Pocałował mnie. Uniósł z ziemi i całował.

Kochaliśmy się, a potem, gdy Paryż spowiała noc, stanęliśmy nadzy w drzwiach balkonowych i patrzyliśmy, jak po dachach przesuwa się światło. Trzymaliśmy się za ręce i wyglądaliśmy na zewnątrz, niezawstyżeni, ciało przy ciele, a zimne powietrze owiewało nasze części intymne, twarze i wszystko inne. Lato się kończyło, kończyło, kończyło.

Naszej ostatniej nocy w Paryżu wybraliśmy się do klubu Marvelous, żeby potańczyć. Był to staroświecki nocny klub polecony nam przez Raefa, jakby żywcem wyjęty z filmu Busby'ego Berkeleyya z lat trzydziestych: dziewczyny sprzedające czekoladki zamiast papierosów, kilku mężczyzn we frakach. Można by pomyśleć, że jest się na balu kostiumowym, każdy przebrał się za postać ze swojej ulubionej epoki filmowej – a było się we współczesnym Paryżu. Dziesięcioosobowa orkiestra grała muzykę taneczną w zmysłowej aranżacji, z szepczącymi werblami i wyciszonymi rogami w rolach głównych. Byliśmy rażąco źle ubrani, ale to nie miało znaczenia. Jack wyglądał tak świetnie, że czasami, kiedy odwracałam się do niego, dziwiłam się, widząc go przy moim boku. Chłopak z Vermontu, uroczy, delikatny, o szerokich ramionach, otwarty i życzliwy. W tańcu obejmował mnie mocno, prawą rękę położywszy mi płasko na plecach, a lewą trzymając moją dłoń. Pachniał old spice'em.

Miałam na sobie wygniecioną sukienkę podróżną, którą próbowałam odprasować parą pod prysznicem. To jednak nic nie dało. Mimo to ładnie się razem prezentowaliśmy. Naprawdę. Widziałam to w spojrzeniach, w uśmiechach, które nam rzucano, gdy tam i z powrotem kursowaliśmy przez parkiet do naszego małego stolika po lewej stronie podestu dla orkiestry.

– Pijemy tylko martini – zapowiedział Jack, gdy wracaliśmy po zatańczeniu utworu, który skądś znałam. Podsunął mi krzesło. – Po dwa, nie więcej. Bo potem będziemy gorzko żałować. I nie mniej, bo też będziemy żałować.

– Od kiedy tak znasz się na martini?

– Odbyłem kurs rodzinny. Znamy się na martini i serze pepper jack.

– Martini z wódką?

– Nie, nie, obawiam się, że nie. Do martini trzeba dżinu. A niebezpiecznie jest pić martini z dżinem, bo dżin zamienia ludzi w dzikusów. Każdy to wie.

Natomiast martini z wódką nie stanowi żadnego niebezpieczeństwa. Cała rzecz w dzinie.

– Oliwki czy cebulki?

– Będę udawał, że nie słyszałem tego pytania – odparł, kiedy pojawił się kelner.

Zamówił dwa martini z oliwkami. Potem wyciągnął rękę nad stołem i ujął moją dłoń.

– Ostatni wieczór w Paryżu – powiedział.

– Tym razem.

– Tak, tym razem. Zawsze będziemy mieć Paryż. Czy któreś z nas nie powinno tego powiedzieć?

– Właśnie to zrobiłeś. Należy ci się jakaś kara.

– Jutro wylatujemy do Nowego Jorku.

– Tak.

– Jak myślisz, czy twoi rodzice będą próbowali mnie otruć?

– Możliwe.

– Pozwolą nam spać w jednym łóżku?

Spojrzałam na niego.

– Trudno powiedzieć – odparłam. – Ale to powinno być ciekawe.

– Wciąż śpisz z pluszowymi zabawkami?

– Dwiema. Z Hopsy i Potato-Joe.

– Chętnie je poznam.

– Nie mam co do tego wątpliwości.

Orkiestra znowu zaczęła grać, tym razem coś szybszego. Siedząc bokiem, od czasu do czasu widziałam, jak grający na rogu plują, gdy trafiają na trudniejszą nutę. Nigdy wcześniej tego nie zauważałam.

Kelner przyniósł nam nasze martini.

– Pięknie wyglądają, prawda? – zapytałam, kiedy postawił je przed nami. –

Oszłamiające i śmiertelnie niebezpieczne.

– Sącz. Nie pij zbyt szybko. Powinniśmy wznieść toast, ale jaki?

– Nie cierpię toastów.

– Naprawdę? – zapytał. – Myślałem, że je uwielbiasz.

– Dlaczego?

– Jesteś sentymentalna.

– Co ty powiesz.

– To co ma być zamiast toastu?

– Przepowiedzmy sobie nawzajem przyszłość. Ty pierwszy.

Popatrzył na mnie. Uniósł swojego drinka i odczekał, aż ja zrobiłam to samo.

– Poznasz wysokiego ciemnowłosego mężczyznę – zaczął.

– Nie, chodzi o prawdziwą przepowiednię. Takie są zasady.

Uśmiechnął się.

– Odniesiesz w Nowym Jorku wielki, druzgocący sukces. W następnych latach będziesz często jeździć do Paryża. I co najmniej dwa razy w życiu będziesz miała własne kozy.

Pociągnęliśmy po łyku martini. Smakowało jak szkło, stopione szkło, rozlewające się na języku.

– Teraz twoja kolej – powiedział.

– Ty też odniesiesz w Nowym Jorku wielki, druzgocący sukces i w każdy wolny weekend będziesz jeździł do Vermontu. A szczenię, o którym marzysz, zamieni się w podnózek służący ci w podeszłym wieku.

Znowu wypiliśmy po łyku.

– Pochyl się – poprosił. – Zawsze, pijąc martini, chciałem zajrzeć kobiecie za dekolt.

– Nigdy nie miałeś takiej okazji?

– Nigdy.

– Dlaczego chłopcy zagląдают dziewczynom za dekolt?

– A dlaczego nie mieliby zaglądać? Bo to zabawne.

– Chcesz zobaczyć piersi czy chodzi o coś innego?

Po kilku łykach poczułam działanie alkoholu.

– Chodzi o coś innego.

– O co w takim razie?

– Chyba żeby zobaczyć bieliznę. Zerknąć, kiedy ona tego nie widzi, ale w gruncie rzeczy widzi, chociaż nigdy by się do tego nie przyznała. W jakimś sensie nawet tego chce.

– Całkowicie logiczne. Czy „ona” w tym wywodzie oznacza każdą kobietę?

– W sukni z dekoltem. Tak. Musi mieć ją na sobie, żeby kusić.

– Wiele się tego wieczoru dowiaduję – zauważyłam.

– Pochyl się jeszcze bardziej.

– Mam odwrócić wzrok? Tak to działa?

– Pozwalasz mi patrzeć, nie pozwalając. Na tym polega sztuczka.

– W pewnym sensie o tym wiedziałam.

Wyprostowałam się i uniosłam kieliszek. Jack zrobił to samo.

– Dwa razy w życiu będziesz miał zapalenie spojówek – podjęłam. –
A twój chomik ucieknie i dokona swoich dni pod lodówką

– To straszne – orzekł i upił martini. – A ty w późniejszym okresie życia
polubisz piwo korzenne, zaczniesz nosić kilty i pasujące do nich berety.

– Podoba mi się ta wizja.

– Wypij – polecił, więc wypiałam.

– Zatańczymy jeszcze? – zapytał.

– Tak.

– Znasz ten utwór?

– Nie, a ty?

– Też nie. To dobrze. Nie chcę, żeby z naszą ostatnią nocą w Paryżu

kojarzyła nam się do końca życia jakaś głupia piosenka.

– Słusznie.

Podszedł i odsunął mi krzesło.

– Zajrzałem ci za dekolt – wyznał. – To było bardzo satysfakcjonujące.

– Cieszę się.

A potem poszliśmy na parkiet.

Zrobiło się późno, bardzo późno, a my wciąż nie schodziliśmy z parkietu. Tańczyłam z czołem wspartym na ramieniu Jacka. Czułam się z nim stopiona. Nie chcieliśmy kłaść się spać, choć byliśmy zmęczeni. To był sposób na loty transatlantyczne. Nie spać przez całą noc i paść dopiero w samolocie.

– Jesteśmy w Paryżu – powiedział Jack. – Niektóre pary marzą o tym przez całe życie.

– Jesteśmy w Paryżu.

– Pijemy tu martini.

– Dokładnie dwie kolejki. Miałeś co do tego rację.

– To udowodnione naukowo.

– Czy nigdy nie należy pić martini z wódką?

Pokręcił głową.

– Od biedy można spróbować w Sheboygan.

– Gdzie leży Sheboygan? Podoba mi się ta nazwa.

– W stanie Nowy Jork? Nie, chyba w Wisconsin.

– Sheboygan. She-boy-gan. Założę się, że to indiańskie słowo.

Muzyka umilkła. Ale my wciąż staliśmy objęci.

– Nie możemy być niedorzeczną parą, która tańczy, nawet gdy nie słychać już muzyki – zauważył Jack. – Musiałbym przemyśleć cały nasz związek.

– Dobra, chodźmy.

Pocałował mnie w szyję. A potem w czubek głowy. Wreszcie znieruchomiał i powoli się rozłączyliśmy.

– I po wszystkim – rzucił.

Zrobiło mi się chłodno bez jego ramienia. Więc znowu się w niego wtuliłam.

– Jeśli nie położymy się spać, zaśniemy w samolocie, prawda? – zapytałam.

– Taki jest plan.

– Chcę jeszcze się przejść. Pożegnać się z miastem.

– Jest już późno – odparł. – To może być trochę niebezpieczne.

– Więc znajdziemy jakiś bar. Miejsce, gdzie będzie ciepło.

– Dowiem się co i jak – obiecał.

Podszedł do jednego z muzyków i zapytał, dokąd moglibyśmy pójść. Ten nie bardzo wiedział, ale do rozmowy włączył się jego kolega z orkiestry, gitarzysta; coś powiedział i Jack kiwnął głową. Po powrocie objął mnie ramieniem i zaprowadził do stolika.

– To niedaleko stąd – rzekł.

– Pamiętasz, jak przespaliśmy się w stajni w Amsterdamie?

– Tak, pamiętam.

– Myślałam, że chcesz mnie uwieść. Zaliczyć na sianie.

– Przejrzałem cię i wiedziałem, jak z tobą postępować.

– Naprawdę?

Wzięłam torebkę i sprawdziłam, czy nie zostawiłam niczego przy stoliku. Jack przysunął krzesła. Podszedł, znowu otoczył mnie ramieniem i pociągnął w kierunku wyjścia.

– To była pierwsza noc, którą spędziliśmy razem. Na sianie w Amsterdamie. Dobra historia do opowiadania. Będziemy wielokrotnie zabawiać nią towarzystwo.

– To stare powiedzenie – zauważył Jack. – Zabawiać towarzystwo jakąś historią.

– Jak sądzisz, co naprawdę oznacza szczenię, o którym wspomniałam w toaście?

– Moim zdaniem symbolizuje niewinność.

– Owszem – zgodziłam się z nim. – I nadzieję na coś czystego.

– Szczenięta są symbolami perwersji seksualnej – oświadczył Jack. – Tak twierdził Freud.

– Nieprawda.

– Jasne, że tak. Można to powiedzieć w odniesieniu do wszystkiego i nikt nie będzie mógł się sprzeciwić. „Tak twierdził Freud”. Spróbuj kiedyś.

– Faceci grający na klawirze mają obsesję na punkcie członka. Tak twierdził Freud.

– Widzisz? Działa.

– Lepiej, niż nakazywałby zdrowy rozum.

Pchnęliśmy drzwi. Słońce jeszcze nie wzeszło, ale było tuż-tuż. To się nie tyle widziało, ile czuło. Miasto przypominało latający dywan, magiczny dywan, któremu jednak brakowało woli, żeby wznieść się w powietrze. Kilka gołębi przesunęło się na parapetach budynków. Jack przyciągnął mnie do siebie.

– Zimno ci? – zapytał.

– Trochę.

– Dlaczego kobiety zawsze marzną?

– Bo wkładają suknie z dekoltem, żeby mężczyźni mogli za niego zaglądać.

– Fakt. I jesteśmy im za to wdzięczni.

– Zawsze myślałam, że chcecie zobaczyć piersi. Już mnie to tak nie nurtuje.

– Tak twierdził Freud.

– Jasne. Wiesz, dokąd idziemy?

– To już niedaleko.

– Mój ojciec początkowo będzie trochę sztywny. Muszę cię uprzedzić. Ale

potem się wyluzuje. Obiecuję.

– W pewnym momencie będziesz musiała poznać moich rodziców, wiesz o tym?

– Wiem. Chętnie ich poznam.

– Tylko tak mówisz. Poczekaj, to zobaczysz.

– Są tacy straszni?

– Nie straszni. Tylko skupieni na sobie. Robię z nich potwory, bo to służy kreowaniu mojego własnego wizerunku.

– Tak twierdził Freud.

– Tu to nie pasuje. Nie umiesz posługiwać się narzędziem, które ci dałem.

Przystanął i pocałował mnie. Całowaliśmy się przez długi czas. Nie było to całkiem niewinne, ale i nie namiętne. Raczej przyjacielskie, jakbyśmy przeszli na inny poziom, bardziej komfortowy, na którym czuliśmy się sobie przeznaczeni.

– Niedługo świt – powiedział Jack i odsunęliśmy się od siebie.

– Podobało mi się, jak tańczyliśmy. Jak piliśmy martini. Wszystko mi się podobało.

– Mogliśmy się w ten sposób w sobie zakochać, wiesz? – zapytał Jack.

– Tak twierdził Freud.

Jack się uśmiechnął. I nastał ranek.

38

– Nie wierzysz w Wielką Stopę? – zagadnął mnie Jack w autobusie na lotnisko. Patrzył na mnie badawczo, jakbym powiedziała coś niedorzecznego.

– Jak możesz podważać badania? Wielka Stopa istnieje, to udowodnione naukowo. Nie czytałaś o ekspedycjach, które dowiodły ponad wszelką wątpliwość, że Wielka Stopa zamieszkuje lasy deszczowe w stanie

Waszyngton?

– Tak twierdził Freud.

– No widzisz? Nadużywasz tego powiedzenia. W dodatku stosujesz je w niewłaściwym kontekście.

– Mówiłeś przecież, że zawsze się sprawdza.

– Nie, Heather. Nie ma „zawsze”. We wszechświecie nie występuje coś takiego jak „zawsze”. „Tak twierdził Freud” to tekst, który czasami pasuje do sytuacji, a czasami nie. Sztuka polega na tym, żeby to wyczuć.

– Tak twierdził Freud.

– Widzisz? Znowu pudło. Jesteś jak papuga, która nauczyła się mówić: „Polly chce krakersa”. Powtarzasz bez zrozumienia.

– Dlaczego papuga chciałaby krakersa?

– Naprawdę nie chwytasz, no nie? Przykro mi, ale nie łapiesz dowcipów. Nie wiedziałem, że jest z tym aż tak źle. Przepraszam, jeśli nie wykazałem się wrażliwością.

Spojrzał na mnie i przytknął palec do ust.

– Tylko tego nie powtarzaj – ostrzegł mnie.

– Tak twierdził Freud.

Westchnął.

– Może da się to leczyć. Wysłalibyśmy cię na jakąś terapię. Jesteś upośledzona pod względem poczucia humoru.

Oparłam głowę na jego ramieniu. Byłam śpiąca. Czułam się spokojna i szczęśliwa. Nie lubiłam latać samolotami, ale podobało mi się, że przenosiły mnie z miejsca na miejsce. Przyszła pora wracać do domu. Chciałam już zobaczyć rodziców i Pana Barwinka, chciałam pobyc w jednym miejscu dłużej niż przez jedną czy dwie noce. Podróże męczą i w domu można dojść do siebie.

– Muszę cię o coś zapytać – zaczął Jack poważniejszym tonem. – Jesteś

w nastroju na poważną rozmowę? To może wpłynąć na nasz związek.

– Co takiego?

– Tak czy nie?

– Chyba tak. To ma być żart?

– Żaden żart, Heather. Muszę się dowiedzieć, jaki jest twój stosunek do gitary powietrznej. Czy udawanie, że gra się na gitarze, jest dla ciebie do przyjęcia?

– Czemu pytasz? Często udajesz, że grasz na gitarze?

– *Au contraire*, panno Heather. Uważam, że każdy, kto udaje, że gra na gitarze, powinien być zmuszony patrzeć w nieskończoność na siebie, gdy to robi.

– Tak tego nie znosisz?

– Och, bardziej niż nie znoszę, Heather. Określenie „nie znoszę” nie oddaje moich odczuć nawet w połowie. Bo co to ma być „powietrzna gitara”? Co to w ogóle znaczy? Facet wyciąga rękę, jakby... albo kobieta, jednak częściej zdarza się to mężczyznom... więc ktoś wyciąga rękę, jakby grał na gitarze. Oczywiście przypadkiem potrafi zagrać najlepsze solówki gitarowe na świecie, przeważnie w ogóle bez przygotowania. A potem rozgląda się dookoła, jakby naprawdę czegoś dokonał, i zgrywa wielkiego rockmana, który właśnie zagrał ostatni akord. To obraza dla wszystkiej świętości na tej ziemi.

– Więc nie mogę udawać, że gram na gitarze?

– Możesz, Heather. Proszę bardzo. Nie będę ci przeszkadzać. Po prostu wyjdę z pokoju. A potem już nigdy nie spojrzę na ciebie tak samo. Nie mógłbym. Tak biały człowiek ośmiesza twórczość muzyczną.

– Więc zgoda na Wielką Stopę, ale na gitarę powietrzną już nie. Rozumiem. Czy powinnam jeszcze coś wiedzieć? Istnieje jakaś instrukcja obsługi, która by się do ciebie odnosiła?

– Owszem, ale to tak opasły tom, Heather, że mieści się tylko w schowku

zbudowanym przez arkana.

Zamknęłam oczy. Autobus wjechał na szerszą drogę i przyspieszył, a kiedy znowu wyjrzałam przez okno, zobaczyłam podchodzące do lądowania samoloty. Jack trzymał mnie za rękę. Pomyślałam o Panu Barwinku. Pomyślałam o rodzicach, co powiedzą, a czego nie, jak Jack się u nas odnajdzie. Wstrzymałam oddech, zanurzyłam się pod wodę i wszystkie te smugi płynnego światła w górze stały się bardziej miękkie, łagodne, delikatne. Potem autobus zajeżdżał przed terminal i tempo się zmieniło, zaczęliśmy wysiadać, Jack wstał, żeby wziąć nasze bagaże, a później szybko zagrał solówkę na wymyślonej gitarze, pokazując język i uśmiechając się w swoim stylu jak nigdy dotąd.

Lotniska są okropne. Ale lotnisko Charles'a de Gaulla było trochę mniej okropne, gdy miałam przy sobie Jacka. Z dwiema parami rąk i oczu doglądających bagaży szło łatwiej. Przyjechaliśmy na tyle wcześnie, żeby przejść przez kontrolę osobistą jak kabriolet przez myjnię automatyczną. Pokazaliśmy paszporty, przytknęliśmy telefony do czytnika, żeby wczytać karty pokładowe, włożyliśmy z powrotem buty, przeciągnęliśmy paski przez szlufki przy dzinsach, kupiliśmy gumę do żucia, czasopisma, wypiliśmy szybkie piwo w quasi-francuskim barze o nazwie Alas, a potem usiedliśmy na bujanych fotelach przy oknie z widokiem na płytę lotniska. Przyjemnie było się na nich bujać. Czułam się oszołomiona i wyczerpana. Ale zadowolona. Zaliczyłam Europę. Zobaczyłam ją. Zeszłam z utartych ścieżek, dostrzegłam inne aspekty miejsca odwiedzanego przez tylu ludzi i miałam z tego satysfakcję. Trzymałam Jacka za rękę. W pewnym momencie wstał i w uroczy sposób przysunął swój fotel do mojego.

– Nie przypuszczałem, że poznam kogoś takiego jak ty – powiedział swoim najczulszym tonem, gdy znowu usiadł. – Naprawdę nie przypuszczałem.

– Ja tak samo. To dopiero niespodzianka!

– Mam ci powiedzieć, dlaczego cię kocham? Czy to odpowiednia pora?

– Jasne, że tak.

Pocałowałam wierzch jego dłoni. Wciąż miałam ochotę go całować.

– Przede wszystkim chcę, abyś wiedziała, że kocham cię mimo twojego upośledzenia. Braku poczucia humoru. To początkowo stanowiło pewien problem, ale nauczyłem się przymykać na niego oko.

– Dzięki.

– Kocham cię też dlatego, że czytasz Hemingwaya. Właśnie z tego powodu. Skinęłam głową.

– I dlatego, że jesteś moją drugą połówką.

– O rany. Skończ z cytatami z filmów.

Pochylił się i pocałował mnie w szyję. Podsunęłam mu usta. Całowaliśmy się przez chwilę. Za każdym razem, gdy to robiliśmy, świat się oddalał.

– Ale tak naprawdę kocham cię dlatego, że mamy wspólne oko – podjął, kiedy się rozłączyliśmy. – Słyszałaś kiedyś o czymś takim?

– Chyba nie.

– Nie słyszałaś o gorgonach? Trzech przerażających siostrach o wężowych włosach? Wszystkie były ślepe, ale miały jedno oko, które sobie przekazywały, żeby widzieć świat. My też mamy takie wspólne oko, Heather. Patrzymy przez tę samą soczewkę.

Już miałam zażartować, że nazwał mnie gorgoną, ale zdałam sobie sprawę, że wcale się nie wygłupia. Chociaż nie mogłam w to do końca uwierzyć, załamał mu się głos. Usiadłam prosto i popatrzyłam na niego.

– Jack.

– Przepraszam.

– Nie ma za co. Wszystko w porządku?

– Kocham cię, Heather. Chcę, żebyś o tym wiedziała.

– Ja też cię kocham, Jack. Dobrze się czujesz? Co się dzieje?

– Nic takiego. Jestem tylko trochę zmęczony.

– Nie powinieneś być tańczyć do rana.

Uśmiechnął się i teraz on pocałował mnie w rękę. Przez chwilę nie odrywał od niej ust.

– Jak myślisz, co w tej chwili widzi nasz jesion?

– Parę zakochanych. U ich stóp siedzi piesek. Jest już bardzo stary, codziennie przychodzi z nimi do parku. Ledwie widzi, więc wziął wiewiórkę za suczkę i teraz śni o tym, żeby biec z nią przez park. Tylko że jest za stary i ma chore biodra.

– Czy ta wiewiórka ma imię?

– Nie, nie sądzę. A pies wabi się Robin Hood.

– To nie jest imię dla pasa.

– Owszem, jest. To beagle. Ma brązowe plamki tuż nad brwiami.

– To miły widok. Cieszę się, że w ładne ranki nasz jesion może oglądać takie sceny.

– Nasz jesion zawsze będzie patrzył.

Chwilę później powiedział, że musi iść do łazienki. Wstał i wziął swój plecak. Poprosiłam go, żeby kupił jakiś owoc, jeśli będzie miał po drodze okazję. Kiwnął głową.

– „Prawda, że miło jest to pomyśleć?”. – Zabrzmiało to raczej jak stwierdzenie niż pytanie.

Już kiedyś to powiedział. Może nawet dwa razy.

– Cytujesz mi Hemingwaya?

– To ładne zdanie. Zawsze chciałem go użyć.

– Nie bardzo wiem, co to ma wspólnego z owocem. Wspomniałam o nim, a ty odwołujesz się do Hemingwaya.

– Bo chyba nie ma nic wspólnego – odparł. – Wydawało mi się, że fajnie będzie to powiedzieć. Pięknie wyglądasz, Heather, gdy tak tu siedzisz.

Gdybym miał siedem żywotów, chciałbym spędzić je z tobą. Wszystkie, co do ostatniego.

Uśmiechnął się i podsunął plecak wyżej na ramię.

Co się stało? Wydawał się zbyt poruszony jak na lotniskową codzienność. Zastanowiło mnie przelotnie, po co, idąc do toalety, wziął plecak, ale dałam sobie spokój. Może chciał się przebrać. Może musiał coś z niego wyjąć. Nasze spojrzenia się spotkały. Patrzyłam za nim, jak odchodzi. Po chwili wchłonął go tłum.

Wyjęłam telefon i sprawdziłam, czy nie przysły jakieś wiadomości. Wysłałam esemesa do Amy. Napisałam jej, że wracam. Napisałam też do Constance, pytając, czy widziała już kangura. Potem zawiadomiłam mamę – i jednocześnie tatę – że wszystko dobrze, jestem na lotnisku, zmęczona, ale gotowa na powrót do domu, i że nie mogę się doczekać, kiedy ich zobaczę. Przejrzałam dziesiątki e-maili, głównie z pracy, a potem obejrzałam zdjęcie kota w pirackim kapeluszu, które Sally, jedna z koleżanek, wstawiła na Facebooka. Było fajne, rozśmieszyło mnie. Zalajkowałam je i napisałam pod nim: „Odjazd, koleś!”. Nie dodałam tylko emotikonu. Kot wyglądał uroczo.

Na jakiś czas zagłębiłam się w świat wirtualny. Byłam tylko ja i on, świat, który tak naprawdę nie istniał, a kiedy uniosłam głowę, zdziwiłam się, że tak szybko upłynął czas. Światło na zewnątrz się zmieniło, bo przeleciał samolot. Latarki, za pomocą których personel naziemny naprowadzał maszyny, kierował je naprzód, na lewo albo na prawo, nagle wydały się jaśniejsze w kontraście z przytłumionym światłem słonecznym. Zaczęła mnie boleć szyja, więc niespiesznie schowałam telefon do kieszeni na piersi.

Spojrzałam w głąb korytarza, którym odszedł Jack. Znowu wyjęłam telefon, żeby zobaczyć, która godzina. Nie było go... nie wiedziałam jak długo. Po co sprawdzać czas – zadałam sobie pytanie – skoro nie mam pojęcia, kiedy dokładnie Jack odszedł? W takim przypadku godzina nie miała znaczenia.

Zanim zdążyłam cokolwiek zrobić czy pomyśleć, jakiś mężczyzna w ładnym garniturze, z telefonem przy uchu, wskazał wolny fotel obok mnie. Uniosłam rękę, żeby faceta powstrzymać, ale dotarło do mnie, że to pochopna reakcja. Opuściłam dłoń i skinęłam głową. Mężczyzna uśmiechnął się z wdzięcznością i odciągnął fotel, który wcześniej przysunął do mnie Jack. Patrząc na to, poczułam niepokój.

– Mógłby pan? – powiedziałam do mężczyzny, wskazując swój plecak.

Chciałam, żeby go przypilnował. Facet zasłonił dłonią telefon i pokręcił głową. Odparł po francusku, że będzie tu tylko chwilę.

– Proszę mieć na niego oko, jak długo pan może – odpowiedziałam. – Zaraz wrócę.

Mężczyzna się skrzywił. Jakby mówił: „Ci Amerykanie!”. Albo: „Może tak, a może nie”. Nie miałam czasu go przekonywać. Ruszyłam w kierunku, w którym oddalił się Jack. Ludzie szli w moją stronę i przez chwilę miałam przed oczami obraz z *Buszującego w zbożu*. Czytaliśmy tę powieść w szkole średniej i nigdy za bardzo jej nie lubiłam, ale przypomniał mi się jej bohater, Holden; chciał wędrować w wysokim zbożu z rozłożonymi rękami, żeby czuwać nad bezpieczeństwem dzieci i chronić je przed upadkiem z urwiska. Tak właśnie się czułam, idąc korytarzem naprzeciwko tłumowi pasażerów. Jack musiał gdzieś tam być, wśród nich, więc wypatrując go, prawie wyciągnęłam przed siebie rękę.

W końcu wyjęłam telefon i wysłałam mu esemesa.

„Gdzie jesteś?” – napisałam.

Trzymałam telefon przed sobą, spodziewając się odpowiedzi. Ale daremnie. Uświadomiłam sobie, że tkwię pośrodku rzeki ludzi – kamień w jej łóżysku – którzy mijają mnie z rozdrażnieniem. Ich twarze stanowiły jasne bąbelki małego gniewu. Gwałciłam zasady. Byłam kretynką. Powinnam dostać za swoje.

Schowałam telefon z powrotem do kieszeni i ruszyłam dalej, aż wreszcie znalazłam męską toaletę. Patrzyłam na mężczyzn, którzy wchodzili i wychodzili, i zastanawiałam się, czy nie poprosić któregoś z nich, żeby poszukał w środku Jacka. Mógł się rozchorować, pomyślałam. Mogło coś mu się stać. Ale później doszłam do wniosku: „Do diabła z tym”; z niewinną miną, na nikogo nie patrząc, zajrzałam do środka i zawołałam niczym żona jędza:

– Jack?! Jest tam Jack Quiller-Couch?

Podszedł sprzątac, wysoki, szczupły Murzyn w niebieskim uniformie; wyciągnął rękę, żebym mnie zatrzymał, zanim wejdę głębiej do męskiej toalety.

– *Mademoiselle, non* – powiedział. – *No, no, no.*

– Jack! – wykrzyknęłam głośniej. – Jack, gdzie jesteś?!

Sprzątac się zbliżył, zmuszając mnie do wyjścia. Mój głos poniósł się echem w wyłożonym kafelkami pomieszczeniu.

– Szukam osoby, z którą podróżuję – wyjaśniłam nieporadną francuszczyzną. – Swojego chłopaka, chyba tu wszedł.

– *Non, mademoiselle. Les garçons... suelement les garçons.*

– Rozumiem, naprawdę, ale nigdzie nie mogę go znaleźć.

Przyszedł esemes. Wyjęłam telefon z takim pośpiechem, że aż go upuściłam. Przesunął się po podłodze, więc rzuciłam się za nim, przestraszona, że się zepsuł, ale kiedy go obejrzałam, wyglądał normalnie. Esemes był od matki, która pisała, że już nie może się doczekać mojego powrotu. Zupełnie mnie to nie obchodziło.

Ponownie napisałam do Jacka.

„Jack?!”.

Niemal w tej samej chwili rozległo się z głośników:

„Lot do Nowego Jorku. JFK. Boarding rozpoczęty”.

– *Mademoiselle* – odezwał się znowu sprzątac i dopiero wtedy zdałam

sobie sprawę, że wciąż stoję w przedsionku toalety. Wycofałam się. Pasażerowie na korytarzu płynęli rzeką jak poprzednio, spiesząc się każdy na swój lot i ciągnąc za sobą walizy na kółkach jak posłuszne psy.

Zaczęłam myśleć gorączkowo i przypomniałam sobie: mój plecak! Co za idiotka zostawia na lotnisku plecak bez nadzoru? Ruszyłam w stronę naszego gate'u i po drodze uświadomiłam sobie, że znajduje tu zastosowanie brzytwy Ockhama. Znałam tę zasadę z seminarium filozoficznego na pierwszym roku studiów. Wiedziałam, że po łacinie nazywa się *lex parsimoniae*. Głosi ona, mówiąc najprościej, że stając wobec sprzecznych hipotez, należy wybrać taką, która opiera się na najmniejszej liczbie założeń. Krótko mówiąc, nie należy kombinować. Tylko przyjąć najprostszą linię rozumowania. Poniosło mnie. A tymczasem powinnam była trzymać się brzytwy Ockhama.

Inny głos – poza moją głową – zapowiedział przez głośniki lot do Algierii. To mnie zatrzymało. Poczułam, że ulegam panice. Odwróciłam się i popędziłam w stronę, w którą odszedł Jack. Trudno było biec pod prąd strumienia ludzi, ale robiłam, co mogłam. Przy każdym oddechu miałam wrażenie, jakby w moje płuca zagłębiał się miecz. Myśl, że Jack mnie opuścił, odszedł, była tak przerażająca, że broniłam jej dostępu do siebie; nie mogłam pozwolić, żeby wykluła się z szarego jajka jak upiorne pisklą.

Potem jednak odezwał się jeszcze inny, cichy głos, trzeźwiejszy, bardziej opanowany. „On nie odszedł – powiedział. – Nikt tak nie robi. Nie mógłby tak po prostu odejść”. Nakazywał mi, żebym się uspokoiła, zwolniła trochę, więc zwolniłam i szłam przez następne pięć minut długim korytarzem, starając zachowywać się jak normalna turystka, wyglądać zwyczajnie, uwierzyć, że kiedy wrócę, odnajdę plecak, który tak lekkomyślnie zostawiłam pośrodku hali lotniskowej, Jack tam będzie, z wymagowaną gitarą w dłoni. Zmusiłam się nawet, żeby przystanąć przy kiosku z gazetami i słodyczami, udając, że je oglądam. Żołądek podchodził mi do gardła, jakbym połknęła kota. Wzięłam

egzemplarz „Matcha” i przekartkowałam. Chciałam dać Jackowi czas na powrót. Żeby się nie spieszył.

Wracałam powoli. Patrzyłam na twarze nadchodzących albo nadbiegających z przeciwka ludzi i zastanawiałam się, jakie mają sekrety. Wszyscy się rozglądali. Wszyscy jakby czegoś – kogoś – szukali i dwukrotnie omal nie wpadłam na tych, którzy ciągnęli za sobą bagaż. Nagle – co za niespodzianka – zobaczyłam swój plecak, więc uśmiechnęłam się z ulgą, ciesząc się, że jest tam, gdzie go zostawiłam, szczęśliwa, że zaryzykowałam i wygrałam. Nie widziałam jednak Jacka. Podeszłam bliżej, ale wciąż go nie było, więc rozejrzałam się po poczekalni z małym stanowiskiem odprawy i tam też go nie znalazłam.

Usiadłam przy swoim plecaku. Popatrzyłam przed siebie.

Miałam świadomość upływającego czasu, ale tylko marginalnie. Kiedy pasażerowie wokół zaczęli wstawać i odchodzić, dotarło do mnie niemal przez mgłę, że pora na boarding. Nowy Jork. JFK. Wstałam i schyliłam się, żeby wziąć plecak. Zarzuciłam go na ramię, a on obił mi się o plecy i mimowolnie jęknęłam. Pochyliłam się i znowu nim dostałam. Dobrze było oberwać, poczuć ciężar uderzający jak wahadło.

Wyjęłam telefon i sprawdziłam, czy Jack nie przysłał esemesa, nie zadzwonił, nie zrobił czegokolwiek. Wtedy mój palec dotknął kontaktów; wybrałam imię Jacka. Gdy mój telefon łączył się z jego telefonem, zastanawiałam się gorączkowo, co powiedzieć: „Hej, Jack, gdzie jesteś? Zniknąłeś”, „Hej, Jack, stoję już przed bramką, wzywają ostatnich pasażerów naszego lotu, więc pomyślałam, że może powinieneś się pospieszyć...” – ale nie odebrał. Odezwała się poczta głosowa, więc wzięłam głęboki oddech, otworzyłam usta... i przerwałam połączenie.

Pracownicy lotniska wezwali pasażerów z miejscami w pierwszej części samolotu, prosząc o przygotowanie kart pokładowych i otworzenie

paszportów.

Powoli przesuwałam się w kolejce do bramki. Zerkałam w stronę korytarza, w którym zniknął Jack, i pomyślałam: „Zaraz się pojawi, przyjdzie, już idzie, co za śmieszny żart, wariactwo, ale stuknięty facet”. Przyszło mi do głowy, że może nawet jest już w samolocie. Może to wszystko jakieś nieporozumienie. Potem kobieta z obsługi lotniska poprosiła mnie o paszport. Oddała mi go zaraz po zeskanowaniu. Powiedziałam: „Dziękuję”, ale nie słuchałam odpowiedzi, tylko patrzyłam, jak porusza ustami. Później przeszliśmy długim rękawem do samolotu, wkroczyłam na jego pokład, opuszczając w końcu francuską ziemię, podałam dokumenty stewardesie, mocno umalowanej, z przyklejonym do ust uśmiechem, ona skinęła głową i skierowała mnie na koniec maszyny. Minęłam przepierzenie odgradzające pierwszą klasę i posuwałam się dalej, aż w końcu dotarłam do swojego rzędu, wcisnęłam się na miejsce i patrząc przed siebie, usiadłam. Jacka obok nie było.

Porzygałam się, zanim jeszcze zaczęliśmy kołować.

Dostałam mdłości i nie mogłam ich powstrzymać. Zwymiotowałam wszystko. Po jakimś czasie, po trzecim napadzie wymiotów, ktoś zapukał w drzwi i zapytał po francusku, czy wszystko w porządku.

– *Ça va* – odparłam. – *Merci*.

Tamta osoba powiedziała coś szybko.

Powtórzyłam:

– *Ça va*.

„Po wielkim bólu przychodzi poczucie formalności”. Tak napisała Emily Dickinson. Kiedy czekałam, aż samolot zacznie kołować, i mijały kolejne minuty, powoli docierała do mnie bolesna rzeczywistość, a wtedy poczułam, że sztywnieję. Usiadłam prosto. Tak, będę formalna. Pogodzę się z tym, na co

nie mam wpływu. Nie będę już więcej płakać, nie mogę. To brzmiało jak z Doktora Seussa: „Nie będę, nie mogę”.

Przełączyłam telefon na tryb samolotowy i schowałam do kieszeni.

Nawet nie próbowałam czytać. Nie zaglądałam do e-maili. Niczego nie piłam ani nie jadłam. Tylko siedziałam i czułam się dziwnie ciężka. Stało się – powiedziałam sobie. Wyszłam na idiotkę i choć nie byłam pierwszą ani ostatnią kobietą, która dała się nabrać mężczyźnie, zawsze to jakaś lekcja.

Nie pozwoliłam sobie na luksus wypatrywania Jacka wśród pasażerów. Nie rzucałam tęsknych spojrzeń na przód samolotu. Nie przychodził; nie przyszedł; jednak mnie nie chciał.

Wreszcie stewardesa z czerwoną szminką na ustach poleciła mi zapiąć pas, więc go zapięłam. Uśmiechnęła się. Odwzajemniłam się tym samym.

Chwilę potem wystartowaliśmy. Samolot uniósł się w powietrze, a Jacka nie było. Przedarliśmy się przez chmurę i Jacka wciąż nie było. Poprosiłam stewardesę o dzin z tonikiem, wypiąłam go, poprosiłam o drugi, wypiąłam, poprosiłam o trzeci, wypiąłam. Czwartego nie chciała mi dać. Oparłam się o zagłówek i zamknęłam oczy.

„To koniec” – powiedziałam sobie. Może w ogóle niczego nie było, nie zdarzyło się nic, co miałoby jakiegokolwiek znaczenie. Sięgnęłam do torebki i wyjęłam swojego smythsona. Co mogłam zrobić, co zawsze robiłam – to się pozbierać. Za długo ignorowałam terminarz. Otworzyłam go ostrożnie, jakbym wracała do przyjaciela, którego jakiś czas nie widziałam, i powoli przerzuciłam strony. Spotkania. Terminy. Obowiązki. Urodziny zaznaczone na różowo w całym roku. Powoli, z uporem kartkowałam kalendarz. Nie płakałam. Po co płakać? Mieliśmy Paryż i Amsterdam, Kraków i Pragę, kopalnie soli i mlecze barki. To było piękne lato. Piękna podróż. Z uchwytu przy terminarzu wyjęłam długopis i obwiodłam datę rozpoczęcia pracy. Wypełniłam ten prostokąt, prawie przebijając kartkę. Pod nami przesuwały się

chmury i nic już nie wydawało się pewne.

Kiedy zdecydowałam się schować smythsona do torebki, nie chciał wejść. Wpychałam go, obracając pod tym czy innym kątem, ale coś go blokowało. Wsadziłam rękę do torebki i zaczęłam w niej gmerać. Dłoń trafiła na sfatygowany dziennik. Rozpoznałam go, zanim jeszcze spoczął na nim mój wzrok. Ogarnęło mnie zimno. Poczułam ściskanie w piersi i zabrakło mi tchu.

– Może pani to zabrać i wyrzucić? – zapytałam stewardesę, kiedy mijala mnie następnym razem, zbierając śmieci. Podałam jej dziennik. Wciąż miał idealny ciężar i doskonale leżał w dłoni. Sądziłam, że jeśli stewardesa go zabierze, uwolni mnie od niego, to wtedy odżyję.

– Oczywiście, proszę pani – odparła.

Uśmiechnęła się sztucznie i wrzuciła dziennik do plastikowej torby na odpadki, którą niosła. Nawet na niego nie spojrzała. Z szerokim uśmiechem ruszyła dalej, a dziennik stanowił tylko obciążenie dla worka przeznaczonego na opakowania po orzeszkach i pałeczki do mieszania koktajli.

Pokonała już połowę odległości do części kuchennej, gdy zawołałam, żeby się zatrzymała.

Mówiąc potocznie, urządziłam scenę. Zdawałam sobie z tego sprawę. Zwaliłam to na działanie alkoholu. Emocjonalne przeciążenie. Jednak pomimo tej świadomości pobiegłam przejściem, potykając się i zalewając łzami, które jeszcze utrudniały mi widzenie.

Patrząc, jak się zbliżam, stewardesa zrobiła minę, która mówiła wyraźnie: „Uspokój się, ty mała suko”. Jeszcze jej brakowało stukniętej pasażerki!

– Przepraszam – zaczęłam cicho, nachylając się do jej ucha. – To pamiątki i listy miłosne od chłopaka.

– Och – odparła.

Ale powiedziała to w formie: „Oooooooooo”.

Podała mi worek i gdy przekopywałam się przez śmieci w poszukiwaniu

dziennika, odegrałyśmy scenkę „cukierek albo psikus”, tyle że na opak. W końcu wydobyłam notatnik i przycisnęłam go do piersi.

– Wiem, co pani czuje – powiedziała stewardesa. – Dobrze wiem.

– Dziękuję.

– Przyniosę pani dzin z tonikiem, ale ostatni, dobrze? A potem spróbuje się pani przespać.

Kiwnęłam głową i wróciłam na swój fotel. Cała reszta świata wydawała się daleka, bardzo daleka.

Część druga

Nowy Jork

39

Gdybyś szła na randkę w ciemno, wolałabyś czekać w barze na faceta czy raczej przyjść później, zlustrować pijących i jedzących i spróbować wytypować kolegę koleżanki, który ma być taki fajny?

Najgorszy scenariusz: nie wiesz, czy przyszłaś wcześniej, czy się spóźniłaś, bo nie masz do tego serca, dałaś się namówić dwóm koleżankom z pracy; tak się robi, ludzie poznają się w ten sposób, więc się zgodziłaś, powiedziałaś „tak”, dobra, niech będzie, spotkam się z nim, dzięki.

Nazywa się Gary.

Tak słyszałaś.

Jest wpół do ósmej, dość wczesna pora na wyjście z roboty, ale słowo się rzekło. W ciągu półtora miesiąca, odkąd zatrudniłaś się w Bank of America, wyrobiłaś sobie opinię prymuski, prymuski w pracy, więc musiałaś zmienić buty, przeczesać włosy, umalować się trochę i rozpiąć górny guzik bluzki, żeby odsłonić fragment koronkowego stanika. To wszystko zalatuje fałszem, niczym umieszczenie masła orzechowego jako przynęty w pułapce na myszy, ale tak poradziła ci Eleanor, najbliższa wiekiem i doświadczeniem koleżanka w Bank of America, która nawet namówiła cię do założeniu profilu na portalu

randkowym – „Daj spokój, Heather, nie bądź śmieszna, musisz wychodzić z domu, gdzieś bywać, a to nic takiego, wszyscy randkują w sieci, to nie znaczy, że jesteś jakąś ofiarą losu” – a teraz robisz, czego się od ciebie oczekuje.

Po chwili wahania przekraczasz próg baru, usuwając się nieco na bok, żeby przepuścić kolejnych gości. Jest piątkowy wieczór, początek weekendu, i u Erniego królują młodość i energia. To scena – zawieraj znajomości i krąg – i powinnaś tu pasować, należysz do odpowiedniej grupy demograficznej, ale nie czujesz w trzewiach radości ani podniecenia. Ze wschodniej części lokalu dobiega głośny ryk; ktoś wyczynia coś w grupie facetów, więc reszta klaska i krzyczy, w powietrze wlatuje czyjś kapelusz.

Dostajesz esemesa.

„Spoznie sie – pisze Gary. – B. za chwile”.

I co teraz?

I czy on nie zna ortografii? Czy może to jakiś kod esemesowy? Albo literówki?

W barze panuje ścisk, ale przesz do przodu, szukając wolnych miejsc. Daremnie. Ma być fajnie, pamiętaj. Po to pracujesz i zarabiasz, żebyś mogła wychodzić i poznawać facetów w załoczonych knajpach. Właśnie takich. Ale to cynizm tak myśleć, Amy i Constance zarzucają ci negatywizm, mówią, że nie ma powodu gorzknieć tylko dlatego, że zostało się rzuconym przez tego tam, którego imienia nawet nie warto wymawiać. Przyznajesz im rację, w pewnym sensie, ale nie zawsze, możesz nad sobą zapanować. Kiedy więc zwalniasz się dwa stołki po zachodniej stronie baru, bo jakaś para wychodzi, zmuszasz się, żeby dostrzec w tym dobry znak, pomyślny.

Zanim jednak zdążysz zająć drugi stołek, siada na nim inna kobieta, w twoim wieku, nawet do ciebie podobna, i jedyne, co możesz w tej sytuacji, to trzymać się swojego. Sadasz na nim tyłek, wieszasz torebkę na oparciu

i obracasz się, żeby obserwować wejście. Ale tak mimochodem. Nie chcesz wyjść na zbyt napaloną, jak golden retriever, który skacze na drzwi już w chwili, gdy jego właściciel wysiada z samochodu na podjeździe, więc postanawiasz jednak się odwrócić i spróbować pochwycić wzrok barmana, ale ten jest akurat po drugiej stronie, sprawdza, dlaczego przed chwilą wszyscy tak wrzeszczeli.

Odwracasz głowę, żeby zerknąć ku drzwiom, i widzisz Gary'ego.

To musi być on, sądząc z wyglądu. Stoi niepewnie i błądzi wzrokiem po wnętrzu. Słyszałaś, że ćwiczy, i to chyba prawda: jest dobrze zbudowany, umięśniony, i kiedy dostrzega twoje spojrzenie, rusza ku tobie sprężystym krokiem. Pokazuje palcem na siebie, na ciebie, potem znowu na siebie.

– Musisz być Gary – mówisz. – Kolega Eleanor, prawda?

– Heather... – zaczyna, ale przerywa, słysząc dzwonek komórki. Unosi palec i uśmiecha się do ciebie. – Dobra, dobra, dobra – mówi do telefonu, znowu się do ciebie uśmiecha i potakuje, rozmawiając z tamtą osobą.

Nie masz nic przeciwko temu, bo możesz mu się przyjrzeć. Nie jest tak źle, wydaje się nawet przystojny; nie całkiem w twoim typie, ale może być. Garniturowiec, trochę za bardzo, z korporacyjnego Nowego Jorku, jeden z tych wiecznie zajętych, bywałych, zakochanych w sobie. Blondyn, choć łysiejący, już z zakolami – wysokie czółko, jak określiłaby Amy – gładko ogolony, z małą brodą przypominającą patyczek do jedzenia lodów. Ma porządny garnitur, granatowy w drobne prążki, i zbyt krzykliwy krawat, szpanerski, jak powiedziałaby Amy, jaskrawoniebieski, lekko opalizujący. Uśmiecha się do ciebie, skruszony unosi brwi, a potem daje ci znak ręką, że stanął za tobą barman.

– Dla mnie woda gazowana – mówi, a potem znowu wraca do rozmowy telefonicznej.

– A ja poproszę białe wino – rzucasz, a potem dociera do ciebie, jak

żałośnie i banalnie to brzmi, więc zamawiasz stella artois.

– Przepraszam – zaczyna Gary, kiedy barman odchodzi.

Wsuwa telefon do kieszeni marynarki i pochyla się, żeby pocałować cię w policzek.

– Więc pracujesz w Bank of America? – pyta.

– Tak. Zaczęłam jesienią. A ty jesteś prawnikiem?

– Przyznaję się do winy, Wysoki Sądzie.

– Umowy?

– Na razie tak. Staram się dostać w kręgi sportowe. Chciałbym być agentem.

– Super.

Dostajecie swoje drinki.

Już wiesz, że ten facet cię nie kręci. I czujesz, że ty jego też nie.

Kwestia chemii. Albo jej braku.

– Na zdrowie! – wznosisz toast.

– Na zdrowie. Wybacz, że piję wodę, ale trenuję. Unikam węglowodanów.

– Nie ma sprawy.

– Uprawiam trening wytrzymałościowy. Słyszałaś o nim? Z tych najcięższych. Biegiesz, musisz przebyć błoto, pokonać przeszkody... niesamowite.

– Ćwiczycie w drużynach?

– Teraz tak, ale nie zawsze.

Jest głośno. Ledwie słyszysz, co mówi. Musisz przekrzywić głowę, nadstawiać ucha, jakbyś wyciągała w jego stronę mikrofon.

– Co mówiła ci o mnie Eleanor? – zagaduje.

– Że jesteś miłym facetem.

– „Miły” to nie brzmi ekscytująco.

Pociągasz długi łyk piwa. Pozwalasz mu trawić możliwość, że nie jest

ekscytujący. Powoli, stopniowo uświadamiasz sobie, że nie budzi twojej sympatii. W ogóle. Znowu dzwoni jego telefon, więc wyjmuje go z kieszeni i unosi palec, obiecując, że za chwilę do ciebie wróci.

Kiedy gada przez komórkę, najwyraźniej umawiając się na później z kimś fajniejszym, ciekawszym, bardziej atrakcyjnym, ty porównujesz go z tym, którego imienia nie warto wymieniać, i to nie poprawia sytuacji. Bo nie ma między nimi porównania. Przede wszystkim Jack był wyższy i bardziej swobodny, światowy, naturalniejszy i ładniejszy. Nie, nie ładniejszy, myślisz, przystojniejszy. Ten facet, Gary, to erzac Jacka, podróbka, więc popijasz piwo i kombinujesz, jak się z tego uprzejmię wymiksować. Musisz złapać pociąg, żeby pojechać do New Jersey na długi weekend z okazji Dnia Kolumba ⁹, ale gdyby poszło dobrze, naprawdę dobrze, mogłabyś przełożyć to o jeden dzień.

Jednak Gary rozwiązuje problem.

– Nie owijajmy w bawełnę – mówi, skończywszy wreszcie rozmowę telefoniczną. – Nie przypadłem ci do gustu.

– Tak bym nie powiedziała.

– To dotyczy obu stron – ciągnie z uśmiechem. – Chyba mamy inne zainteresowania.

– A powinniśmy mieć takie same? – Nie możesz się powstrzymać, żeby nie zadać tego pytania.

Nagle – co za absurd! – Gary staje się projektem. A ty uwielbiasz projekty. Każdy zamierzasz zrealizować i chociaż nie zależy ci na Garym, nie chcesz, żeby cię nie chciał, więc próbujesz trochę poflirtować. Jego komórka dzwoni trzeci raz i gdy wyjmuje ją z kieszeni, zdajesz sobie sprawę, że niepotrzebnie się wysilas, więc prawą ręką wykonujesz pożegnalny gest, odwracasz się i pociągasz duży łyk piwa. Gary cię dogania, odstawia na wpół opróżnioną szklankę wody na barze, uśmiecha się blado – och, uwielbiasz taki blady uśmiech – i klepie cię po plecach, a potem odchodzi, wciąż z telefonem przy

uchu.

Myślisz o jesionie, potężnym jesionie, który rośnie w Ogrodzie Luksemburskim.

Myślisz o szkole jeździeckiej, tamtej chwili przed obrazem Vermeera i – nic nie możesz na to poradzić, nie chcesz poradzić – o popołudniach w Berlinie, kiedy wasze ciała się zderzały jak zapałki szukające iskier w samych sobie, i ten, którego imienia nie warto wymieniać, powoli opanowuje twoje myśli, twoją wizję, twoją pamięć. Dopijasz piwo, patrząc w lustro za barem. Samotna dziewczyna na Manhattanie w piątkowy wieczór.

40

W pociągu do New Jersey, do domu, piszesz esemesa do Eleanor z pracy:

„Miły facet. Fajnie, że się z nim spotkałam. Bez magii. Ale dzięki”.

Emotikon przedstawiający smutną minę.

Potem piszesz esemesa do Constance i Amy:

„Miły facet. Fajnie, że się z nim spotkałam. Bez magii”.

Tata przyjechał po mnie na stację.

– Cześć, kochanie – powiedział, kiedy wsiadałam do samochodu. – Późno wracasz.

Pachniał popcornem z dodatkiem masła. Rzuciłam na tylne siedzenie torbę z rzeczami na noc, pochyliłam się i pocałowałam go w policzek. Był w białej koszuli, jednej z tych noszonych do pracy, ale starszych, relegowanych do ubrań domowych. Na niej miał sportową kamizelkę, swój ulubiony weekendowy ciuch, w stylu „tata załatwi to po męsku”. Wyglądał na zmęczonego, ale spokojnego, jakby drzemał, zanim pojechał po mnie na stację. Jego ręce, potężne i zręczne, spoczywały symetrycznie po obu stronach

kierownicy. Był przystojnym mężczyzną – uznałam – choć nie z tych bardzo efektownych. Włosy, już posiwiałe, przerzedziły mu się trochę na czubku głowy i wiedziałam z raportów mamy, że to rani jego próżność. Miał wydatne, mocno zaznaczone kości policzkowe, które przydawały siły pozostałym rysom. W wieku pięćdziesięciu dwóch lat był dojrzałym mężczyzną, twardą opoką w naszym życiu. W tej chwili wydał mi się bardzo drogi, ten mój tata, i dobrze – nie, więcej niż dobrze – było siedzieć z nim w naszym samochodzie, z leniwym weekendem w perspektywie, lodówką pełną, jak wiedziałam, moich ulubionych przekąsek, telewizją, wygodną kanapą i mamą, niewątpliwie w roli Mamciozaurusa.

Ni stąd, ni zowąd położyłam mu głowę na ramieniu i zaczęłam płakać.

– Hej, hej, hej, co się dzieje? – zapytał ze współczuciem w głosie, całkiem jak wtedy, gdy miałam siedem lat i spadłam z roweru albo gdy w szkole średniej poniosłam porażkę, ubiegając się o główną rolę w *South Pacific*. – Hej, hej, kochanie, spokojnie. Dobrze się czujesz? Coś się stało?

Pokręciłam głową.

Cmoknął mnie w czubek głowy i czule odgarnął mi włosy z twarzy.

– Co się dzieje, kotku? – zapytał znowu i drugą ręką wyłączył radio z transmisją uczelnianego meczu piłkarskiego.

Czułam się głupio, ale nie mogłam przestać płakać. Samochód stał na jałowym biegu. Na dworze było zimno i wpadające przez okno powietrze pachniało liśćmi, paździenikiem i ogniem. Tata zamknął drzwi, szybko sięgnął do schowka na rękawiczki, gmerał w nim przez chwilę, po czym wyjął garść serwetek od Dunkin' Donuts. Podał mi kilka. Przytknęłam jedną do oczu, a w drugą wydmuchałam nos.

– Już dobrze? Co ci jest, kochanie? Co się dzieje?

Powiedziałam już wszystko, co warto było powiedzieć. Tęskniłam za Jackiem. Tęskniłam za tym, co między nami było i mogło być. Tak głosiła

legenda rodzinna. Praktycznie rzecz biorąc, zostałam porzucona przed ołtarzem.

– Nic, tato, tylko zrobiło mi się smutno – odparłam. – To był męczący dzień.

– W pracy wszystko dobrze?

Przytaknęłam.

– A na froncie towarzyskim?

Wzruszyłam ramionami. Wołałam nie ryzykować, odpowiadając.

– Ale lubisz swoje mieszkanie.

To był bezpieczny temat. Tata wiedział, że je lubię. Kiwnęłam więc głową.

– Jest małe, ale naprawdę je lubię. Właściwie malutkie. Widziałeś je.

– Cóż, Nowy Jork. Tak się w nim żyje. Niedawno słyszałem o jakichś mieszkaniach w Jersey City, które pojawiły się w internecie. Na rynek wraca też Newark.

– Hm – mruknęłam.

Osuszyłam oczy.

– Mama napełniła lodówkę tym, co lubisz najbardziej.

– Fajnie.

– A ja zamierzam upiec na grillu swojego kurczaka w wersji specjalnej.

Ta-dam!

– Więc wszystko gra.

Spodziewałam się, że ruszy. Już po płaczu. Ale nie przekręcił kluczyka w stacyjce. Opanowałam się i ponownie wydmuchałam nos.

– Posłuchaj, Heather, obawiam się, że mam złą wiadomość. Nie chcę cię dodatkowo martwić, ale wczoraj zdechł Pan Barwinek.

W pierwszej chwili zdrętwiałam, tak jak wtedy na paryskim lotnisku Charles'a de Gaulle'a. Stało się coś tak straszego, tak okropnie bolesnego, że zabrakło mi powietrza w płucach i krew odpłynęła do nóg.

– Co takiego? – zapytałam, znowu we łzach. – Jak to?

Mój głos przybrał piskliwy ton, nie mogłam powstrzymać szlochu. Ojciec wziął głęboki oddech i poklepał mnie po kolanie.

– Nie wrócił do domu. Mama nie widziała go przez cały dzień. Był w garażu, w tym miejscu, które tak lubił. Leżał w porannym słońcu. Już nie żył, kochanie. Miał swoje lata.

– Tylko nie on.

Tata otoczył mnie ramieniem. Odszedł Pan Barwinek, kot nad koty, mój przyjaciel z dzieciństwa, moja poduszka, w którą mogłam się wyplakać, mój kotek. I nie mogło tego zmienić nic, cokolwiek bym zrobiła albo powiedziała.

Gdy następnego ranka grzebaliśmy Pana Barwinka, stosownie do okoliczności padał deszcz.

Wykopałam dla niego dół. W piwnicy znalazłam stare pudło na kapelusze – przynajmniej tak wyglądało, było sześciokątne i miało jasnoniebieską pokrywę – a do tego stos rafii, której matka używała przed laty do jakiegoś rękodzielnictwa. Z tego wykonałam dla swojego kotka, starego przyjaciela, wyściełaną trumnę, ostrożnie go do niej włożyłam i całość zakleiłam taśmą, zadowolona, że zrobiłam, co mogłam. Zostawiłam pudło w garażu i poszłam wykopać dół.

Było wcześniej, tuż po ósmej, i liście przywierały do ziemi wilgotnymi łatami w zgaszonych kolorach. Kiedy dół miał już głębokość metra, a obok niego, na kawałku kartonu, wznosiła się sterta ziemi, przerwałam i przyjrzałam się swojemu dziełu. Dobrze było oprzeć ręce na czymś solidnym, trzonku łopaty, nie tylko na klawiaturze komputera.

– Dostatecznie głęboko? – Tata wyszedł z domu z dwoma kubkami kawy. Jeden z nich był dla mnie.

– Chyba tak. Jak myślisz?

Pokiwał głową.

– To był dobry kot – dodał.

Miał na głowie irlandzki tweedowy kapelusz, który przywiózł przed laty z podróży do Limerick. Lubiłam go w nim.

– Opowiedz mi coś, co pamiętasz w związku z Panem Barwinkiem – poprosił. – Jakie jest twoje najmiłsze wspomnienie z jego udziałem?

Zastanawiałam się przez chwilę, popijając kawę.

– Kiedyś wydawało mi się, że on marzy.

– Kiedy?

– Gdy kładł się na mojej piersi albo siadał na kanapie, wyciągał przed siebie łapy i zamykał oczy. Wtedy myślałam, że marzy.

– O czymś miłym?

– Tak.

Kocie marzenia – pomyślałam. Tata objął mnie i znowu o mało nie wybuchnęłam płaczem.

Zanim zdążyliśmy powiedzieć coś jeszcze, pojawiła się mama; niosła coś i po chwili uświadomiłam sobie, że zebrała większość zabawek Pana Barwinka. Kocią wędkę, dzierganego rudzika, pluszową mysz z kocimiętką, piłeczkę w kształcie dzwonka. Nie mogłam się zorientować, czy był to sentymentalny gest, czy po prostu chciała się pozbyć rzeczy po kocie. Lubiła Pana Barwinka, byłam tego pewna, ale lubiła go z dystansu, tak jak się lubi wschód słońca czy śnieżycę.

Wówczas uświadomiłam sobie, że jeśli zamierzała po prostu pozbyć się rzeczy po kocie, mogła je wyrzucić, tak żeby o tym nie wiedziała. W ciągu ostatnich lat, kiedy byłam w szkole, to ona zajmowała się Panem Barwinkiem. Trochę zrzędząc i marudząc, była do niego przywiązana tak samo jak ja. Tyle że się z tym nie obnosiła. Dotarło do mnie, że może nie znam tak dobrze swojej matki.

– Ładnie wygląda – zauważyła, patrząc na dół. – Dobra robota, kochanie.

– Dzięki, mamó.

– Wszystko gotowe? – zapytał tata.

Poszłam do garażu po pudło. Nie ważyło prawie nic. Była to druga rzecz, którą zakopywałam w ciągu pół roku – zdałam sobie sprawę. To pewnie miało coś znaczyć, ale nie mogłam dojść co.

Trzymając pudło, poprosiłam rodziców, żeby położyli na nim dłonie.

– Żegnaj, Panie Barwinku – powiedziałam. – Byłeś dobrym kotem i dobrym przyjacielem. Nie można życzyć sobie więcej.

Mama, moja kochana mama, opuściła głowę i zaczęła płakać. Tata przykląkł po drugiej stronie dołu i pomógł mi włożyć do niego pudło. Mama podała nam kocie zabawki i zakopaliśmy wszystko razem, tak że Pan Barwinek, w pudle na kapelusze, stał się małym wikingiem; miał broń i akcesoria służące rozrywce, jeśli tego szarego październikowego ranka zamierzał ucztować w Walhalli z Odynem.

41

– Wciąż nie masz z nim kontaktu? Oczywiście nie dostałaś od niego żadnej wiadomości? – zapytała mama.

Było późno. Tata poszedł spać. Siedziałyśmy w oranżerii i piłyśmy herbatę. Mama chciała skosztować lukrecjowej, podobno dobrej na mięśnie i bóle ścięgien. Stale testowała różne gatunki, niewiele z nich działało, ale podobał mi się zapach lukrecji w chłodnym wnętrzu. Przycisnęłam kubek do piersi.

Pokręciłam głową. Nie dostałam od niego żadnej wiadomości.

Nie musiała precyzować, kogo miała na myśli.

– Cóż... – odparła i słowo to zawisło w powietrzu.

– Constance mówi, że Raef nie chce o tym rozmawiać. Rozmawia o wszystkim, tylko nie o Jacku.

– Są zaręczeni? Constance i Raef?

– Tak.

– Wspaniale. Nie pomyślałabym, że Constance będzie pierwsza z waszej trójki.

– To znaczy, że pierwsza wyjdzie za mąż?

– Stawiałabym na Amy.

– Amy? Raczej nie, mamó.

– Masz wciąż dziennik jego dziadka? – zapytała, zmieniając temat.

Przytaknęłam. Nie znałam adresu Jacka. Musiałam zatrzymać dziennik.

Mama popijała herbatę. Ja też. Nie skupiałam się na tym. Trzymałam na kolanach rozłożonego „Vogue’a” i od czasu do czasu przewracałam kartkę. Mama wycięła z niedzielного wydania „Timesa” krzyżówkę i przypięła ją do podkładki, która służyła jej do tego celu. Właściwie powinnam teraz wracać pociągiem na Manhattan, ale ze względu na Dzień Kolumba poniedziałek był dniem wolnym. Zamierzałam złapać pociąg rano, żeby po południu popracować.

– Podobają ci się te blezery? – zapytałam, pokazując jej stronę w czasopiśmie.

Podsunęła na nos okulary i spojrzała na zdjęcia. To był nasz stary zwyczaj. Zawsze rozmawiałyśmy o modzie, nawet gdy w okresie szkoły średniej przechodziłam okres buntu. Jedną z niewielu radosnych chwil po powrocie z Paryża było kompletowanie z mamą mojej nowej garderoby do pracy. Lubiła przyjeżdżać do Nowego Jorku i chodzić ze mną na lunch. A ja dobrze się z nią czułam.

– Nigdy nie przepadałam za blezerami – odparła. Opuściła okulary i wróciła do swojej krzyżówki. – Zawsze kojarzyły mi się z mundurkami katolickiej szkoły dla dziewcząt. Wiem, że są praktyczne, ale nigdy takiego nie chciałam.

– Ja mam taki beżowy, ale prawie go nie noszę.

– Trudno znaleźć okazję.

Przerzuciłam następne strony. Mama piła herbatę.

– Smakuje ci? – zapytałam.

– Nie za bardzo. A tobie?

– Zbyt lukrecjowa.

– Ale dobrze robi na stawy i ścięgna.

Sięgnęła do stolika przy swoim fotelu i pilotem podkręciła gaz w kominku w kącie. Płomień od razu się zwiększył. Uwielbiała sterować kominkiem. Mówiła, że czuje się wtedy jak pionierka na Dzikim Zachodzie. Najbardziej lubiła kontrast między zimnymi szybami a ciepłem panującym w pomieszczeniu.

Uśmiechnęła się, patrząc na ogień, i odsunęła krzyżówkę, którą trzymała na kolanach.

– Opowiadałam ci kiedyś o dyniowej wojnie, którą prowadziłam? – zapytała. – Nie wiem, dlaczego ostatnio o tym myślę. Chyba ma to związek z porą roku. Znasz tę historię?

– Nie, mam. Wojna dyniowa?

– Och, to brzmi dramatycznie, niż było w rzeczywistości. Ale prowadziłam ją razem z kilkoma koleżankami. Musiałyśmy być wtedy, och... w siódmej klasie czy coś takiego. Zaczęłyśmy rozmawiać o tym, jakie to niesprawiedliwe, że chłopcy przychodzą i rozbijają dynie, które z takim wysiłkiem wycinamy. Jesteś pewna, że nie mówiłam ci o tym?

Pokręciłam głową, zaintrygowana.

– To był, zdaje się, mój pomysł. Namówiłam koleżanki, aby powbiły szpilki w skórę wydrążonych dyni, tak że każda z nich przypominała jeżozwierza. Nie pamiętam nawet, skąd mi to przyszło do głowy... może gdzieś o tym przeczytałam. W każdym razie było to wymierzone przeciwko tym

wyimaginowanym chłopcom... chłopcom, którzy rozbijali nasze dynie. Wyobrażałyśmy sobie, jak podkradają się do naszych drzwi, chwytają dynie i wypuszczają je z rąk, pokłuci szpilkami. To był naprawdę diabelski pomysł. Każda noc, kiedy dynie uchodziły cało, stanowiła dowód naszej przemyślności. Ale miałyśmy zabawę! Codziennie, gdy spotykałyśmy się w szkole, dzieliłyśmy się informacją, że ta czy tamta dynia przetrwała do rana. To była pierwsza akcja, którą poprowadziłam... antyterrorystyczna, no nie?

– Mamo, jesteś buntowniczką! Więc dynie przetrwały do Halloween?

– W końcu porozbijałyśmy je same. Zawsze mnie to zastanawiało. Zdzwoniłyśmy się któregoś wieczoru i postanowiłyśmy je zniszczyć. Wszystkie wzięłyśmy rękawice ogrodowe, żeby się nie pokłuć, i rozbijałyśmy dynie jedną po drugiej. Chyba brakowało nam chłopięcej podłości czy czegoś takiego. Nigdy nie zrozumiałam, czym się właściwie kierowałyśmy.

– Posprzątałyście po sobie?

– Nie, jasne, że nie. Byłyśmy zbyt leniwe! Tata kiwał palcem, dopóki mu nie wytłumaczyłam, co się stało. Pamiętam, że spojrzał na mnie dziwnie, kiedy wszystko wyszło na jaw.

– Może strzegłaś swojego dziewictwa, mamo! Cała ta historia jest taka freudowska.

– Wiem, to samo pomyślałam! – Zaśmiała się. – Zawsze tak sądziłam. Męski atak i kobieca obrona! Chyba nawet nikomu nie opowiedziałam tej historii. Jakie to dziwne, że teraz mi się przypominała.

– Dlaczego akurat dziś wieczorem?

Wzruszyła ramionami, najwyraźniej rozbawiona tym wspomnieniem.

– A dlaczego nie? Chyba myślałam też o Jacku. Nie znam go, oczywiście, ale może był jak ja i moje koleżanki, gdy rozbijałyśmy dynie, żeby nikt ich nie tknął. Czasami łatwiej jest coś zniszczyć, niż to pielęgnować. Czy mówię do rzeczy?

– Tak, mam, ale nie musimy snuć domysłów, czym się kierował. Staram się zostawić to za sobą, żeby się tak wyrazić. Było, minęło.

Pokiwała głową. Wzięła pilota i podkręciła płomień jeszcze bardziej. Przyciągnęła na kolana podkładkę z krzyżówką.

– Nie smakuje mi ta herbata – oznajmiła.

– Mnie też nie.

– I na stawy również nie pomogła.

– Zawsze tak jest, no nie? – zapytałam.

42

Rzucasz się w wir pracy. To staje się sposobem na wszystko. Ubierasz się wczesnym rankiem, po prysznicu, natarta balsamem, modnie ostrzyżona; twoje ciuchy w szafie odpowiadają wizerunkowi „aktywnej dziewczyny”. To absurd, zdajesz sobie z tego sprawę, ale tak myślisz, kiedy otwierasz szafę. Przede wszystkim potrzebujesz funkcjonalnego estetycznego stroju, któremu w razie potrzeby można nadać szykowny, modny i prowokacyjny charakter. Nachylając się do lustra w swoim mieszkaniu, w którym panuje albo tropikalny upał, albo lodowate zimno, i robiąc makijaż, zadajesz sobie pytanie: Dlaczego nie? Dlaczego nie bawić się dobrze w Nowym Jorku? Dlaczego nie korzystać z tego, że jesteś młoda, wolna, bez zobowiązań, w jednym z największych miast na świecie? Jack się mylił. Nowy Jork to nie więzienie, które stwarzamy sami sobie. Nie, nie, to barwne, zabawne, wesołe miasto, czasami przerażające i dobijające, kraniec pewnego świata, a ty lubisz świadomość, że do niego należysz, zdobyłaś mały jego zakątek, liznęłaś go.

W jakimś sensie.

A przy okazji, nigdy za dużo makijażu. Nigdy za dużo. Żeby zyskać blask, wyrazistość, charakter. Łazienka jest jeszcze zaparowana, kiedy do niej

wracasz, ale widzisz swoją zamgloną postać. „Aktywna dziewczyna”. Obracasz się w tę, w tamtą stronę, tyłem, bokiem, sprawdzasz brzeg spódnicy, dekolt bluzki, wysokość obcasów. Robią swoje, zawsze robią, i zdajesz sobie sprawę, że jesteś młoda, bardzo młoda, i z tego powodu godna pożądania, bo jak powiedział szef twojego działu? Że największą władzę na ziemi mają bogaci starzy mężczyźni i ładne młode kobiety. Może miał rację – kto wie? – ale w tej chwili stwierdzasz jedynie, że jesteś odpowiednio ubrana, stosownie ubrana, i w drodze do windy sprawdzasz zawartość torebki, odmawiając współczesny różaniec: komórka, grzebień, karta kredytowa, prezerwatywa.

To Nowy Jork. Wychodzisz na dwór, jest zimno, cholernie zimno, między budynkami wieje wiatr, wszyscy idą szybkim krokiem, żeby dotrzeć do odpowiednich drzwi, przystąpić do pracy, bez ociągania. Chciałabyś złapać taksówkę dla samego poczucia luksusu i nawet masz na nią pieniądze – jak się okazuje, całkiem nieźle zarabiasz, naprawdę całkiem nieźle – ale rano o tej porze korki w centrum byłyby torturą. Więc biegniesz do najbliższej stacji metra, schodzisz w podziemia zamieszkałe przez mitologicznego stwora, którego potrafiłaby zidentyfikować Constance, przytykasz bilet okresowy do czytnika, udem i biodrem pchasz kołowrót i stając na peronie, wyjmujesz telefon. Stacja pachnie jak obraz, zawsze tak ci się wydawało, niczym kryjówka jakichś okropnych stworzeń, których oddech, rok po roku, barwi ściany, aż inne zapachy nie znajdują punktów zaczepienia. Myśląc o tym – jak co dzień – spoglądasz na wyświetlacz komórki i sprawdzasz rozmaite rzeczy. Notowania na giełdzie. Czołówki gazet. Wiadomości, esemesy, e-maile.

Nie czekasz na żadne słowo od Jacka. Dałaś sobie spokój już dawno temu.

Nie dałaś, ale udajesz, że dałaś. Wmawiasz to sobie. Na jedno wychodzi, prawie, w pewnym sensie.

Przyjeżdża pociąg, wsiadasz do wagonu, odwracasz się bokiem, znajdujesz

drażek, żeby mieć się czego przytrzymać. Jest w porządku. Teraz już tak. Twój telefon traci zasięg, pogrążasz się w ciemności świata pomiędzy stacjami, w imieniu Constance myślisz o Wulkanie i o tych wszystkich istotach pod ziemią, brudnych zwierzętach, i uderza cię to dziwne, niezdrowe skojarzenie, więc kiedy wreszcie dojeżdżasz do swojej stacji, chętnie wysiadasz, chętnie ruszasz w stronę światła, blasku słonecznego w formie kwadratu, lodowatej lśniącej nowojorskiej zimy.

I już znowu jesteś przebojową, aktywną dziewczyną, bo dobrze się czujesz w swoim stroju, lubisz to uczucie i widzisz, że niektórzy z mężczyzn, których mijasz, spoglądają na ciebie z uznaniem. Zatrzymujesz się przy przyczepie z kawą i zamawiasz średnią, na odtłuszczonym mleku, ze słodzikiem, a potem postanawiasz zaszaleć i prosisz jeszcze o sałatkę owocową, którą ci podają w plastikowym pojemniku. Niesiesz to wszystko do budynku, ciepła kawa przyjemnie grzeje ręce, i pchnąwszy drzwi obrotowe, natykasz się na Billa, ochroniarza, który w recepcji śledzi obraz z kamer bezpieczeństwa, obserwujących każdy zakamarek przestrzeni biurowej.

– Dzień dobry, Bill. Jak leci?

– Dobrze, pani Mulgrew.

– Miło słyszeć. Jestem pierwsza?

– Chyba tak.

Jedziesz windą na górę – znowu coś mitologicznego w tym życiu na górze i na dole, nad i pod ziemią – i przez krótką, oślepiającą sekundę przypominasz sobie potężny jesion, pewnie pokryty teraz śniegiem. Przypominasz sobie posąg Pana strzegący Ogrodu Luksemburskiego. A tymczasem winda wiezie cię na twoje piętro, dwudzieste trzecie, i czujesz się wzmocniona, ożywiona: praca, praca, praca, święta praca. Jest dobrze, lubisz pracę, i idziesz do swojego biurka, wieszasz płaszcz, stawiasz kawę, rzucasz torebkę do dolnej szuflady, rozglądasz się wokół. Świeci się już w gabinecie jednego

z kierowników – chyba Burke’a – ale nie jesteś dla niego partnerką, nie o tej porze, jeszcze nie, więc siadasz na fotelu, uruchamiasz komputer, podłączasz komórkę do zapasowej sieciówki, którą trzymasz na blacie, i gotowe. Można zacząć.

Jeszcze tylko otwierasz pudełko z sałatką owocową, ściągasz wieczorny raport finansowy „The Wall Street Journal”, delektujesz się słodkim smakiem słońca, podczas gdy za tobą i wokół ciebie zapalają się światła, rozlegają kroki i zaczyna się dzień, a Jacka wciąż nie ma i twoje serce, twoje zdradzieckie serce, nie chce o nim zapomnieć.

43

W takich sytuacjach obowiązuje babski protokół.

Zanim zajęłyśmy miejsca w restauracji przy Fourteenth Street, zanim w ogóle zaczęłyśmy, Constance wyciągnęła rękę, a Amy i ja obowiązkowo zapiszczałyśmy.

Amy chwyciła dłoń przyjaciółki.

– Do diabła! Piękny – skomentowała, przyglądając się pierścionkowi. – Klasyczna oprawa. Płatyna, prawda? Nie białe złoto. Och, jest piękny, Constance, po prostu piękny! Szlif cesarski?

Wszystko to wydarzyło się w drodze do stolika. Nie mogłam uwierzyć, że gwiazdy pozwoliły nam się spotkać. Constance przed dziesięcioma dniami wróciła z Australii – zaręczona – a Amy przyjechała z Ohio, zahaczając w poszukiwaniu pracy o Nowy Jork. Wszystko to zbiegło się w czasie, przez co nasze spotkanie wydawało się jeszcze większym cudem. I sprawiło, że poczułam się zadziwiająco dorosła. Oto ja, mieszkanka Nowego Jorku, umówiłam się z przyjaciółkami na lunch w środku dnia roboczego. Dało mi to kopa. I wiedziałam, że dziewczyny czują tak samo.

Szef sali cierpliwie stał obok z kartami dań, podczas gdy my sadowiliśmy się w zielonym przedziale. Była to wietnamska knajpka z „krabem” w nazwie. Piękny Krab czy Uroczy Krab. Constance czytała o niej w „New Yorkerze” i zaproponowała, żebyśmy się tu umówiły. Zjawiłyśmy się niemal równocześnie, Constance i Amy przyjechały jedną taksówką z Penn Station.

Wzięłyśmy Constance między siebie i na zamianę oglądałyśmy pierścionek na jej palcu.

– Dobra, opowiadaj wszystko po kolei – poleciła jej Amy. – Oświadczył ci się? Jak do tego doszło? Będzie nam potrzebny scorpion bowl. I trzy słomki.

Kelnerka – drobna Wietnamka w czarnych spodniach i oliwkowej tunice – jeszcze nie doszła do naszego stolika, a Amy już złożyła zamówienie.

– Trzy słomki – powtórzyła za nią dziewczyna.

– Tak, trzy – potwierdziła Amy.

Potem na chwilę, zanim Constance zaczęła mówić, zapadła cisza. Tak cudownie było znowu się zobaczyć, znowu być grupą, że wszystkie trzy – chyba – poczułyśmy się trochę onieśmiałe. Rozejrzałyśmy się po restauracji, udając zainteresowanie jej urządzeniem. W końcu Amy wybawiła nas z krępującej sytuacji; przywołała pomocnika kelnerki i zamówiła jeszcze wodę.

– Teraz w każdej przeklętej restauracji trzeba o nią dodatkowo prosić – zauważyła. – Oszczędzają na płynie do zmywania naczyń czy na niej samej?

– Na wypadek jej niedoboru – podjęłam niezręcznie.

– To Nowy Jork! Tu nie brakuje wody, no nie? W każdym razie nic mi o tym nie wiadomo. Dobra, Constance, opowiadaj. Wiesz, że chcemy wiedzieć wszystko. Niczego nie pomijaj.

Constance się zarumieniła. Nie lubiła być w centrum uwagi.

– Sprawdzaliśmy ogrodzenie na farmie – zaczęła. – I wtedy Raef...

– Czekał, jak duża jest ta farma?

– Duża. Bardzo duża. Ponad sto hektarów, ale gleba jest sucha i niezbyt żyzna. W Australii na pustyni wciąż można kupić wielkie obszary ziemi prawie za bezcen. Rodzice Raefa mają jej sporo w tamtych stronach. Poza tym jego rodzina jest tak liczna, że gdziekolwiek się pojedzie, stryj ma tę działkę, ciotka tamtą... rozumiecie.

– Więc sprawdzaliście ogrodzenie? – Amy wróciła do głównego wątku. – Nie mogę uwierzyć, że nasza przemądrzała Constance sprawdza w Australii ogrodzenia.

Pomocnik kelnera przyniósł wodę. Nalał jej do trzech szklanek. Constance czekała, aż skończy. Potem ciągnęła:

– Raef oparł się o płot, spojrzał na pustynię i zapytał, czy wyobrażam sobie życie tutaj. Nie było w tym nic szczególnie wzniosłego. Powiedział, że mogliśmy podróżować i bywać w Stanach, ale chciałby, żebym została jego żoną i zamieszkała z nim w Australii. To wszystko.

– Czy ukląkł? – zapytała Amy.

– Nie. To nie w naszym stylu.

– Czyli...

– Nie wchodzimy w takie role, są już przestarzałe. Sama nie wiem. Raef nie przywiązuje wielkiej wagi do zwyczajów ani tradycji. Nie znam nikogo innego, kto tak jak on żyłby chwilą obecną. Nie znosi wszelkich ceremonii. Większość Australijczyków, których poznałam, ich nie lubi. Jeszcze mają kaca po panowaniu Brytyjczyków, choć przeważnie to już rdzenne kangury.

– Jak wygląda ta pustynia? – zapytałam.

– Och, ma piękne barwy. Jest głównie czerwona, ale to nie oddaje do końca rzeczywistości. Wszystkie drzwi do domu są stale otwarte, zasłonięte siatką, ale otwarte. I dużo czasu spędza się na ganku. Przesiaduje się na różnych gankach, w zależności od pory dnia. To w gruncie rzeczy społeczność rolnicza, chociaż chyba precyzyjniej należałoby powiedzieć „pasterska”. Hodują

tysiące owiec. Wszędzie, gdzie spojrzeć, są owce.

– A jego rodzina? – wcięła się Amy.

– Są kochani. Bardzo serdeczni. Zaznaczyli, że Raef nigdy wcześniej nie przywiózł do domu żadnej dziewczyny. To było komiczne, jak każdy odciągał mnie na bok, żeby mi to powiedzieć. Naprawdę zabawne.

– Wyznaczyliście już datę ślubu? – zapytałam.

– Odbędzie się wiosną – odparła. – W Paryżu.

Wyciągnęła szybko dłoń i ujęła mnie za rękę. To było dla niej typowe – nie chciała, żeby jej szczęście w jakimkolwiek stopniu sprawiło mi ból. Z uśmiechem spojrzała w moje oczy. Kiwnęłam głową. W porządku. Nic mi nie będzie. Może być Paryż.

– Żadnego znaku życia od tego, którego imienia nie warto wymieniać? – zagadnęła mnie Amy, kiedy przyniesiono nam drugi scorpion bowl. – Wciąż tak go nazywamy?

– Przeważnie mówimy o nim „ten dupek” – odpowiedziała Constance.

– Constance! – Amy się zaśmiała. – Ty mówisz o kimś „dupek”? Co się z tobą porobiło u tych kangurów. A niech mnie!

– Co mi tam – odparła Constance, sącząc koktajl przez słomkę. – Wrogowie moich przyjaciół są moimi wrogami.

Pochyliłam się i pocałowałam ją w policzek.

– Już doszłam do siebie – odparłam. – Przemineło z wiatrem.

– Usunął wszystko, tak mówi Raef – ciągnęła. – Profile na Facebooku, Instagramie, wszędzie. Zmienił nawet numer telefonu. Zniknął.

– O co tu chodzi, do cholery? – zdumiała się Amy. – Kto tak robi?

– Możemy zmienić temat? – poprosiłam.

– Poczekaj, spotykasz się z kimś? – nie dawała za wygraną. – Coś się święci?

Pokręciłam głową.

– Żyję jak kapłanka w celibacie – oznajmiłam. – Można by mnie złożyć w ofierze, wrzucić do wulkanu.

– Dziewczyno, musisz wrócić do gry.

– Też jej to mówię – zgodziła się Constance, kiwając głową i popijając koktajl.

– Poważnie – ciągnęła Amy. – Czasami trzeba zaszaleć. Twoja myszka wyschnie jak stara dynia.

– Myszka? – powtórzyła Constance z rozbawieniem.

– Pracuję – wyjaśniłam. – To wypełnia mi czas.

– Dobrze sobie radzisz? – zapytała Constance. – Sprawia ci to przyjemność?

– Jest... ciekawie. Wciąż słyszę w głowie głos tego, którego imienia nie warto wymieniać. „Nowy Jork to więzienie, które sami sobie stwarzamy” – zacytowałam grobowym głosem. – Nie więzienie, ale też nie piknik. Co do tego miał rację.

– Musisz więcej wychodzić z domu – zauważyła Amy, pijąc i mówiąc, mówiąc i pijąc. – Może gdzieś się zapiszesz.

– Razem z tymi wszystkimi hipsterami, którzy grają w dwa ognie albo w kręgle? – odparłam. – Męczy mnie sama myśl o tym.

– Byłaś na jakiejś randce? – indagowała Constance. – Zaliczyłaś ze dwie, prawda?

– Trzy – sprecyzowałam. – Ani razu nie była to kompletna kłapa, ale też żadne objawienie. Spotykam się ze znajomymi z pracy. Zawsze jest jakaś okazja, żeby się zabawić. Ktoś się żeni, awansuje albo...

– Robi sobie lifting dupy – podsunęła Amy.

– Robi sobie lifting dupy – powtórzyłam.

– Moja mama zawsze mówi, że po dwudziestce to chłopcy gonią za dziewczynami, a po pięćdziesiątce dziewczyny za chłopakami – skwitowała

Constance.

– A co u ciebie, Amy? Puść farbę.

– Na męskim froncie bez zmian.

– Myślałam, że chodzisz z facetem od paska z kłamrą – rzuciła Constance. – Tym, o którym nam mówiłaś.

– Z Bobbym – odparła z uśmiechem. – To kretyn, ale go lubię. Nic między nami nie ma. Jesteśmy tylko kumplami.

– A co z pracą?

– Mam gdzieś pracę, ale chciałabym działać weekendami w Habitat for Humanity. Staram się o to. Przyzwyczajam się do dźwigania pasa z narzędziami. Chcę kupić sobie pikapa. Naprawdę robi się ze mnie wsiok.

Kelnerka przyniosła nam rachunek. Wyjęłam kartę kredytową i oznajmiłam, że ja płacę.

– Jesteś pewna?

– Tak.

– Zamówiłabym jeszcze jednego drinka, gdybym wiedziała, że stawiasz – zauważyła Amy. – Dzięki, Heather.

– Jeszcze jedno – odezwała się Constance i wzięła nas obie za rękę. – Chciałabym, żebyście były moimi druhami. Tylko wy dwie. To będzie skromna uroczystość. Bardzo skromna. W Paryżu. Przepraszam, że ciągnę was aż tam, ale jeśli zarezerwujemy wszystko z odpowiednim wyprzedzeniem, powinno być miło.

– Za nic byśmy sobie tego nie darowały – odparłam. – W dodatku to Paryż, nie Cincinnati.

Amy pokiwała głową. A potem beknęła. Było to przeciągłe beknięcie, które przypominało odgłos powietrza uchodzącego z przebitej opony. Potem się uśmiechnęła i zawołała:

– Constance, jak mogłaś?!

Kelnerka przyszła uregulować rachunek. I było po lunchu.

44

Amy pożegnała się pierwsza.

– Na razie, baby! – rzuciła i wsiadła do taksówki. Miała spotkanie poza centrum.

Pomachałyśmy jej na pożegnanie, a potem odprowadziłam Constance na dworzec autobusowy. Zanim się rozstałyśmy i każda poszła w swoją stronę, przyjaciółka powiedziała mi, że Raef wciąż nie ma wiadomości od Jacka. To był nasz stały temat. Kiedy tylko miałyśmy okazję rozmawiać, zawsze go poruszałyśmy.

– Żadnych wiadomości? – upewniłam się ze ściśniętym żołądkiem. Przechodnie mijali nas szybkim krokiem.

– Żadnych. Jack się nie odzywa. Nieliczni wspólni znajomi... nikt z nich nie wie, gdzie się podziewa. To bardzo dziwne.

– Przepadł? Naprawdę przepadł?

Łagodnie pokiwała głową.

– Co to znaczy? – zapytałam. – Czy wiadomo, że żyje? Nie powinniśmy skontaktować się z jego rodzicami? Mogłabym do nich pojechać albo przynajmniej zadzwonić. Pod pretekstem oddania dziennika...

– Ja bym tego nie robiła, kochanie. Jack zniknął. Przy obecnych możliwościach kontaktu to musiała być z jego strony świadoma decyzja, no nie? Można zadzwonić, wysłać esemesa, skontaktować się przez FaceTime'a, e-mail i tak dalej. A on zatarł za sobą wszystkie ślady. Nie ma go na Facebooku, a wiesz, jak trudno usunąć stamtąd swój profil. Raef także się o niego niepokoi. Naprawdę się niepokoi.

– Sądzi, że Jack nie żyje? – zaryzykowałam, wyrażając swoją największą

obawę.

– Nie, raczej nie. Pamiętasz tamten dzień w Paryżu, kiedy ulotnili się gdzieś razem, a my poszliśmy do Notre Dame i oglądałyśmy posąg Matki Boskiej?

– Pamiętam – potwierdziłam.

– Raef nie chce o tym rozmawiać, ale dużo o tamtym dniu myślałam. Dziwnie się zachowali. Dlaczego się urwali, gdy zostało nam razem tak niewiele czasu w Paryżu? I dlaczego byli tacy tajemniczy?

– Rzeczywiście. – Odciągnęłam ją na bok, żeby ustąpić z drogi nastolatce pchającej po chodniku wózek z ubraniami. – Jack nigdy potem nie mówił, gdzie byli. A ja nie pytałam. Przypuszczałam, że coś kombinowali, jak to faceci. Może szykowali nam jakąś niespodziankę. Byłam głupia, tak mi się teraz wydaje.

– Już wtedy mnie to zastanawiało. I wciąż nie daje mi spokoju.

– Twoim zdaniem Jack zmienił wtedy zdanie? Pod wpływem czegoś, co wydarzyło się tamtego dnia?

Pokręciła głową na znak, że nie wie. To była zagadka. Popatrzyłam jej w oczy. Uśmiechnęła się łagodnie.

– Przykro mi, kochanie – odparła. – Powiedziałałabym ci, gdybym wiedziała. Naprawdę. Ale nie mam pojęcia, co się stało.

– Wciąż tego nie ogarniam.

– I nadal cierpisz?

– Uhm. Tak samo jak na początku. Pod pewnymi względami nawet bardziej. Wiesz dlaczego? Bo tak się sprzeciwiał robieniu zdjęć w najważniejszych momentach, że teraz nawet nie mam żadnych pamiątek. Wszystko, co się zdarzyło, jest jak sen. Naprawdę. Czy on w ogóle istniał? Nie mogę wrócić i na niego spojrzeć. Można by pomyśleć, że od początku planował to zniknięcie.

– Trzymaj się, Heather. Obiecuję, że dam ci znać, gdy tylko czegoś się

o nim dowiem, ale naprawdę nie mam nawet żadnych podejrzeń. Jack przepadł jak kamień w wodę. Rozpłynął się w powietrzu.

– Mam dziennik jego dziadka. Ale nie potrafię przewidzieć, gdzie i kiedy Jack się objawi.

– Czy ma kopię dziennika?

Wzruszyłam ramionami.

– Tak. Ale większość zapisków i tak zna na pamięć. Pewnie zależy mu na tym dzienniku bardziej niż na czymkolwiek innym w życiu.

– I pozwolił ci go zatrzymać? A potem nie zadzwonił ani nie napisał, żeby poprosić o jego zwrot? To coś mówi, kowbojko.

– Nie rozmawiam już po jackowemu. Staram się zapomnieć ten język. Mam uczulenie na jackizmy.

Constance uściskała mnie na pożegnanie.

– Muszę lecieć. Już za tobą tęsknię.

– A ja za tobą.

– Fajnie było zobaczyć się z Amy. Wciąż z niej twardzielka.

– Jest silna. Wszystkie jesteśmy silne, prawda?

Pokiwała głową, ale potem uściskała mnie ostatni raz i pospiesznie odeszła.

Sobotnie poranki, jogging wokół jeziora. Wieczorem Krwawa Mary w barze przy Fifty-Sixth, który lubisz, albo wczesny drink z przyjaciółką, przedstawienie w Soho, nowa galeria, którą należy odwiedzić, wernisaż. W niedzielę rano „The New York Times” – stara, poczciwa „The Gray Lady” [10](#) – rozłożony na kanapie w twoim mieszkaniu, podczas gdy ty piszesz esemesy i odpowiadasz na e-maile; potem próbujesz rozwiązać krzyżówkę, przeczytać wstępniak, zmusić się do przejrzenia informacji giełdowych. Później trochę kultury, coś dobrego i poważnego, MoMa albo Frick, twoje ulubione muzeum, spacer przez park, żeby popatrzeć na kaczki, potrzeć nos

Balta, sprawdzić, czy Alicja w Krainie Czarów pozostaje niezmiennie dziecięca i przerośnięta. Przyszła zima, to już nie przelewki, więc gawędzisz z mamą o ciuchach, wybierasz się na zakupy, uzupełniasz garderobę. Planujesz wyjazd na narty do Vermontu i dokonujesz rezerwacji. Rozmawiasz ze swoim szefem, nawet z trójką szefów, w związku z japońskimi klientami, a oni sugerują, żebyś szlifowała język, więc w czwartki rano pijasz herbatę z instruktorem z Japonii, panem Hayesem, który – jak odkrywasz – jest tylko w części Japończykiem, ale dobrze zna japoński. Ćwiczysz kaligrafię, malujesz tuszem za pomocą pędzelków, a któregoś razu pan Hayes przynosi wazonny oraz gałązki forsycji i organizuje – dla waszej piątki, młodszych pracowników korporacji – lekcję ikebany, tradycyjnej japońskiej sztuki układania kwiatów. Dostajesz trzy pędy forsycji i masz znaleźć pomiędzy nimi harmonię, co nie jest łatwe, ani po japońsku, ani po angielsku, ale nie dajesz za wygraną, konwersujesz z pozostałymi uczniami, z panem Hayesem, a po powrocie do biura odpowiadasz kiwnięciem głowy na pytania i mówisz, że nauka języka idzie dobrze.

„Nowy Jork, Nowy Jork, to jest, cholera, miasto” [11](#).

W poniedziałki po pracy joga, we wtorki siłownia, głównie kobiety, wszystkie pedałużą jak szalone, czasami w ciemności, a ty mimowolnie przypominasz sobie słowa Jacka, że Nowy Jork to więzienie, które budują dla siebie jego mieszkańcy, bo gdy spojrzeć z innej perspektywy, siłownia to miejsce dla wariatek. Jednak ćwiczysz dalej i przeżywasz w tym mieście piękne chwile, prawdziwe nagrody, jak zachód słońca za budynkiem Chryslera, niesamowity bębniarz na Union Square, monolog kobiety imieniem KoKo, która odgrywa żonę King Konga, wypominając mu ze złością, że porzucił ich ojczystą wyspę. Zabawna scenka, taka nowojorska. Dla hipsterów, tych, którzy się znają, wtajemniczonych.

Od czasu do czasu randka, choć brak ci do niej przekonania. Kilka drinków

z pewnym prawnikiem i krótki flirt z hokeistą, który twierdzi, że grał w drużynie Rangersów, ale kiedy próbujesz go wygoogłować, jego nazwisko nawet nie pojawia się w wyszukiwarce. Rozmowy telefoniczne z koleżankami, wymiana wrażeń z nieudanych randek, wisielczy humor w każdej ze smutnych opowieści o męskich niedostatkach czy kapryśnych sercach, wizyta taty, który zabiera cię na elegancką kolację tu, w samym centrum. Nieźle, naprawdę nieźle, masz wszystko, każdą rzecz, twoja mama przyjeżdża w sobotnie popołudnia na spektakl teatralny, czasami ze swoją przyjaciółką Barbarą, więc przyłączasz się do nich, w drobnomieszczkańskim obłoku perfum; aktorzy na scenie często bywają nieźli, ale to przecież Broadway, więc jeśli to wytrzymasz, wytrzymasz wszystko.

„Nowy Jork, Nowy Jork, to jest, cholera, miasto”.

Starasz się nie myśleć o tym, którego imienia nie warto wymieniać. Jackie O., Jack i Jill, ten dupek Jack. Nie myślisz o tamtej nocy w Berlinie, kiedy wasze ciała stopiły się w jedno, ani o chwili, gdy stałaś nad kanałem w Amsterdamie i patrzyłaś na przepływającego pod kamiennym mostkiem łabędzia. Nie myślisz o tym, że życie z Jackiem byłoby ciekawsze, prawdziwsze, bardziej autentyczne. Nie możesz pozwolić, żeby twój umysł zapuszczał się w te rejony, ale w jasnoniebieskim blasku kursora szukasz go w sieci, tropisz jego elektroniczne ślady.

Mecz futbolu amerykańskiego w Central Parku, na Sheep Meadow, potem całą grupą przenosicie się do baru przy East Side, skrzydełka i piwo, dorośli faceci w sportowych bluzach, dzinsach i brudnych trampkach. Oklaski dla drużyn Giantsów, Coltsów, Notre Dame albo USC; masz dobry humor i bierzesz w tym udział, przypominając sobie, że tego właśnie chciałaś. Wiedzie ci się, naprawdę, zbierasz dobre opinie, chwali się szef zespołu, w poniedziałek wczesnym rankiem wszystko zaczyna się od nowa. To nie żadne więzienie, ależ skąd, tysiące dziewczyn, tysiące facetów z radością

zamieniłoby się z tobą miejscami. Nawet twój tata się uśmiecha, kiedy słyszy, jak dobrze sobie radzisz, bo jesteś jak gepard, szybka i zabójcza, nikt cię nie przebije. Dwukrotnie wybierasz się do klubu, żeby potańczyć, pijesz za dużo i parę razy sztachasz się obrzydliwym jointem, a potem pozwalasz, żeby kilku facetów się do siebie przystawiało, choć ich intencje nie budzą wątpliwości. W głębi duszy przyznajesz, że pozwalasz na te macanki, bo czujesz się strasznie samotna, ale tańczysz dalej, przypominając sobie Amy i Constance, przypominając sobie Amsterdam, i czasami to wydaje się snem, jak wyrzucona sałatka wrażeń, nadziei i odczuć. Później idziesz poszukać koleżanek, zamówić następną kolejkę.

„Nowy Jork, Nowy Jork, to jest, cholera, miasto”.

Rzadko, w burzowe noce, czytasz dziennik dziadka Jacka. Tylko wtedy, gdy serce potrzebuje deszczu. Siadasz przy oknie i wyglądasz na zewnątrz, powietrze wpada do środka, a ty czujesz ból, ostry, gwałtowny i wręcz pożądany. Czytasz, marzysz i wspominasz, i czujesz się stara, jak ktoś, kto patrzy wstecz zamiast przed siebie, i zastanawiasz się, gdzie Jack jest tej nocy, w tej chwili, czy w ogóle o tobie myśli. Po raz tysięczny wracasz do tamtego, przypominasz sobie to okropne uczucie w sercu, kiedy zrozumiałaś, zyskałaś pewność, że on już nie przyjdzie. Że wszystko, co się stało wcześniej, to jakiś mit, historia, którą opowiadamy w godzinach przed świtem. Mówisz sobie, że odesłałabyś mu dziennik, gdybyś znała adres, ale tak nie jest, na pewno nie, i po trzecim kieliszku wina te słowa, strony zaczynają zlewać się ze sobą, stają się nieczytelne, do pokoju wpada wiatr i robi się zimniej, następuje oberwanie chmury i na parapet padają krople deszczu.

Zimnego marcowego ranka wjechałam na ziemię Jacka w Vermoncie. Silnik

wynajętego samochodu tłoczył tyle ciepła przez otwory wentylacyjne w desce rozdzielczej, ile tylko się dało. Zaparkowałam przed jego domem – w każdym razie pod dawnym adresem – i wzięłam kawę z zagłębienia obok przekładni biegów. Spojrzałam na GPS w swoim telefonie, a potem na szereg sklepów, które się tu znajdowały. Nie mogłam się pomylić. Wyjęłam z plecaka dziennik. Na farmie Jackowego dziadka, stanowiącej punkt wyjścia zapisków, za którymi podążał Jack, wyrósł ponadhektarowy parking, sklep z rękodziełem artystycznym, sklep z akcesoriami kuchennymi, restauracja Maple Syrup i outlet firmy z odzieżą dla puszystych.

Przez chwilę tylko popijałam kawę i patrzyłam przez oszronioną szybę. Potem zadzwonił telefon, więc odebrałam.

– Trafiałaś? – zapytała Amy.

– Chyba tak. Teraz jest tu minicentrum handlowe.

– Tak chyba mówił, no nie?

– Uhm. Ale wyobrażałam to sobie inaczej.

– Czyli jak?

– Och, piękny stary dom na farmie, biały płot ze sztchet.

– Przecież powiedział ci, Heather, co się stało z farmą. Mówił, że została sprzedana.

– Wiem, wiem, wiem.

– To daleko?

– Z półtorej godziny jazdy, ale drogi były kiepskie. Jest przeraźliwie zimno.

– Wyobrażam sobie. Z powodu mrozu Constance nie może dziś rano nawet pojeździć na nartach. Zamierza wyjść za jakiś czas, kiedy się ociepli.

Zatrzymałyśmy się razem w apartamencie w Sugarbush. Babski wypad na tydzień. Moja mała wycieczka miała na celu odnalezienie rodzinnego domu Jacka. Zamierzałam przy okazji zrobić zakupy, z winem, dużą ilością wina, włącznie.

– Przyjazd tutaj był głupotą – orzekłam, bo wreszcie w pełni zdałam sobie z tego sprawę. – Sama nie wiem, co spodziewałam się tu zobaczyć.

– Wracaj do nas – poradziła Amy. – Przy tobie nie będę czuła takiej presji, żeby wybrać się z Constance na narty.

– Niedługo będę z powrotem. Chcę się tu tylko trochę rozejrzeć.

Nic nie odpowiedziała. Moje przyjaciółki, jak zauważyłam, starały się nie mówić za wiele swojej stukniętej kumpelce, która dostała obsesji na punkcie faceta poznanego w pociągu z Paryża do Amsterdamu. Wstrzymywały się z komentarzami i gryzły w język, co na pewno nie było łatwe.

– Skoro już tam jesteś, powinnaś wstąpić do biblioteki i dowiedzieć się czegoś o jego rodzinie. Lokalne biblioteki to dobre źródło informacji.

– Może to zrobię.

– Nie trać tam całego dnia, Heather. Nie warto. Wracaj do nas.

– Zostanę jeszcze trochę – odparłam.

– Czy to rozsądne, kotku?

– Nieważne, rozsądne czy nie. Muszę to zrobić. Myślę też, żeby zadzwonić do jego rodziców i sprawdzić, czy nic mu się nie stało. Czuję, że coś się za tym kryje, Amy. Dam głowę.

Znowu nic nie powiedziała.

– Bo... – zaczęłam, zastanawiając się, próbując sformułować to, co chciałam wyrazić. – Bo po prostu... jeśli Jack był ze mną szczery, to już nie wiem, w co wierzyć, a w co nie. Naprawdę nie wiem. Wszystko wydaje się fałszem.

– Wiem, kochanie.

– Jeżeli się pomyliłam...

– Nie pomyliłaś się. To tylko jeden z tych przypadków. Jeden z tych przypadków, kiedy nie wychodzi.

– Chciałabym go znienawidzić. To by mi bardzo pomogło.

– Może z czasem znieawidzisz. Zawsze jest nadzieja.

To miał być żart. Chciała rozluźnić atmosferę.

Rozłączyłyśmy się, dodawszy przedtem kilka pozycji do mojej hipotetycznej listy zakupów, a potem jeszcze przez jakiś czas siedziałam w samochodzie.

Co ja tu robię? – zachodziłam w głowę, dopijając kawę. Odkąd ostatni raz widziałam Jacka, minęło pół roku. A teraz, podczas wyjazdu na narty z przyjaciółkami, postanowiłam opuścić je na jeden dzień, żeby zobaczyć... co takiego? Co spodziewałam się znaleźć? Nawet gdybym trafiła na coś z przeszłości Jacka, i tak bym się nie dowiedziała, gdzie jest teraz, co robi, dlaczego zniknął z życia, i nie tylko mojego. Poza tym to było żalosne babrać się w jego historii; czułam się jak prześladowca, chociaż Jack nie był żadnym celebrytą, a ja – stalkerem, taką przynajmniej miałam nadzieję.

Wyłączyłam silnik i wysiadłam. Uderzyło mnie zimno. W prognozach pogody zapowiadano nadejście frontu arktycznego i w nocy bardzo spadła temperatura. Było dwadzieścia stopni poniżej zera i panowało zachmurzenie. Szybko przecięłam parking i wpadłam do sklepu z akcesoriami kuchennymi. Nad drzwiami zadźwięczał dzwonek.

– Zimno, co? – zagadnęła kobieta w czerwonym fartuchu.

Układała ręczniczki do herbaty.

– Niemożliwie – odparłam. – Straszliwy ziąb.

– Marzec ma być już niby cieplejszy, ale dla mnie to zawsze najgorszy miesiąc zimy. Tyle obiecuje i za każdym razem sprawia zawód.

– Rzeczywiście – potwierdziłam. – Przeważnie tak bywa.

– Szuka pani czegoś?

– Nie, tylko się rozejrzę, ale dziękuję.

Chciałam powiedzieć: Poznałam pewnego faceta i zakochałam się w nim; kiedyś ziemia, na której stoją teraz te sklepy, należała do niego, a przynajmniej

do jego dziadków; on przepadł bez wieści, a pani tu pracuje, może więc coś pani o nim wie...

Ale brzmiało to niedorzecznie, nawet dla mnie.

46

Najgorsze picie, to, które wpędza cię w kłopoty, jest niezaplanowane, podstępne. Jeśli chcesz się znietrzeźwić, zwykle masz jakiś plan, założone tempo, tymczasem taka zdradziecka popijawa sprytnie to wszystko omija. Zaczynasz od jednego drinka, na przykład po południu, i ten jeden prowadzi do drugiego, a że przedtem za mało zjadłaś – przynajmniej w stosunku do ilości alkoholu, jaki w siebie wlewasz – po niedługim czasie jesteś bardziej pijana, niż powinnaś, wręcz zalana. Ponieważ niczego takiego nie przewidywałaś, traktujesz to jak miłą niespodziankę, jak nieoczekiwanego gościa, którego częstujesz kolejnymi drinkami, zachwycona, że znalazłaś się w tak błogim stanie, chociaż nie zamierzałaś wypić więcej niż jedną szklaneczkę.

O czwartej po południu ostatniego dnia naszego babskiego wyjazdu wylądowałam pijana w barze „po nartach” z pięcioma młodymi mężczyznami z drużyny narciarskiej University of Vermont. Constance i Amy tkwiły obok mnie przy kominku, równie pijane, w radosnym, beztroskim upojeniu alkoholowym, w towarzystwie piątki atrakcyjnych facetów.

Rozmawialiśmy o brwiach.

Rozmawialiśmy o brwiach, ponieważ jeden z chłopców z Vermontu, Peter, przedstawił teorię głoszącą, że gęstość i grubość brwi wiele mówi o gęstości i grubości intymnych części kobiecego ciała. O jaką gęstość i grubość mogło chodzić w odniesieniu do waginy, nie dawało się ustalić, ale to w niczym nie przeszkadzało popołudniowej pijackiej dyskusji o tym, czy brwi rzeczywiście mają cokolwiek wspólnego z innymi elementami naszej anatomii. Peter –

wysoki, przystojny i beznadziejnie zarozumiały – upierał się, że to prawda.

Wszyscy oni nosili kraciaste koszule, polarowe bluzy i śmieszne wełniane czapki. Byli jak gromada szczeniąt, a Amy, w swoim najbardziej diabolicznym wcieleniu, lubiła bawić się ze szczeniętami.

– Więc mówisz – podjęła, skłaniając pozostałych do zdefiniowania pojęć – że jak dłonie i stopy u mężczyzny świadczą o rozmiarze i możliwościach jego organu płciowego, tak u kobiety świadczą o tym brwi? To fascynująca teoria.

Odciągnęła pasek dżinsów i zajrzała za niego. Potem, otworzywszy szeroko oczy, popatrzyła na chłopców. Ci ryknęli śmiechem.

– O rany, to prawda! – oświadczyła.

Chłopcy zaśmiali się znowu.

– Niedawno czytałam, że nie ma żadnego związku między rozmiarem dłoni a wielkością członka – odezwała się Constance, jak zawsze podchodząc do sprawy naukowo. – To podobno mit.

– Dzięki Bogu! – zawołał jeden ze szczeniaków, podnosząc rękę.

Ujęłam ją i przyjrzałam jej się uważnie. Była mała.

– Jeszcze jedna kolejka! – wykrzyknął Peter, prowodyr, do barmana imieniem Thomas.

Piliśmy piwo. Vermonckie long trail. A wcześniej zaliczyliśmy dwie kolejki Jacka Daniel'sa. Wydawało mi się, że w moim brzuchu łączą się dwie rzeki.

– Miałoby więcej sensu – ciągnęła Amy – gdyby grubość brwi kobiety mówiła coś o jej temperamencie. To mogłoby być prawdą. Kobiety o grubych brwiach są namiętne, bardziej niż kobiety o cienkich brwiach. I wszystko by się zgadzało.

– Ja mam cienkie brwi! – zauważyła Constance.

I chłopcy znowu wybuchnęli śmiechem.

– Wzgórek Wenus, gruba, mięsista część dłoni pod kciukiem – zaczęłam,

zauważając, że jakoś trudno mi mówić wyraźnie – ma wskazywać na duży temperament. A grubsza część u podstawy kciuka... świadczyć, że ktoś jest dobrym kochankiem albo kochanką.

Wszyscy chłopcy pomacali swoje kciuki. No jasne.

To była popołudniowa pijacka dyskusja, dopóki Peter nie zapytał, czy mamy ochotę na jointa. Pytając o to, miał na myśli: „Spadajmy stąd, idźmy gdzie indziej, zobaczymy, co przyniesie to popołudnie”.

I być może, prawdopodobnie, kierował tę propozycję głównie do mnie.

– Leci na ciebie – powiedziała Amy, stojąc w łazience przed lustrem. – Peter, najprzystojniejszy.

– Wszyscy są przystojni! – zawołała Constance zza drzwi ubikacji.

– To szczenięta – odparłam, bo nimi byli.

– Szczenięta czy nie – orzekła Amy, szukając w torebce błyszczczyka – są uroczy. I świetnie zbudowani. I nie oceniają. Chcą się tylko zabawić.

– Więc mamy ochotę na jointa? – zapytałam. – Mówili też coś o jacuzzi.

– Nie idę do żadnego jacuzzi! – oznajmiła Constance. Spuściła wodę w toalecie i wyszła. – Nie ma mowy. Im chodzi tylko o jedno, wierzcie mi.

– Jasne, że chodzi im tylko o jedno – odparła Amy. – I w tym cała rzecz, no nie?

Wszystkie trzy stanęłyśmy przy umywalkach z lustrami. Wymieniłyśmy spojrzenia i uśmiechnęłyśmy się szerzej, kiedy w jednej chwili dotarło do nas, jak świetnie się bawimy i jak bardzo jesteśmy sobie bliskie – i że tamci chłopcy są dla nas jedynie rozrywką, miłą, atrakcyjną rozrywką, ale niczym więcej.

– Chcę tylko wziąć jednego z nich na kolana i popieścić – skwitowała Amy.

– Którego? – zapytała rzeczowo Constance.

– Tego małego. Jak na niego mówią?

– Chyba Munchie – odparłam. – Trudno powiedzieć.

– Dawno nie spotkałam takich niewinnych chłopców – zauważyła Constance. – Ci nasi muszą się jeszcze dużo nauczyć.

– Są młodzi – stwierdziłam. – Tacy młodzi jak my jeszcze nie tak dawno temu.

– Nie jesteśmy wiele starsze – sprzeciwiła się Amy. – Nie rób ze mnie staruszki, dobra?

– Ale już wiele przeszliśmy – poparła mnie Constance. – Rozumiem, co Heather ma na myśli.

Amy wyciągnęła rękę i obie z Constance położyłyśmy na niej dłonie. Darowałyśmy sobie nasze rytualne zawołanie, wykonałyśmy jedynie gest. Było około piątej, Vermont leżał pod śniegiem.

47

Pocałowałam się z Peterem i było nawet przyjemnie.

I dziwnie, bo od kiedy całowałam się z Jackiem, minęło pół roku. Pół roku, od kiedy kogoś obejmowałam i byłam obejmowana, więc teraz, ostrożna i bardzo pijana, cieszyłam się, że złamałam zakłęcie.

– Jesteś jak księżę, który budzi Śpiącą Królową – powiedziałam. – Długo, długo spałam.

– Ale już nie śpisz?

– Nie. Zbudziłam się.

– Masz zniewalające brwi – oświadczył.

Pocałował mnie znowu. Był to lekki, niezobowiązujący pocałunek, ale kryjące się pod nim instynkty wymagały rozwagi. Wręcz się o nią dopominały. Po wypaleniu jointa siedzieliśmy w jacuzzi i za chwilę miała dołączyć do nas Amy z kolejną falą szczeniąt z drużyny narciarskiej, ale na razie nie było ich na horyzoncie. W basenie, w części brodzikowej, bawiły się dzieci. Mamy

siedziały przy stoliku i je obserwowały, ale jacuzzi znajdowało się na tyle daleko, po przeciwnej stronie pomieszczenia, że Peter pochylił się, delikatnie ujął mnie za kark i przyciągnął do siebie.

Pocałunek w kostiumie kąpielowym liczył się podwójnie.

Miał piękne ciało. Wyglądał jak młody angielski aktor, jeden z tych wspaniałych facetów, który występują w dramatach stacji PBS, wysoki, smukły potomek klasy rządzącej, ładne włosy, ładne zęby i spojrzenie sugerujące długie spacerowanie z krążącym wokół labradorem retrieverem, a później, po południu, przejażdżkę konną i filiżankę herbaty. Innymi słowy, był bardzo przystojny i wiedział o tym, co stanowiło poważną wadę.

– To basen rodzinny – zwróciłam mu uwagę, gdy pocałował mnie drugi raz. Jego dłoń błędziła pod wodą. Nie jakoś niestosownie, tylko z ciekawością.

– Moglibyśmy się przenieść w bardziej ustronne miejsce.

– Tak?

– Tak.

– I co byśmy robili w tym bardziej ustronnym miejscu?

Pocałował mnie kolejny raz.

Nie sprzeciwiłam się. Ale też go nie zachęcałam.

Do głowy cisnęły mi się myśli: Ile wypiałam? Jak bardzo jestem pijana? Czy mogę Peterowi zaufać? Gdzie jest Amy?

I co z Jackiem?

Właśnie, co z Jackiem? – zadałam sobie pytanie. W tej chwili nie bardzo brałam go pod uwagę. Nie brałam go pod uwagę, gdy Peter pochylił się i pocałował mnie znowu. Tym razem jego ręce zaczęły poczynać sobie śmieiej, a ja, pijana, w cieple, powoli ustępowałam, bo był taki atrakcyjny. Niewątpliwie atrakcyjny, ale też pewny siebie, pełen młodzieńczej wiary, że może mieć to, co mu się spodoba, i mieć tego, ile zechce, więc powiedziałam sobie, że nie będę utwierdzać dupka w tym przekonaniu, ale muskały mnie jego

dłonie, woda była ciepła, więc zapytałam samą siebie: Dlaczego nie, dlaczego nie, dlaczego nie? Na co czekam?

Amy zjawiała się w samą porę.

– Co u was, gołąbeczki?

Ciągnęła za sobą dwóch chłopców. Bezceremonialnie rzuciła swój ręcznik i weszła do jacuzzi. Tamci dwaj, Jeff i Munchie, podążyli za nią. Munchie uśmiechał się nieprzytomnie. Był najbardziej naćpany i rzucał głównie dowcipy o ziele. Miał rozanielony uśmiech.

Jeff, o ostrych rysach, potężnie umięśniony, na nasz widok znacząco poruszył brwiami.

– Orgia – zauważył. – Kto się przyłącza?

– Faktycznie – potwierdził Munchie. – Orgietka jak się patrzy.

– Śnijcie dalej, głupole – rzuciła Amy.

Munchie wyszczerzył do niej zęby. A Jeff zanurzył się po nozdrza.

Peter pod wodą musnął moje udo.

– Heather i ja myśleliśmy o tym, żeby przenieść się gdzie indziej – powiedział. – Prawda, Heather?

Próbowałam oprzytomnieć. Rzeczywiście taki mieliśmy zamiar? Rozumiałam, skąd ten pomysł, ale nie byłam pewna, czy coś wspólnie uzgodniliśmy, więc łagodnie pokręciłam głową.

– Chyba o tym nie rozmawialiśmy – odparłam. – Nie padły żadne obietnice.

Peter musnął moje plecy i biodro.

– Chyba będziecie się kochać – skomentował Munchie. – Cholerni szczęściarze.

– Zamknij się, Munchie – nakazał Jeff.

– Ale tak jest. Spójrz tylko na nich! Mają ciężkie powieki. Są zac zadzeni, napaleni i podjarani.

Peter się do niego uśmiechnął. Był to uśmiech, jaki wymieniają faceci, i nie

bardzo mi się spodobał.

– Nie dzielcie skóry na niedźwiedziu przed zachodem słońca – rzuciłam.

Coś pokręciłam z tym porzekadłem. Próbowałam je poprawić, ale nie mogłam sobie przypomnieć, jak brzmi.

Peter uśmiechnął się szerzej. Jeff zanurzył się głębiej.

– Musimy jeszcze się napić – powiedział.

– I najarać – dodał Munchie.

Peter wstał i wyciągnął do mnie rękę.

Pod kąpielówkami miał wzwód. Starał się go ukryć, ale daremnie.

– Gotowa? – zapytał.

Nie czułam się gotowa.

– Poczekajmy jeszcze chwilę – poprosiłam.

Peter znowu się uśmiechnął. Ponownie wyciągnął dłoń.

– Chodź – rzekł.

– Ja tu jeszcze zostanę – odpowiedziałam. – Usiądź. Jest tak przyjemnie.

Pochylił się, żeby wziąć mnie za rękę.

I wtedy dostał od Amy.

Amy walnęła go tak szybko, tak zdecydowanie, że wszyscy osłupieli.

W jednej chwili jeszcze siedziała w wodzie, przyglądając się, żartując ze szczeniętami, a już w następnej wynurzyła się z jacuzzi jak wielki biały rekin polujący na fokę i uderzyła Petera mocno w pierś. Biedak aż przysiadł po drugiej stronie wanny.

– „Jeszcze nie” znaczy „jeszcze nie”, ty palancie! – wrzasnęła.

Nawet gdy zamilkła, jej głos niósł się po pływalni. Wszyscy ucichli, co do jednego.

– Widziałyście, jak wychodziliśmy z klubu – zaczęła Amy. – Alfred i ja. We dwoje. Czy we dwóch? Nie, we dwoje, prawda? Ale pamiętacie?

Poderwałam go. Miał takie okropne, długie palce.

– Jasne, że go pamiętamy – odparła Constance.

Potwierdziłam skinieniem głowy. Siedziałyśmy w kuchni naszego apartamentu, przy stole w kształcie bloku rzeźnickiego. Constance zrobiła sałatkę z resztek makaronu z serem. Odstawiłyśmy alkohol. Amy popijała herbatę. Wszystkie byłyśmy w piżamach. Czułam się wykończona, skacowana i beznadziejnie głupia. Przede mną stała butelka wody. Na wspomnienie Petera i popołudniowego incydentu w jacuzzi Amy zaczęła opowiadać o Alfredzie z Amsterdamu. Teraz lepiej rozumiała, co się wtedy stało. Dzięki terapii na światło dzienne wyszły pewne sprawy.

– Tak czy owak – ciągnęła – mieliśmy pójść do niego. Zatrzymaliśmy się po drodze i zjedliśmy na spólkę brownie. I od tego brownie dostałam kopa. Nigdy w życiu nie byłam na takim hajcu. Nawaliłam się straszliwie, biorąc pod uwagę wszystko, co wcześniej wypiliśmy i wypaliłyśmy.

– Myślisz, że dodatkowo zaprawił tamto brownie? – zapytałam.

Wzruszyła ramionami.

– Trudno powiedzieć. Możliwe. A może po prostu to był dobry towar. Oczywiście zjadłam za dużo, jak to ja. Zawsze tak robię, przez całe życie. Nie byłabym sobą! Wiecie, jak jest. To moja ciemna strona, drugie ja. Tabitha, terapeutka, do której chodzę, pomaga mi wyzwolić się od tego. Mówi, że nie zawsze muszę przewodzić. To dla mnie objawienie.

Pociągnęła łyk herbaty. Wyglądała promiennie, gdy tak siedziała w małej kuchni, z potarganymi jak zwykle włosami, świdrując swoimi szarzielonymi oczami wszystko dookoła.

– Nie chcę zamęczać was drastycznymi szczegółami, ale zaczęliśmy się obściskować, a wtedy on powiedział: „To łódka kumpla”, czy coś takiego, więc weszliśmy na jej pokład. Zdecydowałam jednak, że się z nim nie prześpię, gdy nagle się okazało, że nie mogę ustać na nogach. To wszystko, co

jako tako pamiętam. Resztę historii znacie równie dobrze jak ja. Moje rzeczy przepadły. Facet chciał mnie obrobić. Dlatego się do nas przykleił. To znaczy do mnie.

W jej oczach nie było łez. W zamyśleniu piła herbatę, niemal zdziwiona, że coś takiego jej się zdarzyło i że w końcu nam o tym opowiedziała.

– To musiało być tamto ciastko, no nie? – zapytała po chwili Constance, która oczywiście musiała znaleźć konkretną, namacalną przyczynę.

Nie byłam pewna, czy Amy potrzebuje takich wyjaśnień. Nie w tym przypadku.

– Pewnie tak. Miało trochę chemiczny smak, ale kto wie? Coś mnie załatwiło. Jedno muszę facetowi przyznać. Nie tknął mnie palcem. Jestem tego pewna. Miałam na sobie wszystkie ciuchy, żadnych śladów gwałtu. Pod tym względem zachował się jak dżentelmen.

Constance wyciągnęła rękę nad stołem i ujęła dłoń Amy.

– Och, dajcie spokój, przecież się domyślałyście. – Pokiwała głową. – Jestem pewna, że w ten sposób mnie nie skrzywdził. Stało się i już. Obyło się bez poważniejszych konsekwencji, oprócz urazu psychicznego. Ale może to nawet dobrze, bo zaczęłam zadawać sobie poważne pytania. Na przykład po co szwendałam się po obcym mieście z typem, którego dopiero co poznałam w barze o niedorzecznej porze?

– To była nasza wina – orzekła Constance. – Nie powinnyśmy były cię puścić. Nie mogę sobie tego darować.

– Naprawdę myślisz, że zdołałybyście mnie powstrzymać? Obie chciałyście mi powiedzieć, że powinnam trochę przystopować z tymi wszystkimi facetami, no nie? Wiem, że tak. Ale wtedy bym nie posłuchała. Teraz to co innego.

– I dlatego uderzyłaś Petera – stwierdziłam.

– I dlatego uderzyłam Petera, głupiego szczeniaka. Uważam, że w tych

sprawach decyzja należy do kobiety. Jeśli ona nie chce, do niczego nie dojdzie. Nie przy mnie. Przepraszam, jeśli mnie poniosło. Wydawało mi się, że facet naciska. A ty nie byłaś jeszcze gotowa, Heather.

– Nie wiem, byłam czy nie. Nie będę udawać, że nie myślałam o pójściu z nim do łóżka.

– Może rzeczywiście mnie poniosło. Niewykluczone. Ale lepiej być ostrożnym, no nie? Zawsze jeszcze możesz się z nim przespać. Z nim czy z innym.

Dopiła herbatę, podeszła do zlewu i umyła kubek, po czym ponownie usiadła przy stole.

– To wszystko. Cała historia – podsumowała.

– Coś musiało być w tym brownie – nie ustępowała Constance. – Widziałam cię na imprezach, Amy. Ciebie nic nie zmoże.

– A jednak coś mnie zmoгло. I to jak! Ale prawda jest taka, że we mnie samej musiało być coś, co sprawiło, że naraziłam się na to wszystko. Nie wyobrażacie sobie, żeby Ellie Pearson szwendała się ulicami Amsterdamu z takim typem jak Alfred, prawda?

Ellie Pearson była najprzyzwoitszą z przyzwoitych dziewczyn w Amherst College. Zawsze gdy narozrabiałyśmy, traktowałyśmy ją jako punkt odniesienia.

– Nie, Ellie Pearson na pewno po nocy nie szwendałaby się ulicami Amsterdamu z Alfredem – przyznałam.

– Więc sama jestem sobie winna – zakonkludowała Amy. – Miło byłoby myśleć inaczej i tak nienawidzę Alfreda, że gdybym tylko mogła, tobym go zadźgała, ale w jakiejś części poczuwam się do odpowiedzialności za to, co się stało. Wiecie, o czym dużo ostatnio myślę? O tym, że niczym mnie nie przykrył. Nie był na tyle przyzwoity, żeby chociaż o to zadbać. To strasznie przykre, że inny człowiek mógł mnie tak potraktować. Nie wiem, czy na tamtej

łodzi było coś, co by się do tego nadawało, ale wtedy myśl o całym tym zdarzeniu byłaby znośniejsza. To pewnie głupie z mojej strony. Chciałabym znaleźć się pod kocem i nie musieć iść do szkoły.

Uścisnęła nad stołem nasze ręce.

– Nic mi nie jest – powiedziała. – Naprawdę. Nie róbcie z tego zdarzenia wielkiej sprawy, dobra? Nie ignorujcie go i nie udawajcie, że nie miało miejsca, ale też nie róbcie zboliałych min za każdym razem, kiedy wypłynię w rozmowie. To już fakt z mojego życia i nie ma co go wyolbrzymiać. Jesteście ze mną?

Kiwnęłyśmy głowami.

– Chyba powinnam przeprosić Petera – zauważyłam.

– Nie ma za co, kurwa – ofuknęła mnie Constance.

To słowo w jej ustach było czymś tak zaskakującym, że obie, Amy i ja, parsknęłyśmy śmiechem.

– Miał wzwód, kiedy wstał – wyjaśniłam. – Starał się to ukryć.

– Kretyn – stwierdziła Amy. – Myślał, że sobie poużywa.

– Mnie też to przyszło do głowy, przyznaję. Dobra, idę spać – odparłam. – Padam z nóg. Nie mam zwyczaju pić piwa w środku dnia.

Uściskałam je. Constance rozmawiała jeszcze z Amy o swoich ślubnych planach. Przyjemnie było słyszeć ich głosy w ciemności.

Paryż

48

Znowu Paryż. Paryż wiosną. Paryż, gdy kwitną kasztany. Kiedy Sekwana płynie swobodnie, kiedy kafejki, jeszcze senne po zimie, zaczynają ożywać i kelnerzy w białych fartuchach podnoszą markizy, żeby do klientów docierało słońce. Niezliczone miotły szurają po bruku, budząc go do życia, utlenione dachy lśnią zielenią niczym zawiesina na stawie, tulipany, tysiące tulipanów, zaskakują cię błyskiem kolorów, zapowiadając ciepło. Kobiety zagląдают do szaf i wyjmują lżejsze ubrania, niepewnie, bo pogoda może się jeszcze zmienić, mogą wrócić chłody, ale warto zaryzykować i włożyć jakiś ulubiony ciuch; nagle pojawiają się kapelusze, fantastyczne kapelusze, i stale, to tu, to tam, coś przykuwa twój wzrok, bo to Paryż, wiosna, a ty jesteś młoda.

Constance przed ślubem jest zakochana, ma być panną młodą, i wszystkiemu przydaje takiego wdzięku, takiego uroku, że myślisz: „Taki właśnie powinien być ślub, takie powinny być wszystkie śluby”, a Raef, przystojny Raef, rozpieszcza ją, nie odstępował jej na krok, ani na chwilę, na jeden oddech, i zastanawiasz się, jak to się stało, jak to możliwe, że Constance, blada piękność, jeszcze przed rokiem pedałużąca na rowerze po uczelnianym kampusie, osiągnęła już taką dojrzałość i mądrość, że może

przewodniczyć tym wszystkim cudownym uroczystościom razem ze swoim pasterzem. Zawsze uderza we właściwy ton, na herbacie z matkami, które dopiero co się poznały, w sklepach, zamawiając ostatnie dania na przyjęcie weselne, w kwiaciarni, kiedy mówi płynnie po francusku, pochylając się z korpulentną właścicielką nad bukietami fiołków, żeby poczuć ich subtelny zapach – kto podczas lekcji francuskiego wiedział, że w końcu się przydadzą? – tak że sama czasami wydaje się nową rośliną, nie kwiatem, ale turzycą, trawą, która rośnie powoli, spokojnie na skraju łąk i której urody nie można nie docenić. Stajesz przy Constance, ty, jej druhna, i patrzysz, jak przygotowuje się do tego, żeby kochać, obdarzać i dbać, i tysięczny raz napływają ci do oczu łzy, a ona, słodka Constance, prowadzi ciebie i Amy do Notre Dame, gdzie klęka przed swoją ulubioną figurą Matki Boskiej i modli się, nie do Boga, nie do żadnej istoty, myśląc o zobowiązaniu, które podejmuje, pragnieniu, żeby być dobrą żoną, obietnicy, że opuści wszystkich innych i stanie się jednością z ukochanym mężczyzną.

Setki przykładów perfekcji, drobne, delikatne nuty, które może zaoferować tylko Paryż. Tu mieszkał Hemingway, twój Hemingway, kochając swoją Hadley, i nienawidzisz drania za to, że ją zostawił, tak jak Jack zostawił ciebie, i kochasz go, bo tak głęboko doświadczał życia, tak samo jak Jack, i czujesz się podekscytowana i szczęśliwa, że tu jesteś, razem z przyjaciółkami, czekając na ten dzień. W Paryżu. Za każdym razem w Paryżu.

W ciągu tych trzech dni przed ślubem ze wszystkich sił starałam się pozbyć ducha Jacka. Nie mogłam znieść, że wciąż o nim myślę, że setki tysięcy razy wyobrażam go sobie obok; nie mogłam znieść, że Constance musi się mną przejmować, bo przecież miała mnóstwo spraw na głowie i jeszcze tylko tego było jej trzeba, żeby martwiła się moim stanem psychicznym. Kiedy zameldowałyśmy się w hotelu Sampson, pięknym edwardiańskim budynku na obrzeżach siódmej dzielnicy – tej, w której stoi wieża Eiffla – zaczęłam

rozważać możliwość, że Jack przyjedzie na ślub. Nikomu o tym nie mówiłam, bo w głębi duszy zdawałam sobie sprawę, że się łudzę. Nikt w rozmowach ze mną o nim nie wspominał. Ta nadzieja była tak żalosna, tak krępująca, że wręcz przeginałam w drugą stronę, starając się być duszą towarzystwa, aby przezwyciężyć stan rozmarzenia. Mimowolnie, o zgrozo, niemal stałam się „tą” dziewczyną z wesela, gotową upić się z chłopakiem na boku, a później, nocą, znaleźć nowy bar w centrum Paryża – ależ uwielbiałam oprowadzać ludzi po tym mieście! – dziewczyną, która czasami jest trochę zbyt potargana, trochę zbyt ożywiona, trochę zbyt łatwa. Wiedziałam, co robię, ale nie mogłam nad sobą zapanować. Miałam wrażenie, że stoję obok – śmieszny obraz, zdaję sobie sprawę – i patrzę na tę wariatkę, która zachowuje się, jakby była w Sheboygan, a nie w Paryżu.

Zresztą komu potrzebny był Jack? To chciałam udowodnić każdemu, kto w ogóle coś zauważył.

Jeszcze na długo przed ślubem Constance wspominała o przyjacielu Raefa; miał on być moim partnerem na weselu i odkąd wylądowałyśmy, stało się to naszym dyżurnym dowcipem. Facet nazywał się Xavier Box, co brzmiało tak absurdalnie, że Amy i ja śmiałyśmy się za każdym razem, gdy wypowiadałyśmy jego imię i nazwisko. Był wysokim, poważnym Australijczykiem o jasnych włosach i oczach tak niebieskich, że wydawały się lodowate, jednak cała jego toporna powierzchowność przeczyła kryjącej się pod nią poczciwej naturze. Jedną z zabawniejszych rzeczy na weselu – bo choć dzięki Constance wszystko było piękne i pełne wdzięku, wesele to wesele i wina nie brakowało – okazały się popisy Xaviera, który mówił „po pastersku”, jak sam to nazywał. Najwyraźniej była to australijska specjalność – choć nigdy nie słyszałam w tej roli Raefa – polegająca na tym, że mówiło się beczącym głosem, który przypominał odgłosy wydawane przez owce. Nie dość, że pozbawione sensu, było to jeszcze nieśmieszne, ale w wykonaniu

Xaviera, mierzącego metr dziewięćdziesiąt i chudego jak chart, stawało się zabawne. Wkrótce wszyscy beczeli jak owce i gdy ktoś chciał się czegoś napić, mówił: „Mooogę prooosić o driiinka?”, ze wznoszącą intonacją, jak owieczka wzywająca mamę. Czasami nie wiadomo, dlaczego coś zaczyna wszystkich bawić, ale to bawiło i mimo eterycznej urody Constance stało się motywem przewodnim wesela.

Xavier Box był w tym mistrzem – częściowo dlatego, że pochodził z Australii, ale także dlatego, że sam trochę przypominał owcę – więc jako partnerzy na weselu zaczęliśmy się porozumiewać owczą mową. Okazało się, że idzie mi to całkiem dobrze, i kiedy w wieczór poprzedzający ślub, podczas próby wesela w pobliskim pensjonacie (wyobraźcie sobie kraciaste obrusy, gburowatych kelnerów i butelki wina w słomianych koszykach), wstaliśmy, żeby wygłosić toast, oboje z powodzeniem weszliśmy w rolę. Ja powiedziałam coś w stylu: „Raef to najleeepszy faaacet na świeeecie”, a Xavier dodał: „Daaam głoowę!”.

To było śmieszne. Rozbawiliśmy wszystkich. Niemal wyszliśmy na parę.

Gdy usiadłam i słuchałam, jak Xavier kończy swoje przemówienie, Amy pochyliła się do mnie i powiedziała, że powinnam się z nim przespać.

– Nie prześpię się z facetem, który mówi jak owca – odpowiedziałam szeptem. – Odbiło ci?

– Musisz wrócić do gry, siostró. Zaczynasz odlatywać. Słyszałam od Constance, że tylko pracujesz i czytasz.

– Jest uroczy na swój owczy sposób, ale nie w moim typie. Stać mnie na więcej.

– A kto jest w twoim typie? Rozglądam się i jakoś nikogo takiego nie widzę. Nie masz już swojego typu, Heather. Masz swoje ulubione lody, które lubisz jeść samotnie późną nocą, ale nie ulubiony typ mężczyzny.

– Tu nie ma też faceta w twoim typie, Amy.

– A czy to kiedykolwiek miało dla mnie jakieś znaczenie? Prześpij się z Xavierem Boxem. Jesteś chodzącym nieszczęściem. Musisz się otrząsnąć.

Obie za dużo wypiliśmy. Rozmowa zmierzała w nieodpowiednim kierunku. Idiotycznie wciąż spoglądałam w stronę drzwi, jakby oczekując, że zjawi się Jack. Nie miałam pojęcia, co bym mu wtedy powiedziała, jak bym się zachowała, ale myśl, że mógłby przyjść, doprowadzała mnie do szaleństwa. To było jak z urodzinowym przyjęciem niespodzianką: masz nadzieję, że do niego nie dojdzie, i jednocześnie się zastanawiasz, czy ten albo tamten się nie wymknął, aby kupić tort. W końcu Jack bywał impulsywny. Lubił teatralne sceny.

Wciąż błąkałam się w świecie spekulacji, gdy obok mnie usiadła kobieta z małym dzieckiem. Widywałam ją w ostatnich dniach, nawet zostałyśmy sobie przedstawione, ale nie pamiętałam, jak się nazywa. Miała kasztanowe włosy z prostą grzywką, która wyglądała jak szczotka. Musiała być między trzydziestką a czterdziestką – przyszły Mamciozaurus – i pachniała cytryną oraz pudrem dla niemowląt. Była gościem ze strony Raefa i mówiła z wyraźnym, ujmującym australijskim akcentem.

– Potrzymasz go? – zapytała, podając mi dziecko. – Muszę lecieć do łazienki. Zaraz wracam. Łatwiej mi będzie bez niego.

– Jasne – odpowiedziałam. Wzięłam malca i posadziłam sobie na kolanach.
– Jak ma na imię?

– Johnny.

– Cześć, Johnny.

Zanim zdążyłam jeszcze o coś spytać, kobieta się oddaliła. Nigdy specjalnie nie przepadałam za dziećmi, ale to – musiałam przyznać – było słodsze niż gromada szczeniactków. Chłopczyk miał pulchne ciało i śliczne rzęsy, a kiedy podrzucałam go na kolanie, uśmiechał się, gaworzył i próbował złapać mnie za włosy. Nie mógł mieć więcej niż kilka miesięcy. Był ubrany

w strój żeglarski, granatową bluzę, białe spodenki i białe skarpetki na małych stópkach.

– Zauważyłaś, że nie zostawiła go mnie? – spytała Amy, pochylając się, żeby spojrzeć na Johnny’ego, i wsuwając palec w jego piąstkę. – Cukiereczek.

– Mały mężczyzna. Prawdziwy dżentelmen.

– Wygląda poważnie. I wydaje się całkiem opanowany.

Potem ktoś Amy zawołał i ku swojemu zaskoczeniu zostałam sama z Johnnym. Xavier poszedł do baru, większość gości wstała od stołu, żeby rozprostować nogi, i uświadomiłam sobie, że chłopczyk i ja mamy całą przestrzeń dla siebie. Podrzucałam go na kolanach, a on patrzył na mnie, najwyraźniej nie mogąc się zdecydować, co myśli o naszej znajomości, i przez jedną absurdalną chwilę pomyślałam: „Teraz mógłby przyjść Jack”. Chciałam, żeby zobaczył mnie z tym pięknym dzieckiem, w glorii instynktu macierzyńskiego, chociaż dlaczego to miałoby do niego przemówić, nie wiedziałam. Nigdy nawet nie rozmawialiśmy o dzieciach. Myśląc o tym teraz, zdałam sobie sprawę, że Jack jest jak wirus, którego nie mogę zwalczyć. Oficjalnie zwariowałam.

Potem to wszystko uleciało i zostałam z Johnnym, wpatrzonym we mnie swoimi ślicznymi oczkami. Zaintrygowała mnie jego osobowość. Nie był po prostu „niemowlęciem” ani „berbeciem”, lecz skończoną istotą ludzką, słodkim, uroczym dzieckiem, które spoglądało na mnie, aby się upewnić, czy może mi ufać. Nigdy wcześniej nie przeżyłam takiej intymnej chwili z niemowlęciem. Patrzyliśmy na siebie przez długi czas.

Ostrożnie go podniosłam i przytuliłam do piersi. Zebrało mi się na płacz.

– Hej, Johnny – szepnęłam. – Jesteś ślicznym, ślicznym chłopcem. Słodkim maluszkiem, prawda? Kochanym.

Przytknęłam nos do jego karku. Poczułam zapach pudru, którym pachniała matka, i tę trudną do opisaną dziecięcą woń, niepodobną do żadnej innej na

ziemi.

– O, polubił cię – zauważyła po powrocie mama Johnny’ego. Klapnęła na sąsiednie krzesło. – Zwykle nie pozwala się przytulać obcym. Musisz mieć dobry, solidny charakter, skoro dziecko od razu ci zaufało.

– Mam wrażenie, jakbyśmy się znali sto lat.

– Uważaj – odparła kobieta. – Tak się zaczyna. Potem wyjdiesz za faceta i skończysz z szóstką dzieci.

– Ty masz szóstkę dzieci? – zapytałam poruszona.

Może źle ją zrozumiałam – pomyślałam.

– Nie, nie, tylko Johnny’ego. Całkiem mi wystarcza. To słodka owieczka, jak widzisz, ale mam przy nim co robić.

– Piękny chłopczyk.

– Wiesz, ja też przeżyłam coś takiego – powiedziała. – Podobną miłość. I zostałam sama.

Spojrzałam na nią nad ramieniem chłopca. Czyżby moja historia była tak dobrze znana gościom na przyjęciu? Ta myśl wprawiała mnie w zażenowanie. Czy ludzie mówili: „O rany, idzie Heather, ta, którą ukochany porzucił na lotnisku w Paryżu”? Czy właśnie z tego słynęłam na tym weselu? Ta kobieta musiała wiedzieć. Wyobraziłam sobie krótki komentarz: „Och, ta dziewczyna obok Xaviera Boxa to Heather, jej chłopak był kumplem Raefa i zostawił ją na paryskim lotnisku”. Taka zwięzła charakterystyka. „To stryj Raefa, to kuzynka Constance, o, a tamta to ta, którą rzucił chłopak”.

– Słucham? – zapytałam.

– Och, wiem. To bolesne. Mój był żeglarzem. Organizował rejsy wycieczkowe na wyspy Whitsunday. Na Wielką Rafę Koralową, jeśli byli zainteresowani. Uwielbiał pływać. To powinno być dla mnie ostrzeżeniem, ale nie, byłam głucha i ślepa. Zauważyłaś, że najbardziej spostrzegawcze kobiety nie zwracają uwagi na najbardziej widoczne znaki? To zawsze mnie

zastanawiało.

Mocniej przytuliłam Johnny'ego. Czułam przy uchu jego oddech.

– Ludzie mówią, że się z niego wyleczysz, ale tak nie będzie. Nie z takiego faceta. Oni zostawiają po sobie blizny. Wspominam o tym tylko dlatego, że nie mam nikogo, z kim mogłabym o tym pogadać. To temat tabu, wiesz? Jestem zamężna. Szczęśliwie, naprawdę. Ale nie ma dnia, żebym nie myślała o swoim żeglarzu.

– Nie bardzo rozumiem...

– Wiem, wiem. To jeszcze świeża rana. Wymaga czasu, wierz mi. Niekiedy mam wrażenie, jakbym uległa poparzeniu. I moja skóra musiała odrosnąć. To nie żadna przenośnia. Ból jest większy niż ten metaforyczny. „Wielka miłość nieuchronnie wiąże się z wielką stratą”, przeczytałam kiedyś. Od tamtego czasu to powiedzenie jest mi bliskie. Co jakiś czas je sobie powtarzam. „W moim początku jest mój kres” [12](#).

Potem wyciągnęła rękę i ujęła moją dłoń.

Natychmiast ją cofnęłam. Nie znałam nawet imienia tej kobiety. Nic o niej nie wiedziałam. Ona jednak nachyliła się i zbliżyła usta do mojego ucha, jakby chciała zwierzyć się mnie i Johnny'emu z najskrytszego sekretu. Jakbyśmy tworzyli konspiracyjny trójkąt.

– Z czasem rana się zagoi – szepnęła. – Nie całkiem. To nigdy całkiem nie przechodzi, ale przeżyjesz, możesz mi wierzyć. A Johnny to też wielka miłość, więc widzisz... Wiele dostałam i ty też dostaniesz. To pewnie nie w porządku wobec męża, że wspominam w taki sposób swojego żeglarza, ale cóż... byłoby kłamstwem, gdybym powiedziała, że jest inaczej. Nie myśl, że tylko ciebie to spotkało. Poznałam niemało kobiet, które straciły wielką miłość. Będziesz widziała go przez całe swoje życie... w barze, na lotnisku. Coś ci go przypomni i znowu zapłonie ogień.

Uśmiechnęła się do mnie. Miała dobre, łagodne, zmęczone oczy. Wzięła

ode mnie Johnny'ego. Trzymałam go za rączkę, dopóki nie uśmiechnęła się znowu i nie wstała.

– Dzięki, że go pottrzymałaś – powiedziała. – Masz dobre serce, założę się.

– Pa, pa, Johnny.

Kiwnęła głową i oparła dziecko o ramię. Potem odeszła między porostawianymi krzesłami, a mała buzia chłopca unosiła się jak blady księżyc przy jej szyi.

49

Rodzice Constance znali Jeffersonów, amerykańskich dyplomatów we Francji, i właśnie w rezydencji tej pary odbył się ślub. Było to piękne miejsce, z rozległą posiadłością i wielkim georgiańskim pałacykiem z jasnego kamienia, stojącym na końcu półkolistego podjazdu wysypanego białym żwirem. Paul Jefferson dzielił na studiach pokój z ojcem Constance, Billym, i myśl o tym, że jeden współlokator okazał tyle względów córce drugiego – urządził u siebie jej ślub i wesele – w jakiś sposób umacniała więź między nami trzema. Wiedziałyśmy, że zrobiłybyśmy to samo dla siebie nawzajem, i kiedy późnym rankiem w piękną kwietniową sobotę pani Gloria Jefferson, zaprowadziwszy nas po schodach na piętro, gdzie miałyśmy pomóc Constance się ubrać, otworzyła francuskie okno wychodzące na park, przez chwilę stałyśmy wszystkie na balkonie i patrzyłyśmy, jak obsługa w niebieskich ogrodniczkach ustawia krzesła, a florystka zrasza fiołki wybrane przez Constance na ten uroczysty dzień.

– Jest tak pięknie! – powiedziała Constance. – Nie wiem, jak ci dziękować, Glorio. Zawsze o czymś takim marzyłam.

– Och, a ja zawsze pragnęłam zorganizować tu ślub – odparła pani Jefferson. – Ale, niestety, mam tylko synów, a oni nie chcą mnie słuchać.

Z synami może bywa pod pewnymi względami łatwiej, ale z córkami jest zabawniej.

Była wysoką brunetką o krótkich, gęstych włosach i szerokich, muskularnych ramionach. Kiedyś pływaczka w stylu klastycznym, poznała swojego przyszłego męża Paula podczas zawodów którejs zimy. Wciąż miała wysportowaną sylwetkę i nie zdziwiłam się wcale, gdy matka Constance, Gail, powiedziała nam, że pani Jefferson, by zachować formę, codziennie pływa.

Constance odwróciła się, żeby ją uściskać. Constance, piękna Constance.

Wierna sobie, nie chciała skorzystać z usług makijażystki ani fryzjerki. Wybrała zwykłą, prostą sukienkę, luźną, do połowy łydki, z koronkowym stanikiem, a do tego białe baletki. Kiedy stanęła przed dużym lustrem, trzymając w lekko drżących dłoniach bukiet z irysów i gipsówki, wyglądała tak ślicznie, jak tylko może wyglądać panna młoda. Jej matka wyszła, żeby zająć swoje miejsce, zanim rozpocznie się uroczystość, a my stanęliśmy za Constance, która nic nie powiedziała, tylko przeniosła wzrok z jednej z nas na drugą. Za oknem gromadzili się goście, w tle cicho zaczęła grać muzyka – oczywiście, ze względu na Raefa, kwartet jazzowy – i Constance się do nas odwróciła.

– Przypominajcie mi w następnych latach, jaka byłam w tej chwili szczęśliwa – powiedziała do nas. – Pamiętajcie o tym, gdybym ja zapomniała. Nie pozwólcie, żebym kiedykolwiek nadała temu inną barwę. Jakkolwiek nam się ułoży, Raefowi i mnie, ten moment jest autentyczny, czuję to w sercu i chcę, żebyście o tym wiedziały.

– Obiecuję – odparłam i to samo zrobiła Amy.

Przyszedł czas. Wróciła Gloria i uśmiechnęła się do nas.

– Jesteśmy gotowi – powiedziała zwyczajnie.

Amy i ja przeszliśmy razem między siedzącymi na krzesłach gośćmi. Constance nie chciała, żeby przemarsz panny młodej był zbyt długi

i ceremonialny. Dołączyła do nas po chwili. Wzięła pod ramię ojca i spojrzała na Raefa, który stał obok Paula Jeffersona, poproszonego o pełnienie funkcji mistrza ceremonii.

Kiedy pojawiła się Constance, kwartet jazzowy umilkł. Towarzyszył jej płynący z głośników utwór Ennia Morricone wykonywany przez Yo-Yo Mę. Zewsząd dochodziły delikatne dźwięki muzyki. Constance, jak wiedziałam, uwielbiała wiolonczelę i jej chińskiego wirtuoza. Miała wszystkie jego nagrania i w czasach szkolnych często odtwarzała je w swoim mieszkaniu, a czasami, kiedy była lekko wstawiona, nakazywała wszystkim na chwilę przerwać pijackie ekscesy i posłuchać tej urzekającej muzyki.

Teraz lekko, wdzięcznie przeszła alejką między gośćmi, sunąc po nich wzrokiem i uśmiechając się serdecznie. Znalazłszy się przed ołtarzem, pocałowała ojca, a on w tej intymnej chwili szepnął coś do niej i pocałował ją ponownie. Potem podeszła do matki i ją też pocałowała. Wreszcie podała dłoń Raefowi i przez chwilę na świecie nie było nic ważniejszego.

Xavier Box poprosił mnie do tańca. Przyjęcie trwało już od jakiegoś czasu i oboje sporo wypiliśmy. Xavierowi poluzował się krawat; włosy sterczały mu nad czołem, przypominając odwróconą szczotkę do butów. Oczy miał błyszczące, ale nie ze wzruszenia, tylko od alkoholu. Zrzuciłam pantofle i z upodobaniem przeszłam po gładkim, śliskim drewnianym parkiecie. Było mi... dobrze. Całkiem dobrze. Rozglądałam się za Johnnym i jego mamą, ale nigdzie ich nie widziałam.

Nie widziałam także Jacka, ale to była zupełnie inna sprawa.

O dziwo, Xavier potrafił tańczyć swinga.

Ale się nie popisywał. Ujął mnie za prawy nadgarstek, pchnął w bok, a gdy się okręciłam, chwycił w pasie, przechylił lekko do tyłu i znowu okręcił, tyle że w drugą stronę. Czułam się jak jo-jo. Jak Yo-Yo Ma. Jak imprezowa papierowa trąbka, która się rozwija, kiedy ktoś w nią dmuchnie, a potem

zwija. Jego jasnoniebieskie oczy podążały za mną wszędzie, a ja miałam świadomość, że jest atrakcyjny, naprawdę atrakcyjny, i gdy znowu wykonałam obrót, gdzieś z tyłu głowy zaświtało mi pytanie, dlaczego jestem tak odporna na jego wdzięki. Dlaczego jestem tak odporna na wdzięki wszystkich mężczyzn, których poznałam w ciągu ostatnich dziewięciu, dziesięciu miesięcy. Było to bezsensowne i daremne, więc kiedy Xavier przyciągnął mnie do siebie, pomyślałam: Mmmmm. I jeszcze raz: Mmmmm.

Spojrzawszy przypadkiem w stronę głównego stołu, zauważyłam, że Amy wesoło kiwa do mnie głową. Najwyraźniej miałam jej błogosławieństwo, gdyby między mną a Xavierem jednak do czegoś doszło.

– Gdzie nauczyłeś się tak tańczyć? – zapytałam go, kiedy utwór się skończył. – Jesteś w tym bardzo dobry.

Objął mnie w pasie i sprowadził z parkietu. Czy to było to? Czy naprawdę wsparłam się na nim, potrząsnęłam lekko włosami i spojrzałam w te jego błękitne oczy z uśmiechem, mówiąc wzrokiem: „Podejdz bliżej”? Wysłałam z wprawy. Czułam się jak z drewna, niezręczna. Sztuczna i nieszczerą. Powiedziałam sobie, że nie powinnam więcej pić. Że następny drink mógłby straszliwie skomplikować sprawy.

– Och, tu i tam – odpowiedział, eskortując mnie do baru. – Matka uczyła mnie w kuchni. Uwielbiała tańczyć. Kiedy ojciec wyjeżdżał w interesach i długo go nie było, dla rozrywki organizowaliśmy imprezy taneczne. Siostry też udzielały mi lekcji, a potrafiły być naprawdę wymagającymi nauczycielkami. Dręczyły mnie, ale teraz jestem z tego zadowolony.

– Nauka nie poszła w las.

– Na pewno im to powtórzę.

Spojrzeliliśmy sobie w oczy. Nie w ten sposób, ale zawsze. Z trudem opuściłam wzrok.

– Muszę iść do toalety – powiedziałam, wypowiadając w owczej mowie

„toaleeeta”. – Zaraz wrócę.

– Dobra, tylko nie znikaj na długo. Będę tęsknił.

Poszłam na poszukiwanie Amy.

– Druhny powinny na weselu kogoś zaliczyć! – orzekła, kiedy w końcu ją znalazłam i opowiedziałam o swoich rozterkach związanych z Xavierem. Trzymała w dłoni drinka i miała lekko zmierzwione włosy. Właśnie skończyła taniec z jednym z licznych kuzynów Raefa, którzy dostrzegli ją na początku przyjęcia i nie dawali jej spokoju. – Nie dlatego wszyscy przychodzą tacy odstawieni? Każdy liczy, że coś mu się trafi. Heather, nie jesteś zakonnica!

– O rany, Amy. Nigdy nie mówiłam, że nią jestem.

– Nie musisz od razu podejmować decyzji i jak rzymski imperator obracać kciuka w górę albo w dół. Możesz popłynąć z prądem. Zobaczysz, dokąd cię zaniecie.

– Wiem, dokąd mnie zaniecie, Amy. Właśnie w tym rzecz.

– Ja chciałabym, żeby ktoś mi się tu trafił! Ktoś, kto zdecydowałby za mnie.

– Kuzyni Raefa chętnie spełnią twoją prośbę – zauważyłam. – Ci, z którymi tańczyłaś.

– No nie! Małe napalone gadziny. Ci młodzi Australijczycy mają mnóstwo energii. Muszę im to przyznać. Ale nie widzę tu żadnych mężczyzn. Do wzięcia. Faceci na weselach są albo za młodzi, albo za starzy. Ci pomiędzy mają żony.

– Nie pomogłaś mi wcale w kwestii Xaviera – oznajmiłam. – Nie jest w ogóle w moim typie.

– A kto jest w twoim typie? Nieważne, wiem, wiem. Jack. Dobra, w porządku, Jack jest w twoim typie. Kapuję. Ale Jack zniknął za górami, za lasami, kotku. Wyruszył w drogę, gdziekolwiek, do diabła, zmierza. To świetny gość, bardzo go lubiłam, ale już go nie ma. Pstryk i zniknął. Masażystka, do której chodzę, zawsze mówi, że lekarstwem na jednego faceta

jest drugi facet.

– Jesteś okropna, Amy. To nieprzyzwoite.

Uśmiechnęła się i poruszyła brwiami. Uświadomiłam sobie, że musiała sporo wypić. Bo wtedy zaczynała filozofować.

– Wiesz co? Jeśli prześpisz się z Xavierem, rano obudzisz się z bólem głowy i pewnie równie dokuczliwym bólem serca. Poza tym ryzykujesz, że się zaangażuje, będzie wydzwaniał i chciał pogadać, a ty przy każdym dzwonku telefonu będziesz cierpiała, bo to nie Jack.

– Myślałam, że mi radzisz, abym poszła z nim do łóżka!

– Radzę ci, abyś poszła z kimkolwiek, Heather. I wróciła do życia. Możesz przespać się, z kim chcesz, tylko nie cierp, wyrzuć z pamięci tego Jacka i wszystko, co się z nim wiąże. Pora sobie odpuścić. Wiem, że to trudne, kotku, ale musisz ruszyć dalej.

Pokiwałam głową. Zebrało mi się na płacz. Amy wzięła mnie pod ramię. Chwilę stałyśmy w milczeniu. Był piękny wczesny wieczór. Zastanawiałam się, czy poszukać Xaviera. Czy pójść do toalety. Sama nie wiedziałam, co mi jest, jak mówiła o sobie mama, gdy była nie w sosie.

Stałyśmy tak razem, gdy podszedł Raef.

– Chciałbym cię prosić do tańca, Heather – powiedział. – Zatańczysz z panem młodym?

– Będzie mi bardzo miło.

– A co ze mną? Mam spadać? – zapytała Amy, puszcżając moje ramię.

– Długo nie zostaniesz sama. Tylko niech cię nie poniesie.

Mruknęła i odeszła. A ja zwróciłam się do Raefa.

– Z przyjemnością z tobą zatańczę – powiedziałam.

– Jestem marnym tancerzem. Nie tak jak mój przyjaciel Xavier.

– Wygląda na to, że Xavier ma liczne talenty.

– Och, nie poznałaś nawet połowy. Lubisz go?

– Tak. Bardzo. To duża indywidualność.

– I porządny facet. Przyjaźnimy się kawał czasu. Od dzieciństwa. Ładna z was para.

– Bawisz się w swata, Raef?

– Teraz, gdy jestem żonaty, to moja specjalność. Nie wiedziałaś? Żonaci mężczyźni i zamężne kobiety zawsze wiedzą, co powinni robić single, z kim mają się spotykać, jak żyć.

Uśmiechnął się i rozłożył ramiona, a ja pozwoliłam się objąć. Zbliżając się do niego i dostosowując kroki, zdałam sobie sprawę, jak bardzo go lubię.

– Wiesz, że dostała ci się najcudowniejsza dziewczyna – powiedziałam. Czułam się troszkę dziwnie, tańcząc z mężem swojej najlepszej przyjaciółki. – Jest jak światło, którego wszystkim potrzeba.

– Tak, wiem. Dobrze to określiłaś. Szczęściarz ze mnie.

– Jest jeszcze piękniejsza, niż sądzisz, Raef. Jej uroda przenika wszystko. Miłość i potrzebę piękna. Naprawdę nie znam nikogo, kto byłby do niej podobny.

Skinął głową. Sunęliśmy po parkiecie zgodnie z ruchem wskazówek zegara, ale Raef był spięty i zdenerwowany. Już miałam go spytać, czy wszystko w porządku, kiedy się pochylił i zaczął szeptać mi do ucha. Chciał zdradzić prawdziwy powód, dla którego poprosił mnie do tańca.

– Pragnę porozmawiać z tobą o Jacku – zaczął. – Naszym Jacku. Twoim Jacku Vermontczyku. Pomyślałem, że właśnie dziś mogę wreszcie przemówić.

Odsunął mnie trochę i nasze spojrzenia się spotkały. Serce podeszło mi do gardła. Miał taki dobry, życzliwy wzrok. Muzycy grali miłą, spokojną melodię harmonizującą z wyrazem jego twarzy.

– Pozwolisz mi? – zapytał. – Muszę ci coś powiedzieć, zbyt długo milczałem.

Kiwnęłam głową. Miałam wrażenie, jakby moje ciało zostało nagle

pozbawione kośćca.

– Słucham.

– Przede wszystkim chciałbym, żebyś mnie zrozumiała, a może i mi wybaczyła. Obiecałem Jackowi, że nie będę o tym z tobą rozmawiał. Constance też nic nie powiedziałem. Nie wie tego nikt oprócz Jacka, mnie i jego rodziców. A ja zostałem zobowiązany do tajemnicy.

– O co chodzi, Raef? Mów. Robisz strasznie formalny wstęp.

– Przepraszam. Nie chciałem. Głupio mi, że w ogóle zabieram głos.

– No dalej, powiedz.

Muzyka zmieniła tempo, przybrała spokojniejszy, łagodniejszy rytm. Tańczyliśmy dalej. Byłam świadoma każdego szczegółu: muzyki, twardej podłogi, męskiej urody Raefa, koloru i faktury jego garnituru, własnej sukienki sięgającej do połowy łydki i muskającej moje nogi pod kolanami. Raef jakby się zaciął. Zaczął mówić, potem przerwał.

– Co jest, Raef? – zapytałam znowu. – Proszę, powiedz.

Wziął głęboki oddech, jakby zastanowił się ostatni raz, czy dobrze robi, i wreszcie zaczął mówić cicho.

– Wtedy w Paryżu, tutaj... powinienem powiedzieć „tu, w Paryżu”... Pamiętasz tamten dzień?

– Który, Raef?

– Tamten, kiedy Jack i ja przepadliśmy do wieczora. Zgrywaliśmy się. Udawaliśmy, że to tajemnica. Constance i ty chyba poszłyście wówczas do Notre Dame, żeby zobaczyć figurę Matki Boskiej. Ona lubi tam chodzić.

– Tak, oczywiście, że pamiętam. Jack nigdy mi nie powiedział, co robiliście. My z Constance nie pytałyśmy, bo myślałyśmy, że planujecie dla nas jakąś niespodziankę. Nie chciałyśmy popsuć zabawy.

Pokiwał głową. Nasze wspomnienia najwyraźniej się zgadzały.

– No właśnie. Tamtego dnia, kiedy wybraliśmy się w tajemniczą misję,

żartując sobie z tego i ukrywając przed wami, o co chodzi... pojechaliśmy do szpitala.

– Jakiego szpitala? – wydusiłam. – Co ty mówisz, Raef?

– Nawet nie pamiętam nazwy, Heather. To był chyba szpital Saint-Boniface. Na obrzeżach Paryża. Jack nic mi wcześniej nie mówił, ale coś mu dolegało. Coś, co wymagało konsultacji lekarskiej. Nie wyjawiał szczegółów. Chciał, żebym z nim pojechał, bo lepiej od niego znałem francuski.

– Czy on jest chory? To próbujesz mi powiedzieć?

Raef spojrzał na mnie uważnie. Widziałam, ile kosztuje go złamanie złożonej Jackowi obietnicy i jak cierpi, sprawiając mi ból. Współczułam mu, ale jednocześnie odezwała się dzika, szalona część mojej natury i miałam ochotę siłą wydrzeć z niego słowa, których sam nie był w stanie wypowiedzieć. Opanowałam się jednak i pozwoliłam mu mówić dalej. Bałam się, że się wystraszy albo – jeśli będę go popędzać – skróci swoją relację.

– Chyba powróciły objawy. Chorował przed wyjazdem do Europy. Myślę, że o to chodziło. Nigdy nie powiedział mi wszystkiego. Nie wiem też, czy to właśnie było powodem, że nie pojechał z tobą do Stanów, ale zawsze tak mi się wydawało. To jedyne sensowe wytłumaczenie. Wolał, żebyś źle o nim myślała, odpuściła go sobie, bo pewnie to, czego dowiedział się w szpitalu, potwierdziło jego podejrzenia. Chyba czekał na wyniki badań. Tak w każdym razie mi powiedział.

– Ale Jack nie był chory – odparłam, choć nabrałam wątpliwości. – Opowiadał mi o swoim przyjacielu, który chorował, ale sam nigdy...

– Pewnie mówił o Tomie. Tylko że żaden Tom nie istniał, Heather.

– Co ty mówisz, Raef? Był jego przyjacielem. Pracowali razem.

– Jack nie miał przyjaciela o imieniu Tom. A wszelkie wzmianki o swojej chorobie obracał w żart. Rzucał na przykład: „Stary Tom nie daje mi spać”. Nie wiem, skąd wziął tego „starego Toma”, ale tak to określał.

– Nie rozumiem, Raef. Słyszę, co mówisz, ale nie rozumiem.

– Jack wymyślił Toma, żeby nie ujawniając prawdziwych powodów, rozmawiać o konieczności doświadczenia wszystkiego. Przypisał chorobę wyimaginowanemu przyjacielowi. Może to było nie w porządku z jego strony. Nie wiem. Nie chciał, żeby ludzie się nad nim litowali. Nie chciał być traktowany inaczej, odpowiadać na pytania sprowokowane informacją o stanie jego zdrowia. Przykro mi, Heather. Chciałem ci o tym powiedzieć wiele razy, ale mi zabroniono. Nie mogę jednak dłużej stać z boku i patrzeć, jak cierpisz.

Nie byłem w stanie myśleć. Do głowy przychodziły mi tysiące pytań. Istniała na nie tylko jedna odpowiedź, jedno wyjaśnienie dręczących mnie wątpliwości. Wyznanie Raefa sprawiło, że wszystko zaczęło do siebie pasować, nawet najdrobniejsze elementy układanki.

– Więc jest chory, tak? – zapytałam, przypominając sobie każde słowo, każde spojrzenie i gest Jacka, które rzucały światło na jego stan. – To masz na myśli, Raef? Proszę, muszę wiedzieć.

Skinął głową i skrzywił się na znak, że nie zna intencji Jacka. Nie mógł mi wyjawić czegoś, czego sam nie wiedział.

Muzyka umilkła. Przez chwilę staliśmy naprzeciwko siebie.

– Nie mam pojęcia, co jest prawdą, a co nie. Nie wiem, czy Jack jest chory – odpowiedział. – Nie wiem nawet, co to znaczy, ale dla niego było ważne. Tamten dzień i wizyta w szpitalu. To by tłumaczyło, dlaczego zniknął. Nie chciał być dla ciebie ciężarem, więc aby, że tak powiem, wytworzyć dystans, musiał zniknąć. Choćbyś miała go za to zniechęcić.

– Mówisz poważnie, Raef? Czy sobie żartujesz? Tego już za wiele.

– Proszę, wybac mi, Heather. Nie wiem, czy w ogóle powinienem jeszcze coś mówić. Jestem rozdarty. Jack kazał mi dać słowo i dałem, a teraz je łamię. Ale nie mogłem dłużej trzymać tego w sekrecie i patrzeć, jak się męczysz.

Spoglądaliśmy na siebie. Wreszcie ujął mnie za rękę.

– Cierpisz, prawda?

– Tak. Cierpię.

– Przykro mi, Heather. Żałuję, że nie mogę powiedzieć ci więcej.

– Czy to rak? I nastąpiła remisja? Dlatego Jack pojechał do szpitala? Czy był Tomem przez cały czas?

– Nie mam pojęcia. Myślę, że to białaczka. Pewnie objawy, które przypisywał Tomowi, występowały u niego. Tak, na pewno.

Wtedy zawołała go jedna z kuzynek Constance. Chyba do krojenia tortu. Powoli puścił moje ręce, wciąż spoglądając mi w oczy. Jednak nie odszedł.

– Poszukam Amy – powiedział. – Niech z tobą posiedzi, dopóki tego wszystkiego nie przetrawisz.

Pokręciłam głową. Nie mogłam znieść myśli, że miałabym z kimkolwiek rozmawiać. Nie w tej chwili.

– Potrzebujesz czasu, żeby się z tym oswoić. Pewnie dużo czasu. Wybacz mi, Heather. Nie pomyślisz, mam nadzieję, że byłem okrutny, zachowując te informacje dla siebie. Jack miał ci to wszystko powiedzieć, nie ja. Tak sobie mówiłem. A potem zobaczyłem, jak tańczysz z Xavierem, zauważyłem, że jesteś nieszczęśliwa, i zrozumiałem, że muszę coś zrobić.

– Cieszę się, że to zrobiłeś. Dziękuję ci.

– Dobrze znam Jacka, Heather. Kochał cię. Mówił mi to nie raz. Nie chciał obciążać cię swoją chorobą. Tak przynajmniej sędzę.

– Uhm – zgodziłam się z nim. – Rzeczywiście Jack by tego nie chciał.

Raef wyciągnął ręce i uściskał mnie. Przytulił mocno. Potem chwycił za ramiona i spojrzał mi w oczy.

– Poradzisz sobie?

– Jasne.

– Nie wierzę ci. Ale daj sobie czas. Czas, żeby się z tym wszystkim oswoić. Mam wyrzuty, że tak zważyłem to na ciebie.

– W porządku, Raef. Idź już. Musisz pokroić tort. Nic mi nie jest. Pod pewnymi względami nawet zrobiło mi się lżej na duszy. Dobrze, że powiedziałeś mi prawdę.

– Sam nie wiem, Heather. Mam nadzieję, że postąpiłem słusznie – odparł.

Zjawiła się jedna z jego kuzynek, nalegając, żeby z nią poszedł. Chwyciła go za rękę i pociągnęła za sobą. Stojąc w miejscu, patrzyłam za nimi i czułam się, jakbym miała ulecieć i rozwiać się w powietrzu niczym dym po zgaszeniu świecy.

50

O drugiej w nocy pojechałam odszukać jesion, który zasadziliśmy z Jackiem w Ogrodzie Luksemburskim.

Wzięłam z hotelu widelec. W razie gdybym musiała kopać w ziemi. Albo się bronić. Bo nie miałam nic innego.

Nie potrafiłam sensownie myśleć, mówić, niczego zaplanować. Zamówiłam w recepcji taksówkę. Amy poszła spać. Constance i Raef wyjechali, rozpoczynając *lune de miel*, miesiąc miodowy. Nikomu nie wyjawiałam, czego dowiedziałam się od Raefa.

Taksówkarz pochodził z Burkina Faso w Afryce. Miał dredy, a na nich czarno-czerwono-zielony miękki kapelusz. Na lusterku wstecznym dyndało sześć sosnowych odświeżaczy powietrza. Jak wyczytałam z jego licencji, nazywał się Bormo. Bormo Zungo. Spoglądał na mnie w lusterku za każdym razem, gdy się zatrzymywaliśmy.

– Dobrze się pani czuje? – zapytał po francusku.

Kiwnęłam głową.

Przyjrzał mi się uważniej.

– Na pewno? – ciągnął już po angielsku.

Ponownie kiwnęłam głową.

– Późno jak na spacer po parku – zauważył. – *Jardin* lepiej zwiedzać za dnia.

Kiwnęłam głową.

Ruszył, kiedy zmieniło się światło. Dłuższy czas jechaliśmy w milczeniu. Jednak co jakiś czas na mnie zerkał.

– To naprawdę nie jest najlepszy pomysł – powiedział, zajeżdżając przed park i wyłączając licznik. – Czterdzieści siedem euro. W nocy tam może być niebezpiecznie. – Odwrócił się, żeby spojrzeć mi prosto w twarz. – Z przyjemnością zabrałbym panią na kawę... w jakieś oświetlone miejsce.

– Nic mi nie jest – odparłam, płacąc. – *Ça va*.

Wziął pieniądze. Dałam mu dwadzieścia euro napiwku. Jedną z zalet pracy bez wytchnienia i braku życia towarzyskiego jest forsa w kieszeni. Wziął banknoty i wetknął je za rondo kapelusza.

– Jest bardzo późno – nie dawał za wygraną. – Mieszka pani w miłym hotelu... a tam nie jest bezpiecznie.

Uśmiechnęłam się i wysiadłam. Potem jeszcze przez chwilę stałam przed żelazną bramą Ogrodu Luksemburskiego. Bormo ruszył, oddalając się od krawężnika.

Miał rację co do wszystkiego. *Jardin* prezentował się lepiej za dnia.

Nie miałam żadnego światła z wyjątkiem latarki w telefonie. Parkowe latarnie nie oświetlały zbyt dobrze trawnika. Nasz jesion rósł w mroku. O dziwo, zlokalizowałam go całkiem szybko.

Zaczęłam kopać widelcem w ziemi. Była wilgotna i zimna.

„Będziesz mogła je odwiedzać za każdym razem, gdy przyjedziesz do Paryża. Życie będzie się toczyło własnym trybem, czasami pomyślnie, czasami nie, a jesion będzie rósł i rósł”.

Wreszcie trafiłam na plastikowy pojemnik, w którym znajdowały się nasze

splecione włosy, powoli wyjęłam go z dołka i otworzyłam. I od razu zobaczyłam nowy list – od Jacka. Został umieszczony tu później, po tym, jak wspólnie zasadziliśmy jesion. Nie ulegało wątpliwości, że Jack wykopał pudełko i włożył do niego list. Skorzystał z naszej sekretnej skrzynki pocztowej, żeby zostawić dla mnie wiadomość. Miałam ją znaleźć, jeśli nie tego dnia, to następnego albo jeszcze następnego, o wiele później. Nikt inny poza mną nie wiedziałby, gdzie jej szukać. A jesion, szlachetny jesion, miał jej strzec, dopóki bym po nią nie przyszła – i czynił tak przez długie, szare jesienne dni, całą zimę i początki wiosny. Tak jak my bywali tu Hadley i Hemingway, nie zdziwiłam się więc, widząc staranne pismo Jacka.

Heather – widniało na zwykłej białej kopercie.

Jej prawy dolny róg był trochę zabrudzony. Przez chwilę nie mogłam jej dotknąć, nie mogłam oddychać, wykonać żadnego ruchu.

W jednej chwili zrozumiałam, że Jack o mnie nie zapomniał, że mnie nie opuścił. Gdyby mu na mnie nie zależało, nie zostawiłby tej wiadomości, nie zadałby sobie trudu, żeby wrócić do naszego jesionu. Wiedziała, że myślał o mnie klęczącej w miejscu, w którym właśnie klęczałam. Spodziewał się, że będę go szukała, że wrócę, aż w końcu go znajdę. Poczułam olbrzymi przypływ miłości, nienawiści, wszystkich uczuć, jakie tylko istnieją. Podniosłam ten głupi pojemnik i pocałowałam go. Ostrożnie wzięłam list, a pudełko zamknęłam i ponownie zakopałam. Pomyślałam o Panu Barwinku i tych istotach, które dzielnie idą przez życie. Wszystko zrozumiałam. Zrozumiałam, że zostawił mnie z tych właśnie powodów, o których mówił Raef.

I pojęłam, że umiera.

– Przejechałem tędy dwa razy i już miałem wracać – powiedział Bormo – ale czułem, że coś się kroi.

Otworzyłam drzwi i wsiadłam do taksówki.

– Dziękuję. Bardzo panu dziękuję.

– Ubrudziła się pani.

Kiwnęłam głową.

Popatrzył na mnie w lusterku wstecznym.

A potem pokręcił głową; najwyraźniej nie mógł mnie rozgryźć.

– Wracamy do hotelu? – zapytał.

Potwierdziłam.

– Nie powie mi pani, prawda? – zagadnął.

Pokręciłam głową.

– Miłość – skwitował. – Tylko z jej powodu ludzie zachowują się jak szaleńcy.

Uśmiechnęłam się do niego. Odwzajemnił mi się tym samym. Ruszył, a ja czułam w sercu pustkę i lęk. Przycisnęłam list do piersi. Nie mogłam go otworzyć. Jeszcze nie, dopóki nie będę mogła znowu oddychać.

51

Amy zadzwoniła, zanim zdążyłam wrócić.

– Do diabła, gdzie się podziewasz, Heather? Obudziłam się, a ciebie nie ma.

– Nic mi się nie stało, Amy.

– To nie w porządku! Żeby wychodzić, nic nie mówiąc...

– Przepraszam. Naprawdę. Wybacz mi.

– Już myślałam... sama nie wiem, co myślałam. To bardzo, bardzo, bardzo nie w porządku, Heather. Kiedy ktoś tak znika, mam najgorsze obawy. Nie jesteś z Xavierem, prawda?

– Jeszcze raz przepraszam. Nie, nie jestem z Xavierem. Nie wyszłabym, gdyby to nie było ważne.

– Co jest takiego ważnego, że musiałaś wyjść w środku nocy? O dwunastej mamy samolot, Heather. Jesteś w hotelu? W którym pokoju?

– Nie. Musiałam czegoś poszukać. W związku z Jackiem – wyjaśniłam.

Amy nie odzywała się przez chwilę.

– Gdzie jesteś? – zapytała w końcu.

– W drodze powrotnej.

– Poczekam na ciebie.

– Dzięki, Amy. Przykro mi.

– Mnie też. Pospiesz się.

Kiedy przyjechałam do hotelu, za niskimi chmurami świtało. Bormo zajechał przed osłonięte markizą wejście i odźwierny podszedł do taksówki, że otworzyć mi drzwi.

– Dziękuję, Bormo – powiedziałam, płacąc.

Nie chciał przyjąć napiwku.

– Opłata za kurs to jedno. A napiwek drugie... niech to zostanie między nami.

– Dzięki.

– Mam nadzieję, że było warto.

– Ja też mam taką nadzieję.

Skasował licznik i odjechał.

Weszłam do środka i od razu zauważyłam Amy.

Na mój widok wstała, przeszła przez hol i uściskała mnie mocno. Potem przyjrzała mi się uważnie i uściskała mnie znowu. Nie byłam w stanie podnieść rąk. Nie mogłam stracić z oczu listu Jacka. Oparłam czoło o ramię przyjaciółki i wybuchnęłam płaczem. Ponownie spojrzała mi w twarz i objęła mnie tak mocno jak jeszcze nikt. Po raz pierwszy w życiu nie mogłam przestać płakać.

– To ten list? – zapytała Amy. – Zostawił go dla ciebie w waszym sekretnym

miejscu? Pod tym drzewem, które razem zasadziliście?

– Wiedział, że któregoś dnia tam zajrzę. Tylko ja wiedziałam, gdzie szukać.

Siedziałam skulona. Wciąż miałam trudności z oddychaniem; zaczęłam się zastanawiać, czy jeszcze kiedyś odetchnę pełną piersią. Amy obejmowała mnie ramieniem. Moim ciałem wstrząsały przeciągłe głucho szlochy.

– Raef powinien był ci powiedzieć wcześniej. Mam do niego o to dużą pretensję.

– Dał Jackowi słowo. Ciesz się, że Constance wyszła za faceta, który dotrzymuje obietnic. Nie mam do Raefa żalu. Był w bardzo trudnej sytuacji.

– Dlaczego powiedział ci akurat teraz?

– Chyba myślał, że bardzo cierpię.

Siedziałyśmy na dwuosobowej kanapie w kącie holu. Przed oczami ciekawskich zasłaniał nas las doniczkowych paproci. Po drugiej stronie korytarza dwoje zaspanych dzieci próbowało dobrać się do tacy z ciastkami na wystawie baru kawowego. Od czasu do czasu pojawiała się starsza pani, najwyraźniej ich opiekunka, żeby je upomnieć. W powietrzu rozniósł się zapach kawy.

– Więc sądzisz, że jest chory? – podjęła Amy. – Tak?

– Nawet umierający. Znam go. On umiera.

– Och, przestań. – Wzięła mnie za rękę. – Skąd możesz wiedzieć?

– Chorował. Raef mi to powiedział. Miał białaczkę. Pojechał z Raefem do szpitala na badania. Nie rozumiesz? Towarzyszył mi na lotnisko, bo chciał pokazać, że postanowił lecieć ze mną do Stanów. Ale nie mógł tego zrobić. Nie mógł przekroczyć pewnej linii. Nie chodziło o Nowy Jork ani o nic takiego. Chciał tylko, żebym tak myślała.

– I dlatego nie poleciał z tobą?

Pokiwałam głową.

– Tak – odparłam. – To byłoby w jego stylu.

– Chrzanienie. Dlaczego ci nie powiedział, o co naprawdę chodzi?

– Bo to do niego niepodobne. Nie chciał, żebym dla niego zrezygnowała z życia.

– To nie byłaby rezygnacja.

– On tak to widział, Amy. Co miał zrobić? Jak by to wyglądało? Zostałabym jego pielęgniarką? Takiego życia dla mnie pragnął? Pomyśl. Chciałabyś czegoś takiego dla kogoś, kogo kochasz? Gdybyśmy byli małżeństwem przez dwadzieścia lat, w porządku, tak się potoczyło. Ale my dopiero co się spotkaliśmy. Dopiero się poznawaliśmy. Nie chciał być pacjentem.

Zastanowiła się nad tym. Mimo że bywała postrzelona, świat miał dla niej swój porządek i na coś takiego nie było w nim miejsca.

– I dlatego go pokochałaś – zauważyła. – Bo taki jest. Cały Jack.

– Właśnie.

– Życie jest dla mnie zbyt skomplikowane – oznajmiła. – Chcesz być sama, kiedy będziesz czytała ten list?

Skinęłam głową.

Uścisnęła moją rękę i pochyliła się nad stołem, żeby mnie pocałować.

– Pójdę po kawę – powiedziała, odchodząc. – Pamiętaj, żeby oddychać.

Ponownie kiwnęłam głową.

Położyłam list na kolanach i spojrzałam na niego. Dopiero po dłuższej chwili zmusiłam się, żeby go dotknąć.

Ostrożnie wyjęłam list z koperty – która przypominała rozdziawiony ptasi dziób – i położyłam go obok niej. Nie chciałam przeoczyć ani jednego szczegółu. Dwoje młodych ludzi układających ciastka na wystawie nie

zwracało na mnie uwagi. Czułam zapach parzonej kawy i nikłą woń środków do czyszczenia. Gdzieś w oddali zaczął bić zegar. Nie liczyłam jego uderzeń.

Zajrzałam do koperty, aby się upewnić, że nic w niej nie zostało. Była pusta. Dla pewności rozwarłam ją jeszcze szerzej, a potem odwróciłam nad stolikiem rozcięciem do dołu. Potrząsnęłam kilka razy. Uspokojona, odłożyłam ją z powrotem.

Potem rozłożyłam list i przeczytałam:

Droga Heather!

Piszę to po opuszczeniu lotniska. Przepraszam. Wiem, że sprawiłem Ci ból, i serce mi pęka. Jeśli w tej chwili cierpisz tak samo jak ja, podwójnie mi przykro.

Nie mogę jechać z Tobą do Nowego Jorku, bo nie zależę całkowicie od siebie. Jestem chory, Heather, i nie wyjdę z tego. Nie mogę – nie chcę – Cię, nas, tym obarczać. Wierz mi, nie dramatyzuję. Podchodzę do tego tak trzeźwo, jak tylko można. Nazwij to, jak chcesz – losem, pechem, złym rozdaniem. Tym razem nam się nie udało. Zabrakło szczęścia.

Ale miło było przez jakiś czas myśleć, że jest inaczej, prawda? Mówię za siebie.

Wzbogaciłaś moje życie, Heather. Kocham Cię całym sercem. Miłość znajduje nas, przechodzi przez nas, idzie dalej.

J.

Przeczytałam list trzeci raz, dziesiąty, czytałam go, aż ręka tak mi drżała, że nie mogłam dłużej utrzymać kartki. Położyłam ją na stole i wstrzymałam dech. Spojrzałam w górę przez błękit wody w basenie i próbowałam się uspokoić. Nie oddychałam długi czas.

Potem odnalazłam Amy.

– Zrobisz coś dla mnie? Pójdiesz do naszego pokoju i przyniesiesz mi

torbę z książkami? Wiesz którą.

– Jasne, kotku. Możesz mi powiedzieć, co było w liście?

– Proszę, przynieś mi torbę. Wtedy będę wiedziała. Poszłabym po nią sama, ale uginają się pode mną nogi. Torba. Leży na stole.

Amy kiwnęła głową, pogłaskała mnie po ręce i odeszła. Chwilę później wróciła do naszej oazy za paprociami. Położyła przede mną torbę. Wyjęłam dziennik dziadka Jacka.

– Wzięłaś go ze sobą? – zapytała Amy.

– Zawsze go biorę. Nawet czasami noszę do pracy. Gdy mam go przy sobie, wydaje mi się, że wpadnę na Jacka.

– Och, biedactwo. Kiepsko z tobą. Naprawdę kiepsko.

Wzięłam dziennik do rąk. Leżał w nich tak jak kiedyś. Otworzyłam notes na pierwszych stronach i znalazłam fragment, którego szukałam.

Tańczyli na placu, z krowimi dzwonkami na szyjach. Hałas był straszny, nie do zniesienia. Zobaczyłem parę, poruszała się w szaleńczym zapamiętaniu. Mężczyzna był rośli i toporny, coś stało się z jego twarzą, bo miał w czole dziurę. Nosił maskę wilka zasłaniającą oczy. Kobieta z uniesioną spódnicą wirowała niczym ostrze kosiarki, obracała się i obracała, i wyglądała jeszcze piękniej przez to, że przypominała knot płonącej świecy. Przyglądałem im się przez długi czas. Zapadł wieczór, oni bawili się dalej, obserwowani i naśladowani przez swoich rodaków i sąsiadów z miasteczka, i po raz pierwszy od zakończenia wojny poczułem się podniesiony na duchu. Tak, tańczyli, żeby wygnać zimę z powrotem w góry, ale tańczyli też dlatego, że zima zawsze się kończy, wojny się kończą i życie za każdym razem zwycięża. Patrząc na nich, zrozumiałem, że miłość nie jest statyczna; miłość nie dzieli. Miłość na tym świecie przychodzi i odchodzi jednocześnie. Mówić, że ją znaleźliśmy, jest nadużyciem. To miłość znajduje nas, przechodzi przez nas, idzie dalej. Nie znajdujemy jej, tak jak nie znajdujemy

powietrza ani wody; nie możemy bez niej żyć, tak jak nie możemy żyć bez nich. Miłość jest niezbędna i powszednia jak chleb. Jeśli jej poszukasz, spotkasz ją wszędzie i już nigdy nie zaznasz jej braku.

– Wiem, gdzie go znaleźć. Jest wiosna, będzie tam. Tak mówi dziennik. Wiem, dokąd Jack się uda. Zapiski zaczynają się wiosną, w pewnym miejscu. Tam skończy się jego podróż. To wszystko nabiera sensu.

– Zaczynasz mnie przerażać, Heather.

– Spójrz na datę tej notatki. To za dwa dni. I ten cytat w liście... pochodzi z dziennika. „Miłość znajduje nas, przechodzi przez nas, idzie dalej”. Rozumiesz? Wszystko tu jest.

– Ale to nie znaczy, że Jack podąża za zapiskami w dzienniku, no nie? Przykro mi, Heather. Chcę cię wesprzeć, ale to tylko fragment dziennika.

– Od niego dziennik się zaczyna. To święto. Jack tam będzie. Wiem, że tak. Mówił mi o tym miejscu. Powiedział, że przed wkroczeniem Niemców całe miasteczko wyległo na plac i tańczyło. W obliczu śmierci. Dlatego tam pojedzie. Nie daruje sobie tego. Zechce zatańczyć w obliczu śmierci. Taki jest.

Wstałam.

– Idę się spakować – oświadczyłam. – Pojadę się z nim spotkać.

– Heather, poczekaj. To szaleństwo. Nie możesz mieć pewności, że tam będzie. A nawet jeśli ma taki zamiar, skąd możesz wiedzieć, czy zjawi się tam w tym tygodniu, czy za kilka dni. Zastanów się. Jesteś pewna? Jesteś pewna, że wiesz, gdzie on jest?

– Masz rację, oczywiście. Zdaję sobie z tego sprawę. Zdaję sobie sprawę, że to nieracjonalne, ale nie mogę sobie teraz odpuścić, Amy. Nie rozumiesz? Chciałam zapomnieć, ale muszę się z nim zobaczyć. W końcu tam przyjedzie. Jest wiosna i musi prześledzić zapiski do końca.

– A co z pracą?

– Chrzanić pracę.

– Nie mówisz serio. Miesza ci się w głowie.

– Może. A może od początku myślę racjonalnie. Nie powinnam była pozwolić mu odejść.

– Nie miałaś wyboru.

– Zostanę w Europie, dopóki go nie znajdę. Mam wszystko gdzieś. Nie mogę tak żyć. Muszę się z nim zobaczyć. Muszę się dowiedzieć, czy byłam szalona, wierząc w to, co było między nami.

Zaczerpnęła powietrza. Widziałam, że rozważa „za” i „przeciw”. Zobaczyłam, że budzi się w niej dawna Amy, szalona Amy. Oczy jej rozbłysły, chwyciła mnie za ramię i uścisnęła.

– Jedź – powiedziała z mocą. – Jedź i znajdź go. Nie ustawaj, dopóki nie osiągniesz tego, czego pragniesz. Słyszysz? Jeśli go teraz nie odnajdziesz i nie dowiesz się, co się z nim dzieje, będziesz żałowała przez całe życie. To twoja wielka miłość.

– Jest chory. I odszedł, żeby dać mi wolność.

Uścisnęła moje ramię jeszcze mocniej.

– Wierzę ci – odparła. – Bo albo masz rację, albo przechodzisz załamanie nerwowe.

Objęłam ją. Objęłam serdecznie. Zaśmiałam się, ale był to krótki, urywany śmiech, bardziej przypominający kasznięcie niż cokolwiek innego.

– Nie mogę żyć na pół gwizdka. Nie mogę ruszyć do przodu, jeżeli nie zrozumie, co się stało. Nie mogę.

– A jeśli się mylisz?

– Będę kolejną ofiarą miłości. To nie takie straszne, no nie? Stracić z jej powodu rozum?

Puściła mnie. Pokiwała głową. Ja zrobiłam to samo. A potem pobiegłam do pokoju, żeby się spakować.

Batak

53

Batak, Bułgaria, kwiecień 1946

Mężczyzna podniósł butelkę do ust i zmrużył oczy. Zachwiał się, tak był pijany; zgromadził wokół siebie tłum, zapowiadając, że wypije «dziki dzin». Z tego, co wiedziałem, trunek nie przypominał w ogóle dzinu. Był to jakiś alkohol z jęczmienia. Ale jemu to najwyraźniej nie robiło już różnicy. Kilku gapiów podbiegło, żeby złapać go za rękę, ale on ich odpychał i robił uniki, aż w końcu znowu udało mu się przytknąć flaszkę do ust. Nie zauważyłbym łyzy w jego oku, gdyby z boku nie padły na niego ostatnie promienie słońca. Był brzydki, jeszcze brzydszy przez zezwierżecenie malujące się na twarzy, przy której trzymał butelkę, miał podartą kurtkę, przetarte na kolanach spodnie. Desperacko pragnął wlać w siebie trunek, żeby zapomnieć, i przy każdym ruchu grdyki triumfalnie dążył do samobójstwa. W końcu odrzucił butelkę i rozłożył ramiona, proszę, i gdy tylko skłonił się lekko przed tłumem, upadł. Nawet na wojnie nie widziałem, żeby ktoś tak ciężko upadał. Osunął się na ziemię, jakby rzuciła go na nią jakaś siła na górze, i odwróciłem się, żeby nie patrzeć, jak wymiotuje. Ale nie zwymiotował; zwinął się, obejmując brzuch, więc jeden z kumpli podniósł go na kolana i walnął w plecy, aż

tamten strzyknął strugą płynu. Tłum zaczął wiwatować, a pijany znowu padł na ziemię i spojrzał na wieczorne niebo. Po jego brudnym obliczu spłynęła łza, a usta, zaślinione i wilgotne od alkoholu, lśniły w ostatnim świetle. Ślina spajała jego wargi, tak że przypominały klepsydrę.

Taksówkarz – potężny mężczyzna z sumiastym wąsem, ledwie kryjący radość, że ma okazję poćwiczyć angielski z młodą Amerykanką – wiózł mnie do hotelu Orford w bułgarskim Bataku, gdzie zostały poczynione pierwsze zapiski w dzienniku dziadka Jacka. Podczas jazdy wyraził wątpliwość, czy będą tam mieli wolny pokój.

– Za wielu tancerzy. Trwa festiwal. Zjechali się z całego kraju. Noszą maski. Zna pani tę historię? Kiedy ludzie z miasteczka zwiedzieli się, że nadchodzą Niemcy, spojrzeli na góry i zaczęli tańczyć. Wariaci, tańczyli, patrząc śmierci w oczy. Warto zobaczyć.

– Więc co mi pan radzi? – zapytałam. – Gdzie mogłabym się zatrzymać?

– Trudno powiedzieć... zależy. A czego pani szuka?

– Sama nie wiem. Jakiegoś pokoju na początek.

– Czasami rodziny... rozumie pani, rodziny? Więc czasami wynajmują pokoje. Ogłaszają się na tablicy... przypinają kartki.

– Na tablicy ogłoszeniowej?

Energicznie pokiwał głową.

– Tak, wiadomości.

– Kiedy zaczyna się festiwal?

– Już się zaczął. Wszyscy tańczą. Tańczą przez trzy dni. Niektórzy mieszkańcy wynajmują swoje samochody do spania. Ale nocami jest jeszcze zimno. W górach leży śnieg.

Wjechaliśmy do miasteczka. Wiedziałam, że nie jest duże. Liczyło około czterech tysięcy mieszkańców, może nawet mniej, a musiało przyjąć licznych uczestników festiwalu. Latarnie uliczne, budynki i schody były przystrojone

sośniną i wiosennymi kwiatami. Raz po raz dostrzegałam tancerzy, którzy nieśli wielkie głowy z papier mâché pomalowane na jaskrawe kolory. Miały przerażające miny i przypominały maski na Mardi Gras¹³, tyle że były bardziej prymitywne i w jakiś sposób kojarzyły się z gęstymi lasami otaczającymi Batak.

– Będzie padał śnieg? – zapytałam, zastanawiając się bez przekonania, czy mogłabym nocować pod gołym niebem. – Zna pan prognozę pogody?

Cmoknął w odpowiedzi. Kto wie? Bo on nie, na pewno.

Kiedy zagłębialiśmy się w miasto, zaczęła mnie ogarniać euforia. Zwariowałam; to nie ulegało wątpliwości. Nie miałam pojęcia, czy Jack rzeczywiście tu jest. A nawet gdyby był – zdałam sobie sprawę – nie miałam pewności, czy go znajdę. Mógł przyjechać na jeden dzień i ruszyć dalej. Po raz pierwszy w życiu zrobiłam coś pod wpływem impulsu. Nie namyślałam się długo, nie opracowałam planu działania, nie dokonałam żadnych kalkulacji. Działalam wiedzona intuicją, kierowałam się instynktem, szłam za głosem serca. Jack mnie tego nauczył; to on umożliwił mi taką swobodę. Kimkolwiek dla mnie był i ile znaczył, odemknął w moim wnętrzu coś, co nieużywane zardzewiało i zaskorupiało. Dał mi nadzieję i przepoił mnie wiarą, że życie potrafi sprawiać niespodzianki, jeśli mu się na to pozwoli. Nie zaśmiewał go zdjęciami i postami na Facebooku. Pokazał mi, że należy skupić się na danej chwili. To była wielka nauka.

Tymczasem taksówkarz wjechał powoli na plac miejski. Policja odgrodziła dużą przestrzeń żółtą taśmą. Tancerze zaczęli się już gromadzić. Wielu miało na szyjach krowie dzwonki i w miarę jak zbliżaliśmy się ku centrum placu, hałas narastał.

– Mogę tu wysiąść – powiedziałam do kierowcy. – To równie dobre miejsce jak każde inne, no nie?

– Tak, pewnie – odparł, manewrując wśród pieszych.

– To są ci tancerze?

– W Bataku każdy jest tancerzem. Tańczymy, żeby przepędzić zimę i zaprosić wiosnę.

– Rozumiem – odrzekłam, obserwując wszystko wokół. – Tak, oczywiście.

Gdy wysiadłam z taksówki, dźwięk dzwonek się nasilił. Przybywający na plac tancerze podskakiwali albo wykonywali obroty. Przeważnie byli młodzi, ale zdarzali się także starsi. Zaczęło lekko śnieżyć. Zerknęłam w niebo. Nie zanosilo się na zawieję; śnieg padał jakby niechętnie, w szarej atmosferze. Nadchodził wieczór i w okolicznych budynkach zapalały się światła.

Po odjeździe taksówki przez jakiś czas stałam nieruchomo w miejscu.

Patrzyłam, jak zbierają się tancerze – w maskach przedstawiających lwy szczerzące kły, smoki, wściekłe psy albo niegrzeczne, rozkapryszone dzieci – i zaczęłam się zastanawiać, czy to nie jakiś koszmar. Ale uspokoiły mnie twarze uczestników festiwalu. Byli weseli, uśmiechnięci; brali udział w wydarzeniu kulturalnym o radosnym przesłaniu. Dziadek Jacka przyjechał tu po wojnie i potrafiłam sobie wyobrazić, jaką przyjemność sprawiło mu to święto, determinacja wkładana przez mieszkańców wsi w odpędzanie ciemnych sił. I ci „wariaci”, jak powiedział taksówkarz, naprawdę tańczyli, patrząc śmierci w oczy. Czytałam o tym. W noc przed wkroczeniem Niemców, którzy mieli zająć wieś, ludzie mogli tylko odwołać się do tańca. Wiedziałam o tym z dziennika.

Długo stałam bez ruchu. Czekałam, aż porwie mnie muzyka, i miałam nadzieję, że tak się stanie. Pragnęłam, aby zawładnął mną pierwotny zew, ale jeszcze nie byłam gotowa mu się poddać. Zazdrościłam tańczącym. Miało się wrażenie, jakby wszystko pozostawili za sobą, żeby zjednoczyć się z muzyką, potrząsać dzwonekami w obecności mrocznych gór. Ja tak nie umiałam, Jack mnie tego uczył, ale nie byłam w stanie wykonać ostatniego kroku.

O tym myślałam, stojąc na placu w bułgarskim Bataku.

Wtedy uświadomiłam sobie, że zmarłam.

54

– To nie tak dużo – powiedział pan Gur.

Nie wiedziałam, czy dobrze usłyszałam jego nazwisko, kiedy się przedstawiał. Pan Gur? Pan Kangur? Bo to imię musi coś znaczyć – pomyślałam. Szłam za tym człowiekiem długim korytarzem, w którym zalatywało kapustą, śniegiem i kotem. Wyglądało, że jest to jakiś pensjonat, ale nawet tego nie byłam pewna. Z zewnątrz dobiegała kakofonia krowich dzwonek. Pan Gur – mężczyzna o wielkim brzuchu i grubych ruchomych brwiach – odwrócił się do mnie i bezskutecznie próbował przekrzyczeć hałas. Podniósł palec, dając mi znak, żebym poczekała.

Miał na sobie roboczą niebieską koszulę i czarną filcową kamizelkę, obie zatknięte w spodnie. Przypominał mi aktora charakterystycznego z Europy Wschodniej w roli właściciela gospody, który trzymając latarnię, ostrzega przed wyprawą w góry do zamku Drakuli. Jednak był chyba zadowolony, że się u niego zatrzymałam, i prowadząc mnie kolejnym korytarzem, bardziej oddalonym od brzęku dzwonek, opowiedział mi historię budynku.

– Dawniej były tu koszary. Sypialnia. Rozumie pani? Małe pokoje. Tylko prycze. Tak?

– Rozumiem.

– Bierzemy za nie więcej, niżby się należało, ale nie możemy inaczej.

– Jest festiwal – odparłam ze zrozumieniem.

Pomyślałam o Hemingwayu, jak przyjechał do Pampeluny na walki byków i przenosząc się z jednego baru do drugiego, pił od rana do wieczora. Tu, na festiwalu, panowała jednak inna atmosfera. Miasteczko leżało w górach, na terenach krasowych, jak pisano w przewodnikach, z głębokimi dolinami rzek,

wielkimi jaskiniami i rzeźbionymi formacjami skalnymi, gdzie zaszywały się duchy zimy, dopóki wiosną nie przepędzili ich na północ tancerze. Hemingway celebrował śmierć w życiu, a festiwal głosił życie wobec śmierci. To była istotna różnica, chociaż jeszcze nie potrafiłam określić, na czym polega.

Pan Gur otworzył drzwi do mojego pokoju.

– Skromny – powiedział, przytrzymując je.

„Prymitywny” byłoby wprawdzie lepszym określeniem, ale to mi nie przeszkadzało. Zostałam uprzedzona: pokój okazał się klitką z pomalowaną na szaro podłogą. Na wyposażenie składało się łóżko z wełnianym kocem zatkniętym pod materac i pojedynczą poduszką oraz żółty stół i krzesło, stojące pod przeciwległą ścianą. Chyba nie był ogrzewany. Całkiem duże okno wychodziło na dziedziniec. Podobało mi się: wpuszczało szare wieczorne światło, w którym niczym ćmy unosiły się płatki śniegu.

– W porządku? – zapytał pan Gur.

– Tak – odparłam.

Na jego twarzy pojawiła się ulga. Pomyślałam, że czuł się trochę zawstydzony, pokazując cudzoziemce skromne lokum, które oferował. Już uspokojony, zapalił górne światło i poinstruował mnie, jak włączyć mały grzejnik na monety zamontowany na ścianie. Urządzenie przywodziło na myśl buzię kupidyna o niewinnych wydętych ustach. Pan Gur stał nad nim z wyciągniętymi rękami, jakby właśnie rozpalił wielkie ognisko. Budził moją sympatię i gdyby mi poradził, żebym nie jechała do zamku Drakuli, posłuchałabym.

– Lepiej? – zapytał, kiedy rzuciłam plecak na stół.

– Lepiej – potwierdziłam.

– Zna pani historię tych gór?

Pokręciłam głową.

– Rodopa i Hemus... bardzo sławni. Byli siostrą i bratem. Ale zapalali do

siebie pożądaniem. Bardzo źle. A ponieważ byli piękni, przybrali boskie imiona, Zeus i Hera. Rozumie pani?

– Tak – odparłam.

– Pewnego dnia prawdziwi Zeus i Hera odwrócili się od nich, orzekli, że nie wolno używać boskich imion. I zamienili młode rodzeństwo w góry. Tak powstała Bułgaria.

– Zazdrośni bogowie – skomentowałam.

W czasie gdy pan Gur opowiadał legendę, w pokoju zrobiło się ciepło. Ogarnęła mnie senność. Pan Gur się uśmiechnął.

– Pójdę już. O siódmej podajemy zupę. Dobrą zupę. Teraz niech się pani prześpi. Dobrze to pani robi.

– Rzeczywiście – przyznałam. – Chyba jestem zmęczona po podróży.

– Pewnie, że tak. Kiedy podróżujesz, twoja dusza... jak to powiedzieć? Unosi się w powietrzu.

– A kiedy jesteś w domu?

– My wierzymy, że dusza jest podzielona i jedna jej połowa mieszka w ojczyściej ziemi! – wyjaśnił pan Gur ze śmiechem. – Gdy jesteś w swoim kraju, twoje stopy łączą się z ziemią i dusza staje się całością. Ale kiedy podróżujesz, masz w sobie tylko jej połowę. Wierzy pani w takie rzeczy?

– Wierzę we wszystko – odpowiedziałam. Miałam wrażenie, że zemdleję, jeśli się zaraz nie położę.

Pan Gur skłonił się, kiwnął głową i wyszedł. Potwierdziwszy, że przyjdę na kolację, zamknęłam za nim drzwi. W pokoju było przytulnie i lekko pachniało gazem z grzejnika. Pomyślałam z roztargnieniem, że jeśli jest niesprawny, zatruję się tlenkiem węgla. Wyobrażałam sobie, że to całkiem możliwe.

Rzuciłam się na łóżko. Chciało mi się płakać, ale byłam zbyt zmęczona, zbyt wyrwana ze swojego środowiska, żeby pozwolić sobie na najmniejszą słabość. Gdybym jej uległa – uświadomiłam sobie – może uciekłabym w góry,

żeby sprzymierzyć się z duchami zimy. Zamieszkałabym na obszarach krasowych, wśród dzikich skał i szumiących sosen, a moje włosy porosłyby mchem. Zasypiając, uświadomiłam sobie, że miejscowi nie po to tańczą, aby wypędzić duchy; szydzą z nich tylko z powodu tego, czego nie mogą mieć.

Obudziłam się o zachodzie słońca i nie mogłam się zorientować, gdzie jestem. Zmarzłam; tyle wiedziałam. Drżąc, naciągnęłam na siebie koc, a potem przypominałam sobie, jak się włącza grzejnik. Wstałam, wciąż okryta kocem, i pogrzebałam w plecaku. Wyjęłam kilka monet. Przypatrywałam im się przez chwilę, bo ta waluta wciąż była dla mnie obca. Jednocześnie wyobraziłam sobie, jak to musi wyglądać z boku: dziwna, potargana kobieta z kocem na ramionach, stojąca w ostatnich promieniach słońca, ze wzrokiem wbitym w bilon. Nie był to budujący obraz.

Musiałam wrzucić do grzejnika trzy monety, żeby z ust kupidyna popłynęło ciepło. Wyciągnęłam do niego dłonie, jak wcześniej pan Gur. A potem z powrotem położyłam się do łóżka.

Przez dłuższy czas leżałam beczynnym, nie myśląc o niczym, aż trochę się rozgrzałam. To było dobre podejście: wszystko powoli, krok po kroku. Najpierw się rozgrzać. Potem może zejść na dół, na zupę. Wreszcie zrozumieć, jaki chory impuls kazał mi przyjechać do Bataku. To ostatnie wymagało poważnej introspekcji, więc na razie skupiałam się na zupie.

Jaka to może być zupa? – zaczęłam się zastanawiać. Pewnie barszcz. Z buraków i cebuli, na ciemnym wywarze. Nie, nie na wywarze, raczej wodzie źródlanej, z gór, gdzie kąpią się duchy zimy, spływającej niczym korzenie do miasteczka, na rynek. Na pewno taką zupę podaje pan Gur.

Myśl o zupie zajęła mnie na jakiś czas. W pokoju robiło się coraz cieplej. Usiłowałam zgadnąć, która jest godzina. Mój telefon leżał na stole po drugiej stronie pokoju, a ta odległość wydawała się nie do pokonania. Zmusiłam się jednak, żeby wstać z łóżka i pójść po niego. Potem znowu się położyłam

i ulegając sile ciężkości, wydałam ciche „och!”.

Była szósta trzydzieści siedem po południu. Jeszcze dwadzieścia minut i będzie można pójść na zupę.

Wybrałam numer Amy, ale przerwałam połączenie, zanim je uzyskałam. Wysłałam jej esemesa, zawiadamiając, że dojechałam bezpiecznie, czuję się dobrze, wszystko w porządku. Miejsce jest niesamowite, uśmiechnięta buźka, uśmiechnięta buźka, uśmiechnięta buźka.

55

Zupa ziemniaczana z porami.

Pan Gur i kobieta, której imienia nie znałam – w niebieskim fartuchu, jakie nosiły pomywaczki w Berlinie, Wiedniu i Krakowie – nalewali ją gościom w świecącej pustkami jadalni. Chociaż „jadalnia” to określenie trochę na wyrost. Była to duża szara sala ze stołami. Jej jedyne luksusowe wyposażenie stanowił stojący w kącie żelazny piecyk na drewno, taki z otwieranymi drzwiczkami, który pełnił funkcję kominka. Płonący ogień rzucał na salę złocisty blask.

Wzięłam talerz zupy od bezimiennej kobiety – żony pana Gura, jego siostry, matki? – i usiadłam na krześle przy piecyku. Gospodarz obchodził salę z półmiskiem ciemnego pieczywa. Gdy brałam kromkę, przypomniała mi się komunia. Zupa była za gorąca. Trzymałam ją na kolanach, ogrzewając nią ręce.

– Ciepło? – zagadnął pan Gur podczas drugiej rundki po sali, żeby, jak się domyślałam, okazać mi troskę.

– Ciepło – przytaknęłam, chociaż nie mogłam się zorientować, czy ma na myśli mój pokój na gorze, czy miejsce, w którym siedziałam.

W końcu zupa trochę ostygła i zabrałam się do jedzenia. Smakowała całkiem nieźle, cebulą i latem, a ja byłam głodna. Pan Gur przyniósł mi drugą

kromkę chleba. Ją także zjadłam. Pod pewnym względem łatwiej było jeść, niż myśleć. Myślenie oznaczało konieczność podjęcia decyzji co dalej. A ja chciałam tylko wrócić do swojego spartańskiego pokoiku i przespać noc do rana. Czułam się zmęczona i dezorientowana. Mój plan, żeby przyjechać do Bułgarii i odnaleźć tu Jacka, wydawał się teraz tak nieprzemyślany, tak śmieszny, że zaczęłam się zastanawiać, jak to możliwe, że Amy nie rzuciła mnie na ziemię i nie związała, aby nie pozwolić mi na wyjazd z Paryża. Przyjęła jednak moje zapewnienia – naprawdę, Amy, on musi tam być, tam zaczyna się dziennik, nie miałabyś wątpliwości, gdybyś знаła Jacka tak jak ja, gdybyś przeczytała zapiski jego dziadka – a ja tak bardzo chciałam ją przekonać, że przekonałam samą siebie.

– Będzie pani oglądać, jak palą starego? – zapytał pan Gur, gdy zbierał talerze.

Pozostali goście już wyszli, siedziałam w sali sama.

– Starego? – Nie zrozumiałam.

– Staruszka Zimę. Niosą go na rynek i tam palą. Wtedy może przyjść z gór wiosna.

Będzie ciepło – pomyślałam. Mój świat nagle stał się dwubiegunowy: jest ciepło albo nie.

– Czy da się znaleźć kogoś na festiwalu? Zostawić dla niego wiadomość? – zapytałam.

Pan Gur przysiadł na jednym ze stołów i spojrzał na mnie.

– Dobrze się pani czuje? – chciał wiedzieć.

Wzruszyłam ramionami, inaczej bym się rozplakała.

– Muszę znaleźć tu pewną osobę – wyjaśniłam, gdy trochę się opanowałam.

– Zagubionego chłopca?

Tak – pomyślałam z uśmiechem, przypominając sobie zagubionych chłopców, dzikich dorosłych chłopców z *Piotrusia Pana*.

– Zagubionego chłopca.

Pan Gur zastanawiał się przez chwilę, a kiedy wreszcie wstał, tylko się uśmiechnął i wziął ode mnie talerz.

– Na festiwalu – powiedział – jest zamieszanie, więc nie wiadomo, kogo się spotka. Ale czasami bogowie przypominają sobie o nas. Niech pani idzie i szuka. Co ma pani do stracenia?

Staruszek Zima miał ciężką drogę.

Patrzyłam, jak się zbliża – w długiej procesji, która wiła się przez dwie przecznice – niesiony na rozpadającym się krześle przez grupę postawnych mężczyzn. Wyglądał jak strach na wróble, ale był starannie wykonany, miał nawet wymalowany tuszem krzywy uśmiech na twarzy. Co najmniej przeciętnego wzrostu, został ubrany w marynarkę od garnituru z kwiatem w butonierce. Niosący go mężczyźni, z twarzami pomalowanymi na biało, byli w cylindrach. Nie wiedziałam, co znaczą te białe twarze i cylindry, ale chciałam przyłączyć się do procesji.

Pragnęłam tego.

Pragnęłam dać się unieść i być niesiona, tak jak Staruszek Zima, do jakiegoś punktu, w którym raz na zawsze z mojej pamięci zostałyby wymazane wspomnienie Jacka. Krowie dzwonki pobrzękiwały z dziką energią, ich odgłos rozbrzmiewał w starych murach miejskich i na pewien czas zagłuszył nawet najprostsze myśli w mojej głowie. Stałam w alejce, wciśnięta we wnękę drzwiową jakiegoś sklepu, i patrzyłam, jak przede mną sunie roztańczony pochód, wesoły i upojony. Wyczułam nikłą woń alkoholu, jak ślad na polu kukurydzy czy pszenicy po przejściu człowieka lub zwierzęcia. Przy końcu pochód dzielił się na mniejsze grupy. Kiedy przechodzili ostatni jego uczestnicy, przyłączyłam się do nich, bo chciałam zobaczyć, jaki koniec spotka Staruszkę Zimę.

Wówczas zobaczyłam Jacka.

A właściwie wydało mi się, że go zobaczyłam. Ponieważ na mgnienie oka wyłonił się z tłumu, a potem znowu w nim zniknął.

To było dla mnie jak cios w brzuch. Miałam wrażenie, jakby ktoś wziął cienki ostry nóż i wbił mi go między brwi, w to miękkie miejsce, gdzie powstaje lwia zmarszczka. Nie byłam w stanie się ruszyć. Ktoś mnie potrącił i przeprosił. Domyśliłam się, że były to przeprosiny, bo nie zrozumiałam słów. Odwróciłam się i kiwnęłam głową. Potem znowu spojrzałam w tłum, tam gdzie przed chwilą mignął mi Jack.

Tam gdzie Jack Vermontczyk, mój Jack, tańczył w procesji, z rękami w górze, z piękną kobietą u boku.

Olśniewającą kobietą.

Ale czy to był on? Naprawdę? Nie potrafiłam powiedzieć. W pierwszym momencie poczułam pewność, że to Jack pojawił się przede mną jak zjawą, tańcząc z uniesionymi rękami, w swojej kurtce, tej, którą zawsze nosił. Jednak już w następnej chwili racjonalna część mojego umysłu uznała ten widok za złudzenie, efekt myślenia życzeniowego. Iluzję. Skutek przemęczenia i rozchwiania emocjonalnego.

I czy rzeczywiście był z inną kobietą? Czy to widziałam?

Czy w ogóle cokolwiek zobaczyłam?

Stop! – pomyślałam. Zatrzymać na moment wszystkich! Zapragnęłam, żeby uczestnicy procesji znieruchomieli. Stać! Wtedy mogłabym przejść wśród nich, jak podczas gry w gęś i kaczki, i klepiąc jednego po drugim w ramię, prosić ich o odejście. Wyeliminowałabym wszystkich po kolei, aż zostałyby tylko Jack, jego sobowtór albo ktoś tak do niego podobny, że przeczyłoby to zdrowemu rozsądkowi.

Pospieszyłam naprzód. Na błoniach działo się coś, co sprawiało, że tłum wiwatował, i kiedy dołączyłam do zgromadzenia, Staruszek Zima już płonął. Jego postać sterczała nad dużym ogniskiem i powoli zamieniała się w knot

pośrodku żółtych płomieni. Zebrani wznosili okrzyki i tańczyli, a krowie dzwonki, nieustające natarczywe dzwonki, przypominały diabelski chór szydzący z męki starca. Gdzie tylko spojrzałam, maski, odbijające światło pod nowym kątem, zmieniały formy. Nie wiedziałam już, co czuję: pierwotną fascynację, strach, wesołość, gniew? Może właśnie o to chodzi – zdałam sobie sprawę, kiedy tak krążyłam w tłumie, skręcając tu i tam, żeby obejść tańczących w zapamiętaniu ludzi. Może prawdziwa zima, ta, którą należało przepędzić, żyła w nas samych.

Błądziłam tak przez godzinę. Dwie godziny. Błądziłam, aż Staruszek Zima spłonął razem ze swoim tronem, tak że pozostała po nich tylko tłąca się kupka popiołu i zwęglone bierwiona. Błądziłam, dopóki nie zjawił się miejscowy stróż porządku i nie kazał nam się odsunąć, podczas gdy straż pożarna gasiła resztki ognia. Później patrzyłam, jak koparka zgarnia popiół i śmieci, żeby wrzucić je na platformę niebieskiej ciężarówki.

Staruszek Zima zniknął. Jack przepadł. Wróciłam do swojego pokoju, do pana Gura, grzejnika z ustami kupidyna i wydychanego przez nie ciepłego powietrza. Mój zaginiony chłopiec się nie odnalazł.

Nie mogłam spać.

Nawet nie byłam bliska zaśnięcia. Karmiłam kupidyna monetami i leżałam na łóżku, starając się wymyślić jakiś plan. Wymyślić cokolwiek. Głównie jednak usiłowałam ustalić, czy to możliwe, żebym naprawdę zobaczyła Jacka. Po namyśle uznałam, że to musiał być on. Znałam jego sylwetkę, budowę ciała, sposób poruszania się; miałam je wyryte w pamięci. Gdy w końcu się co do tego upewniłam, znowu ogarnęły mnie wątpliwości, wkradły się jak myszka, która węszy i nasłuchuje, unosząc i opuszczając wąsy.

To nie był Jack – słyszałam w takich chwilach. Dziewczyno, naprawdę musisz zapomnieć tego faceta.

A jeśli to jednak był Jack i rzeczywiście tańczył w tłumie, czy to możliwe,

że miał ze sobą nową dziewczynę? Poderwał jakąś, tak jak poderwał mnie? Czy tak miał w zwyczaju? Był romansowym socjopatą? Seryjnym uwodzicielem, drapieżnikiem seksualnym?

Nie, nie było szans, żebym zasnęła.

Ani logicznie myślała.

Wtedy nagle pokój zaczął się kurczyć. Wiedziałam, że to wszystko dzieje się w mojej głowie, ale nie mogłam oprzeć się temu, co mówiły mi zmysły. Wstałam i wykonałam kilka ćwiczeń rozciągających. Przez co najmniej kwadrans medytowałam. Później wyjęłam iPada i poszukałam wi-fi. Daremnie. Pokój nadal się kurczył. Wreszcie wzięłam kurtkę i wyszłam na dwór. Było zimno, wręcz przenikliwie zimno, i ciemno. Jeśli miejscowi wypędzili Staruszka Zimę z powrotem w góry albo ostatecznie go spalili, nie przyniosło to efektu. W całym miasteczku pachniało dymem i spalenizną.

Nie wiedziałam, czy o tej porze samotny spacer po ulicach jest bezpieczny. Od czasu do czasu mijala mnie jakaś para albo grupa uczestników festiwalu. Za każdym razem pozdrawiałam ich skinieniem głowy. Mówiłam sobie, że powinnam się zatrzymać, wrócić do kupidyna i spróbować zasnąć. A z samego rana zatelefonować na lotnisko i zarezerwować bilet na samolot. Myślałam nawet, aby zadzwonić do rodziców, może do mamy, i uspokoić ich, że jeszcze nie całkiem zwariowałam. Ale wówczas zdałam sobie sprawę, że to niedobry pomysł. Jeśli musisz kogoś zapewniać, że nie zwariowałaś, to znaczy, że pewnie jednak zwariowałaś.

Szłam jeszcze pół godziny, aż natknęłam się na tę parę.

Tak ich potem nazywałam. Spod masek wilków widać było tylko dolną część ich twarzy. Nosili piękne stroje. Mężczyzna miał na sobie staroświecki surdut w stylu Jerzego Waszyngtona i spodnie do kolan, a do tego blond perukę. Kobieta zaś była ubrana jak Maria Antonina, w brokatową suknię z szeroką spódnicą, i także miała perukę, szarą, oraz nieco węższą maskę,

zasłaniającą oczy i czoło. To ich przebranie było tak absurdalne, że początkowo nie wierzyłam własnym oczom. Co kostiumy z osiemnastego wieku miały wspólnego z ludowym świętem? Zanim jednak zdążyłam zbliżyć się do tej pary – stali przy fontannie, z wodą tryskającą świetlistymi łukami – rozległa się muzyka. Wilk – tak o nim zaczęłam myśleć – nastawił winylową płytę w gramofonie i cofnął się, żeby sprawdzić, czy urządzenie działa. Kiedy muzyka się nasiliła – był to jakiś walc – odwrócił się i skłonił przed wilczycą. Ona dygnęła i podeszła do niego.

Zaczęli tańczyć.

Tańczyli spokojnie, z wprawą, a woda z fontanny czasami jakby wznosiła się wyżej, zabiegając o zamianę w lód. Tańczyli na kocich łbach i tylko ja byłam tego świadkiem. Nie miałam pewności, ale wydawało mi się, że tańczą wyłącznie dla siebie. Mimo dziwacznych kostiumów nie wykonywali żadnych teatralnych gestów. Nie odwracali się, nie patrzyli na mnie, jakby w ogóle nieświadomi mojej obecności. Płyta się zacinała i trzeszczała, a oni płynęli w tańcu i wirowali na tle migotliwego tła, jakie stanowiła fontanna. Patrzyłam na to i w pewnym momencie poczułam, że do oczu napływają mi łzy. Pragnęłam ujrzeć w tym znak, zapowiedź, że znajdę Jacka, ale w głębi duszy nawet przestałam na to liczyć. Nie, wystarczył mi ich widok w tańcu, myśl, że kochają się tak bardzo, iż gotowi byli wynieść w nocy na plac gramofon i zatańczyć.

Przyglądałam im się jeszcze minutę albo dwie, a potem jak najciszej się wycofałam. W przytłumionym blasku fontanny widziałam, jak obracają się i wirują, tańcząc wilczy taniec w zimną wiosenną noc.

Następnego rana zjadłam śniadanie w jadalni u pana Gura. Przyrządził

smaczną owsiankę z cynamonem. Podał do niej po kromce ciemnego chleba z poprzedniego wieczoru.

Opowiedziałam mu, jak przez moment widziałam Jacka, a przynajmniej wydawało mi się, że go widziałam. Natychmiast stało się jego *idée fixe*, że muszę odnaleźć swojego zaginionego chłopca, jak mówił. Nie miał jednak żadnego planu, który mógłby mi podsunąć. Powtarzał, że trzeba zdać się na przeznaczenie. Lubił to słowo i często się do niego odwoływał. Twierdził, że jeśli przestajemy czegoś szukać, to zwykle samo się znajduje. Potem spytał, czy smakuje mi owsianka. Odparłam, że jest pyszna.

Zanim skończyłam śniadanie, zadzwonił mój telefon. To była Amy. Przeprosiłam i odeszłam do wolnego stolika, żeby swobodnie z nią porozmawiać.

– Nic ci nie jest? – zapytała, gdy tylko uzyskałyśmy połączenie. – Powiedz, że nic ci nie jest.

– Mam wrażenie, że zeszłego wieczoru widziałam Jacka.

– Jak to „masz wrażenie”?

– Mignął mi w tłumie. Nie mogłam dostać się do niego wystarczająco szybko. Chyba był z inną kobietą.

Amy zaczerpnęła powietrza. Przez chwilę milczała. Potem się odezwała.

– Znajdziesz go, Heather – powiedziała.

– Tak.

– Wiem, że go znajdziesz.

– Tak.

– Ale jeśli to stanie się zbyt bolesne, zabieraj się stamtąd. Jesteś kapitanem swojego okrętu, pamiętasz? Nową, dziką, wolną Heather. Tą, która odchodzi i mówi swojemu pracodawcy, żeby się walił.

– To nie jest bolesne. I nie powiedziałam nikomu w Bank of America, żeby się walił. Nie zrobiłam im świństwa. Jestem odpowiedzialnym pracownikiem.

Przez moment nic nie mówiła.

– Czy ten festiwal jest radosny? – zapytała.

– Tak. Radosny w dziwny sposób. Świetnie się bawię. Nigdy wcześniej nie brałam w czymś takim udziału.

– Martwię się o ciebie. Ale nawet się nie domyślasz, jak mi zaimponowałaś. Nie znam nikogo tak odważnego jak ty.

– Nic mi nie jest, Amy. Jestem wystarczająco silna. Naprawdę. Może ten, którego widziałam, to wcale nie Jack. Trudno powiedzieć. Tłum tańczył i robiło się ciemno. Może poniosła mnie wyobraźnia. Może po prostu chciałam go zobaczyć.

– Był z kobietą?

– Chyba tak. Jeśli rzeczywiście to jego widziałam, tak, był. Czuje się dobrze, Amy. Wierz mi. Stałam się nawet silniejsza. Mam przeczucie, że on tu jest – oznajmiłam. Czułam, że mówię szczerze. – I tu chodzi tylko o niego, Amy. Zresztą wiesz. Chodzi o to, co przeżyliśmy razem. Jeśli to, co zdarzyło się między nami, nie było prawdziwe, nie znaczyło dla niego tyle, ile dla mnie, muszę znać prawdę. Muszę się dowiedzieć, czy życie potrafi tak bardzo zwodzić. Jeżeli tak, trudno, przeżyję, ale wtedy będę miała do tego wszystkiego inny stosunek. Będę cierpieć, ale czegoś się nauczę.

– Staniesz się cyniczna. Boję się, że przez to zgorzkniejesz.

– Może. A może na tym także polega dojrzałość. Czasami mam wrażenie, że dojrzewanie to proces eliminacji. Skąd mam wiedzieć?

– Zostań tam, jak długo musisz. Jeśli już coś robisz, to nie połowicznie.

– Obiecuję. Dawna Heather mogłaby zrobić to połowicznie. Ale nowa nie. Zmieniłam się. Ten festiwal nie jest taki wielki. Jeśli Jack tu jest, pewnie w końcu na niego wpadnę.

Amy odetchnęła z ulgą. Próbowалам się zorientować, która może być godzina, ale mój umysł odmawiał współpracy.

- Kiedy jedziesz do Japonii? – zapytała.
- W przyszłym tygodniu.
- W porządku – odparła. – To dobrze. Jedź do Japonii i zmień fryzurę albo coś takiego. Kup miecz samurajski. Pomachaj nim. A dzisiaj powodzenia!
- Pan Gur mówi, że trzeba zdać się na przeznaczenie.
- Pan Gur? Jaki znowu pan Gur? Nikt nie może tak się nazywać.
- To dziś – odpowiedziałam i zakończyłam rozmowę.

Szłam przed siebie. I rozglądałam się dookoła.

Powoli się zorientowałam w przebiegu festiwalu. Świątowano cały czas. Żeby zima nie wróciła, tańce musiały trwać bez przerwy. Dowiedziałam się tego od kilku osób. Dźwięk krowich dzwonek towarzyszył mi wszędzie. Tak głęboko wniknął w moją świadomość, że potem nie chciał zniknąć, jak cykanie zegara czy stukot jadącego pociągu. „Dzwonki, tańce, Batak. Festiwal Surwa”.

Idąc tak, zastanawiałam się, co, na miłość boską, porabiam w bułgarskim Bataku. Próbowałam sobie wyobrazić, jak muszę wyglądać w oczach przechodniów. Młoda kobieta, dość atrakcyjna, dobrze ubrana, która przez cały dzień wędruje bez celu. Na pewno Amerykanka, turystka, wyrwana ze swojego świata. Mieszka w pojedynczym pokoju, śpi na pryczy, podczas gdy grzejnik z ustami kupidyna wydmuchuje ciepłe powietrze, żeby nie zamarzła.

To było absurdalne.

Ja byłam absurdalna.

Koniec zabawy, wychodzić z kryjówek! – szepnęłam piąty raz, setny, tysięczny. To było zawołanie z dzieciństwa, sygnał na zakończenie zabawy w chowanego: przestańcie się ukrywać, pokażcie się. Jack jednak mnie nie słyszał. Nie przestał się ukrywać, nie pokazał się.

W knajpce przy rynku zjadłam późny lunch. Zamówiłam zupę. Jarzynową. Przyniósłszy ją, kelner zapytał, czy chcę wina. Nie chciałam. Poprosiłam o piwo. Najciemniejsze, najmocniejsze, najbardziej miejscowe, jakie mieli

w restauracji. Z uśmiechem kiwnął głową i odszedł. Był niski, niemal jak karzeł, i miał potężne przedramiona. Postawił przede mną piwo i dał znak, żebym skosztowała. Tak zrobiłam. Było ciężkie, mroczne, jego smak przywodził na myśl korzenie drzew i stopy karła; nigdy w życiu nie piłam niczego lepszego.

– O tak – odparłam. – Cudowne.

I wtedy za oknem restauracji przeszedł Jack.

Zerwałam się z miejsca i pochyliłam nad stołem przy oknie – para jedząca lunch odsunęła się do tyłu, przestraszona albo rozdrażniona, że ktoś zakłóca jej spokój.

– Przepraszam, proszę mi wybaczyć, przepraszam! – zawołałam pospiesznie. Postukałam w szybę. Stukałam tak, aż pomyślałam, że w końcu pęknie.

Jack jednak tego nie słyszał. Nie zatrzymał się. On i jego kurtka zniknęli w tłumie.

– Proszę! – zawołałam do kelnera, biegnąc z powrotem do swojego stolika.
– Płacę! Niech pan trzyma!

Rzuciłam pieniądze na blat. Kelner zaczął gmerać w kieszeniach, szukając reszty, ale ja nie czekałam dłużej. Popędziłam do drzwi i wypadłam na dwór.

Ruszyłam za Jackiem. Biegłam szybciej niż kiedykolwiek w życiu. Wiedziałam, że może przepaść w jednej chwili. Wstąpić do sklepu albo wrócić do hotelu. Wszystko mogło się zdarzyć. Na razie jednak szedł w stronę rynku, gdzie wciąż trwały tańce. Skoro się tam kierował, pewnie zamierzał oglądać występy. Zapadał wieczór i zarówno światło, jak i hałas przyciągały nas wszystkich. Dogoniłam go pół przecznicy przed rynkiem. Rozpoznałam jego postać, plecy, linię karku i ramion, chód. Nie mogłabym go nie rozpoznać, tak dobrze znałam jego ciało. Zatoczyłam łuk, żeby zająć go z przodu i – gdyby się dało – zobaczyć jego twarz. Nie chciałam podbiec do niego z tyłu, chwycić

go za ramię i wrzasnąć mu w twarz: „Cześć, Jack! Pamiętasz mnie? Pamiętasz dziewczynę z Paryża?”.

Może zmierzał na spotkanie z tamtą kobietą.

Dalej szłam dyskretnie po drugiej stronie drogi. Nie przedstawiało to wielkich trudności. Na ulicach było dużo ludzi. Nie miał powodu rozglądać się za mną ani podejrzewać, że ktoś zwraca na niego szczególną uwagę. Mógłby mnie zobaczyć tylko wtedy, gdyby w pobliżu mnie wybuchł hałas. Na razie wtapiałam się w tłum. Dotrzymywałam mu kroku. Doszliśmy na rynek jednocześnie.

Zatrzymałam się. On tak samo. Przez kilka minut staliśmy bez ruchu. Patrzył na tańczących. Podążyłam za jego wzrokiem, aby zobaczyć, czy szuka kogoś konkretnego.

Ile razy – pomyślałam – wyobrażałam sobie tę scenę? Ile razy mówiłam to czy tamto, odpowiednie słowa, które od razu by nas scementowały, dowiodły mu, że źle postąpił, całkowicie się pomylił, i sprawiły, żeby padł przede mną na kolana i błagał o możliwość powrotu? Ścisnęło mnie w brzuchu i miałam obawy, czy w ogóle zdołam wydobyć głos. Tego nie przewidziałam. Nie sądziłam, że tak trudno mi będzie do niego podejść. A jednocześnie zdałam sobie sprawę, że wciąż go kocham. Kochałam każdą jego cząstkę, każde spojrzenie, każdy gest.

Dostrzegłam także, że jest chory. Schudł. Miał ziemistą cerę.

Odwróć się do mnie – nakazałam mu w myśli. Odwróć się.

I tak zrobił. Po prostu.

Ale tylko omiół mnie niewidzącym wzrokiem. Potem znowu spojrzał na rynek i tańczących, a ja wstrzymałam dech. Jak to możliwe? Miałam pozwolić mu teraz odejść? Po raz pierwszy pomyślałam – zdałam sobie sprawę – że na mnie też spoczywa pewien obowiązek. Może powinnam go puścić. Może, podchodząc do niego, naruszałam jego prywatność, prawo odejścia z tego

świata na własnych zasadach. Mógł chcieć, żeby zostawiono go w spokoju. Poczułam się głupią egoistką, bo nigdy wcześniej nie brałam tego pod uwagę.

W końcu jednak przeznaczenie odegrało swoją rolę.

Pomocny okazał się nasz wzrost. Jack spojrzał w moją stronę i napotkał mój wzrok. Dostrzegłam w jego oczach, że mnie rozpoznaje. Przysięgłam sobie wtedy, że do niego nie podejść. Że nawet nie drgnę. Mógł odejść i gdyby tak postanowił, uszanowałabym jego wolę.

Patrzyliśmy na siebie przez dłuższy czas. Ludzie tańczyli wokół, ale nie zwracaliśmy na nich uwagi.

Ruszył ku mnie. Wciąż stałam w miejscu. Tak jak sobie obiecałam. Patrzyłam, jak się zbliża, z wychudzoną twarzą, ciałem już nie tak umięśnionym jak kiedyś. Kilka razy musiał się zatrzymać i obejść stojące na drodze osoby, ale nagle, jakimś cudem, wyrósł tuż przede mną. Jack Vermontczyk. Mężczyzna, którego kochałam wbrew wszelkiej nadziei i zdrowemu rozsądkowi.

Uniósł mnie, pocałował i przytulił. Powoli się ze mną obrócił i zdałam sobie sprawę, w pełni zdałam sobie sprawę, jak bardzo osłabł. Zrozumiałam wszystko, każde słowo i każdą myśl, więc przywarłam do niego i zaczęłam go całować. Odwzajemnił moje pocałunki, a potem wolno postawił mnie na ziemi i całował dalej, odrywał się ode mnie i wracał, jakby całowanie było myślą, oddechem, a poza tym o czym tu było mówić? Umierał i postanowił, że nie będę tego świadkiem. Nie miałam prawa go za to winić.

– Nie mogłem z tobą pojechać – powiedział z ustami w moich włosach, tuż przy uchu. – Chciałem, ale nie mogłem. Wybacz mi.

Pocałowałam go z kilkanaście razy. Tysiąc razy. Pokiwałam głową.

– Wiem. Wszystko wiem. Wiem o Tomie.

– Białaczka powróciła – wyjaśnił. – To tak w skrócie. Zanim cię poznałem, przeszedłem badania i wyniki przyszły do Paryża. Niedobre. Jest źle.

– Co to za kobieta?

Był zaskoczony moim pytaniem, ale po chwili się uśmiechnął.

– To moja ciotka. Przyjechała zobaczyć, co dziadek odkrył w Bataku. Rano wyjechała.

Uściskałam go. I pocałowałam. Był umierający. Jego ciało straciło jędrność. Zabierała go białaczka. Objął mnie. Festiwal osiągał punkt kulminacyjny. Wiedziałam, że następnego dnia już będzie miał się ku końcowi. Pan Gur zamknie część pokoi i wróci do roli skromnego właściciela gospody. Ulice miasta zostaną zamiecione, a Staruszek Zima będzie żył wysoko w górach, po lecie osiągnie dojrzałość i wreszcie posiwieje od szronu i lodu.

Ledwie zdążyliśmy się nacieszyć naszym spotkaniem, kiedy otoczyła nas grupa tańczących i pociągnęła za sobą. Każdy, kto był na rynku, musiał zatańczyć. Tak głosiła niepisana zasada. Grupa uniosła nas ze sobą i zmusiła do tanecznych obrotów przy kakofonicznym akompaniamencie krowich dzwonków. Na chwilę, na jedną chwilę, poczułam, że radość w moim sercu stapia się z całym tym wesołym hałasem na placu. Jeszcze bardziej nastroiło mnie to do tańca; podeszłam do Jacka, objęłam go, przycisnęłam do siebie i powiedziałam mu, że kocham go z całej duszy. Odparł, że też mnie kocha. Otoczył mnie ramionami i pocałował. Tańczyliśmy na końcu świata, z czołem przy czole, ze zlewającymi się oddechami, nawzajem czerpiąc od siebie siłę. Powiedział mi, że według miejscowych wierzeń dusze zmarłych żyją w drzewach i jeśli to prawda, on będzie żył w jesionie i tam w razie potrzeby będę mogła go znaleźć. Obiecał, że zawsze będzie w Paryżu, naszym Paryżu. Tańczyliśmy dalej, broniąc się przed losem, który dał nam tak wiele i niemal od razu to odebrał, i wreszcie pokonaliśmy zimę. Tańczyliśmy, aż zabrakło mi tchu, aż moje jestestwo wkroczyło w sferę alpejskiego powietrza, wyparło zimno z serca i zaczęło spoglądać ku górą, gdzie czekała już wiosna, gdzie co roku budziła się nadzieja.

Podziękowania

Droga do ciebie powstała dzięki życzliwości oraz staraniom wielu ludzi i żadne słowa nie wyrażą mojej wdzięczności dla tych wszystkich, którzy sprawili, że została opublikowana i trafiła do czytelników. Jak zwykle do pisania zachęcały mnie moje agentki, Andrea Cirillo i Christina Hogrebe, udzielając mi podczas tego długiego procesu również nieocenionego wsparcia. Od chwili spotkania z nimi moje życie zmieniło się na lepsze. Zespół Jane Rotrosen Agency towarzyszy mi dyskretnie w każdej sferze mojej twórczości, więc do wszystkich jego członków kieruję szczerze podziękowania.

Dziękuję Jennifer Enderlin, wydawcy z St. Martin's Press, i jej wspaniałym podwładnym, jak również Marty'emu Bowenowi, Peterowi Harrisowi i Annalie Gernert z Temple Hill. Peter Harris udzielał mi rad, czytał tekst, wносił poprawki i starał się mnie rozśmieszać. Ponieważ zna się na powieściopisarstwie i konstrukcji dramatycznej, ta powieść skorzystała na jego pomocy więcej, niż mogę wyrazić.

Wszystkich zaangażowanych w wydanie tej książki, których nie było dane mi poznać albo którzy, niestety, ulecieli mi z pamięci, proszę o wybaczenie i przyjęcie podziękowań. To był efekt wspólnej pracy w większym stopniu niż inne moje powieści. Chcę także podziękować Plymouth State University – urocemu małemu college'owi w Górach Białych w New Hampshire, który jest moim domem od ponad ćwierć wieku – a w szczególności jego administracji i studentom, za umożliwienie mi zajęcia się twórczością pisarską.

Wreszcie dziękuję rodzinie, przyjaciołom i swojej starej wiernej suczce, cierpliwie czekającej na popołudniowy spacer, podczas gdy siedzę nad stronami, których ona nigdy nie zrozumie. Ale spokojnie... mam w kieszeni

ciastka.

Przypisy końcowe

1. Przeł. Bronisław Zieliński (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki). [\[wróć\]](#)
2. Cytat z piosenki *Aquarius* z musicalu *Hair*. [\[wróć\]](#)
3. Cytat z piosenki *Georgy Porgy* zespołu Toto. [\[wróć\]](#)
4. Przeł. Józef Paszkowski. [\[wróć\]](#)
5. William Szekspir, *Hamlet*, przeł. Józef Paszkowski. [\[wróć\]](#)
6. VFW, Veterans of Foreign Wars (Weterani Wojen Zagranicznych) – organizacja zrzeszająca żołnierzy walczących w wojnach poza granicami USA. [\[wróć\]](#)
7. Przeł. Bronisław Zieliński. [\[wróć\]](#)
8. Percy Bysshe Shelley, *Ozymandias*, przeł. Adam Asnyk. [\[wróć\]](#)
9. Columbus Day – święto obchodzone 12 października na pamiątkę odkrycia Ameryki przez Krzysztofa Kolumba. [\[wróć\]](#)
10. Kolokwialne określenie „New York Timesa”. [\[wróć\]](#)
11. Piosenka z musicalu *On the Town* z 1944 roku i filmu pod tym samym tytułem z 1949. [\[wróć\]](#)
12. T.S. Eliot, *Cztery kwartety*, *East Coker*, przeł. Krzysztof Boczkowski. [\[wróć\]](#)
13. Mardi Gras – ostatki, zapusty. [\[wróć\]](#)

ROMANTYCZNA
I NIEZAPOMNIANA.
—NICHOLAS SPARKS

J. P. Monninger

Droga do ciebie

